

Zebra Hartmana

Łódź 2011

Zebra Hartmanna (Equus zebra hartmannae): zagrożona wyginięciem odmiana zebry górskiej, występująca na południu Afryki, charakteryzująca się węższymi niż u innych odmian czarnymi paskami na tułowie, jak również większymi rozmiarami. Zwierzę rzadkie, niepokorne, niekrzyżujące się z innymi zebrawi.

Zebra Hartmana: zebrane w jednym tomie najlepsze pisma publicystyczne Jana Hartmana, polskiego filozofa, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

JAN HARTMAN



ZEBRA HARTMANA

„Zebra Hartmana”

Autor: Jan Hartman

Projekt i skład



QUALITY PIXELS

ul. Pienista 75, Łódź 94–109

www.qualitypixels.pl

Projekt okładki

Łukasz Domiza — Quality Pixels

Zdjęcia

Strona: 13, 100, 146, 184, 231 — Ryszard Cagara

Okładka — Adam Golec

Korekta

Witold Kowalczyk

Wydawca



Fundacja Industrial

Fundacja Industrial (al. Kościuszki 1G, 90–418 Łódź)

Błażej Lenkowski — prezes, Leszek Jażdżewski — wiceprezes, Kamil Janiszewski — sekretarz,

Filip Miłoszewski — członek zarządu, Rafał Szkudlarek — członek zarządu

Druk

LCL Dystrybucja sp. z o.o.

ul. Dąbrowskiego 247/249, 93–231 Łódź

Dystrybucja

Grupa A5 sp. z o.o.

ul. Krokusowa 1–3, 92–101 Łódź

Książka ukazała się w serii: „Biblioteka Liberté!”



O Liberté!

Liberté! to czasopismo społeczno-kulturalne założone przez grupę młodych osób i wydawane w Łodzi od 2008 roku. Nasze pismo ma ambicję być rzecznikiem społeczeństwa otwartego, wolnorynkowych poglądów gospodarczych i kultury liberalnej w Polsce. Współpracujemy z takimi instytucjami, jak: Fundacja Batorego, Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan, Fundacja Naumanna, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Do rady patronackiej Liberté! przystąpili m.in.: prof. Marek Sałjan, Jerzy Pomianowski, Janusz Lewandowski, prof. Zbigniew Petczyński, prof. Wojciech Sadurski, prof. Jan Winiecki, Henryka Bochniarz, prof. Paweł Śpiewak, prof. Ireneusz Krzemiński i wiele innych wybitnych postaci polskiego życia publicznego. Pismo adresowane jest do liderów opinii publicznej, przedstawicieli NGO, świata akademickiego, polityków, mediów, przedsiębiorców oraz młodych ludzi zaangażowanych w budowę społeczeństwa obywatelskiego w kraju. Więcej na temat Liberté! można znaleźć na stronie www.liberte.pl. W Internecie ukazujemy się jako miesięcznik, w druku jako kwartalnik. Pismo dystrybuowane jest przez sieć Empik. Tworzymy też portal www.liberteworld.com, którego misją jest przedstawianie najciekawszych nurtów polskiej kultury liberalnej ośrodkom opiniotwórczym na świecie.

SPIS TREŚCI

Wstęp: jak zostać i pozostać publicystą?	7
--	---

LIBERAŁ NA PAPIERZE

Jak być socjal-konserwatywnym liberałem?	15
Duch się nam zapodział	28
Polityka wzruszeń	35
Na co umiera demokracja?	41
Sąd nad Janosikiem	51
Rasiści i potwarczy	60
Gość w dom, Bóg w dom	66
Różowe i czarne	69
Wszyscy jesteśmy pedofilami	71
Chrońmy życie poczęte! (ale na serio)	77
Geje, lesbijki, hipokryci	83
Kobiety są lepsze	87
Kobieta króliczkiem rynku	94

PODPALACZ OŚWIATY

Młodzież szuka odpowiedzi	101
Szkoło, zobacz swe dno	106
Szkoła buja w obłokach	112
Krytyka młodzieżowego rozumu	117
Profesory i chamy	124
Humanisci w reformach	133
Czytu czytu na patyku	139

MAŁY RYCERZ NIEWIARY

Zła nowina	147
Jedna katoliczka więcej	154
Mój dziwny kraj i jego dziwna religia	158
Sympatyczne i niesympatyczne cechy religii	170
Teodemokracja Kaczyńskich	177

POLAK NIEPRAWDZIWY

Czy Polska jest sprawiedliwa?	185
Pokolenie konserwatywnych kosmopolitów	192
Nasza, ludowa, zapomniana	201
Oni zginęli w Smoleńsku, a my nie	205
Nie ma odwrotu od ustroju wolności	216
Leszek Mądry	224

WSZYSTKO JASNE: ŻYD!

List do moich przodków	231
Zagłada to także polska tragedia	237
Chciałbym być sobą	242
Niech Żydzi zawładną Kościołem!	249

WSTĘP: JAK ZOSTAĆ I POZOSTAĆ PUBLICYSTĄ

Publicystą chciałem być zawsze, ale nigdy nie myślałem o tym jako o profesji. Wprawdzie tak się już jakoś ułożyło, że część moich dochodów pochodzi z pisania do gazet, ale piszę stanowczo zbyt mało i stanowczo zbyt dużo mam innych zajęć, głównie akademickich, abym kiedykolwiek czuł się publicystą pełną gębą. Tylko raz, pod koniec 2009 roku, stojąc na scenie podczas gali rozdania nagród Grand Press, odbierając tę zaszczytną nagrodę w kategorii Publicystyka, miałem poczucie, że należę do świata dziennikarzy i autorów prasowych. Potem jednak moja samoocena wróciła do równowagi – jestem publicystą niedzielnym, amatorskim. Mimo to część moich prac doczekała się komentarzy i polemik, stając się tak zwanymi „ważnymi tekstami” (ale bez przesady). Jako takie uzyskały one placet na wydanie ich w takim jak ten wyborze. Nie przygotowałbym jednak tej książki, gdyby nie inna jeszcze pobudka, a mianowicie plik artykułów, których nikt opublikować nie chciał bądź które opublikowano w postaci okrojonej. Szkoda mi tych prac, więc korzystam z okazji, by je wydać.

Nie jestem entuzjastą własnych artykułów. Zwykle z pisaniem tak już jest, że najpierw nie wiemy do końca, co mamy do powiedzenia, a potem słowo samo nas prowadzi, gdy zaś skończymy pisać – nie wszystko nam się podoba. Tekst zawsze pisze wraz z nami język i jego uwodzicielska frazeologia, dalej opinia publiczna i środowiskowa, które wywierają na nas wpływ, inni autorzy, których czytaliśmy niedawno i pozostajemy pod wrażeniem ich argumentów i retoryki, a wreszcie współautorem

zostaje tkwiące w nas przekorne drugie ja – domagające się wystąpienia jego zapomnianych już przez naszą dojrzałą osobowość fiksacji i urazów. Krótko mówiąc, tekst zawsze jest głębszy od swego autora i zawsze mniej jest jego własny, niżliby autor sobie tego życzył.

Zamieszczone w tym zbiorze prace mają swoje zalety i wady, z których czasem usiłuję zdać sprawę w zamieszczonych pod nimi zwięzłych autokomentarzach. Celem tej publikacji jest bowiem nie tylko nadanie tym tekstom drugiego (a w kilku przypadkach nawet dopiero pierwszego) życia, lecz także podzielenie się przez autora z czytelnikami uwagami na temat pisania niewielkich tekstów publicystycznych. Dziś para się tym szlachetnym dość zajęciem bardzo wiele osób, gdyż niezawodną publikację zapewnia w każdym przypadku Internet – sądzę więc, że moje doświadczenia z piórem mogą zainteresować niemałą liczbę adeptów publicystyki. I to tym bardziej, że sam nie jestem przecież zawodowcem.

Jak więc zostaje się publicystą amatorem? Sprawa jest prosta. Jeśli ma się wielką ochotę, żeby męczące nas myśli przelać na papier albo sprawy, które nas bulwersują, koniecznie skomentować – nic nas nie powstrzyma. Po prostu siadamy i piszemy. A jak napiszemy, to wysyłamy do tej czy innej gazety. Ta z reguły nie odpowiada nawet na naszą propozycję druku. Jakoż gazety są dosyć aroganckie, a w dodatku bałaganiarskie (są tu oczywiście wyjątki). Jeśli wszakże odpowiedź nadejdzie, prawie na pewno będzie odmowna. Głównie dlatego, że nasz tekst był do niczego (pierwsze koty za płoty – trzeba zwykle napisać kilkanaście prac, aby wreszcie któraś nadawała się do druku w dobrej gazecie), ale także z powodu niedopasowania naszego głosu do tonu gazety, do aktualnie interesujących ją tematów lub odwrotnie – dlatego że temat na tyle ich interesuje, że sami już zamówili odpowiednie materiały. Trudno jest przebić się do prasy, ale skoro czasem temu i owemu się udaje (bo przecież są na świecie jacyś publicyści), tedy warto próbować. I rzeczywiście. Nie zrażając się pierwszymi niepowodzeniami, trzeba pisać dalej i wysyłać swe prace do redakcji, a wtedy przyjdzie taki dzień i taka konstelacja szczęśliwych okoliczności, że tekst od nas przyjmą. Przyjmą, co nie znaczy zaraz, że obiecaną publikacji się doczekamy. Czasem zmieniają zdanie albo biorą tekst do „zamrażarki” – może się kiedyś ukazać, ale nie musi. Gdy jednak dojdzie do upragnionego debiutu, należy być przygotowanym na małe rozczarowanie. Tekst pocięty i skrócony przez redaktora, za naszą zgodą albo i nie, nie jest już tym samym ukochanym dzieckiem co plik w prywatnym laptopie. Poza tym okaże się, że artykuł to tylko artykuł – nic wielkiego się nie wydarza w związku z tym, że wydrukowano go w prasie. Ot, ktoś skomentuje, zwykle niezbyt mądrze, ktoś zacytuje, a w najlepszym wypadku ktoś napisze jakąś polemikę. I już jest po wszystkim. Kilka tysięcy osób może i przeczytało, ale zaraz zapomniało. Tekstów są tysiące, a autorów setki. Jeśli chcemy brnąć w to dalej, musimy

pisać i słać, pisać i słać. Pierwszy tekst opublikować trudno, ale drugi, trzeci, czwarty niewiele łatwiej. Jeśli łatwiej, to tylko dlatego, że piszemy już lepiej niż na początku. Poza tym z czasem możemy zacząć liczyć na to, że gazeta będzie nam odpowiadać na listy, a zwłaszcza na nasze propozycje napisania tekstu na określony temat. Takie zapowiadanie się z tekstem pozwala wydatnie zmniejszyć ryzyko, że napisany przez nas artykuł pójdzie do szuflady (albo do Internetu). Uzgodnienie z redakcją gazety, że coś napiszemy, dalekie jest wszak od gwarancji druku. Ale zawsze to już lepsze niż wysyłka z ulicy.

Po opublikowaniu kilkunastu materiałów tu i ówdzie można już nieśmiało liczyć na niejaką rozpoznawalność w światku redaktorów. Po kilkunastu kolejnych zaczyna wchodzić w grę rozpoznawalność wśród czytelników, co oznacza, że „mamy nazwisko”. Jest ono zrazu malutkie, ale zawsze to już trochę lepiej niż całkowita anonimowość. Jednak nawet wtedy, gdy nasze nazwisko z biegiem lat trochę sobie urośnie, zawsze będziemy w drugiej linii – dostęp do łamów gazet i czasopism przysługuje w pierwszej kolejności zawodowym dziennikarzom pracującym dla interesujących nas tytułów oraz garstce „wolnych strzelców” należących wraz z nimi do elity publicystów. Preferencje mają też powszechnie znane osoby, a więc piszący celebryci. Jeśli osiągniemy pułap, na którym połowa rzeczy, które chcielibyśmy napisać bądź faktycznie napisaliśmy, uzyskuje akceptację i trafia na łamy gazet, to możemy być w pełni usatysfakcjonowani. Gdy wyrobieni autorzy przekraczają tę proporcję na swoją korzyść, to raczej nie z powodu tekstów, których napisanie sami zaproponowali gazetom, lecz po prostu dlatego, że gazety zamawiają u nich artykuły, co z reguły (nie zawsze!) kończy się publikacją. Na zamówienia można jednak liczyć dopiero po kilku latach współpracy z gazetami, chyba że jest się autentycznym specjalistą w jakiejś dziedzinie. W takich wypadkach nie jesteśmy jednak traktowani jako ludzie pióra ani osoby, których własne opinie mogłyby być interesujące, ale jako eksperci, na tyle rozzębieni, że zdolni przekazać swoją wiedzę w strawnej formie publicystycznej. I takie osoby mają jednak w dużych redakcjach silnych konkurentów w postaci wyspecjalizowanych dziennikarzy, piszących na przykład o nauce, o giełdzie, o turystyce itd. Nie mówiąc już o polityce. Z wypowiedziami na tematy polityczne zdecydowanie najtrudniej przebić się do gazet – za dużo chętnych!

Publicysta jest z reguły dyletantem nieznającym się zbytnio na tym, o czym pisze. Dotyczy to zresztą dziennikarstwa w ogólności. Oczywiście, zdarza się, że jest inaczej, należy się z tego cieszyć, niemniej jednak w ostatecznym rozrachunku teksty publicystyczne służą wyrażaniu opinii, nie zaś informowaniu ani przedstawianiu drobiazgowych analiz zagadnienia. Ma być wyraziście, łatwo, rozsądnie. Trzeba mieć jakąś określoną myśl do przekazania i trzeba znaleźć dla jej wyrażenia właściwy moment, kontekst oraz formę literacką. Publicystyka jest gatunkiem na styku literatury

z dziennikarstwem, korzysta z pokładów talentu i próżności autorów w takim samym stopniu co eseistyka. Jeśli artykuł publicystyczny albo felieton różni się od eseju, to tylko z powodu silniejszego zakorzenienia w jakiejś aktualnej sytuacji życia społecznego oraz mniejszej objętości. Ot, mały esej na aktualny temat.

Pisząc artykuł, nie liczcie na uważnych i życzliwych czytelników. Myślcie o czytelniku dość roztargnionym, ceniącym sobie własne zdanie i niechętnie zapoznającym się z odmiennymi opiniami, niemającym cierpliwości do śledzenia racjonalnych argumentów, zwłaszcza tych bardziej subtelnych. Sprawdzona (nie tylko przeze mnie) technika pisania jest następująca. Najpierw nosimy w duszy temat i rozmawiamy sami z sobą, przymierzając się do naszego literackiego popisu, tak jak sportowiec przymierza się w myśli do biegu albo wspinaczki. Potem siadamy i piszemy, co nam w duszy gra, nie przejmując się objętością ani stylem. Im bardziej spontanicznie, „od strzału” napiszemy pierwszą wersję tekstu, tym lepiej. Teraz tekst musi się uleżeć. Czytamy go wielokrotnie w kolejnych dniach, usuwając wszystkie powtórzenia, niezręczności, zawiłości, zdania niefortunne i zawierające argumenty słabe lub wiadomości niesprawdzone. Raczej usuwamy, niż poprawiamy. W publicystyce zawsze lepiej skreślić niż naprawić. Dopiero to, czego wykreślić się nie da, poprawiamy jak najstaranniej pod względem językowym, dobierając słowa najprostsze. Czytając własny tekst wiele razy, nabieramy zdolności oglądania go oczami czytelnika, nawet niezbyt życzliwego. Ułatwia to dostosowanie się do jego oczekiwań, a tym samym oczekiwań redaktorów w gazecie. Jeśli pod względem formy oczekiwania te wypełnimy, to zderzymy się z redaktorem, a potem z czytelnikiem wyłącznie treścią naszego przekazu. Gdy będzie ona zbyt odległa od poglądów redaktora, nie mamy szans na publikację. Gdy będzie zbyt odległa od poglądów czytelnika, nie będzie nas chwalił. Musimy to mieć na uwadze i czasami trochę się ugiąć pod panującymi opiniami. Lepiej zawinąć truciznę naszego poglądu na sprawę w słodkie ciasto poglądów ogólnie panujących, bo w przeciwnym razie nikogo nie otrujemy. Tymczasem pisze się po to właśnie, by wedrzeć się do ludzkich dusz i zasiać w nich zamęt, odciskając w dodatku pieczęć z własnym nazwiskiem. Taka to jest ta zabawa w „kształtowanie opinii publicznej”. A gdy nam jeszcze za to płacą, to jest już pełnia szczęścia. Kogo by zaś to wszystko razem moralnie brzydziło, niech zajmie się lepiej czymś innym.

Czytając wiele razy swoje dziełko, zaczynamy sami siebie rozumieć i coraz mniej podoba się nam trywialny dość argument, który chcemy wyrazić. Im sprawniej i zwięźlej się wyrażamy, tym bardziej obnażamy miiałość swoich tez. Dlatego w którymś momencie trzeba przerwać pracę nad tekstem. Gdybyśmy poczekali dzień dłużej, być może kolejna lektura tekstu całkiem by nas zniechęciła.

W rzeczywistości doświadczony publicysta jest w stanie nadać swemu tekstowi najlepszy wedle jego uzdolnień kształt już po dwóch, trzech autokorektach. W skrajnych

przypadkach cały ten proces może się zamknąć w jednym dniu. Początkujący autor musi jednak czytać swoją pracę wiele razy w ciągu co najmniej kilku dni. Dobrze też uczyni, pokazując jeszcze to, co napisał, któremuś z przyjaciół, jakkolwiek krytyka z jego strony może być bardzo bolesna i dla przyjaźni destrukcyjna.

Taka to jest mała anatomia publicystyki. Mimo że nie jest to działalność pełna tajemnic, wymagająca ogromnego talentu i kunsztu. Cieszyć się również wypada, że publicyści, działający na marginesie środowisk dziennikarskich, nie mają zwykle udziału w żadnych intrygach, sporach stronnictw i innych tego rodzaju denerwujących a degradujących moralnie zajęciach. Publicystyka jest demokratyczna, niezbyt ważna i w sumie całkiem przyjemna. Przyjemnie się też ją czyta. A więc miłej lektury!



LIBERAŁ NA PAPIERZE

JAK BYĆ SOCJAL-KONSERWATYWNYM LIBERAŁEM?

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „PRZEGLĄDZIE POLITYCZNYM”, W NUMERZE 83 Z 2007 R.

Na przykład Leszek Kołakowski jest liberałem

Leszek Kołakowski napisał przed trzydziestu laty niewielki artykuł zatytułowany „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Katechizm”. Katechizm to może nie był, ale zapewne jakieś *credo* polityczne naszego słynnego filozofa. Składa się ono z pewnej liczby rozważnych i umiarkowanych tez, z których każdą, jak podkreśla autor, można przyporządkować jednej z inkryminowanych w tytule trzech orientacji politycznych. I wcale nie wychodzi z tego pogląd niespójny ani nawet synkretyczny. Myśl konserwatywna jest na przykład taka: „Spodziewać się, że można zinstytucjonalizować braterstwo, miłość i bezinteresowność, to tyle co mieć już niezawodną receptę na despotyzm”. Liberalna: „Państwo zapewnia wolność nie przez to, że robi coś i reguluje, ale przez to, że nie robi nic i pozostawia różne dziedziny życia bez regulacji. [...] w najwyższym stopniu nieprawdopodobne jest przypuszczenie, iż w społeczeństwie, gdzie zniesione zostały wszystkie formy konkurencji, nadal działają konieczne bodźce dla twórczości i postępu”. Wreszcie socjalistyczna: „Należy sprzyjać dążeniu do społecznego nadzoru nad gospodarką, chociaż oznacza to nieuchronnie wzrost biurokracji; nadzór ten jednak nie będzie istniał bez demokracji przedstawicielskiej”¹. Jak wskazuje tytuł tekstu Kołakowskiego, w jego poglądzie politycznym akcent pada na socjalizm. Jest socjalistą. Socjalistą przyjmującym pewne prawdy tradycji konserwatywnej i liberalnej.

Otóż, sympatyzując ze wszystkimi niemal deklaracjami *credo* Leszka Kołakowskiego, twierdząc, że mogło powstać tylko dlatego, że jego autor nie jest dogmatykiem, lecz człowiekiem o umysłowości liberalnej. I choć nie możemy mu bronić nazywania się socjalistą (każdemu wolno), to przecież byłoby roztropniej, gdyby w swoim samookreśleniu uwypuklił właśnie ten rys swojej postawy politycznej, który jest warunkiem

¹ Leszek Kołakowski, Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Katechizm, [w:] Tenże, Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań, Kraków: Znak 2006, s. 288–289.

możliwości czerpania z mądrości socjalistycznej i konserwatywnej jednocześnie. Powinien więc być nazwać się raczej socjal-konserwatywnym liberałem. Liberalizm jest tu bowiem wspólnym mianownikiem, a nie po prostu jednym ze źródeł własnych opinii. W pewnym sensie nie ma więc Leszek Kołakowski racji, gdy w konkluzji swego artykułu pisze: „Możliwą jest rzeczą być konserwatywno-liberalnym socjalistą albo też – co na jedno wychodzi – te trzy słowa nie stanowią już zdolnych do życia i wykluczających się opozycji”². Mówię „w pewnym sensie”, gdyż literalnie rzecz biorąc, jest to zdanie prawdziwe. Prawdą jest zwłaszcza to, że liberalizm nie jest żadną samowystarczającą doktryną polityczną; prawdą jest też, że nie wyklucza się *eo ipso* z przekonaniami konserwatywnymi ani lewicowymi. A jednak powiedzenie Kołakowskiego jest o tyle mylące i nieszczyśliwe, o ile sugeruje, że liberalizm jest jakimś poglądem politycznym dającym się postawić w jednej płaszczyźnie (płaszczyźnie sporu czy wyboru) z konserwatyzmem i socjalizmem. Otóż nie, liberalizm nie jest stanowiskiem politycznym „pierwszego rzędu”, lecz (psychologicznie) skłonnością i postawą oraz (intelektualnie) metatezą w stosunku do dowolnej koncepcji politycznej. Owa metateza, w jednej z możliwych wersji, brzmi: „Żadnemu wyznawcy jakiegokolwiek poglądu nie wolno zmuszać innych do postępowania zgodnego z tym poglądem tylko dlatego, że większość wyniosła go do władzy z uwagi na to, że taki właśnie pogląd posiada”. Jest to „metateza” dlatego, że ma za swój przedmiot pewną tezę, czyli określony pogląd polityczny. Rzecz jasna, metateza liberalna stosuje się do samej siebie: liberał u władzy nie będzie nikogo przymuszać, by zachowywał się jak liberał.

Jako metateza liberalizm jest oczywiście zupełnie niesamodzielnym stanowiskiem, a liberałowie miewają najrozmaitsze poglądy. Sam osobiście byłem już ponurym młodym konserwatystą-romantykiem, anarchizującym libertarianinem, a teraz jestem bodaj nudnym pragmatystą. Na szczęście zawsze byłem liberałem... Bo w gruncie rzeczy:

Każdy jest liberałem, tylko że liberał jest nim trochę bardziej

Muszę wszelako przyznać, że słowo „liberalizm” doświadcza losów iście liberalnych, przyoblekając się w znaczenia niemal dowolne i niezgodne z sobą, pojednane w najlepszym wypadku przez jakieś występujące pomiędzy nimi mgliste „podobieństwa rodzinne”. Niech i tak będzie. Byłoby wszakże całkiem nieliberalnie zabraniać komukolwiek mienić się liberałem lub obdarzać tym tytułem, kogo tylko sobie życzy. Wypada więc pokornie zgodzić się i na to, aby zwolennik leninowskiej zasady głoszącej, iż nierówności ekonomiczne są wtedy dopuszczalne, gdy przynoszą korzyść

² Tamże, s. 290.

najbiedniejszym, uchodził dziś za liberała. Liberałami każą się przecież nazywać głoszący tę szczytną zasadę amerykańscy socjaldemokraci, z Rawlsem na czele. Zgaduję, iż pragną w ten sposób podkreślić swoje szczególne przywiązanie do idei równości, swój stanowczy i aktywny egalitaryzm. Ale na tym nie koniec „liberała” przygód semantycznych. Zdarza się oto (a w Polsce zwłaszcza), że słowo „liberał” znaczy „nihilista”, jeśli nie wręcz „człęk rozwiązy”. Częściej jednak, gdy już przychodzi do pejoratywnego zastosowania, słowo to oznaczać ma nieprzejednanego i dogmatycznego wroga wszelkich interwencji państwa w wolnokonkurencyjną gospodarkę oraz państwowych programów socjalnych i dotacji.

Nie odbierając nikomu prawa do używania słowa „liberał” w dowolny sposób, chciałbym jednak przypomnieć, że w XIX w. słowo to nie znaczyło żadnej z tych rzeczy. Przede wszystkim główna linia politycznego podziału wtedy jeszcze nie przebiegała między tymi, którzy domagają się od rządu dotowania ubogich, a tymi, którzy twierdzą, iż rząd wydaje na te cele za dużo, ze szkodą dla gospodarki. W XIX w. programy socjalne dopiero się zaczynały, a przedmiotem istotniejszych sporów politycznych na Zachodzie stały się one dopiero po rewolucji bolszewickiej w Rosji. Podział polityczny dotyczył istoty państwa i stosunków między państwem a obywatelami. Stronnictwa tradycyjne, konserwatywne nadal, jak w dawnych czasach, uważały państwo za organizm społeczny i polityczny, któremu należy się od obywateli, jako najwyższej manifestacji ich wspólnej godności i siły, *posłuszeństwo*. Ich zdaniem państwo manifestuje wspólnotę obywatelską i jako takie domaga się czci dla swego majestatu, w harmonii i w łączności z panującą wiarą. Jego prawom i rozporządzeniom, powziętym przez króla lub republikański rząd, obywatele powinni podporządkować się z pokorą, ufając, iż zostały wprowadzone dla ich dobra. Jeśli dopuszczalny miałby być udział szerszych rzesz w stanowieniu praw, to tylko o tyle, o ile mogłoby to być korzystne dla jakości tych praw i dla tym chętniejszego posłuszeństwa okazywanego im przez lud. Demokracja miała więc być przede wszystkim jednym z narzędzi państwa w wykonywaniu władzy, w mniejszym stopniu zaś wyrazem przyrodzonych praw. Tym bardziej że przyrodzone prawa stanowią, iż są w świecie rządzący i rządzeni – oto naturalny i sprawiedliwy porządek rzeczy. Ci, którzy mienili się liberałami, negowali wszystkie lub większość tych przekonań. Przede wszystkim twierdzili, że państwo powinno zawdzięczać swój majestat, a także swoje prerogatywy woli ludu, który w sposób wolny i suwerenny powołał do władzy ten a nie inny rząd i w pewnych okolicznościach może legalnie doprowadzić do jego zmiany. Byli więc w mniejszym lub większym stopniu demokratami przychylnymi ideom licznych europejskich rewolucji, parlamentaryzmowi i trójpodziałowi władzy. Byli demokratami nie przez wzgląd na jakieś szczególne zalety praktyczne ustroju demokratycznego (choć i takie dostrzegali), lecz na podstawie przekonania, że

demokracja jest oczywistym następstwem uprawnień wolnych obywateli. Naczelną wartością polityczną była bowiem dla nich właśnie wolność, czyli prawo jednostki do stanowienia o sobie i niepodlegania przymusowi, poza niezbędną koniecznością, wyznaczoną przez względy bezpieczeństwa oraz ochrony wolności innych. W świetle owego podstawowego żądania, aby państwo powstrzymywało się od stosowania przymusu, samo państwo nie jawi się jako samoistna i absolutna wartość, której należy się od obywateli cześć i pokorna służba, lecz jako narzędzie osiągnięcia przez nich korzyści osobistych, a więc swego rodzaju instytucja usługowa, wykonująca zlecone jej zadania dzięki powierzonym jej środkom materialnym oraz dzięki staraniom wydelegowanych na stanowiska rządowe reprezentantów społeczeństwa politycznego. Władza rządu ma swoją podstawę w wyznaczonym mu zakresie czynności i nie może wychodzić poza obszar uprawnień niezbędnych do wywiązania się przez rząd ze swych obowiązków – ani przez łamanie istniejącego prawa, ani powiększając swe prerogatywy mocą nowych ustaw. Władztwo jest bowiem tylko narzędziem do wykonywania swych powinności publicznych przez rząd, nie jest zaś w żadnym razie siłą, której rząd mógłby prawowicie i sprawiedliwie użyć w celu urobienia nawyków i poczynań obywateli w taki sposób, żeby byli lepszymi ludźmi prowadzącymi lepsze życie. Gwarancją ograniczonego i samoograniczającego się rządu jest zaś nie tylko system demokratycznej reprezentacji i delegacji, wraz z trójpodziałem władzy, lecz także tzw. rządy prawa, czyli ścisłe przestrzeganie i stosowanie prawa przez rządzących oraz powstrzymywanie się przez nich od stanowienia prawa *ad hoc*, dla doraźnych celów i interesów, zwłaszcza zaś w celu zwalczania przeciwników politycznych.

W zasadzie tym, co stanowi o radykalnej różnicy między tradycyjną, od Platona do współczesnych konserwatystów pokutującą, koncepcją polityki a liberalizmem, o jakim tu mówimy, czyli XIX-wiecznym, jest odrzucenie przez liberałów arystokratycznych i wychowawczych pretensji państwa: tradycyjnie uważano, że państwo ma na celu dbać o szczęście i cnotę obywateli, stosując przymus w celu narzucenia im pożądanых moralnie i politycznie form zachowania – liberałowie zaś odmówili państwu takich uprawnień, a nawet uznali tego rodzaju roszczenia za niemoralne.

Dlaczego dziś ta oczywista jeszcze przed stu laty linia podziału przestała być wyraźna, a słowo „liberał” straciło dobrze określone znaczenie? Przyczyna jest w moim przekonaniu banalna, bo stanowi ją nie co innego tylko realne zwycięstwo liberalnej demokracji, a właściwie pewien konsensus wokół idei, których przeciwstawność wyznaczała niegdyś oś sporu liberałów z konserwatystami. Tradycja pozostawiła nam w spadku pewne rytuały państwowego majestatu, a także rozmaite przejawy mentorstwa i paternalizmu rządu, zwłaszcza w obszarze edukacji. I nadal ci, którzy domagają się, aby rząd nie epatował społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, ideologią

państwową i historyczno-patriotyczną mitologią, zwą się (i słusznie) liberałami. Są to wszelako sprawy raczej marginalne. Co do spraw zasadniczych, nie ma już o co walczyć i nie ma tym samym tak wielu, jak dawniej, powodów, by określać się oficjalnie jako „liberał”. Bez wątpienia bowiem idea liberalna generalnie zwyciężyła – jeśli nie w świadomości rzesz, to przynajmniej w konstrukcji ustrojowej każdego państwa Zachodu. Demokracja jest przecież na Zachodzie rozumiana jako fundamentalna wartość konstytucyjna realizowana przez pewien system uprawnień, a nie tylko jako technika wyłaniania rządu i podejmowania decyzji; ochrona swobód obywatelskich oraz indywidualnych wyborów przed groźbą dyskryminacji idącej ze strony instytucji publicznych i stanowionych praw jest zaś powszechnie uważana za podstawowy obowiązek rządu. Ba, nawet całkiem nieliberalne, wręcz autorytarne, państwa tworzą dziś atrapy liberalnej demokracji – taka jest siła moralna jej roszczeń.

Wszystko to nie oznacza bynajmniej, że ogół mieszkańców Zachodu to liberałowie, w znaczeniu, o którym dotychczas jest tu mowa, a więc ludzie zaangażowani w obronę i umacnianie standardów liberalnych w życiu politycznym swoich ojczyzn. Skoro standard liberalny na Zachodzie jest wysoki, nie pozostaje zbyt wiele osób, które jeszcze są z niego niezadowolone i które gotowe są walczyć o jego podniesienie. A to z kolei stwarza ryzyko, że standard ów może zostać tu czy tam obniżony albo wypaczony. Sądę, że w czasach, gdy idee liberalne są tak oczywiste, iż mało kto poczuwa się do ich obrony, na miano (prawdziwych) liberałów zasługują właśnie owi nieliczni, którzy domagają się, by generalnie wolność i własność nie była uszczuplana w imię wyobrażeń rządzących o dobrym życiu i sprawiedliwości społecznej. Mogą oni bardzo różnić się poglądami w szczegółowych kwestiach politycznych i społecznych, ale niechaj w definicji liberała łączy ich przynajmniej tyle, że miłują wolność i odmawiają rządowi prawa do wcielania w życie jakiegokolwiek ideologii środkami przymusu. W szerszym znaczeniu jednak, „instynktownym” liberałem jest każdy, kto oburza się na łamanie zasad państwa prawa i demokracji oraz protestuje, gdy ktoś, wcale o to nieproszony, chce uczyć go dobrego życia, zwłaszcza stosując do tego środki przymusu, albo nastaje bez skrupułów na jego pieniądze.

Liberalizm minimalny

Pamiętając o tym, że liberalizm jest liberalny i daje każdemu prawo rozumienia liberalizmu, jak chce, pamiętając o tym, że miłujący wolność i akceptujący różnorodność opinii liberałowie nie muszą dysponować uzgodnioną definicją liberalizmu, proponuję przyjąć tylko bardzo ogólne i minimalistyczne określenie liberała, które obejmie zapewne większość tych, którzy sami chcieliby się liberałami mienić, jakkolwiek być może nie wszystkich. Zgodnie z nim *liberał to właśnie ktoś zaangażowany*

w zwalczanie przejawów autorytarnego postępowania rządu, zwłaszcza polegającego na wywieraniu przymusu w celu realizacji jakichś moralnie pożądanym stanów rzeczy, w przekonaniu, iż dobra wola oraz mandat demokratyczny same przez się upoważniają do zakazywania złego bądź nakazywania dobrego działania. Zgodnie z tym określeniem, żeby być liberałem, wystarczy wyznawać zasadę moralną głoszącą, że posiadanie racji i dobrej woli nie upoważnia moralnie nikogo obdarzonego władzą do ograniczania niczych praw ani wymuszania zachowań korzystnych dla osoby przymusowi takiemu podlegającej. W przekonaniu liberała mamy prawo nawet jak najgorzej korzystać z naszej wolności, jeśli tylko nie ograniczamy w ten sposób wolności innych bądź nie stwarzamy zagrożenia dla ich bezpieczeństwa. Rząd zaś nie ma prawa wpływać na nasz styl życia ani środkami przymusu, ani nawet stosując stroniczą perswazję, jak to bywa w „procesie wychowawczym” publicznego szkolnictwa.

Sądzę, że jest to „program” zupełnie minimalistyczny – i w tym właśnie tkwi jego siła. Użyłem cudzysłowu, gdyż tak naprawdę nie mamy tu do czynienia z żadnym programem politycznym, lecz czystym roszczeniem moralnym, zresztą bardzo prostym. Sądzę zresztą, że przemyślenie konsekwencji tego elementarnego roszczenia prowadzi czasem do wniosków dość radykalnych; trudno bowiem z najbardziej nawet minimalistycznie rozumianym liberalizmem pogodzić ustrój fiskalny, w którym stawki podatkowe zależą od źródła przychodów, a nie ich wysokości, dyskryminując jednych, a innych obdarzając przywilejami (z niepłaceniem podatków dochodowych włącznie). Chociaż bowiem liberalna demokracja odniosła w świecie moralne zwycięstwo jako idea, to jednak fundamentalne dla liberalizmu postulaty samoograniczenia rządu w stosowaniu przymusu i powstrzymywania się od dyskryminacji wcale nie są wyrażone obecne w życiu publicznym i w świadomości rządzących. Oczywiście, w jakimś stopniu są spontanicznie respektowane, zwykle jednak na tyle mało świadomie, że wciąż grozi mieszkańcom Zachodu jakiś eksces, polegający na naruszaniu wolności w imię realizacji innych wartości politycznych, takich jak przybliżona równość ekonomiczna obywateli (jeśli to w ogóle jest wartość) albo umacnianie wspólnoty narodowej czy obywatelskiej. W krajach o słabszej kulturze politycznej, jak Polska, utrzymuje się ponadto system *privi-leges*, prawnie definiujących społeczne kasty, zajmujących bardziej lub mniej korzystną pozycję względem państwa. Tutaj liberałowie mają zaiste więcej do zrobienia w Polsce niż w Europie Zachodniej lub USA.

Niedostatek poszanowania wolności obywateli przez rządy i poczucia obowiązku rządzących w zakresie jej aktywnej ochrony mógłby zostać wykazany na przykładach z życia publicznego zarówno Polski, jak i, mimo wszystko, rozmaitych państw Zachodu. Lepiej jednak wyłuszczyć samą ideę i przekonać się tym sposobem, jak bardzo jest wciąż jeszcze ekscentryczna, żeby nie powiedzieć dziwaczna. Nie zawaham się

nawet przed twierdzeniem, że w warunkach dominacji, przynajmniej w Europie, konserwatywnego paternalizmu i lewicowego „solidaryzmu”, tworzących razem, w warunkach liberalno-demokratycznych ustrojów państw Zachodu, lewicowo-prawicową kulturę polityczną, czyli kulturę interwencjonizmu, elementarnie rozumiany liberalizm jest przejawem *politycznego radykalizmu*. To wprost zadziwiające: *liberalna demokracja jako idea i jako fundament ustroju zwyciężyła niemal globalnie, lecz w Europie stała się formą dla nieustannie wymieniających się u władzy partii „lewicy” i „prawicy”, samą ideę liberalną spychając zupełnie do defensywy*. Nic dziwnego, że liberałowie również lokowani są, a nawet sami starają się lokować na skali „od lewa do prawa”; panuje przecież złudzenie, iż wszystkie różnice polityczne dają się zmierzyć na owej skali lewicowo-prawicowej. Jeśli ktoś nie ma nic wspólnego ani z jednym, ani drugim, czyli nie jest ani bardziej lewicą, ani bardziej prawicą, uzyskuje co najwyżej miano „centrysty”. Jest wszelako różnica między zajmowaniem pozycji „zero” na skali, a niezajmowaniem na niej zgoła żadnego miejsca. A liberalizm jako taki właśnie nie determinuje żadnego miejsca na tej skali, bo po prostu nie jest żadnym stanowiskiem w zakresie sporów, jakie toczą z sobą lewica i prawica. Liberał może wierzyć w to czy owo, mieć takie czy inne, nawet konserwatywne lub socjalistyczne poglądy, może też być obojętny na kwestie polityki państwowej. Chciałby wszelako, by nikt nie uszczęśliwiał go ani nie wychowywał wbrew jego woli, ani też nie rościł sobie prawa do dysponowania jego pieniędzmi wedle swego uznania. W zasadzie nikt tego nie chce (i w tym znaczeniu wszyscy są liberałami), ale nie każdy przecież ma wyraźną świadomość, iż z faktu, że opodatkowanie jest przymusem, wynikają daleko idące zobowiązania moralne rządu, podobnie jak z faktu, że rząd kieruje zachowaniem ludzi głównie drogą zakazów i nakazów. Liberał jest kimś, kto te zobowiązania moralne rozumie i gotów jest o nich przypominać innym.

Liberał, jak widzimy, nie musi zajmować żadnego wyraźnego stanowiska w sprawie programów socjalnych, interwencjonizmu państwowego, wychowania patriotycznego, moralności publicznej ani w innych kwestiach, które ekscytują prawicę i lewicę. Nie musi bowiem w ogóle występować jako polityk ani ideolog. „Nie musi” nie znaczy „nie może”. Oczywiście może i nawet często to robi, bywa że nie stroniąc od ideologicznego zaangażowania. Liberał bowiem, powtórzmy, jest wolny i może mieć takie bądź inne poglądy – może być na przykład owym socjal-konserwatystą. Od wyznawców doktryn politycznych, od lewicy do prawicy, różni się tym, że niekoniecznie własne poglądy chciałby uczynić wszelkimi prawem dopuszczalnymi sposobami programem rządowym wcielonym w życie środkami przymusu.

Najtrudniejsze do zrozumienia w tej najprostszej na świecie postawie, którą zwie się liberalizmem, jest właśnie jej zupełna prostota. Żeby ją sobie uzmysłowić, trzeba zadać pytanie, z jakiej pozycji i w czym imieniu przemawia z jednej strony dogmatyk

polityczny, a z drugiej właśnie liberał. Otóż dogmatyk, nawet w roli teoretyka polityki, a niekoniecznie partyjnego agitatora, prezentuje racje faktycznego lub potencjalnego rządu. Jeśli są słuszne i zostanie to stosownie wykazane, nie powinno być już żadnych dalszych przeszkód, by wcielić w życie dany program polityczny. Dogmatyk zakłada więc usprawiedliwienie przymusu przez słuszną rację, dobrą wolę i (zwykle) demokratyczną legitymację. Nie przyjmuje więc (albo w ogóle nie zna) wspomnianej wyżej metatezy liberalnej. Zachowuje się więc w taki sposób, jakby przyjmował za moralnie dopuszczalne ograniczanie swobód i praw własności obywateli na skutek zwycięstwa jego racji w pewnej hipotetycznej *debacie politycznej*, toczonej jawnie przez polityków cieszących się mandatem demokratycznym. Liberał zaś to ktoś, kto chciałby, aby wolność i własność obywatela podlegała tej samej ochronie, niezależnie od tego, czy on (bądź jego polityczni rzecznicy) będzie miał szczęście osiągnąć przewagę w publicznej debacie politycznej, czy nie, i czy w następstwie tego uzyska demokratyczną legitymację wyborczą, czy też nie. Liberał przemawia zawsze we własnym przede wszystkim imieniu i siebie samego, czyli jednostkę, czyni stroną w konfrontacji z rządem. Broni siebie i tym samym każdego pojedynczego człowieka przed tymi, którzy chcieliby wykorzystać swoją przewagę, w tym przewagę moralną i intelektualną, do odebrania mu pewnych swobód i części jego własności. Zachowuje się więc jak ktoś występujący z powództwem cywilnym wobec organu publicznego – broni swych praw i swego interesu przed zakusami dyskrecjonalnej władzy, mając zaufanie do wymiaru sprawiedliwości.

Ten aspekt postawy liberalnej wydaje mi się szczególnie charakterystyczny, a przecież tak słabo jest rozpoznawany. *Otóż liberał występuje przede wszystkim jako obrońca własnych i cudzych praw, nie zaś jako polityk. Domaga się bezpieczeństwa swobód osobistych i politycznych, a także bezpieczeństwa dla swej własności, bez względu na zmienne koleje władzy politycznej w swoim kraju. Oczekuje, że prawo chronić będzie obywateli przed arbitralnością każdego rządu, a nie tylko takiego, który ma błędny program polityczny lub złe intencje.* Tym samym odrzuca hipotezę „wielkiej debaty”, której wynikowi musiałby się podporządkować. Zastrzega sobie prawo do zachowania swej wolności i własności nawet w przypadku intelektualnej i moralnej przegranej w debacie publicznej. Co więcej, uważa, że debata publiczna, w której stawką jest czyjaś wolność i własność, nie jest debatą uczciwą i wolną; nie wydaje się bowiem, by ktoś świadomie ryzykował swą wolnością, wchodząc w jakikolwiek spór racji politycznych.

Powtórzmy: liberał jako liberał nie jest uczestnikiem żadnego sporu politycznego, z wyjątkiem jednego: sporu z tymi, którzy chcieliby dokonać zamachu na jego wolność bądź własność, bez konieczności zmuszając go do pewnych zachowań, zakazując innych, poddając zbędnej inwigilacji i kontroli oraz narzucając nieuzasadnione

podatki. W tym sporze jest radykalny, powiadając: „Wara wam od mojego życia i od moich pieniędzy”. Jako obrońca swych praw może być, w gruncie rzeczy, całkiem apolityczny. Może zupełnie nie interesować się dobrem publicznym i powodzeniem rządu. Ma do tego wszelkie prawo. Ma prawo stać poza polityką, a nawet uważać niezaangażowanie polityczne i niechęć do państwa za stanowisko moralnie i politycznie najbardziej odpowiedzialne. Jest wszelako obywatelem i jego prawa do wszelkiego zaangażowania politycznego – ideowego bądź egoistycznego – nic nie ogranicza. Rozważmy taki przypadek.

Liberał politykiem

Mamy więc liberała, który zamiast pilnować swoich spraw, czyli swojej osobistej wolności i własności, zechciał oddać się pozytywnej działalności politycznej, a więc zostać liberałem publicznie uznanym, zasługującym na miano obrońcy wolności – nie tylko swojej własnej. Czy postawa liberalna skłania go ku pewnego rodzaju partiom politycznym bardziej niż ku innym? Z pewnością. Angażując się politycznie, liberał dokonuje siłą rzeczy pewnych wyborów ideologicznych, choć zapewne dokonując ich, stara się nie sprzeniewierzyć własnemu przywiązaniu do wolności. Jeśli sądzi, że jego wybory polityczne są silnie związane z jego liberalną postawą, może przejawiać skłonność do nazywania swego programu politycznego „liberalizmem”, co prowadzi czasem do osobliwości semantycznych, o których była mowa na początku. Nie są one wszelako istotne, co najwyżej jako dowód na to, że w świecie liberałów panuje wolność, nawet wolność w używaniu słowa „liberalizm”.

Czym może kierować się liberał, gdy pragnie zaangażować się politycznie? Jeśli istnieje na scenie politycznej formacja, która w swej działalności skupia się na obronie porządku liberalno-demokratycznego przed destrukcyjnymi zakusami kolejnych lewicowych bądź prawicowych rządów, może przyłączyć się właśnie do niej. Jeśli nie ma takiej możliwości lub potrzeby, może dać wyraz swoim skłonnościom i opiniom, wiążąc się z jakimś ugrupowaniem, którego liderów i dotychczasową działalność w ogólności akceptuje i szanuje. Z reguły ma do wyboru partie konserwatywne, socjaldemokratyczne, chrześcijańsko-demokratyczne, ludowe bądź nijakie. Partie radykalne nie wchodzi w grę, gdyż z zasady nawołują do stosowania przymusu przez państwo oraz do wyzysku ekonomicznego zamożnej mniejszości, stosowanego na rzecz partykularnego interesu rządu oraz interesów partykularnych dużych grup wyborczych, występując w ten sposób nie tylko przeciwko wolności i własności, lecz także bardziej ogólnie – przeciw zasadom moralnym. Wykluczone są zresztą wszelkie partie, których programy lub działania naruszają zasadę rządów prawa, czyli takich rządów, w których o poczynaniach władzy, w tym również o kolejnych krokach

legislacyjnych, stanowią reguły prawa, obowiązujące również rządzących. Nie ma bowiem gwarancji dla swobód i bezpieczeństwa własności tam, gdzie prawo staje się narzędziem w ręku arbitralnej władzy, stosowanym wedle jej skłonności i potrzeb. Szukając dla siebie miejsca na scenie politycznej, gdzie linia podziału przebiega, jak już zauważyliśmy, pomiędzy tymi, którzy chcieliby odbierać bogatym jak najwięcej i jak najwięcej dawać biednym, a tymi, którzy mają nieco szacunku również dla osób utrzymujących państwo, przyłączy się zapewne do tych bardziej powściągliwych. Bynajmniej jednak nie wynika z tego, że nie będzie popierał programów socjalnych w ogóle, a każde ograniczenie swobód uznawać będzie za atak na wolność.

Skoło już ustaliliśmy, że liberał należeć będzie do stronnictwa liberalnego lub do którejś z partii umiarkowanych, należy jeszcze odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego właściwie miałby w jakimkolwiek przypadku popierać ustawy ograniczające wolność i uszczuplające własność jakiejś grupy obywateli. Dotychczas bowiem mówiliśmy jedynie o tym, że jak każdy człowiek, również liberał może mieć jakieś skłonności i opinie (dodając, że nie uważa on wcale, by miał prawo wcielać je w życie środkami przymusu). Między wierszami wyczytać można było jeszcze jeden argument: polityka jest, jaka jest, i kto chce ją uprawiać, musi pogodzić się z jej realiami; również z tym, że dziś jest ona w dużej mierze walką o przychyłność wyborców, toczoną na obietnice socjalne. Decydujące znaczenie ma jednak coś zupełnie innego, a mianowicie kwestia *warunków brzegowych* ochrony wolności.

Z reguł ogólnych, takich jak ta stanowiąca, że wolność jednostki może być ograniczana jedynie ze względu na ochronę wolności i bezpieczeństwa innych, albo ta mówiąca, że jednym z warunków usprawiedliwionego stosowania przymusu przez rząd jest dołożenie wszelkich starań, by był on jak najmniejszy, reguł przyjmowanych powszechnie przez osoby mieniające się liberałami, nie wynikają żadne konkretne wskazania praktyczne. Są to formalne reguły moralności publicznej, odwołujące się do cnoty szacunku dla innych oraz powściągliwości w działaniu wywierającym wpływ na życie innych ludzi. W praktyce jednak trzeba konkretnie decydować, co jest, a co nie jest krzywdą, przed którą należy chronić obywatela, za cenę restrykcji nałożonych na swobodę działania jednostki. Trzeba też konkretnie decydować o tym, co wchodzi, a co nie wchodzi w zakres pojęcia bezpieczeństwa albo ochrony zdrowia i życia obywateli, które to względy konkurują z ochroną wolności i własności jako wyznaczniki sprawiedliwego rządu.

W takiej sytuacji liberałowi pozostaje przede wszystkim oceniać intencje polityków, ich kompetencje i ogólną kulturę liberalną – wedle tych kryteriów musi kształtować swe sympatie polityczne, nie zapominając zresztą o swym niezbywalnym prawie do prostego *upodobania*, czyli o własnej swej opinii. To jednak nie wszystko. Oprócz *kultury liberalnej*, stawiającej w centrum kwestię uprawnień obywateli

i zabezpieczenia ich przed przymusem wywieranym przez rząd, istnieje jeszcze inna kultura polityczna, czasem zgodna, a czasem sprzeczna z kulturą liberalną. Mam na myśli *kulturę demokratyczną*. Jej istotą jest dochodzenie na drodze jasnych i rzetelnych procedur do publicznego kompromisu godzącego partykularne interesy i egoizmy z mniejszym lub większym udziałem rzeczników idei całościowego interesu społecznego (dobra publicznego), wznoszącego się ponad te partykularyzmy. Podstawą demokratycznego kompromisu jest uznanie faktu, że mimo liberalnych gwarancji praw jednostki i wszelkich mniejszości również większość i jej arbitralne postanowienia mają swoją moc, dając jej pewną usprawiedliwioną przewagę nad mniejszością. Mówiąc skrótem: liberalizm stanowi, że jednostka i mniejszości zachowują pewne podstawowe prawa, nawet na przekór politycznej woli większości, demokracja zaś stanowi, że większość ma większe prawa przeprowadzania swej woli, wywierającej wpływ na mniejszość, niż owa mniejszość w odniesieniu do większości. Jako że każdy liberał szanuje demokrację i państwo prawa, siłą rzeczy musi brać pod uwagę coś takiego jak „prawa większości jako większości”, z natury większe niż prawa mniejszości (w przeciwnym razie większość byłaby czymś na kształt „szczególnego przypadku mniejszości”). Mogę zilustrować to przykładem podsuniętym mi przez studenta, który zapytał mnie, czy liberał mógłby poprzeć zakaz organizowania zabaw publicznych w Wielki Piątek. Moja odpowiedź brzmi: jeśli byłby katolikiem, powinien głosować za zakazem (którego uciążliwość jest bardzo mała, co ma tu swoje znaczenie), kierując się dwiema przesłankami, a mianowicie tym, że sam jest katolikiem, oraz wiedzą, że katolicy stanowią większość w społeczeństwie. W ten sposób uhonorowałby prawo większości i sam się do niej przyłączył (gdyż jako katolik i, być może, demokratyczny reprezentant katolików naturalnie do niej należy). Gdyby jednak radny czy poseł był wrogiem katolicyzmu, powinien głosować w zgodzie ze swym sumieniem, czyli przeciwko prawu dającemu korzyści katolikom. Mógłby to uczynić bardziej ze względu na swą niechęć do katolicyzmu lub bardziej ze względu na swe przywiązanie do ochrony wolności w każdej możliwej sytuacji – to już jego rzecz. Wreszcie w przypadku, gdyby katolicyzm był mu obojętny, powinien nie brać udziału w głosowaniu lub wstrzymać się od głosu.

Ten przykład pokazuje raz jeszcze, że liberalizm nie jest żadną doktryną, z której wywieść można decyzje polityczne w konkretnych sprawach. Liberalizm jest skłonnością i postawą, a nie dogmatem, choć poszczególni liberałowie mogą mieć swoje stanowcze opinie w różnych sprawach. *Liberałowie mogą więc głosować różnie. Co więcej (i znów jest to coś, czego pisarze polityczni i politycy często nie rozumieją), liberalizm wcale nie musi oznaczać postawy dystansu do polityki, polegającego na tym, że przyjmowanie abstrakcyjnego punktu widzenia „dobra publicznego” zawsze i z zasady uważa się za lepsze od bezpośredniego, partykularnego zaangażowania,*

uwzględniającego konkretny interes grupowy lub po prostu własną opinię. Gdyby wszyscy działali w imię „dobra wspólnego”, a za to przeciwko wszelkim partykularyzmowi, nie byłoby działania w ogóle, a demokracja nie miałaby żadnego sensu.

Podsumowanie

Celem tych wywodów było przede wszystkim rozwianie pewnych uparcie powracających wątpliwości oraz usunięcie nieporozumień wynikających z osobliwości liberalizmu polegającej na tym, że sam przez się nie jest wprowadzanie żadną doktryną polityczną, lecz nie wyklucza jej wyznawania. Odrywając się już od teoretycznych rozważań, ograniczę się do krótkiego podsumowania ich w siedmiu szczęśliwych punktach:

1. Słowo „liberalizm” przybiera różne znaczenia, gdyż liberałowie są wolni w przyjmowaniu rozmaitych poglądów politycznych, w granicach wyznaczonych przez szacunek dla wolności, własności i rządów prawa.

2. Liberalizm w szczególności nie jest ani lewicą, ani prawicą, ani centrum, jakkolwiek poszczególni liberałowie mogą zajmować jakieś stanowiska na skali „od lewej do prawej”.

3. Za liberalizmem stoi motywacja moralna: demokratyczna legitymacja, dobra wola i słuszną racją rządzących nie dają im prawa do kierowania życiem obywateli środkami przymusu; przymus w każdej sytuacji domaga się usprawiedliwienia przez odniesienie do wymogów najwyższej rangi, jak zachowanie życia i bezpieczeństwo obywateli; najlepiej zaś jest wtedy, gdy można go powiązać z ochroną równej wolności.

4. Liberałowie mają wiele powodów, by trwale lub okazjonalnie popierać takie czy inne stronnictwo polityczne, także wtedy, gdy proponuje ono jakieś programy socjalne, a nawet wtedy, gdy proponuje ono ustawy w jakiejś mierze ograniczające swobody obywateli lub faworyzujące interesy i przekonania większości bądź mniejszości.

5. Liberalizm idzie w parze z demokratyzmem, niemniej jednak pomiędzy kulturą liberalną a kulturą demokratyczną występuje napięcie.

6. Liberał niekoniecznie i nie zawsze musi kierować się ideałami dobra wspólnego; nie musi odstręczać go partykularyzm i egoizm, tym bardziej że z zasady obiera punkt widzenia jednostki, przeciwstawiając ją państwu. Brak zainteresowania polityką uważa czasami za cnotę polityczną.

7. Wszystko to odnosi się do najbardziej elementarnego, a tym samym dającego najszerzej się stosować rozumienia słów „liberał”, „liberalizm”. W rzeczywistości prawie każdy liberał ma jakieś bardziej określone poglądy – jeśli zaś nazwie zbiór osób, które je podzielają, mianem liberałów, stworzy tym samym jedno z partykularnych znaczeń słowa „liberał”.

*

Do tego tekstu mam szczególny sentyment. Sądzę, że pomimo całego swego dydaktyzmu jest naprawdę pożyteczną i wcale nie płytką prezentacją stanowiska liberalnego w powiązaniu z diagnozą i wyjaśnieniem rozmaitych nieporozumień, jakie wokół słów „liberalizm” i „liberał” narosły w dyskusjach popularnych, a nawet w literaturze politycznej. Być może jest to mój najlepszy esej polityczny, jakkolwiek cała jego wartość polega na porządkowaniu pojęć i słów, co nie jest może najambitniejszym zamierzeniem intelektualnym. Artykuł ten zamówił u mnie red. Wojciech Duda, szef „Przeglądu Politycznego”, a to z okazji trzydziestolecia publikacji słynnego eseju Leszka Kołakowskiego „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Katechizm” (Encounter 1978). Z radością podjąłem się uhonorowania tej rocznicy własnym esejem, świadomie decydując się na naśladownictwo nieco mentorskiego stylu artykułów prof. Kołakowskiego, jakkolwiek bynajmniej nie pretenduję do równania się z tym mistrzem słowa. W tle tego tekstu była jedna jeszcze okoliczność, a mianowicie w owym czasie byłem przewodniczącym Rady Programowej Forum Liberalnego, organizacji, która nie przetrwała, ale której dzieckiem jest środowisko „Liberté”. W pewnej mierze jest to więc tekst propagandowy. Dziś niemalże nie wypada pisać takowych, jakkolwiek to ograniczenie obyczajowe nie wydaje mi się roztropne. Współczesny autor, a zwłaszcza dziennikarz, uważa za sprawę honoru, aby być, jak to się powiada, niezależnym i wszystko oceniać bezstronnie, z jakiegoś nieokreślonego, czysto racjonalnego, obiektywnego punktu widzenia. Tymczasem bardzo często racjonalne i uczciwe jest właśnie opowiedzenie się po którejś stronie sporu, nie zaś unikanie go. Z powodu źle pojętej idei obiektywizmu i bezstronności mamy całe mnóstwo miałych, bezbarwnych materiałów prasowych, a także wiele materiałów całkiem bałamutnych, sprawiających wrażenie, jakby ich twórcy nie wiedzieli, o czym mówią ani z czym mają do czynienia. Dziennikarze, a zwłaszcza publicyści – odwagi!

DUCH SIĘ NAM ZAPODZIAŁ

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 11 KWIETNIA 2011 R.

Od tolerancji do rządu ograniczonego

Przez dwa tysiące lat wyznawcy różnych wiar w Europie, Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie toczyli krwawe walki, mordując się niemiłosiernie z powodu bluźnierstw i herezji, które wzajemnie sobie zarzucali. Iluż to ludzi oddało życie za święte prawo do malowania wizerunków Boga lub walcząc z obrazą, którą takie wizerunki miałyby stanowić. Iluż umierało za dogmat głoszący, że Jezus miał jedną naturę, boską i ludzką jednocześnie, a ilu oddało życie w walce z bluźnierstwem, jakim wydawało im się spajanie Boga z człowiekiem w jedno. Obrońcy i wrogowie wymienionych tu oraz niezliczonych innych spornych przekonań religijnych najgłębiej i całkiem wprost wierzyli w to, co głosili. Wierzyli, że oddawanie boskiej czci człowiekowi jest piekielnym grzechem albo że zaprzeczanie boskości Jezusa jest zdradą, tak jak się wierzy, że Ziemia jest okrągła albo że materia składa się z atomów. Owszem, przyczyny wojen uznawanych za wojny religijne były złożone, a spory zelotów często skrywały głębsze, bardziej przyziemne konflikty, niemniej jednak w doświadczenie historyczne i świadomość społeczeństw naszej części świata wryła się na długie stulecia trauma przemocy na tle religijnym. Ostatnią wielką jej odsłoną stała się wojna trzydziestoletnia, pustosząca Europę w pierwszej połowie XVII wieku. Reformacja i kontrreformacja były procesami tak bolesnymi, tak bardzo naznaczonymi przez gwałt, że nawet najzgorzalsi obrońcy swych jedynych prawdziwych wiar musieli pogodzić się ze stanowczym „dosyc”, które powiedziały sobie społeczeństwa i monarchowie. Tolerancja dla innych, pogardzanych, a nawet znienawidzonych wyznań stała się w ciągu wieku XVIII etycznym minimum, które przyjęło się powszechnie w europejskim prawodawstwie i w życiu politycznym.

Tolerancja religijna to idea uboga, lecz ubóstwem tym silna. Tolerancja nie nakazuje szacunku, lecz jedynie powstrzymywanie się od przemocy i prześladowań. Na to było zgodzić się łatwo, tym bardziej że historia dostarczała budujących przykładów. W dobie tolerancji nikt nikomu nie kazał uważać Żyda albo katolika za równego prawowiernemu luteraninowi (albo odwrotnie) – wzbronione było jedynie używanie wobec nich przemocy. To się opłacało wszystkim. Pokój okazał się cenniejszy niż wytępienie urągających Bogu fałszywie wierzących. Z czasem jednak walczący o swobody obywatelskie liberałowie zaczęli domagać się czegoś więcej: moralnego poszanowania dla innych wyznań, gwarancji wolności religijnej, a ostatecznie – już całkiem niedawno – równego traktowania wszystkich wyznań przez państwo. To

ostatnie oznacza dla państw liberalno-demokratycznych wielkie wyzwanie. Niezależnie bowiem od tego, w co wierzy większość oraz wybrany przez nią rząd, ów rząd musi powstrzymać sam siebie, ilekroć chciałby wyrazić swoje przekonania światopoglądowe i religijne. Każda manifestacja symboli religijnych w przestrzeni instytucji publicznych mogłaby bowiem sugerować, że wyznawcy tych symboli są przez władze faworyzowani. Dziś znaleźliśmy się w punkcie, w którym dość liczne już społeczeństwa chlubią się powszechną zgodą wierzących i niewierzących co do tego, że źle jest, gdy państwo i religia mieszają się ze sobą, dobrze zaś, gdy rząd zachowuje neutralność w kwestiach wiary, nie dopuszczając do tego, by jedni czuli się większością, która rządzi, a inni mniejszością, która musi znać swoje miejsce, ciesząc się, że jest „tolerowana”. Wciąż jednak wiele społeczeństw demokratycznych jeszcze nie nauczyło się, że neutralność światopoglądowa państwa i nieobecność symboli religijnych w urzędach czy szkołach nie wyraża żadnych przekonań, na przykład ateistycznych, lecz służy jedynie temu, aby wszyscy, szanujący się wzajem lub wręcz przeciwnie – pogardzający sobą wzajemnie, mogli na równi czuć się u siebie w swoim kraju. Nadal wielu ludzi myśli, że skoro w demokracji wybieramy władze takie, jakie chcemy, to mamy prawo do tego, by te władze były „nasze”, by stały po naszej stronie w światopoglądowych sporach. Ba, niektórzy myślą nawet, że na tym wręcz polega demokracja: większość określa, jakie wartości będą publicznie uznawane, a mniejszość się temu podporządkuje. Jest jednak tylko kwestią czasu, kiedy społeczeństwa, w tym i polskie, zrozumieją, że demokracja służy wolności jednostki, a nie utrwalaniu dominacji większości nad mniejszością. Wolność jest bowiem jak toczeń: gdy już raz zaatakuje jakieś społeczeństwo, to nie cofnie się, aż będzie ono naprawdę wolne. Żaden naród posiadający liberalną konstytucję nie odrzucił już wolności, a jeśli rządy autorytarne mimo wszystko powracały do władzy, to na krótko. Jeśli zaś idea rządu ograniczonego upowszechnia się wolniej niż sama demokracja parlamentarna, to dlatego, że idea ta jest abstrakcyjna i przez to trudna do przyswojenia.

Liberalna próżnia i anachroniczny klerykalizm

Proces liberalizacji stosunków politycznych i sekularyzacji władzy ma jednak swoje strony ujemne. Prowadzi bowiem do wyjąłwienia życia politycznego i odebrania mu tej autentyczności i istotności, jaką dawniej zapewniało mu zaangażowanie w sprawy egzystencjalnie najbardziej żywotne, przekraczające horyzont wyznaczony przez potrzeby materialne i kwestie bezpieczeństwa. Wszak jeszcze niedawno filozoficzne a nawet teologiczne spory toczono w Europie na tej samej płaszczyźnie co spory polityczne. Elity władzy miały ambicje brać w nich czynny udział. Jeśli dziś tak bywa, to raczej siłą inercji, w najsilniejszych kulturalnie krajach, jak Francja, Niemcy i Wielka

Brytania, a i to raczej okazjonalnie, w ramach wyznaczonych przez prawa mediów. Rząd ograniczony i samoograniczający się utracił ideowe ambicje i uwiązał duchowo.

Zaczęło się od tego, że u zarania demokracji trzeba było obniżyć temperaturę publicznych sporów światopoglądowych i religijnych, by nie rozsadziły one początkującego ustroju, a zadekretowane w traktatach stosunki tolerancji można było faktycznie wcielić w życie, zapewniając pokój społeczny. Władze nowoczesnych państw europejskich już w dobie oświecenia przestały angażować się w teologię, tworząc nowy, przekształcony w stosunku do feudalnej cesarsko-kościelnej dwuwładzy, *modus vivendi* między rządem świeckim i instytucją religijną. Linie demarkacyjną między władzą świecką i duchowną przeprowadzano różnie, ale co do tego, że taka linia powinna być wyznaczona, panowała na ogół zgoda, i to już od XVIII wieku. Z czasem wyznaniowy charakter państw stawał się coraz bardziej formalny, a w XX wieku kolejne demokracje całkowicie odchodziły od idei wyznania oficjalnego. Organiczna jedność narodowo-religijna, będąca wzniosłym ideałem romantycznego republikanizmu, w XX wieku wyrosła na faszystowskiego potwora, ze szczeniem grzebiąc oświeceniową konstrukcję wyznaniowego „państwa prawa”. Dziś pycha narodowa, mitologizowanie historii, cierpiętniczo-martyrologiczna bufonada, polityczny klerykalizm, zaprzeczanie wszelkim narodowym winom oraz arogancki stosunek do wybranych sąsiadów są zjawiskami wprawdzie powszechnymi w Europie, lecz na szczęście w poszczególnych krajach marginalnymi. Wartość tych anachronicznych ruchów nacjonalistycznych i antyliberalnych polega jednak na tym, że łączą nas one jakoś z mentalnością naszych przodków, zapewniając ciągłość politycznej tradycji i przypominając, że sprawy ducha domagają się poważnego traktowania.

Zakładniczką owej tzw. reakcji jest religia. Niestety, ogromna część publicznych przejawów religijności wiąże się właśnie z ową postromantyczną, skrajnie prawicową subkulturą polityczną. Tak jest zwłaszcza na południu i na wschodzie Europy, ale tak jest też w Polsce. Właśnie z powodu skojarzeń z uciążliwym i hałaśliwym nacjonalizmem religia zdaje się nowoczesnym społeczeństwom tak samo anachroniczna i zacošana jak manifestujące swą nacjonalistycznie zabarwioną religijność radykalne ruchy polityczne. Jest to pułapka, z której bardzo trudno wyjść, dajmy na to, greckiej Cerkwi albo polskiemu Kościołowi.

Sceptyczny indywidualizm wyludnia agorę

Unikanie przez państwo zaangażowania w kwestie fundamentalne – metafizyczne i religijne – ma swoje podłoże nie tylko w liberalnej idei rządu ograniczonego i nie tylko w politycznej roztropności, nakazującej unikania sytuacji konfliktowych. Pewną rolę odegrało tu również pospolite filisterstwo i lenistwo umysłowe technokratycznych

rządów współczesnych państw zachodnich. Ale i to nie jest najważniejsze. O wiele głębszą przyczyną ideowego wyjąłowania współczesnych państw jest głęboka przemiana duchowa, jaką przyniosła Zachodowi nowoczesność. Nowoczesność nie polega bowiem wyłącznie na szacunku dla indywidualnej i zbiorowej wolności oraz procesach emancypacji – klasowych, narodowych czy też emancypacji kobiet. Nowoczesność to również epoka przewrotnego sceptycyzmu, który żąda od jednostki, by na własną rękę, w sposób całkiem niewiążący dla innych i prywatny, odpowiadała sobie na najważniejsze egzystencjalne pytania, a jednocześnie żąda od niej, by wierzyła w potęgę nauki. Z wczesnonowożytnego przesłania religijnego, iż wiarę w Boga trzeba przeżywać w sobie samym, a religijne instytucje są wobec tego osobistego doświadczenia religijnego czymś wtórnym, wypłynęła rozlewna ideologia „prywatnego światopoglądu”, uzupełniającego „obiektywne prawdy nauki”. To, co kiedyś mogło być przedmiotem publicznych sporów, tak samo realnych i rokujących rozstrzygnięcie jak spory naukowe, dziś stało się sprawą „osobistych przekonań”, a w konsekwencji sprawą błahą. Wiara i niewiara, wiara taka bądź inna – co komu do tych prywatnych spraw? I w ten właśnie sposób dzieło duchowego pustynnienia sfery publicznej zostało dopełnione. Niektórzy nazywają to, nieco przesadnie, „postpolitycznością”.

Nad ubóstwem metafizycznym i religijnym sfery publicznej załamują ręce wszyscy, z wyjątkiem takich, którzy w ogóle odrzucają „sferę publiczną”. Wyraży ubolewania słyhać z prawa i z lewa – od Charlesa Taylora po Jürgena Habermasa. W Polsce odbudowy substancjalności etycznej i intelektualnej sfery politycznej żądają personsy tak niewspółmierne pod żadnym innym względem, jak Jarosław Kaczyński i Sławomir Sierakowski. Wszyscy niemal intelektualiści, u nas i za granicą, domagają się od rządów, aby nareszcie spoważniały i wzięły udział w odwiecznej i najważniejszej debacie – debacie o dobrym i złym życiu. Nie tylko o „naszej przyszłości”, która zawsze okazuje się przyszłością ekonomiczną, lecz także o tym, jakimi powinniśmy być ludźmi, jakim powinniśmy być społeczeństwem i w jakim państwie powinniśmy żyć.

Czy udział polityków w dyskusjach fundamentalnych, filozoficznych, może być groźny dla liberalnej demokracji? Zapewne dla takiej młodej, początkującej, jak nasza, poniekąd tak. Ktoś bowiem mógłby sobie wyobrażać, że gdy uzna się za zwycięzcę w debacie „o wartościach”, to uzyska mandat, by wcielać w życie tak legitymizowane własne przekonania środkami politycznego i prawnego przymusu. Obawa przed demagogami nie powinna nas wszak paraliżować. Byłoby to ich zwycięstwem. Gdyby przestrzeń publiczna i polityczna agora stały się obszarem autentycznie ważnym i wspólnym, w którym z powagą mówi się o rzeczach duchowo najistotniejszych dla wszystkich obywateli razem i dla każdego z osobna, bez uszczerbku dla niczych praw i swobód, wtedy całe społeczeństwo wzniosłoby się na wyższy etycznie

poziom. Stałoby się społeczeństwem substancjalnym, a więc odpowiedzialnym i myślącym – takim, jakiego pragnął Hegel. Jeśli tej substancjalności brakuje, a rząd uchyla się od brzemienia kwestii, jakie na co dzień porusza filozofia i religia, puste miejsce na agorze tym łatwiej zajmują kuglarze odgrywający demagogiczny teatrzyk ni-by-wartości, żonglując na oczach pogardzanej przez siebie wyborczej gawiedzi patriotycznymi i religijnymi symbolami oraz nacjonalistycznymi i ksenofobicznymi kliszami. Gdy widzimy tę hucpę, odechciewa nam się wszystkiego, a już najbardziej religii i metafizyki w sferze publicznej.

Trochę odwagi i dużo dobrej woli

A przecież wystarczy przejąć inicjatywę. Opustoszała scena publiczna, okupowana przez ryczących politycznych chuliganów, może zostać w każdej chwili uprzątnięta i na nowo urządzona. Wymaga to odwagi, ale nie tak znów wielkiej. Przede wszystkim wymaga jednak dobrej woli. Jeden z przesądów kultury liberalnej głosi, że życie umysłowe powinno być w całości domeną społeczeństwa obywatelskiego. Jest to tylko odwrócenie przesądu republikańskiego głoszącego, że bez kierownictwa państwa w ogóle nie jest możliwe substancjalne życie duchowe narodu. Prawda jest o wiele mniej patetyczna: mądre i dojrzałe społeczeństwo ma własne, głębokie życie etyczne i umysłowe, wyłaniając mądry rząd, który ze swej strony to życie duchowe ze społeczeństwem podziela i dalej inspiruje. Niestety, coś się zacięło i z wyłanianiem mądrego rządu jest dziś jakby gorzej niż przed laty, a z inspirowaniem wprost fatalnie. Władze większości naszych filisterskich republik jak ognia unikają filozoficznych trudności, wszelkiego politycznego ryzyka, wszelkich autentycznych wyborów etycznych. Ograniczają się do minimum, czyli gwarantowania wolności i szeroko rozumianego bezpieczeństwa. Duch gdzieś im uleciał.

Zły przykład płynący od rządzących podjęli „ludzie ducha”, z filozofami i duchownymi na czele. I oni już wołają się o nic na serio nie spierać, by nie ryzykować kłótni, by nie psuć miłej atmosfery zgody i wzajemnego szacunku. Cóż to jednak za wiara – religijna albo metafizyczna – która nie chce bronić swych racji i dowodzić swej przewagi nad innymi? Wiary autentycznej, ryzykującej, w liberalnym, egalitarnym i indywidualistycznym społeczeństwie już nie ma, a jeśli jest, to tylko w kulturowym skansenie. Niewiele dziś doprawdy dzieli wiarę od niewiary. Obie bywają płytkie i machinalne. Rzadki to ptak – człowiek prawdziwie wierzący. I rzadszy jeszcze jego negatyw – zaangażowany ateista walczący z wiarą i religią tak, jak kiedyś wyznania walczyły między sobą. Ceńmy te okazy, bo autentyczność i żar przekonań, których mieliśmy niegdyś w tragicznym nadmiarze, dziś są jak oazy na pustyni płochoci.

Z życzliwym uśmiechem oglądam skromne wysiłki zachodnich polityków, zmierzające do odzyskania duchowej substancjalności za pomocą środków kultury popularnej. Oto w listopadzie 2010 roku w Toronto doszło do głośnej konfrontacji nawróconego na katolicyzm byłego premiera Wielkiej Brytanii Tony'ego Blaira z intelektualistą i wojującym ateistą Christopherem Hitchenssem. Wystąpili na scenie przed ogromną publicznością, wyposażoną w aparaty do głosowania, jak w prawdziwym telewizyjnym show. Spierali się o wiarę, której globalnej wartości bronił Blair, a którą jego przeciwnik oskarżał o polityczną destrukcyjność. Poziom niewysoki a forma nieco trywialna. Ot, nieco ekscentryczna masowa impreza, która może się udać raz albo dwa. Dobre jednak i to. We Francji i w Niemczech debaty polityków z intelektualistami odbywają się często, choć często raczej na pokaz niż na serio. Bywa jednak inaczej, jak w przypadku wielkiego sporu o prawo muzułmanek do zasłaniania twarzy, który toczy się we Francji i w Niemczech. Realny problem polityczny przybrał kształt filozoficznego paradoksu: czy w imię ochrony wolności można ograniczać swobodę praktykowania obyczaju mogącego służyć tłamszeniu wolności?

Nie oczekuję zbyt wiele. Chciałbym, aby w naszym kraju wielkie i fundamentalne problemy człowieczeństwa i społeczeństwa powróciły na scenę. Aby spierano się gorąco i autentycznie, jak to bywało jeszcze przed wojną. Marzę o tym, abyśmy dorosli do autentycznego przeżywania poważnych sporów i konfliktów, zamiast tłumić je w zarodku. Nie bójmy się Ducha. Pozwólmy mu wyjść z ukrycia, z artystycznych i literackich nisz. Między trywialną masówką a elitarną dyskusją uczonych istnieje jeszcze przestrzeń pośrednia, w której spotykać się mogą ze sobą mądrzy, myślący ludzie. Wśród nich nie powinno brakować prezydentów, premierów i ministrów. Ani biskupów. To coś więcej niż okazjonalne konferencje albo medialne debaty. Poważne myślenie powinno stać się zajęciem codziennym przywódców państwa. Wtedy dopiero Duch powróci, a my poczujemy się w swoim *substancjalnym państwie* naprawdę u siebie.

*

Artykuł został napisany na zamówienie „Gazety Wyborczej” i jak to często z zamówieniami bywa – oczekiwano ode mnie dostarczenia go niemal z dnia na dzień. W takiej sytuacji trudno nie poddać się logice chałtury, niemniej jednak zawsze trzeba próbować. Czy mi się to w tym przypadku udało? Przesłanie tekstu jest dość miłe, choć pobożne – należy wrócić do wielkich debat na istotne tematy, nie bać się sporów w przestrzeni publicznej. Cała sztuka mówienia banałów polega na robieniu tego z wdziękiem i ukazywaniu nie całkiem banalnych kulis i podtekstów naszej głównej tezy. O to właśnie starałem się w tym artykule – może nie bez powodzenia.

Mimo to mam z nim kłopot. Polega on na tym, że brak mi wewnętrznego przekonania, iż odżywająca wielka debata idei mogłaby mnie naprawdę zainteresować. Wszak większość jej uczestników a priori uważałbym za niegodnych uwagi. Brak mi bowiem szacunku dla ludzi choć trochę mniej lotnych ode mnie samego, a równych mi bądź mądrzejszych jest niewielu (co uważam za świadectwo godnego pożałowania poziomu umysłowego naszego gatunku). Jako ironista z deficytem skromności nie jestem najszcześniejszym kaznodzieją. Tekst się podobał i wywołał dużo komentarzy – mnie samego trochę zawstydza.

POLITYKA WZRUSZEŃ

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „POLITYCE” W NUMERZE 27 (2814), 29.06–5.07.2011.

Jadę przez zasobne małopolskie wsie. W jednej szpaler ustrojonych krzyży przy szosie, pracowicie, setkami, stawianych przez strażaków. Może biskup przyjedzie? Prawie trafiłem. Transparent obwieszcza: „Witamy Księdza Prymicjanta”. Kawałek dalej dom z powitalną bramą: „Witaj, Synu-Kapłanie”. Prowadzę, nie mogę zrobić zdjęcia. W radiu jedyna stacja, którą da się tu złapać, ostrzega: pewne sekty chcą naszego zboża, naszej ziemi i fabryk. Jadę. Piękny kraj wokół. Inna wieś, betonowy przystanek autobusowy, a na ścianie larum: „Polsko! Żydy Cię oblaży!” . Serce mi bije – a to Polska właśnie!

Wyobraźnia ludu pełna jest demonów. Z demonami walczą herosi. Dobro zwycięża. Żaden miejski klerk nie poczuje tej świętości, tej bojaźni ani tej uciechy, którą od tysiącleci zna człowiek prosty. W zamian pozostaje mu romantyczna ludomania i polityczny estetyzm. Sztuczne to i mierne zapasy, lecz zrodzone z nich legendy i wiersze trafiły pod strzechy, a posiew ten zagłuszył stare bajdy i klechdy. Lud miał się stać Narodem i stał się – wieszczę go zbudzili. Ich poematy zginęły pod stertą harlequinów, lecz Ideały pozostały. Pokutują, skarłate i wykrzywione, wśród makatek i świętych obrazków, pod strzechami z blachodachówki. Naród, wiara, godne życie – dostarczają wzruszeń, jak różaniec, serial na dwójce i pieśń „za rok, za dzień, za chwilę...”. I kremówka, i „spieszmy się kochać ludzi”.

Naród żył kiedyś po swojemu, a dziś musi się wzruszać, gdy mu każą. Tak go wyćwiczyli panowie w XIX wieku. Zaiste, wzruszająca to była praca i wciąż jeszcze lezka się w oku kręci. Panowie pomarli, lud nie wie już, że jest ludem, lecz dziedzictwo wzruszenia zostało. Umieją o nie zadbać politycy. I to nie od dziś. Budzenie ludów i upajanie ich nektarem słów od niepamiętnych czasów było rzemiosłem władzy, a zwłaszcza do tej władzy pretendentów. Służ i walcz za króla, a w zamian dostąpisz udziału w misterium wzniosłości i chwały. Komu odebrano klechdę, a nie dano wykształcenia, temu nie sposób oprzeć się takiej wzruszającej propozycji. Wszak nie samym chlebem człowiek żyje.

Sztuka czarowania mas jest kunsztem pradawnym. Wirtuoz polityki zawsze potrafił wzniecić gniew i dumę, grozę lub błogostan, wedle potrzeby. Ważne, by wierzył, w to, co robi. Wtedy się udawało. A na polityka z podziwem patrzył filozof i pod dyktando swego podziwu tworzył teorię polityki. Oczywiście odpowiednio egzaltowaną. Egzaltowany styl myślenia o polityce sięga w swej historii aż do greckiej demokracji, kiedy to polityk bardziej niż kiedykolwiek wcześniej musiał być retorem, zdolnym

porwać za sobą tłum. Dawał mu poczucie wspólnoty i mocy, wyznaczał cel i umiał sprawić, by miłość własną przelał na niego jako swego reprezentanta i przywódcę. Przy okazji ów charyzmatyczny mąż wzruszał się sam, co czyniło go tym bardziej wiarygodnym. Władczy Perykles swój autorytet opierał na ideach, uczuciach i wymowie, nie zaś wyłącznie na bogactwie i sile, których zresztą wcale mu nie brakowało.

Wbrew popularnemu w filozofii politycznej pogładowi nie ma dramatycznej rozbieżności pomiędzy ideami kształtującymi politykę w czasach dawnych i nowych, oddzielanych od siebie symboliczną cezurą Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Można wręcz pokusić się o stworzenie katalogu politycznych *topoi*, a więc idei, symboli i uczuć, które od starożytności stanowiły figury i pionki politycznej gry. Gry słów, działań i uczuć, toczonych z dobrą wolą albo i złą, lecz najczęściej z taką i taką pospołu.

„Topologia polityki” byłaby dość rozwlekła, ale jej główne punkty można wymienić bez trudu. Oto one:

- jesteśmy wspólnotą (narodem, ludem, cywilizacją, kościołem);
- nasza wiara jest święta, a bóstwo nad nami czuwa;
- nasze obyczaje są cywilizacją jako taką (wokół nas – barbaria);
- jesteśmy wyjątkowi – mamy misję pośród narodów;
- jesteśmy silni i niepokonani (naprawdę lub tylko moralnie);
- byliśmy krzywdzeni i o cierpieniach tych nie zapomnimy;
- jesteśmy u siebie: obronimy swą ziemię i swoje bogactwa;
- musimy być godni naszych wielkich przodków;
- odwieczni wrogowie na nas czyhają;
- czeka nas wielka przyszłość;
- musimy ciężko pracować;
- ojczyzna wymaga ofiar i wyrzeczeń;
- we wspólnocie jesteśmy równi;
- ze wspólnoty wypływa godność i wolność każdego z nas;
- władza rządzi dla ludu, a nie dla siebie;
- władza jest manifestacją (reprezentacją) ludu i jego woli;
- państwo czyni z motłochu wspólnotę obywatelską;
- wspólnota wolnych obywateli jest fundamentem państwa;
- państwo jest nasze;
- państwo jest majestatem;
- prawa są święte, a ustawy sprawiedliwe;
- opozycja to zdrajcy, sprzedawczyki i słabeusze;
- władza musi być silna i sprawiedliwa (jak dobry ojciec);
- mamy potężnych przyjaciół i obrońców;

- bóstwo widzi i jest z nami;
- suwerenność państwa jest źródłem wolności obywatela;
- racja stanu ponad wszystko;
- tyran jest zdrajcą;
- bogaczom trzeba patrzeć na ręce;
- biedni są solą ziemi;
- czy rządzi jeden, czy wielu, cel jest ten sam: szczęście ludu.

Każda z tych idei to paroksyzm uczuć dumy i czystości, to uświęcenie i uniesienie. W mowach mężów stanu i pospolitych demagogów, w głowach przywódców, myślicieli i zwykłych ludzi wszystkich epok i kontynentów te właśnie idee oraz związane z nimi wzruszenia wypełniały i nadal wypełniać będą tę przedziwną przestrzeń zwaną polityką. A że codzienność politycznego działania pozostaje w bardzo napiętych stosunkach z ideałami i namiętnościami polityki, tym bardziej wydaje się konieczne ich nieustanne przypominanie. Tak właśnie działa retoryczne *perpetuum mobile* polityki: zawsze jest źle, zawsze jest kryzys, zawsze są zdrajcy, więc tym bardziej wciąż na nowo odprawiać trzeba rytuały politycznej dumy i wraz z kapłanami składać ofiary za uwolnienie ojczyzny od zaprzańców, wichrzycieli, rozpustników, ognia i wody. Ten, kto odprawia rytuał, i ten, kogo głos budzi czyste i wzniosłe uczucia, ten właśnie ucieleśnia ducha narodu i otrzymuje od ludu koronę. Bo źródłem legalnej władzy z woli ludu jest nieodmiennie wiec, czyli zgromadzenie ludowe, na którym plemię obiera sobie wodza, a kapłan potwierdza, że taka jest właśnie wola bóstw i przodków. Zmieniają się formy, ale władza symboliczna i prawna wciąż rodzi się na wiecu. Władza realna zaś niezmiennie wywodzi się z bogactwa. Łączyć obie – oto największe marzenie i największy grzech polityki.

Polityka ześrodkowana na tożsamości, ciągłości i godności, a więc na wspólnocie, której ekspresją jest państwo – jego konstytucja, symbole, tradycje i przywódcy – to *republikanizm*, w źródłowym i najszerszym znaczeniu tego słowa. Bardzo rzadko się zdarzało, żeby ktoś politycznie znaczący kwestionował republikańską topologię polityki. Wszystkie niemal intelektualne spory w polityce dotyczą hierarchii i akcentów w obrębie tej samej konstelacji idei. Dlatego są powtarzalne, nudne i mało czytelne. Również w codziennym życiu politycznym obracamy się niezmiennie pośród tych samych politycznych idei, słów i wzruszeń, z czasem coraz bardziej rytualnych i tandetnych, a ożywających z nową siłą autentyczności tylko w okresach rewolucji i przełomów. Dlatego właśnie każdy pretendent do władzy kryguje się na małego rewolucjonistę, a przynajmniej „reformatora”.

Tak naprawdę w polityce wszystko jest „państwowościowe”, czyli republikańskie. Gdyby nie anarchiści i libertarianie polityczność można by po prostu zrównać z republikanizmem. I tak myli się, kto sądzi, że tradycja liberalna jest antyrepublikańska.

Podkreślanie indywidualnej wolności bynajmniej nie stoi w sprzeczności z afirmacją państwa, bo główna idea liberalna dotyczy właśnie dobrego i silnego etycznie państwa, głosząc, że państwo ma moralny obowiązek strzec obywateli przed naturalnym dla władzy dążeniem do arbitralnego ingerowania w ich życie.

Również słowa „konserwatyzm” używa się często niefrasobliwie, niemalże jako synonimu republikanizmu. O ojczyźnie, wspólnocie i chwale, o tradycji, ale także o świętych i nienaruszalnych prawach konstytucyjnych mówią republikanie wszelkiej maści – od liberałów i demokratów po nacjonalistów kochających wolność, jakkolwiek tylko własną. Mało jest nierepublikanów, więc nic dziwnego, że nie są nimi również konserwatyści. Nie wyróżnia ich bynajmniej to, że dużo mówią o patriotyzmie i silnym państwie (któż by w polityce o tym nie mówił!), lecz myślenie o współczesności przez pryzmat doświadczenia historycznego. Konserwatyści myślą historią i wciąż ją przeżywają. Wiedzą, jak bywało i co może się powtórzyć. Z erudycji historycznej wypływa ich charakterystyczna roztropność, umiar i troska. Konserwatyści są arystokratami myśli politycznej i obdarzanie tą godnością byle demagoga, wyciskającego tandetne ły z oszalałej od uniesień gawiedzi, doprawdy nie przystoi. Nie należy ich również mylić z reakcjonistami, których z nadmiaru uprzejmości nazywamy czasem tradycjonalistami. To tacy, którzy domagają się autorytarnych rządów, podobnych do tych, jakie bywały w dawnych wiekach, od wszelkiej maści innowierców i odstępców żądając kornego posłuszeństwa, za które w nagrodę mogą być wielkodusznie tolerowani.

Babrząc się w myśli politycznej muszę po latach przyznać rację koleżance Agacie Bielik-Robson, znanej dziś profesorce, która rzekła mi niegdyś, iż jest to dziedzina nudna i beznadziejna. Zaiste, wciąż to samo. Na lewo republikanie, na prawo republikanie, a oprócz nich jeno niebezpieczni szaleńcy. Dlatego twierdzę, że w polityce nie liczy się myśl – ta bowiem jest ograniczona przez wąski zasób definiujących wszelką polityczność kategorii – lecz *styl* oraz *kultura*.

A więc politycy różnią się stylem i kulturą. Nad ideami panować nie mogą, bo te są jak splecione sznurki – pociągasz za jeden, a wyciągasz wszystkie naraz. Z tym samym arsenałem archaicznych *toposów* polityk może robić rzeczy dobre bądź złe. Może być cyniczny i pyszny albo racjonalny i przyzwoity. Może używać republikańskiej frazeologii i „zarządzać wzruszeniami” w sposób inteligentny i odpowiedzialny, lecz może też upajać naród i siebie samego pychą oraz nienawiścią. Jeśli dziś w Polsce cyniczni demagodzy harczą w najlepsze, bez skrępowań stosując retorykę gniewu, pogardy i oszczerstw, wzniesając wśród ludu polityczno-religijną egzaltację, naszą rzeczą, jako ludzi odpowiedzialnych, staje się odkryć przed oświeconymi warstwami społeczeństwa wzniosłość tych ideałów polityki, a więc tych ideałów republikańskich, które stały się fundamentem wolnego świata. Mamy prawo i obowiązek na

tej samej lirze zagrać naszą, o ileż piękniejszą, pieśń. My też mamy prawo do polityki wzruszeń. Niechaj więc rozbrzmiewa nasza *pieśń wolności*. Jeśli nie przyjmimy wyzwania, demagodzy będą kpić, żeśmy bezideowe mydłki.

W naszej pieśni będzie mowa o obywatelu, który ufa swemu państwu, bo wie, że i ono szanuje jego, respektując prawo każdego człowieka do własnych wyborów i dyskrekcji co do spraw osobistych. Takie państwo nie wtrąca się w życie prywatne obywateli, a za to własnych funkcjonariuszy pilnuje, by nie nadużyli władzy do narzucania obywatelom stylu życia, który wyborcza większość uznaje za najlepszy. Takim państwem będzie kiedyś Polska.

Etyczna Polska przyszłości z największą powagą traktować będzie konstytucję i konstytucją gwarantowane swobody. Nie pozwoli sobie na to, by którejs grupie obywateli, a zwłaszcza już potężnej większości, dać odczuć, że jest w Polsce bardziej u siebie niż inni – że państwo to bardziej do niej, niż do pozostałych współobywateli należy. Wolna Polska będzie krajem wolnych ludzi, którzy ograniczenia swej wolności napotkają wtedy tylko, gdy zechcą z niej skorzystać dla krzywdzenia i niewolenia innych. W sprawach zaś, co do których publicznej zgody nie ma i być nie może – w kwestiach ogólnego światopoglądu, wiary i niewiary, dylematów sumienia rozdierających tak duszę jednostki, jak i całą ludzkość – wolna i odpowiedzialna Polska zachowywać będzie roztropną powściągliwość, jak to jej konstytucja i dziś nakazuje.

Wolna Polska będzie państwem suwerennym, wzbraniającym się przed zawieraniem niesymetrycznych międzynarodowych traktatów dających specjalne przywileje osobom wskazanym przez obce państwo. W prawdziwie wolnej Polsce wszyscy podlegać będą temu samemu prawu, będą traktowani przez rząd z równym szacunkiem i w jednakowy sposób, bez względu na wyznanie, narodowość, płeć czy orientację seksualną. Nikogo nie dyskryminując, wolna Polska będzie tym samym dochowywać starań, by nikogo nie obdarzać przywilejami, prócz słabych i chorych. Najwięcej zaś wystrzegać się będzie przywilejów dla silnych i możnych. Wolna Polska szanować też będzie własność obywateli, z największą roztropnością stosując przymus fiskalny. Będzie to kraj wszystkich mieszkańców, sprawiedliwa, dumna ze swej różnorodności wspólnota kierująca się jasnymi i jednakimi dla wszystkich regułami. Rządy prawa, jawność życia publicznego i widoczne starania władz, by zachować bezstronność, niezbędną do praktykowania równości i do ochrony autonomii jednostki, sprawią, że w miejsce nieufności – dzielącej społeczeństwo oraz oddzielającej je od rządu – zajmie społeczne zaufanie. Zaufanie będzie naszym największym skarbem – prawdziwą siłą polskiego społeczeństwa i polskiego państwa, dzięki której konflikty i spory rozwiązywać będziemy uczciwie i racjonalnie. Różniąc się w naszych przekonaniach i obyczajach, wszyscy będziemy zgodni, że państwo nie powinno stawiać po żadnej ze stron, i to nawet tylko symbolicznie. Silne zaufaniem społeczeństwo stanie

się otwarte na świat, ciekawe odmienności i gościnne. Nie zniknie z niego obłuda, niesprawiedliwość, głupota ani przemoc, lecz to nie one będą w nim miały ostatnie słowo.

Oto jest *nasze wzruszenie*. Nie wzbraniajmy się go publicznie okazywać. Nie przeciwko komuś, lecz dla dobra wszystkich. Bo w liberalnym, demokratycznym kraju duma i jedność nie są przeciwko komukolwiek, będąc pospólną radością ze sprawiedliwego pokoju łączącego ludzi wolnych i różnych.

*

Również ten artykuł został u mnie zamówiony, i to z bardzo konkretnym wskazaniem tematu. Bywają takie zamówienia, które wyglądają niemalże jak konspekt pracy. Nie przejmując się tym, napisałem, co myślę. I wyszło dobrze – po hartmanowsku. Tu jestem sobą i to mnie cieszy. Treść dość oczywista, styl dobry, więc w sumie niby nic takiego, ale mocne uderzenie w faszyzm i emocjonalne potraktowanie przesłania liberalizmu to mój znak firmowy jako autora i moje osobiste przesłanie. Szkoda, że w „Polityce” artykuł ukazał się okrojony, mimo że nie przekroczyłem zadanej mi liczby znaków. Teraz za to publikuję go w całości i z zadowoleniem. Jeśli zaś chodzi o anegdotyczny początek, to uprzedzając pytania, zapewniam, że jest autentyczny. Często odwołuję się w publicystyce do własnych doświadczeń i nigdy nie zmyślam, mówiąc, że coś widziałem albo słyszałem. Niektórzy to robią, zamieniając swe życie w ciąg nieprawdopodobnych przygód i zbiegów okoliczności. Sami sobie szkodzą. Mitomania (często występująca łącznie z megalomanią) odbiera człowiekowi pamięć własnego życia i poczucie, że naprawdę wie się, kim się jest.

NA CO UMIERA DEMOKRACJA?

TEKST UKAZAŁ SIĘ W „PRZEGLĄDZIE POLITYCZNYM” (NR. 77 Z 2006 R.) W MOCNO SKRÓCONEJ WERSJI I POD ZMIENIONYM TYTUŁEM: „ILE HIPOKRYZJI MOŻE ZNIEŚĆ DEMOKRACJA?”.

Nasze wyobrażenia o ustrojach politycznych nazbyt się uprościły. Właściwie mamy skłonność do odróżniania tylko dwóch typów ustrojowych: demokracji (różniących się pewnymi „rozwiązaniami” oraz „standardami”, czyli stopniem) oraz dyktatur (występujących w kilku odmianach: świeckiej, wojskowej, religijnej, i w różnym nasileniu). Demokracja jest oczywiście zawsze dobra, a dyktatura zawsze zła. Cóż, z takim nachalnie wartościującym i uproszczonym słownikiem politycznym nie zajdziemy daleko. Na użytek poważniejszej dyskusji trzeba by sobie trochę „rozwiązać język”, a przynajmniej uświadomić, jak funkcjonują słowa, których używamy, i jakie nakładają na nas, niekoniecznie pożądane, ograniczenia intelektualne.

Słowa w grze

O demokracji najczęściej powiada się za Platonem, że jest „pośród wszystkich ustrojów praworządnych najgorsza, a spośród wszystkich nierządnych najlepsza”. W skiepszczonej wersji brzmi to tak, że demokracja to okropny ustrój, ale jak dotąd nikt nie wymyślił lepszego. Oba warianty wychodzą na to samo przy założeniu, że w gruncie rzeczy wszystkie państwa stoją nierządem. Jako że jednak każdemu państwu zawsze wiele brakuje w dziedzinie rządów prawa (i w każdej innej), to przy odpowiednio surowych wymaganiach założenie takie jest zawsze prawdziwe. Ciekawe zresztą, że skłonność do stawiania wysokich wymagań pod względem praworządności i sprawiedliwości mamy właśnie w krajach, gdzie działają silne instytucje demokratyczne. Tym bardziej okazuje się, że Platon miał rację.

Sławna formuła Lincolna głosi, że demokracja to „rządy ludu, dla ludu, przez lud”. Cóż może być lepszego? Dziś przez słowo „demokracja” często rozumiemy więc po prostu „najlepszy ustrój” i z założenia używamy go z pełną aprobatą. Wtenczas jednak dyskusja o wartości demokracji staje się bezprzedmiotowa. Kłopot ze słowem „demokracja” istniał już w starożytności, a dziś jest jeszcze większy, bo słowo to oznacza na przemian *realny* ustrój o pewnych określonych cechach, mający swoje wady i zalety, oraz pewien mniej czy bardziej sprecyzowany *ideał* i postulat

polityczny. W odróżnieniu od naszych czasów, w starożytności słowo „demokracja” („władza *demos*”, czyli ogółu wolnych obywateli miasta) było raczej opisowe niż idealizacyjne, przez co zwykle miało zabarwienie lekko pejoratywne, gdyż władza taka w praktyce oznaczała dyktat większości wobec mniejszości, a zwłaszcza dyskryminację interesów bogatych (zawsze będących w mniejszości) przez biedną większość. Nie znaczy to jednak, że nie dostrzegano wartości *instytucji demokratycznych*, czyli takich, w których stanowiska obsadza się przez losowanie lub wybór, a kandydaci rekrutować się mogą spośród całego ludu.

Najsilniejsza tradycja dawnej myśli politycznej, czyli arystotelizm (do nurtu tego należy również katolicka nauka polityczna) patrzy na ustroje państw w sposób typologiczny. Demokracja, arystokracja i monarchia to pewne typy ustrojowe, które w rzeczywistości mogą występować w rozmaitych formach mieszanych. Dla większości społeczeństw odpowiedni jest właśnie jakiś ustrój mieszany, w którym jest miejsce także dla instytucji demokratycznych. Krótko mówiąc, przeważający dawniej pogląd był taki, że demokracja *tak*, byle *nie za dużo*. Dziś natomiast, gdy słowo „demokracja” oznacza zwykle pewien ideał, takie *dictum* nie ma sensu, bo jakże mogłoby być kiedykolwiek za dużo tego, co samo przez się jest dobre? Nie chodzi zresztą wyłącznie o przemianę w sposobie posługiwania się słowem „demokracja”, ale także o zmianę zapatrywań na cele państwa. Dawniej, aż do XVIII w., powszechne było przekonanie, że państwo powinno przede wszystkim pomagać obywatelom, by stawali się lepszymi ludźmi, podczas gdy współcześnie uważa się raczej, że państwo powinno pomagać ludziom w tym, aby żyli jak najdostatniej i cieszyli się przy tym jak największą wolnością. Pochwała demokracji na tle takich przekonań jest czymś zupełnie innym niż dawniej.

Gdy czasami w starożytności chwalono ograniczoną demokrację, taką, która nie sprowadza niebezpieczeństwa tyranii większości i rządów demagogów, miano na myśli właśnie to, że udział wielu ludzi we władzy uczyni ich lepszymi obywatelami, a tym samym lepszymi ludźmi. Porównywano demokrację z ustrojem monarchicznym lub arystokratycznym (czy raczej, *realiter*, oligarchicznym), stwierdzając po prostu, że czasami i pod pewnymi względami ta pierwsza jest lepsza. Gdy chwali się zaś demokrację w czasach liberalnych, a więc od kiedy wolność (i związana z nią własność) stała się, obok bezpieczeństwa, najwyższą wartością polityczną, ma się na myśli to, że życie w ustroju demokratycznym jest czymś, do czego po prostu *mamy prawo*, będąc ludźmi z natury wolnymi i z natury równymi. Dlatego też współczesne pojęcie demokracji zakłada uprawnienia polityczne *wszystkich* stałych mieszkańców państwa, podczas gdy dawniej do związku zwanego *politeia* czy *res-publica* (państwo) oraz zbiorowości zwanej *demos* lub *populus* (lud) nie należały ani kobiety, ani niewolnicy.

Podzielam pogląd liberalny. Demokracja nie jest kwestią wyboru najbardziej funkcjonalnego ustroju, ale kwestią praw i sprawiedliwości. Demokracja sprawiedliwie się nam należy i już. Należy się jednak *co do zasady*, podczas gdy jej konkretny kształt jest już sprawą dyskusyjną. Dlatego chciałbym przypomnieć tu o najważniejszych wadach „realnej demokracji”, a więc demokracji jako faktycznego ustroju państwowego, a nie ideału. Wady te w większości rozpoznano już w starożytności, jakkolwiek pojęcie demokracji było wtedy, jak widzimy, nieco inne. Przypominanie o nich służy zresztą samej demokracji, czyli jej ulepszaniu.

Będę więc tutaj mówić o złej, czyli źle zrealizowanej demokracji, zachowując zwyczajowo ten sposób posługiwania się słowem „demokracja”, który zakłada, że mówi się o niej zawsze aprobatywnie, czyli nazywa tym mianem zasadniczo dobry i sprawiedliwy ustrój. Rzecz w tym jednak, że gdy któraś z wad czy zagrożeń pojawiających się w życiu politycznym państwa demokratycznego przekroczy pewną miarę, to odbiera jego ustrojowi tę aprobatywną kwalifikację *demokracji*. Innymi słowy, czasami demokracja umiera od chorób, które rodzą się w niej samej. Nie nazwę więc demokratycznym państwa, w którym większość deprecjuje prawa mniejszości, w którym jakaś grupa jest istotnie i trwale wyzyskiwana lub dyskryminowana, w którym jakaś grupa cieszy się wyjątkowymi i niepowiązanymi z zasługami przywilejami lub w którym z zasady władza jest niekompetentna. Nie nazwę też demokratycznym państwa, które wszczyna wojny zdobywcze lub niegodnie wyzyskuje swe kolonie. Z pewnością nie nazwę też demokratycznym krajem Polski. Demokracja ma, powtórzmy, swoje choroby, od których może umrzeć. Ma też swoje choroby dziecięce (jak w Polsce), z których musi wyrosnąć, by stać się prawdziwą, dorosłą demokracją.

Demagogia

Najbardziej oczywistym zagrożeniem ustrojów demokratycznych jest panoszenie się u władzy nieokrzesanych barbarzyńców, wyniesionych do stanowisk przez gawiedź. Władza, która dostała się w ręce takiego autentycznego i statystycznego reprezentanta ludu, przez wybór czy losowanie, bardzo łatwo przerodzić się może w tyranie lub anarchię. Zarówno bowiem demokratycznie obrany przywódca może się panoszyć ze swą samowolą, jak i lud upojony wolnością może całkiem stracić dyscyplinę moralną. „Z wolności bez granic – niewola najzupełniejsza i najdziksza”, jak to emfaticznie ujął niezawodny w tych sprawach Platon. Są na to przykłady i starożytne, i nowoczesne.

Mając wpływ na to, kto będzie rządził, ludzie często wynoszą do władzy takich, którzy wydają im się najbardziej do nich samych podobni. Jeśli kandydaci do władzy solidaryzują się z większością, kupują jej względy, podsycają jej frustracje, gniew

i marzenia, obiecują dostatek i pomszczenie krzywd, to ich szanse rosną. Szanse poważnych i umiarkowanych, kompetentnych i rzeczowych tymczasem maleją. Jeśli ci ostatni jednak biorą górę, to tylko pod warunkiem, że dane społeczeństwo w większości składa się z ludzi wykształconych i kulturalnych w stopniu wystarczającym, by brzydzili się wulgarnymi demagogami, a jednocześnie rozumieli, że sprawowanie władzy wymaga właściwej wiedzy i moralności. Takich społeczeństw jest jednakże mało.

To wszystko jest banałem. Nie jest już jednak takie banalne spostrzeżenie, że jednym z warunków funkcjonowania współczesnej demokracji jest czynienie z oczywistych prawd tabu, o którym niemal nie wolno mówić. W języku publicznym nie ma „gawiedzi”, „warcholów” ani „chamów” – nie brak ich za to w języku prywatnym. To niebezpieczny rozdźwięk, bo oznacza, że demokratyczny dyskurs publiczny popadł w zakłamanie. Ani instytucje publiczne, ani partie polityczne nie mogą zwerbalizować takich kluczowych dla stanu państwa okoliczności, jak ta na przykład, że szeroki udział w wyborach parlamentarnych mas niewykształconej ludności niesie z sobą zagrożenie wyboru posłów kierujących się wyłącznie interesami partykularnymi, a nawet prywatnymi. Nawet taka prosta a znacząca prawda jak to, że większość posłów nie ma kompetencji merytorycznych i kultury prawnej wystarczającej do stanowienia prawa w jakiejkolwiek dziedzinie, znajduje dla siebie wątpliwy azyl jedynie w satyrze i publicystyce. Ideologia demokratyczna eliminuje ze swego języka pochwały cnót i kompetencji, a za to zna wiele słów służących schlebieniu każdej grupie wyborców, niezależnie od ich postaw i moralnej kondycji. Ma to oczywisty negatywny wpływ na moralność publiczną. Władza tchórzliwie ceduje jej strzeżenie na religię i kilka autorytetów, uśmiechając się z ekranu telewizora do wszystkich, tak jakby wcale po drugiej stronie nie było ani chamów, ani prostaków, ani łajdaków.

We współczesnych demokracjach zabezpieczeniem przed skutkami niekompetentnych wyborów personalnych jest ograniczenie liczby stanowisk obsadzanych w ten sposób oraz stosowanie procedur demokracji pośredniej lub ograniczonej. Również osławiona „tyrania większości” jest utrudniona przez konstytucję gwarantującą prawa mniejszości. Nie inaczej, zagrożenie samowolą autokratycznych demagogów, wybranych w powszechnych wyborach, oraz zagrożenie anarchizacją stosunków publicznych i obyczaju w praktyce okazuje się nie takie znów wielkie, przynajmniej w skali ogólnopaństwowej. Tymińscy odpadają w drugich turach. Na poziomie lokalnym oraz w parlamencie samowola i deprecjacja kompetencji jako koniecznego warunku sprawowania władzy jest jednak wciąż poważnym zagrożeniem. Dramatycznie przedstawia się zaś sprawa moralnego poziomu dyskursu publicznego. Schlebienie popoliitości i interesowności, intelektualne równanie w dół debaty publicznej prowadzi nie tylko do umyślowego wyjąłowania polityki, lecz także do masowego oportunistu – powszechnej zgody na prostactwo. W naszych czasach po

raz pierwszy wybujała demokracja doprowadziła do upolitycznienia chamstwa, czyli uczyniła z niego skuteczną siłę, akceptowaną i traktowaną poważnie nie tylko w tzw. „polityce”, czyli tajnych układach, lecz także w otwartym demokratycznym życiu politycznym. Stało się tak po dwustu latach rozwoju nowożytnych instytucji demokratycznych. Są dziś one zagrożone, także w Polsce, intelektualną zapaścią. W całej Europie zresztą nastąpił niepokojący spadek poziomu intelektualnego wypowiedzi uczestników życia politycznego, którzy w XVIII i XIX w. jakże często bywali odważnymi intelektualistami, a dziś nie są nimi prawie nigdy.

Iluzoryczna reprezentatywność

Obok populistycznej hucpy, drugim głównym niebezpieczeństwem i zagrożeniem demokracji jest zanik rozeznania pozwalającego odróżniać symboliczne akty polityczne od realnych aktów władzy. Dotyczy to zwłaszcza procesów wyłaniania organów władzy jako „delegowania reprezentantów”. Z wyjątkiem wyborów bardzo lokalnych akt wyborczy jest symboliczny. Głos oddany w wyborach prezydenckich nie ma *żadnego znaczenia*, a gdy znaczenie ma głosów tysiąc, jak w przypadku wyborów w USA w roku 2000, to jest to sensacja. Udział w czymkolwiek w skali jednej milionowej nie jest żadnym udziałem, jest udziałem czysto symbolicznym. Wybory powszechne kierują się zasadami opisywanymi w języku socjologii i psychologii społecznej, a ich wynik tylko niesłychanie rzadko zależy od tego, co deklaruje ideologia demokratyczna: od roztropnej, świadomej woli obywateli. I znów: jest to powszechnie wiadome, ale wykluczone z oficjalnego dyskursu.

Podobnie wpisany w ideologię demokratyczną nakaz nakłaniania przez władze całego społeczeństwa do udziału w wyborach opiera się na iluzji, że siła władzy zależy od stopnia jej demokratycznej legitymizacji, a ta z kolei zależy od frekwencji wyborczej. To nieprawda, jakkolwiek dobrze umówić się na taką wiarę, aby w razie zdobycia władzy przypisywać sobie większe prerogatywy z okazji szczególnie dobrego wyniku wyborczego. Żeby taką iluzję zachować, trzeba jednak wkładać w siebie przekonanie, że masowy wyborca wie, kogo wybiera i dlaczego, że jego „decyzja” jest świadoma i wolna, że była nieprzypadkowa i byłaby podobna w innym terminie. Pod takimi bowiem tylko warunkami wybrani posłowie czy prezydenci byłiby rzeczywiście delegatami ludu. Dodatkowo utrzymanie iluzji reprezentacji wymaga „aktywnego zapomnienia”, że gdy wybór dokonany jest przez niewykształcone masy, to tym samym jest z zasady wyborem gorszym, niż gdy dokonuje go mniejsza liczba światłych obywateli. To aktywne zapomnienie obejmuje zresztą cały pierwiastek arystokratyczny życia politycznego, czyli wymaganie moralne i intelektualne, aby władzę sprawowali ludzie mądrzy, racjonalni i kompetentni. Instytucje demokratyczne

niestety znajdują się w permanentnym konflikcie z zasadą arystokratyczną, choć przecież nie mogą jej oficjalnie zaprzeczyć. Znów zakłamanie.

A jednak władza zawsze kogoś reprezentuje. I zawsze jest to tylko część społeczeństwa, system demokratyczny zaś wcale nie ma wielkiego wpływu na strukturę tego reprezentowania, bo jest zaledwie jednym z podsystemów władzy. Władza nie może bowiem reprezentować wewnętrznie skonfliktowanej „całości”, jak chcieliby romantyczni demokraci, zachowując jednocześnie spójność swojej funkcji. Najbardziej typowy jest układ, jaki mamy w Polsce. Władza, a ściślej biorąc tzw. klasa polityczna, rekrutuje się w większości ze średnio zamożnych środowisk mieszczańskich, być może reprezentatywnych pod względem obyczajowym i mentalnym dla całego społeczeństwa. Ich idiom polityczny jest zbieżny z oczekiwaniami i poziomem bezpośrednich transponderów władzy, którymi są dziennikarze; jest też satysfakcjonujący dla ekonomicznego zaplecza władzy w biznesie. Jednolita kultura medialno-polityczna daje podstawę stabilności władzy, która pozostaje w tych samych kręgach i środowiskach. Reprodukcyjność i ciągłość władzy zapewnia kontrakt demokratyczny z dużymi masami wyborców, którzy w zamian za kolejną delegację otrzymują gwarancje przedłużenia swych przywilejów. U nas są to głównie przywileje korporacyjne pracowników przemysłu państwowego oraz przywileje rolników. Na ten prosty układ nakładają się jeszcze relacje z Kościołem katolickim, który stanowi prawie niezależną od państwa i wpływową strukturę, udzielającą państwu poparcia o tyle, o ile jego niezależność i przywileje ekonomiczne będą utrzymane, jeśli nie wręcz powiększone. Demokracja działa tu bynajmniej nie wedle logiki reprezentacji i wolnej debaty przedstawicieli ludu toczącego spory w imieniu jego skonfliktowanych odłamów, ale jest po prostu formą ekspresji pewnego zrównoważonego układu sił, który pewnie ujawniłby się i bez tego.

Dyskryminacyjna równość

Co by było, gdyby zadać społeczeństwu w referendum pytania następujące: Czy wszystkie dochody z działalności gospodarczej powinny być opodatkowane według tych samych stawek? Czy niektóre kategorie osób osiągających dochody powyżej średniej krajowej powinny cieszyć się przywilejami podatkowymi? Czy powinna obowiązywać zasada „im więcej zarabiasz, tym proporcjonalnie więcej płacisz podatku dochodowego”? Odpowiedzi moglibyśmy przewidzieć z dużym prawdopodobieństwem. Właśnie dlatego referendum takie jest niemożliwe. Byłoby bowiem aktem demokracji, w którego wyniku musiałaby nastąpić rewolucyjna zmiana układu społecznego oraz systemu przywilejów i dyskryminacji. Oczywiście są to prawidłowe pytania referendalne, bo są jasne i zrozumiałe dla każdego, w przeciwieństwie na

przykład do absurdałnego poddawania pod referendum kilkusetstronicowego dokumentu zwanego „Traktatem konstytucyjnym UE”. Jeśli nie można ich społeczeństwu zadać, to dlatego, że demokratyczne wyrażenie woli społecznej jest w systemie demokratycznym wartością jedynie istotną, ale bynajmniej nie najistotniejszą. Przeważa bowiem szczególnie ideał, atawistycznie zakorzeniony w rewolucji francuskiej, mianowicie ideał równości poprzez przywileje.

W tradycyjnym społeczeństwie każda grupa ma swoje prawa i obowiązki, swoją rolę do odegrania w całości społeczeństwa. Ta rola określona jest jako „przywileje”, czyli zestawienia praw i obowiązków spoczywających na poszczególnych grupach. Oto mieszkańcy jakichś, dajmy na to, Kapuścisk mają taki przywilej, że tylko oni mogą (ale też tylko oni *muszą*) dostarczać kapustę na książęcy stół. Dostają za to coś w zamian, na przykład zboże albo pieniądze, i z tego żyją. Idea przywileju to najsilniejsza z idei przedliberalnych, jakie utrzymały się jeszcze we współczesnej kulturze liberalno-demokratycznej. Stoi ona jednak w bezpośredniej sprzeczności z równością demokratyczną. Równość w społeczeństwie przedliberalnym polegała bowiem na tym, że każdy na równi przyporządkowany jest do swoich praw i obowiązków, każdy na równi musi „robić swoje”. W społeczeństwie liberalnym równość polega zaś na tym, że nierówności pod względem tego, kto jakie ma prawa i obowiązki, jeśli w ogóle są dopuszczalne, to jedynie w szczególnych okolicznościach. Mogą to być przywileje związane z wyjątkowymi zasługami lub wyjątkowo trudną sytuacją materialną albo dyskryminacja związana z wyjątkowym nieprzystosowaniem społecznym lub krótkotrwałą przynależnością do wspólnoty. W żaden sposób nie da się jednak liberalnie uzasadnić tego, że dochody z produkcji owsa są nieopodatkowane, a dochody z produkcji krzesel tak. Takie uzasadnienie musi odwoływać się do logiki społeczeństwa prenowoczesnego, a to jest w demokracji wstydlliwe. Lepiej więc w ogóle niczego nie uzasadniać.

A jednak uzasadnienie takie się pojawia, przynajmniej na gruncie teorii. Atawizm prenowoczesny w naszych społeczeństwach, polegający zwykle na „pozytywnej dyskryminacji” grup dawniej upośledzonych i uciskanych, wyjaśniany jest jako szczególna, metafizyczna postać realizacji zasady sprawiedliwości. Miałoby tu chodzić o jakąś sprawiedliwość dziejową i tzw. „wyrównywanie szans”. Mniejsza o wartość tych metafizycznych uzasadnień. Istotny jest fakt, że w społeczeństwach demokratycznych, zupełnie niespodziewanie, trwają i kwitną przywileje jednych grup kosztem dyskryminacji innych grup. Konsensus wokół tego stanu rzeczy jest zupełnie tradycyjny, oparty na parytecie sił, a bynajmniej nie demokratyczny, czyli oparty na jawnym przyzwoleniu większości społeczeństwa. Co więcej, panuje przekonanie, że wolno wymuszać równość przez dyskryminację (np. nakładanie wyższych podatków na jednych, by inni nie musieli płacić ich w ogóle) i że jest to właśnie *demokratyczne*.

Co więcej, przywileje mają być rzekomo formą *niedyskryminowania*, które stanowi oczywisty wymóg demokracji. Cóż, uprzywilejowanie to jedno, a niedyskryminowanie to drugie. Współczesna demokracja nie jest w stanie wyegzekwować tego rozróżnienia, dopuszczając się praktykowania „dyskryminacyjnej równości”.

Fałszywy interes

Jedną z centralnych idei demokratycznych, łączących demokratyzm z liberalizmem, jest równe dla wszystkich, indywidualne i grupowe, prawo do zabiegania o własny interes na gruncie prawnym i politycznym. Uważa się ponadto, że gdy w państwie praworządnym wszyscy zabiegają o swe interesy, negocjując je i poszukując publicznego kompromisu i konsensusu, to wzrasta ogólna szczęśliwość. Rzekomo bowiem demokratyczne procedury dają priorytet sprawiedliwej i szczeniordnej zasadzie, iż każdy może ubiegać się o przeprowadzenie swej woli w stopniu, który nie ogranicza znacząco woli i nie gwałci znacząco interesów innych ludzi. Cała ta konstrukcja związana jest z uylitaryzmem i nieprzypadkowo ojcami nowoczesnego demokratyzmu byli właśnie uylitaryści, tacy jak J. Bentham i J.S. Mill.

Jeśli nawet przyjąć, że zasada uylitarystyczna jest uczciwa, to z pewnością nie nadaje się do roli fundamentu współpracy społecznej i publicznej działalności państwowotwórczej z całkiem trywialnego powodu, że owe uczciwie i demokratycznie „negocjowane” interesy są w ogromnej większości interesami prywatnymi i partykularnymi. Żadna ich mozaika nie składa się na całość, którą uznać by można za autentyczną wspólnotę polityczną. Interes to tylko interes i zwykle chodzi w nim po prostu o pieniądze.

Przekonywanie społeczeństwa, że usilne zabieganie o własne interesy jest nie tylko prawem, lecz także jakąś cnotą polityczną, prowadzi do wykształcenia się syndromu szlachetki na zagrodzie (równego wojewodzie), *homunculus erus*. Mentalność takiego obywatela polega na prymitywnym upodmiotowieniu politycznym, którego głównym składnikiem jest bardzo silne poczucie własnych uprawnień: co je moje, to je moje. Dalsze etapy tego egoistycznego i pozornego uspołecznienia prowadzą do zastąpienia poczucia moralnego przez pozorną kulturę prawną. Taki wychowanek egoistycznej demokracji liberalnej z czasem zatracą pojęcie dobra i zła, wierząc na przykład, że nie ma występkę, gdy nie ma dowodów, a nawet jak są, to dopiero „prawomocny wyrok sądu” może stanowić o winie. Bez niego nie ma rzekomo i samej winy. Najwyższą mądrością takiego cwaniaka jest głębokie przekonanie, że co nie jest zabronione przez prawo, to jest w ogólności dozwolone. Uczciwość i honor uważa on za wymysły, a domaganie się ich od niego – za atak na siebie i prowokację. Dalej pojawia się bezwstyd – otwarte mówienie o swych występkach, które przecież nie zostały osądzone.

I tak dochodzimy z powrotem do chama, tyle że jest to już cham nowy, demokratyczno-liberalny. Demokracja nie potrafi rozwiązać sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy „uspołecznionym egoizmem”, który demokratyczna praworządność wspiera, a uspołecznieniem właściwym, polegającym na gotowości do kierowania się dobrem publicznym, „interesem” całego społeczeństwa. W demokracji zwycięża z zasady, a wręcz jest moralnie legitymizowany „interes” partykularny i prywatny. Jest to jednak interes fałszywy, bo nikomu „nie opłaca się” żyć w społeczeństwie wiecznie negocjujących swe interesy egoistów. Prawdziwy „interes” człowieka i wspólnoty jest postawiony moralnie znacznie wyżej i jest niedosiężny dla demokratycznych kategorii negocjacyjnych. Tym „interesem” są cnoty i płynące z nich szczęście; nimi jednak współczesne demokratyczne państwo nie umie i nie chce się zajmować.

Sprzeczność koronna demokracji: dyskryminacja obywatelstwa

Dochodzimy oto do najgłębszej sprzeczności stosunków demokratycznych. Polega ona na tym, że postawy egoistyczne czy partykularystyczne, z natury rzeczy powszechniejsze niż postawa obywatelska, w demokracji zwyciężają. Sam system demokratyczny istnieje dzięki pewnej warstwie ludzi oświeconych i posiadających pewną kulturę polityczną, zdolnych myśleć obywatelsko, czyli w kategoriach dobra wspólnego i dobra całego państwa. Ci ludzie jednak są w systemie demokratycznym z reguły na politycznym marginesie. Kto zużywa swój głos dla dobra wspólnego, ten nie ma go już dla siebie. Elita narodu podtrzymuje system demokratyczny i wyjaśnia społeczeństwu jego reguły, ale sama w nim przegrywa. „Głosując” za dobrem wspólnym traci szansę „głosowania” za swoim własnym grupowym interesem. W rezultacie jej głos nie liczy się w ogóle. Jednocześnie elity społeczeństwa obywatelskiego są zbyt wąskie, by naprawdę skutecznie bronić dobra wspólnego, zwłaszcza wtedy, gdy nazbyt jawnie jest to jednocześnie w ich partykularnym interesie. Trudno im na przykład przeforsować zwiększenie nakładów na naukę kosztem rozdawnictwa gotówki. Elita obywatelska zwykle nie zakłada korporacji, związków zawodowych, nie organizuje burzliwych demonstracji. Być może powinna się tego nauczyć.

Nowoczesna demokracja posługuje się w swej propagandzie podwójną zachętą. Zachęca wszystkich do zabiegania o własne interesy, a jednocześnie namawia do postawy obywatelskiej, czyli kierowania się dobrem całego społeczeństwa i państwa. Czyni tak przez wiarę w liberalny ideał, zakładający, że rozwój społeczny zmierza do stopniowego uzgadniania się interesów partykularnych z interesem publicznym. Kiedyś w przyszłości egoizm rzekomo będzie tym samym co postawa obywatelska, będzie się *opłacać* być prawdziwym obywatelem. Bez tej wiary demokracja nie ma sensu.

Wiara ta jest jednak tylko wiarą. Niech wierzy, kto chce. Ja nie wierzę. Demokracja nadal pozostaje jednak kwestią naszych uprawnień, a nie wyboru najlepszego, najbardziej funkcjonalnego ustroju. Demokracja więc być musi. Ale musi też znosić swoje własne wady. Znosić – czyli w miarę możliwości usuwać. Do końca jednak nie jest to możliwe, bo demokracja zawiera wewnętrzne sprzeczności. Dlatego filozof polityczny znajduje się w dziwnej i dwuznacznej roli: musi wspierać coś, w co sam do końca nie wierzy, i naprawiać demokrację, której nigdy naprawić do końca się nie da. Powiedzmy, że jego misja, którą podziela z elitą intelektualną społeczeństwa, to nie dać demokracji umrzeć od swych wrodzonych chorób.

*

Oto przykład tekstu z pogranicza publicystyki i eseju politycznego. Za długi i za trudny na gazetę codzienną, choć jednocześnie zbyt mało erudycyjny dla wysmakowanego „tolstowo żurnala”. Jego konstrukcja jest przejrzysta i dydaktyczna: lista paradoksów demokracji, często zresztą omawianych, choć może nie w takim konkretnie zestawieniu, w literaturze politologicznej, wraz z nie bardzo oryginalną, lecz bezpieczną konkluzją, że tak czy inaczej nic lepszego od demokracji do wyboru nie mamy. Dydaktyzm tego rodzaju prac predestynuje je do „użytku szkolnego”, co zresztą znajduje potwierdzenie w znacznej liczbie pobrań tego tekstu z mojej strony internetowej. Zważywszy, że autor jest profesorem wykładającym między innymi teorię polityki, protekcyjny ton w eseistyce można mu do pewnego stopnia wybaczyć. Generalnie jednak nie polecam takiego pisanie, a w każdym razie nie na wczesnym etapie pisarskiej kariery. Tym bardziej że nie jest łatwo coś takiego opublikować na papierze. Drukiem ukazała się jedynie mocno okrojona wersja tego artykułu. Kroił zresztą nie byle kto, bo sam Wojciech Duda, legendarny redaktor „Przeglądu Politycznego”, który jak żaden inny znany mi redaktor „nosi się” z każdym tekstem, długo dyskutuje o nim z autorem, starannie skraca i poprawia. Takich autentycznych redaktorów jest zapewne bardzo niewiele i trzeba ich sobie szczególnie cenić. Sam wiele się od red. Dudy nauczyłem, choć redaguję cudze teksty do druku od ćwierć wieku.

SĄD NAD JANOSIKIEM

ARTYKUŁ, NAPISANY W ROKU 2004, BYŁ ODRZUCANY KOLEJNO PRZEZ KILKA REDAKCJI, KTÓRYM GO PROPONOWAŁEM (W WERSJI ZNACZNIE MNIEJ BAROKOWEJ NIŻ TU PREZENTOWANA).

Zagórami, za lasami, w słowackiej Małej Fatrze, jest sobie wieś Terchova. Dawno temu żył tam słynny zbój Janosik. Janosik napadał, rabował, CK poborców i komorników gonił, a jak bogatemu jakiemu co zabrał, to sobie tylko troszkę zostawiał (no, głodny przecie chodzić nie będzie), resztę zaś to i dziewczynie dał (bo nic za darmo się nie dostaje), i kuzynom (bo rodzinę się ma jedną), i sąsiadom (bo z sąsiadami trzeba przecie dobrze żyć). Kiedyś Janosika złapali i powiesili. I wszyscy by dawno o zbójku zapomnieli, gdyby nie pieśniarz i gdyby nie miejscowy lud, który w przykazaniu „zabrać bogatym, rozdać biednym” ujrzał kwintesencję swej teorii sprawiedliwości. Ten lud rękami swych przedstawicieli wystawił w Terchovej Janosikowi pomnik, a nawet całe muzeum! I tak to Janosik został boha-terem. Obawiam się, że jest nim nie tylko u siebie.

Oto jakiś czas temu miałem honor wyklądać w Letniej Szkole Filozofii Politycznej, zorganizowanej w pobliżu Terchovej. I stało się coś, co w tym miejscu i w takich okolicznościach stać się musiało. Na jednym z seminariów wywiązała się dyskusja o sprawie Janosika, czyli o tym, czy państwo może zabierać bogatym, by dawać biednym. Oczy doktorantek rozszerzyły się, szyje wyciągnęły, a usta lekko rozwarły (wszystko to są u tego gatunku kobiet oznaki zainteresowania teoretycznego); nareszcie zrobiło się ciekawie! Jedna z nich, a było jej Monika, orzekła, że państwo może zabierać bogatym, bo to jest rzecz historycznego przypadku, że ten został bogaczem, a inny znów biedakiem: tak się potoczyły losy społeczeństwa, niekoniecznie mądrze i sprawiedliwie, że są w nim bogaci (nie do końca z własnej zasługi) i biedni (raczej nie ze swej winy). Ooo!, pomyślałem sobie, tego już nie zdzierzę, muszę napisać artykuł na ten temat, w obronie domku z ogródkiem i moralności maluczkiego mieszczanina przeciwko heglistom, marksistom i wszelkim historiozofom od wyższej dziejowej sprawiedliwości.

Hegel i wielbłąd

Nasz ukochany nauczyciel metafizyki na KUL-u o. Krąpiec często i niezbyt kompetentnie rozprawiał o Heglu, mawiając przy tej okazji, że wielcy filozofowie systemowi popełniają wielkie błędy, bo mały błąd na początku systemu okazuje się wielbłądem na jego końcu. Wprawdzie nie czuję się godny nosić za Heglem tornistra, ale muszę

przyznać, że popełnił mały błąd, który stał się wielbłądem. Mały błąd był taki, że miałą filisterską moralność, która zajęta jest tylko tym, czy jesteśmy w porządku wobec naszych krewnych i znajomych, Hegel wziął za całą moralność. Dlatego uznał, że zwykła moralność jest za wąska, zbyt małoduszna i pogrążona w kontekście życia prywatnego, by móc zagwarantować sprawiedliwość i wolność w wymiarze publicznym i instytucjonalnym. Sprawiedliwe stosunki i wolność wymagają, by państwo kierowało się wyższą moralnością publiczną, czyli *etycznością* (*Sittlichkeit*). Hegel uważał, że spraw wagi państwowej nie można należycie objąć rozumem, jeśli patrzy się tylko z punktu widzenia prywatnego człowieka i jego pojęć o uczciwości i sprawiedliwości. Co więcej, zgodnie ze swym przekonaniem, że w życiu społecznym prawdy „starzeją się”, a czasem wręcz przechodzą w swe przeciwieństwa, Hegel gotów był uznać, iż to, co może *słusznie* wydawać się niesprawiedliwe z punktu widzenia „moralności”, jednocześnie może być *mimo to* sprawiedliwe z wyższego i godniejszego punktu widzenia „etyczności”.

I tak na przykład mały „człowiek moralny” może uważać za niesprawiedliwe, że państwo odbiera mu znaczną część dochodów, by zająć się wychowaniem młodzieży z biednych domów, ale człowiek etyczny, myślący w kategoriach całości państwa i społeczeństwa, wie, że po to, aby wszyscy mogli cieszyć się równą wolnością, indywidualnie i zbiorowo, w praworządnym i sprawiedliwym państwie, trzeba pracować nad wychowaniem młodzieży i podniesieniem statusu materialnego najuboższych. A jednak mały, choć zamożny człowiek jakoś nadal nie może pojąć, dlaczego zabierają mu tyle pieniędzy w podatkach, żeby wydać je na cele innych ludzi, a tym bardziej tego, że, jak go przekonują, właśnie dlatego ustrój jest sprawiedliwy. On gotów jest myśleć wręcz przeciwnie – że sprawiedliwie byłoby, gdyby płacił ileś tam i otrzymywał za to usług z grubsza za tę samą kwotę. Nie uchyla się od łożenia na rzecz biednych, ale chciałby, żeby to nie była może aż trzecia część tego, co zarabia. Mały, lecz biedny człowiek dla odmiany nie ma żadnych kłopotów ze zrozumieniem, że bogatemu państwo-Janosik zabiera tak wiele, by dać jemu. Zwykle o tym nie myśli, a jak pomyśli, to się ucieszy, pełen wdzięczności (oczywiście dla państwa, a nie dla swego dobroczyńcy). Niech no jednak tylko biedny stanie się zamożny albo zamożny biedakiem! Nowo wzbogacony nie chce już wysokich podatków i wielkich społecznych zobowiązań państwa, a zbiedniały – jak najbardziej, zaczyna ich pragnąć. Prawdą jest więc, że syty głodnego nie zrozumie, a ściśle: nie chce pogodzić się z tym, że głodny, mając za sobą Janosika, chce mu zabrać, ile tylko się da. Lecz prawdą jest i to, że głodny nie zrozumie sytego, a ściśle tego, że syty dokładnie tak samo jak biedny nie lubi, gdy mu się coś zabiera. To, że dwóch ludzi nawzajem się nie rozumie, nie znaczy jednak jeszcze, że obaj stoją na tej samej moralnej płaszczyźnie. Janosik też nie rozumiał się wzajemnie z kupcami, których bił i rabował – no i co z tego?

Z całym szacunkiem więc bardzo proszę: jak mam komuś coś dać, to wołałbym raczej z przekonaniem, dobrowolnie. I wołałbym wiedzieć, co z tymi powierzonymi państwu pieniędzmi się dzieje, i mieć na to pewien wpływ. I żeby ci, co dostają te pieniądze, które jednak to ja sobie zarobiłem, a nie oni, wiedzieli, że coś ode mnie dostali, szanowali to i byli mi wdzięczni. I żeby czuli się solidnie zachęceni do tego, aby w którymś momencie przestać korzystać z pieniędzy państwowych i zacząć zarabiać samodzielnie. Żeby wiedzieli, że ktoś płaci, by opłacany mógł być ktoś, i że nie jest fair, jak to trwa zbyt długo. Inaczej mówiąc, popiskuję tu cienkim głosem „moralności”, czapkę mnę, dopraszając się łaski Pana Stróża Etyczności, aby tak bez litości nas nie łupił i nie karał jak jakiego Żyda na arendzie za to, że coś tam sobie zarobiliśmy, tylko jakoś z nami się dogadywał.

Bo wielbłąd Hegla polega na tym właśnie, że w oparciu o jego doktryny, podchwyczone przez socjalistów, podnosi się podatki i rozszerza zadania opiekuńcze i socjalne państwa daleko poza granice wyznaczone realnym, a nawet w ogóle możliwym do uzyskania, *porozumieniem* z tymi, którzy dostarczają temu państwu środków. Trwały konflikt społeczny, antagonizm biednych i bogatych, utrzymywanych przez państwo i utrzymujących państwo, zdaje się przez to nie do przezwyciężenia. Co więcej, w mniej racjonalnie rządzonych krajach podatki bywają tak wysokie, że uciskają gospodarkę w stopniu powodującym ostatecznie zmniejszenie dochodów państwa właśnie z podatków! Tak jest również Polsce.

Magia jedyńki

Jeśli założyć, że bogactwo jest niesprawiedliwe, to państwo powinno, niczym ten Janosik, zabierać możliwie najwięcej, byle tylko nie zarznąć kury znoszącej złote jajka, czyli prywatnego przemysłu. Za drutami kontroli i ograniczeń powinna istnieć „kapitalistyczna gospodarka”, jak wysypisko śmieci albo inny nieprzyjemny, choć konieczny, zakład, bo jak na razie tylko dzięki działalności tych nieświadomych politycznie i moralnie wyrobników pieniądza można finansować działania na rzecz „sprawiedliwości społecznej”.

To się nazywa „myślenie socjaldemokratyczne” albo „liberalne”, w znaczeniu, jakie nadaje temu słowu na przykład taki John Rawls. W tym myśleniu kapitalizm to zło konieczne. Jeśli mielibyśmy tolerować nierówności materialne między ludźmi, to tylko o tyle, o ile w wymiarze ogólnospołecznym są one opłacalne, czyli przyczyniają się do wzrostu ogólnego dobrobytu, a zwłaszcza wzrostu dochodów najbiedniejszych. Gdyby wyrównywanie statusu materialnego ludności musiało doprowadzić do ogólnego zbiednienia społeczeństwa, to trzeba takiej akcji poniechać. Ale jeśli podniesienie podatków nie zaszkodzi gospodarce, to oczywiście trzeba je podnieść i za uzyskane kwoty wesprzeć jakieś pozytywne społeczne cele.

Wszystko to jednak znaczy, że byłoby najlepiej, gdyby wszyscy mieli po równo, a bogactwo jest samo w sobie czymś niestosownym. Jeśli się zgadzamy na istnienie nierówności i bogactwa, to tylko dlatego, że nie mamy wyjścia – ich istnienie się bowiem, niestety, *opłaca*. Mam jednak bardzo złą wiadomość dla wyznawców tych doktryn i miłośników nazbyt dosłownie rozumianej równości. Sprawiedliwie znaczy „po równo” tylko i wyłącznie, gdy pewna liczba osób otrzymuje coś w zamian za równy wkład, np. taką samą wpłatę pieniężną lub takie samo świadczenie pracy. W pozostałych przypadkach „po równo” jest tak samo rzadko miarą sprawiedliwości jak dowolna inna proporcja, np. 1,38:1 albo 1,73:1. Właściwie poza sklepem i zakładem pracy, czyli cenami (jednakowymi dla wszystkich klientów) i płacami (takimi samymi dla wszystkich pracowników robiących to samo) nie zdarza się, by było sprawiedliwie, by ludzie mieli „po równo”. Przyjmowanie równości stanu posiadania członków społeczeństwa jako ideału jest tak samo absurdałne jak przyjmowanie np. ideału takiego, że społeczeństwo będzie się dzielić na trzy grupy o stosunku zamożności 1,35:1:0,71. Jedynka jest taką samą liczbą jak każda inna!

Gdyby Janosik o zgodę pytał...

Drogi Janosiku, który wybierasz mi ze spichlerza, ale zostawiasz ziarno na zasiew, byś miał po co przyjść za rok! Drogi i sprawiedliwy nowoczesny Socjaldemokrato! Każdy z nas chciałby mieć jak najwięcej. I dobrze, bo dzięki temu się stara. I choć jednocześnie wielu z nas chciałoby, żeby świat był taki, aby wszyscy mieli po równo, to ta ochota motywuje nas do działania jakoś mniej. Lepiej więc trzymajmy się tego, że każdy chce zarobić, bo i tak nie zmienimy naszych serc w ten sposób, aby bardziej niż na pieniądzech zależało nam na tym, aby nie mieć ich więcej niż inni. Podejrzewam nawet, że większość z nas, o zgrozo!, nadal będzie chciała mieć *więcej* niż inni...

Znam Twoją odpowiedź. Powiesz, że jesteś bardzo cywilizowanym Janosikiem i że gotów jesteś wspaniałomyślnie zostawić mi troszkę więcej nawet niż koniecznie potrzeba, aby moje zdolności produkcyjne się utrzymały. Inaczej mówiąc, pozwolisz mi na odrobinę luksusu, tak na zachętę, żeby nie zgaś we mnie duch pazerności, a wraz z nim boża iskra do innowacji i inwestycji. Chciałbyś tylko, żeby się przez moje zbytki dobra tak potrzebne biednym u mnie nie marnowały. Jak mówiła pani Monika, jak bogacz ma dziesięć pokoi, to nic mu się nie stanie, gdy zostanie mu osiem.

Otóż stanie się! Ktoś przyjdzie i mu zabierze. Jego własność zostanie przymusem naruszona, co jest złem samo przez się, chyba że dochodzi do sytuacji krytycznych i nadzwyczajnych (jak wojna), które po części rządzą się swoimi prawami. Prawo, które pozwala zabrać bogatemu po prostu dlatego, że jest bogaty, czyli w oparciu o dowolną ocenę, że „już mu wystarczy i nie stanie mu się krzywda, gdy trochę

odda”, ma dokładnie tę samą logikę, którą posługuje się bandyta, choćby nasz dzielny Janosik. Żeby komuś coś odebrać, nie wystarczy, że się tego potrzebuje, ani nawet to, że dotychczasowy właściciel tego *nie potrzebuje*. Do zaboru własności trzeba mieć konkretny, legalny tytuł oraz upoważnienie. Potrzeba nie jest takim tytułem. Jest nim na przykład nakaz komorniczy związany z długiem, odszkodowaniem czy podobnym uprawnieniem. Z upoważnieniem moralnym sprawa podobna. To, że działa się w dobrej wierze i z dobrym skutkiem, samo jeszcze nie upoważnia do żadnych akcji ograniczających cudze prawa i własność. Trzeba mieć i bezpośrednie przyzwolenie (np. demokratyczną legitymację), i działać w systemie politycznym, w którym panuje społeczny konsensus wokół posiadania przez władzę takich uprawnień. Takiego konsensu jednakże nie ma – biedni chcą państwa-Janosika, a reszta (bynajmniej nie tylko wąska grupa najbogatszych!) – nie. I tak zbój pozostaje zbrojcem, bo bierze i o zgodę nie pyta.

Janosik rewindykatorem?

Socjaldemokraci, którzy bywając w towarzystwie, załapali, że Janosik jest jakby trochę mniej subtelnym gościem, chętnie twierdzą, że państwo działające tak jak Janosik, czyli uciskające bogatych, w istocie ma do tego prawo, bo bogaci zawdzięczają swe bogactwo pracy biednych i mają wobec nich *dług*. Co więcej, podobno w dużym stopniu zawdzięczają oni swe bogactwo *przypadkowi* lub nawet *historycznej niesprawiedliwości*. Jeśli chodzi o to ostatnie, to gratuluję socjaldemokratom wiedzy, co by było, gdyby historia potoczyła się inaczej, oraz pewności, że w ogóle mogła potoczyć się inaczej. Zaiste, nie wiedziałem, że tacy z nich metafizycy i historiozofowie. Tylko dlaczego mamy im wierzyć? A może jest odwrotnie i aktualne nierówności są całkiem nieprzypadkowe, ewentualne zaś możliwe historyczne alternatywy gorsze? Nie wiem. Ale, po prawdzie, i Wy nie wiecie! A zresztą nawet gdyby to była prawda, co mówicie, i bogacze mieli swe dobra „z przypadku” lub „z dziejowej niesprawiedliwości”, to dlaczego ten fakt miałby być już *dostatecznym* argumentem dla łamania ochrony własności? Jest wielka różnica między „dobrym pretekstem” a „dobrym powodem” – jak się chce komuś przywalić, to dobry pretekst zawsze się znajdzie, dobry powód zaś rzadziej. Poza tym, cóż by to była za własność, która zaraz może zniknąć, gdy tylko wyrokiem biurokraty okaże się, że jej „nie potrzebuję” albo uzyskałem ją wskutek „historycznej niesprawiedliwości”? Nawet Marks nie udawał, że tak pojęta własność (a takiej chciał dla społeczeństw komunistycznych) jest jeszcze w ogóle jakąś własnością.

Ale wróćmy do poważniejszego argumentu, że mianowicie bogaci są *de facto* zadłużeni u biednych i muszą zwrócić im dług. Otóż jeśli bogaci są pracodawcami,

a biedni pracobiorcami, to całkiem oczywiście wzajemnie coś sobie dają i wzajemnie się potrzebują. Trudno ujmować to w kategoriach długu, bo wtedy trzeba by powiedzieć, że pracodawca powinien być wdzięczny, iż ludzie u niego pracują, a pracobiorca, że jest ktoś, kto dał pracę i płacę. Tak naprawdę żadnych łask i długów tu nie ma. Długiem jest pensja, do dnia, w którym zostanie wypłacona. Długiem jest też praca, dopóki nie zostanie wykonana, zgodnie z umową z pracodawcą. Swoje długie bogaci spłacają swoim pracownikom w postaci pensji, a pracownicy – swą pracą.

Płać, nie... używaj?

Nie bądźmy jednak radykałami. Radykał powiedziałby, że wszyscy powinni płacić takie same podatki, bo korzystają z równych praw obywatelskich. Na przykład każdy po 1000 zł miesięcznie. Takiej prostodusznej sprawiedliwości nikt się nie domaga. Niektórzy jednak proponują, żeby działała tak zwana zasada solidarności: masz więcej, podziel się z potrzebującymi. W przekładzie na język prostodusznego człowieka (a sam za takiego się uważam i za takimi się ujmuję; kudy mi bowiem do Hegla – on zresztą zawsze się wyżywi) znaczy to: „Im więcej zarabiasz, tym więcej płacisz”. Czyli: zarabiasz dwa razy więcej, oddajesz do fiskusa dwa razy więcej. W gazetach nazywa się to podatkiem liniowym, bo zależność między dochodami a podatkami wyraża tu równanie pierwszego stopnia (czyli „liniowe”), z jedną niewiadomą, którą, jak to w życiu, są nasze dochody.

Sprawiedliwość socjaldemokratyczna jest jednak bardziej jeszcze zawikłana. Jej formuła brzmi: im bardziej twoje dochody odbiegają od dochodów większości, tym większą płacisz dopłatę w stosunku do zasady liniowej. Krótko mówiąc, progi podatkowe i kary za bogactwo. Nie wystarczy, że jako zamożniejszy płacę wyższe podatki. Muszę zapłacić jeszcze nieproporcjonalnie wyższe, dlatego, i tylko dlatego, że jestem zamożny. Ktoś mógłby powiedzieć, że jako zamożny bardziej skorzystałem z dobrodziejstw państwa, bo bez państwa i jego cywilizacji nie byłbym w stanie osiągnąć swej fortuny. Cóż, bardzo trudno to zmierzyć i wycenić. Łatwo natomiast stwierdzić, że jak jestem bogaty, to nie korzystam z ogromnej większości programów państwa, takich jak darmowa służba zdrowia, darmowa edukacja, darmowe bezpieczeństwo. Im jestem bogatszy, tym mniejszy mój udział w usługach państwa, a moje podatki przeznaczane są na cele innych osób. Inna rzecz, że jak jestem naprawdę bogaty, to choćbym nie wiem jak się starał i tak nie będę w stanie wydać swych pieniędzy w istotnym stopniu „tylko na siebie”. Zawsze w ogromnej większości moje wydatki będą nie konsumpcyjne, lecz inwestycyjne lub też związane ściśle z zatrudnianiem kogoś. Jeśli więc będąc bogatym, oddaję istotną część swych dochodów państwu, to

nie uszczuplam tym samym swojej własnej konsumpcji, lecz swe inwestycje, a pośrednio konsumpcję innych, znacznie mniej zamożnych od siebie ludzi.

Pieniądze nie są jednak najważniejsze. Najważniejszy jest honor. Jeśli każe mi się oddawać połowę dochodów, to znaczy, że państwo uważa, iż to nie w porządku, że tyle mam. Nie ma bowiem mowy o tym, by ktoś płacił tak wysokie podatki, nie czując się pokrzywdzony. Nie ma mowy o tym, żeby był tu społeczny konsensus, uwalniający od konfliktu i przymusu. Ustawodawca uchwalający 50-procentowy podatek dochodowy daje sygnał społeczeństwu, że bogactwo jest złe lub co najmniej podejrzane, a bogaci są nam wiele winni. Taki stosunek państwa do obywateli, którzy dostarczają mu najwięcej środków, w niewielkim tylko stopniu korzystając z jego usług, to hańba. I ta hańba jest czymś o wiele gorszym niż miliony stracone wskutek wprowadzenia bezmyślnej ustawy zmuszającej wręcz przedsiębiorców do przenoszenia swych dochodów za granicę, maskowania ich lub w ogóle zniechęcającej do przedsiębiorczości.

Janosik, ty hipokryto!

Zohydowanie bogatych jest nie tylko objawem skrajnej niewdzięczności i działaniem na szkodę ekonomicznego interesu kraju, lecz także hipokryzją. Posłowie głoszący za taką ustawą muszą bowiem przyznać, że skoro uważają ją za słuszną, to albo nie chcieliby być bogaczami, albo gdyby nimi byli, chcieliby płacić tak wysoki podatek i uważaliby go za sprawiedliwy. Otóż nie tylko chcieliby być bogaci, lecz także dobrze wiedzą o tym, że wtedy by im się wcale taki podatek nie podobał. Żądać prawa, któremu jednocześnie nie chciałoby się podlegać, to przewrotność i hipokryzja właśnie.

Niestety, taka hipokryzja leży u podstaw rozumowania socjaldemokratów w ogóle. Chcieliby oni bowiem zorganizować społeczeństwo według zasad, o których doskonale wiedzą, że społeczeństwo nie zaakceptuje ich dobrowolnie, lecz będą zawsze niczym więcej niż zasadami wyrażającymi interes biednych, zantagonizowany z interesem bogatych. Naczelna zasada propagowana przez socjaldemokratów głosi mianowicie, że solidarność społeczną wolno czynić prawnym przymusem. Oczekują oni nawet, że będą się cieszyć, że płacę, że mnie państwo „rozkułaczy”. Niemądre to marzycielstwo, rzekomo usprawiedliwiające zamach na własność bogatych. Prawdziwa hipokryzja polega jednak na tym, że nasi socjaldemokraci i amerykańscy liberałowie sugerują, iż możliwe jest społeczeństwo zorganizowane tak, jakby nie działała w nim zasada, że każdy chce być jak najzamożniejszy, jak najswobodniej dysponować swoją własnością i płacić jak najniższe podatki. Tymczasem oni wiedzą, że nie jest to możliwe, i tylko udają, że pragną takiego społeczeństwa, w którym zasada

„solidarnie i równo” ma autentyczny priorytet przed zasadą „niechaj ja mam jak najwięcej”. Gdyby nie udawali, znaczyłoby to, że im samym nie zależy, by mieć jak najwięcej. Tymczasem zależy, jak wszystkim. Udają tylko kogoś, kim nie są, a nawet nie chcą być. I to jest właśnie obłuda.

Każdy biedak chciałby zarabiać jak najwięcej (na szczęście!). Nie wolno tak urządzać państwa, jakby to, czego pragną wszyscy – bogactwo – było złem. Ani tak, żeby utrzymywać i podsycać antagonizm między biednymi i bogatymi. Rządy biednej większości, wymierzone przeciwko bogatym Arystoteles nazywał demokracją. Władzę uczciwą, sprawowaną w imię cnoty i pożytku ogółu, nazywał po prostu „państwem” (*politeia*), chcąc w ten sposób zaznaczyć, że państwo realizujące swe cele jest państwem i już, a nie jakimś jego rodzajem, czyli „ustrojem”. Nazwa ma też związek z tym, że *politeia* jest „władzą wielu”, w odróżnieniu od władzy niewielu lub jednego. My sprawiedliwą władzę wielu nazywamy słowem „demokracja”. Ale to tylko przesunięcie znaczeń i słów. Nadal obowiązuje nas zasada, wyłożona w V księdze „Polityki” przez Arystotelesa, mówiąca, że wypaczeniem sprawiedliwej władzy wielu (*politei* dla niego, demokracji – dla nas) jest sprzysiężenie biednych przeciwko bogatym. Otóż bogaty też człowiek! Ucisk bogatego jest taką samą niegodziwością jak ucisk biednego, podobnie jak pobicie grubego jest złem w tym samym stopniu co pobicie chudego.

Mały człowiek nie rozumie się na wielkim Heglu, ale też nie ma obowiązku go słuchać, nawet jeśli Filozof ma rację. Za to wie, co jego. Janosika kocha, gdy mu przynosi, a nienawidzi, gdy mu zabiera. Może najtrudniejszą rzeczą w filozofii polityki jest zrozumienie, że nie chodzi w niej tylko o prawdę, ale także o zgodę ludzi na tę prawdę. Polityka jest dla małych ludzi i właśnie dlatego filozofia polityki też musi być dla małych ludzi. Kiedyś w teleranku śpiewano nam: „Co może, co może mały człowiek, tak jak ja albo ty?”. Dalej było jeszcze lepiej: „Może pani, a może pan podpowie, my zgodzimy się z tym”. Otóż zgodzimy się albo i nie. To się nazywa wolność, panowie socjaldemokraci, Janosikowe druchy!

*

Cóż, gdy pisałem ten tekst nie było jeszcze „Liberté”. Nic dziwnego więc, że nie udało mi się go opublikować. Otwarte głoszenie liberalnych poglądów w kwestiach, co do których istnieje dość solidny konsensus społeczny i polityczny (a należy do nich socjaldemokratyczna doktryna zwana często programem „społecznej gospodarki rynkowej”), nie jest lubiane przez gazety i czasopisma, nawet te, które skądinąd lubiane są przez liberałów. Artykuł powstał faktycznie pod wpływem dyskusji w Szkole Letniej Filozofii Polityki w Štefanovej na Słowacji, ale bardziej jeszcze na

wieść o planowanym przez lewicę wprowadzeniu 50-procentowego podatku dla bogatych. Prezentuje styl sarkastyczny i polemiczny, zachowując wcale nie takie skromne ambicje teoretyczne. Bardzo lubię tak pisać, ale muszę przyznać, że mało kto to docenia. Lekki styl zniechęca do poważanego traktowania argumentów. Biedny publicysta stale musi się z tym borykać – im bardziej będzie uwodzicielski literacko, im więcej przyciągnąć zdoła czytelników, tym mniej poważnie będzie traktowany.

RASIŚCI I POTWARCY

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „RZECZPOSPOLITEJ” Z 15–16 KWIETNIA 2004 R.

Nie trzeba, a może wręcz przeciwnie: nigdy nie dość mówić, że rasizm jest złem. Ale rasizm nie jest jedynym złem, jakie wiąże się z „kwestią rasową”. O tym zaś nie mówi się prawie w ogóle. Tymczasem pokłady agresji i głupoty zalegają nie tylko w głowach rasistów, lecz często także w umysłach wrogów rasizmu. Zbyt łatwo przychodzą im i zbyt łatwo są im darowane niezliczone potwarze i oszczerstwa kierowane wobec domniemyanych rasistów. Oskarżenie o rasizm rzucić łatwo. Bronić się przed nim trudno, bo ten, który to oskarżenie rzuca, podlega jakby szczególnej ochronie: wszak występuje jako ktoś, kto zwalcza rasizm, jako obrońca uciśnionych i rzecznik powszechnie uznanej przez cywilizowanych ludzi prawdy. Dlatego oszczerca, rzucający niesłuszne oskarżenie o rasizm, jest może gorszy od samego rasisty. Ten ostatni jest bowiem poniekąd bezbronny – kulturalni ludzie nie tylko odmawiają mu racji, lecz także nie tolerują jego rasistowskich przekonań i bez wahania wykluczają ze swego grona. Potwarca tymczasem zwykle ma się dobrze. Można wręcz zbić mały polityczny kapitalik na szermowaniu nieuczciwymi posądzeniami o rasizm.

Lecz posądzenia takie biorą się nie tylko ze złej woli. Czasami są wynikiem nieporozumień. Zanim do tego przejdę, chciałbym wpierw zastanowić się nad tym, czym właściwie jest rasizm i co w nim jest takiego złego. Zwykle przez rasizm rozumiemy nienawiść lub choćby uprzedzenia w stosunku do ludzi innych ras niż nasza, a zwłaszcza przejawy agresji lub dyskryminacji na tym tle. Czasem jednak pojęcie rasizmu rozszerza się na inne przejawy nietolerancji wobec dużych grup ludzkich, np. narodów albo mniejszości seksualnych. Takie rozszerzenie, zwłaszcza na gruncie języka angielskiego, jest i przez język, i przez obyczaje prasowe akceptowane, jakkolwiek tak naprawdę uprzedzenia narodowe (np. antysemityzm) wolno nam określić oskarżycielskim epitetem „rasizm” dopiero wtedy, gdy sięgają aż do sfery biologicznej, a więc gdy idzie za nimi fizyczny wstręt lub pogarda dla cielesności znienawidzonych ludzi. W takim znaczeniu będę też mówił o rasizmie w dalszych ciągach. Terminem tym obejmuję więc również skrajne postaci wrogości narodowej, wyznaniowej i seksualnej. Co złego jest w rasizmie? Właśnie pogarda i nienawiść, które są jego podstawą. Rasizm jest złem moralnym i niesprawiedliwością, a nie błędem intelektualnym. Nie polega na niewiedzy czy nierozumieniu, że wszystkie rasy są równe. Bo gdyby nie były równe, to co? Czy wtedy dyskryminowanie kogoś z powodów rasowych byłoby uzasadnione? Zresztą równość,

żeby tak powiedzieć, na pstrym koniu jedzie. Wszystko zależy od dokładności mierzenia. W dziedzinie pomiarów empirycznych „równy wynik” to rzadki ptak, w dodatku ze względów metodologicznych zwykle niepożądany. Rzecz w tym, że z ewentualnych nierówności ras pod jakimikolwiek względami nie wynikają żadne ograniczenia obowiązku poszanowania jakichkolwiek osób i ich praw!

Jedno z nieporozumień, o których chciałbym tu mówić, wiąże się z samym terminem „rasizm” i sposobem jego używania. Otóż czasem uważa się samo mówienie o rasach za przejaw rasizmu. Rzekomo, jeśli przestaniemy mówić o rasach, to przestaniemy je w ogóle dostrzegać, wyróżniać i odróżniać od siebie (bo i po co?), zamykając usta rasistom, zanim je jeszcze otworzą. Ale jednak różnic rasowych ani się nie da, ani nie ma potrzeby przemilczać. Nie zawsze mówienie o rasach i ich swoistości czy różnicach pomiędzy nimi służy antagonizowaniu ras albo choćby ryzykownemu porównywaniu. Gdy mówię: „Nie podobają mi się Murzynki”, relacjonuję jedynie pewien fakt dotyczący mych upodobań estetycznych czy erotycznych i w żaden sposób nie mogę tego wyrazić inaczej; co najwyżej mogę nie mówić nic. Nie znaczy to jednak, iż twierdzę, że Murzynki *de facto* są gorsze czy brzydsze. Po prostu mi się nie podobają, tak jak mogą mi się nie podobać kobiety tęgie albo rude. Zupełnie niedorzeczne jest już natomiast dezawuowanie pojęcia rasy jako nienaukowego i niemającego interpretacji genetycznej. Nikt o taką interpretację się nie ubiega ani nie rości sobie pretensji do naukowości, mówiąc: „czarni”, „biali”, „żółci”! To są zwykłe terminy potoczne, dość nieostre, podobnie jak większość naszych pojęć, jakkolwiek na ogół zdadne do użycia w komunikacji codziennej. Inaczej mówiąc, zazwyczaj nie wahamy się i nie kłócimy o to, czy dany człowiek jest Murzynem czy Azjatą ani co pod tymi określeniami rozumiemy. Słowa tego rodzaju odnoszą się do wyraźnych cech wyglądu i żadnych dalej idących pretensji nie mają.

Najważniejszy jest jednak inny kłopot z posługiwaniem się terminami określającymi rasy. Polega on na tym, że czasem terminu takiego używamy dla nazwania jakiejś grupy ludzi, których chcemy skrytykować z powodów zupełnie niezwiązanych z ich rasą. Wynikają stąd rozliczne nieporozumienia i nadużycia. Znanym przykładem jest parkan zbudowany przez mieszkańców Uścia nad Łabą w Czechach, którym chcieli się oni odgrodzić od osiedla cygańskiego. Zamiarem tych ludzi było po prostu odizolowanie się od otoczenia, którego nie akceptowali, w tym wypadku z powodu brudu i hałasu. Dokładnie takie same motywy kierują właścicielami niezliczonych posesji, ogradzającymi je wysokimi nieraz murami. Także w Polsce całe osiedla, i to liczne, również otoczone są płotem dla częściowej izolacji od biedniejszego i mniej kulturalnego otoczenia. W Uściu nad Łabą jednak to otoczenie miało narzucającą się definicję „rasową”: *tam* mieszkają Cyganie.

Oczywiście można było przemilczeć termin „rasowy” i mówić o „uciążliwych sąsiadach”. Wtedy trudniej byłoby oskarżać mieszkańców osiedla o rasizm. Mimo takiego zabiegu retorycznego znaleźliby się jednak zapewne potwarcy, służalczy wobec panujących trendów, rzucający to straszne oskarżenie. Ostrożność na niewiele by się zdała. Byłaby też niepotrzebna i oportunistyczna. Mamy pełne prawo używać zbiorczego określenia każdej grupy ludzkiej, biorącego pod uwagę rzucającą się w oczy ich cechę wspólną. Jeśli sąsiednia dzielnica zamieszkała jest przez Żydów, powiemy, że jest to dzielnica żydowska, i wcale nie znaczy to, że na wszystko, co dotyczy tych ludzi, patrzymy właśnie pod kątem ich narodowości i wyznania, choćbyśmy zawsze mówiąc o nich, używali nazwy „Żydzi”. Jeśli więc sąsiednia dzielnica jest zamieszkała przez Cyganów, to również powiemy, że jest to dzielnica cygańska. A jeśli mamy coś mieszkańcom tej dzielnicy do zarzucenia, to wcale nie znaczy, że zarzucamy im to dlatego, że są Cyganami, chociaż nadal możemy, całkiem naturalnie, określać swych sąsiadów tym samym narzucającym się określeniem zbiorczym: Cyganie, dzielnica cygańska. Gdy powiemy więc: „Cyganie hałasują i brudzą”, to chociaż pojawia się w tym wyrażeniu termin typu rasowego, to wcale nie o „rasę” (czy narodowość) tu chodzi (lecz o brud i hałas), a terminu tego użyto wyłącznie dla zidentyfikowania grupy osób, w najnaturalniejszy, narzucający się sposób. Nie ma to nic wspólnego z rasizmem.

Nie muszą mieć rasistowskiego charakteru nawet takie wypowiedzi, które daną grupę w jakiś sposób krytykują. Na przykład nie każde złe zdanie o Żydach jest przejawem antysemityzmu. Jeśli krytyka jest uzasadniona, a wypowiedziana opinia prawdziwa, niepodszyta uprzedzeniami i wrogością, to wszystko jest w porządku. Wybitny filozof izraelski Shlomo Avineri powiedział kiedyś na spotkaniu w Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie: „My Żydzi jesteśmy aroganczy”, mając na myśli to, że arogancja jest bardzo częstą wadą przedstawicieli tej nacji. Czy Avineri jest antysemitą? Podobnie też powiadanie o kimś, że w swym postępowaniu w jakiś sposób, nawet nieświadomie, zdeterminowany jest przez swe pochodzenie, wcale nie musi być fałszywe i nieuczciwe. Bywa tak, że człowiek nie czuje, że przynależy do danego narodu, na przykład nie czuje się Żydem, ale inni go przez lata jakoś w to żydostwo „wrabiają” i czy tego chce, czy nie, los głęboko wiąże go z daną „kwestią narodową”. Zwracanie na to uwagi nie jest przejawem rasizmu. Dlatego zarzut rasizmu sformułowany niedawno przez prof. B. Świdorskiego na łamach „Rzeczpospolitej” w stosunku do K. Kłopotowskiego, autora artykułu o A. Michniku, był stanowczo niesprawiedliwy.

W krajach Zachodu uczyniono bardzo wiele dla zwalczania plagi rasizmu. Jest go w tej części świata nie tylko znacznie mniej niż dawniej, lecz także mniej niż w wielu innych regionach, na przykład na terenie Afryki, gdzie występują zarówno

czystki etniczne, jak i rasistowskie dyktatury. Jedna z nich panowała w RPA, ale od dziesięciu lat jest inaczej. Zwalczanie rasizmu wiąże się z wielkimi kosztami, na przykład z wydatkami na edukację, i nic dziwnego, że na większą skalę udaje się tylko w krajach bogatych. Są jednak i koszty moralne. Ceną za przezwycięzenie rasizmu (nie wszędzie i nie zawsze, ale jednak na ogół tak) było wytworzenie się na Zachodzie publicznej obsesji antyrasistowskiej i niesprawiedliwego podwójnego standardu. Wkrótce zapewne będzie to dotyczyć także Polski – jak tylko przybędzie więcej emigrantów. W USA czarnoskóry wykładowca uniwersytecki raczej nie musi się obawiać, że jak nie da zaliczenia białemu studentowi, to ten zemści się na nim, oskarżając go o motyw rasistowskie. Biali wykładowcy obawiają się tego bardzo, bo oskarżenia takie są nagminne. Mieszkaniec osiedla murzyńskiego w USA może powiedzieć w miejscu publicznym: „Nie podoba mi się, że wiele domów w naszej dzielnicy wykupili biali, bo zatracą się przez to jej murzyński charakter”, gdyby natomiast powiedział coś takiego biały Amerykanin w odniesieniu do Murzynów, mógłby mieć poważne kłopoty. Strach przed oskarżeniem o rasizm jest częścią tzw. „kultury poprawności politycznej”. Poprawność polityczna nakłada na nas restrykcje – kto jej zasad nie przestrzega, może zostać łatwo posądzony o rasizm, ale ponieważ także nas chroni, kto używa właściwego języka i tonu, nawet jeśli jest rasistą, oskarżenia może uniknąć. Nie chodzi tu jednak o same znaczenia wyrażań, ale o realnie zmieniające się zwyczaje językowe i wzrastającą wrażliwość na zachowania werbalne. Coś, co było całkiem niewinne dawniej, dziś, w zmienionych warunkach dyskursu publicznego, może być rażące i nasuwać poważne podejrzenia o rasizm. Nikt rozsądny nie przypuszcza, że Tuwim był rasistą, pisząc przed kilkoma dekadami wierszyk o Murzynku Bambo, który „uczy się pilnie przez całe ranki ze swej murzyńskiej pierwszej czytanki”. Dziś jednak „murzyńska czytanka” byłaby nie do zaakceptowania, i chyba słusznie.

Co innego wygładzanie języka, który powinien być kulturalny i nikomu nie sprawiać przykrości, a co innego bałamutne i obsesyjne „meblowanie języka” – tępienie całkiem neutralnych wyrażań i promowanie innych, często brzmiących okropnie. Czasem przybiera to formę agresywną i głupią, zwłaszcza w angielskim. Często jednak opiera się po prostu na zwykłym nieporozumieniu, tak jak to dzieje się na ogół na gruncie polszczyzny. Z tego, że jakieś słowo, np. „Murzyn”, „Żyd” czy „Cygan”, bywa bardzo często używane w kontekstach krytycznych czy wręcz rasistowskich, wcale nie wynika, że ono samo jako takie jest pejoratywne. Jak ktoś chce mówić rzeczy niegodne o Cyganach, to będą one nadal niegodne, niezależnie od tego, czy użyje słowa „Cygan”, czy „Rom”. Otóż w ogóle nie powinno się nazywać Cyganów „Romami” (czyli po cygańsku). Jest to piętnujące, sugeruje bowiem, że „coś jest nie tak”. Przecież na Niemców też nie mówimy „Dojczce”

(a więc z niemiecka), a wcale nie znaczy to, że słowo „Niemiec” ma wydźwięk pejoratywny (choć kiedyś być może tak było – Niemiec to ten, kto „nie mówi”). Piękna piosenka Garou „Gitan” powiada o Cyganie, na grobie Króla Cyganów na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu napisane jest „Król Cyganów”, a nie „Król Romów”, Cyganka zaczepia nas na ulicy słowami „Caganka powróży”, a nie „Romka powróży”.

Z każdą grupą zagrożoną dyskryminacją lub wykluczeniem (a Cyganie należą do najbardziej pokrzywdzonych!) jest tak samo. Mój dziadek nigdy nie używał słowa „Żyd”, bo wydawało mu się, całkiem niesłusznie, że mógłby tym jakiegoś Żyda obrazić; mówił więc „starozakonny”. Na szczęście nie udało się wykorzenić pochodzącego z hebrajszczyzny słowa „Żyd” i zastąpić go jakimś politycznie poprawnym (Rosjanie w czasie wojny kazali mówić Polakom „Jewriej”, nie wiedząc nawet, że „Żyd”, po rosyjsku słowo obraźliwe, to tak naprawdę to samo słowo). Z drugiej strony jednak nie udało się uratować pięknego słowa „Rusin”. Po polsku „Rusin” brzmi niezwykle szlachetnie. Cóż, źle pojęta godność narodowa, w tym wypadku idąca ręką w rękę z wymogami sowieckiej propagandy, zmusiła nas do przyjęcia źle po polsku brzmiącego terminu „Ukraińiec”, którego przed wojną używali głównie nacjonaści ukraińscy. Jakby na złość i na przekór tej manipulacji językiem słowo „ruski” (dawniej znaczące tyle co dziś „ukraiński”; stąd „pierogi ruskie”) faktycznie nabrało ostatnio odcienia pejoratywnego. Nie ma więc Rusinów, są Ukraińcy. Znosi się w dodatku na to, że nie będzie już Murzynów, ale będą czarni lub czarnoskórzy (być może pisani wielką literą). Apeluję więc do naszych afrykańskich studentów, w tym do swych osobistych miłych sąsiadów: nie dajcie się zwariować. Określenia takie jak „czarny” czy „czarnoskóry” są paskudne i trywialne („biały” niestety również, ale nie mamy innego) – nie dajcie się nazywać w ten sposób! Słowo „Murzyn” jest zaś zupełnie neutralne – żaden słownik języka polskiego nie sugeruje czegoś przeciwnego. A to, że wiele obelżywych zwrotów pod Waszym adresem wykorzystuje słowo „Murzyn”, nie jest żadnym świadectwem rasistowskiego charakteru tego słowa, lecz jego wrednych użytkowników!

Na koniec powtórzę najważniejsze. Rasizm jest moralnie odrażający. Ale złem jest również pochopne piętnowanie kogoś, kto ośmieli się powiedzieć coś krytycznego o Azjatach, białych Amerykanach, homoseksualistach, wyznawcach islamu, Żydach, Słowianach czy Indianach, a już zwłaszcza wtedy, gdy ta krytyka wcale nie dotyczy czegokolwiek związanego z tym, że są śniadzi czy właśnie biali albo chodzą do synagogi czy właśnie do meczetu. Pochopne i wynikające z nieporozumień oskarżenia o rasizm łatwo przechodzą w świadome rzucanie oszczerstw i kalumni. Kto w złej wierze, zaślepiiony nienawiścią, bezpodstawnie oskarża kogoś o rasizm, dopuszcza się czynu równie ohydny, jak sam rasizm.

*

Artykuł jest przykładem interwencji intelektualnej o charakterze porządkującym pojęcia i słowa. Dotyka kwestii, którą nie tak łatwo zwerbalizować, a brak takiej werbalizacji pomaga utrzymywać się nieporozumieniom i aktom złej woli, do których należą na przykład inkryminowane tu fałszywe oskarżenia o rasizm. Sądzę, że załatwianie takich spraw to jedna z najważniejszych powinności filozofa i jeden z niewielu pożytków, jakie może mieć z niego społeczeństwo. Tekst ukazał się w gazecie, która ma zmienne i burzliwe koleje losu, ale w zasadzie zawsze jest w jakimś stopniu gazetą prawnicową. Przedstawiciele prawicy bardzo często cierpią z powodu pomówień o rasizm (a swoją drogą prawników ze skłonnościami do uprzedzeń narodowych, religijnych i seksualnych nie brakuje). Tak się jakoś złożyło, że autorowi mało prawnicowemu (choć wtedy bardziej niż dzisiaj) było po drodze z gazetą niezbyt bliskiego mu nurtu ideowego. Coś takiego zdarzyło mi się zresztą kilka razy. Publicysta musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chce publikować gdziekolwiek, gdzie się da, czy też ma trzymać się swojej strony sceny politycznej. Osobiście jestem bliski tego pierwszego przekonania, a w każdym razie nie mam żadnych oporów przed publikowaniem w „Rzpie”, i mam nadzieję, że z wzajemnością. Publikuję w różnych miejscach, od „Faktów i Mitów” po „Nowe Państwo”, i odpowiadam za to, co napisałem. Opublikowanie artykułu w jakiejś gazecie nie oznacza, że zgadzam się z jej generalną linią. Wystrzegać się za to należy paszkwilanckich szmatławców znających tylko dwie namiętności: pogardę i pieniądz. Tam jednak z zasady nie publikuje się ludzi przyzwyczajonych, więc wszystko rozwiązuje się samo.

GOŚĆ W DOM, BÓG W DOM

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „DZIENNIKU GAZECIE PRAWNEJ” Z 21 GRUDNIA 2009 R. POD TYTUŁEM „KŁOPOTY I SZANSE PRZEDMURZA EUROPY”.

Tak się jakoś dzieje, że od tysięcy lat ciągną na zachód ludzie czarnoocy i czarne mający włosy. Wyłaniają się z mglistych bezkresów Azji, czasami siejąc przemoc, czasami tylko niepokojąc tubylców jak każdy przybłęda. Obawa przed tymi ludźmi oraz pamięć nieszczęść, które wywołały w Europie pradawne „wędrowki ludów”, głęboko wryły się w naszą wyobraźnię. Nietzsche twierdził, że najpierwotniejsze wyobrażenia naszych przodków o dobru i złu ukształtowały się właśnie w takiej konfiguracji: czarni, czyli źli – płowi, jaśni, czyli dobrzy. Zaiste, któż przedstawiałby Aleksandra czy Jezusa jako brunetów (jakkolwiek mało jest prawdopodobne, aby nimi nie byli), któż malowałby w średniowieczu rycerza – pogromcę Saracenów – z czarnymi oczami i oliwkową cerą? Atawistyczny strach przed ludźmi o wyglądzie Azjaty przetrwał do naszych czasów, a jego strasznym paroksyzmem okazał się nazi-stowski rasizm.

A jednak, tak jakoś niepostrzeżenie, napływowi „oni” stali się „nami”. Dziś to my mieszkańcy Europy jesteśmy czarni niemal tak samo jak Ingusze i Czeczeńcy, a „płowych bestii” więcej chyba mieszka na azjatyckiej Syberii niż we wszystkich krajach nordyckich razem wziętych. Mimo to wielkie czarne oczy w szczupłej, śniadej twarzy przybysza budzą w nas nieodmiennie niepokój. Czy nas nie okradną? Nie oszukają? Czy nam nie zabiorą naszej przestrzeni, nie zagarną dla siebie kawałka naszego świata? Europa wciąż się boi „wędrowek ludów”. Tymczasem dziś na „przedmurzu” kto? No właśnie my Polacy. To u nas zatrzymują się ludzie z Azji szukający bezpieczeństwa i dobrobytu na Zachodzie. Ludzie to jak ludzie – różni. Jednych z kraju wygnały prześladowania, innych tylko pragnienie lepszego życia, choćby nawet cudzym kosztem. Zdarzają się tu bohaterowie walki o wolność, zdarzają się i bandyci. Tylko blondynek jak na lekarstwo.

Europa ich nie chce. Ma już dość rozmaitych przybyszów, którzy nie bardzo rozumieją, gdzie się znaleźli, i nie bardzo zrozumieć to pragną. Żyją po swojemu, mało interesując się miejscowym obyczajem i wymogami liberalnej demokracji. Po prostu z niej korzystają, lecz na ogół jej nie wspierają. Rozczarowane tym społeczeństwa Zachodu co rusz zaostrzają kryteria azylu dla cudzoziemców, a zwłaszcza podnoszą wymagania niezbędne do uzyskania statusu uchodźcy. Kryteria te obowiązują w całej Unii, a więc i w Polsce. Chcąc nie chcąc, musimy trzymać u siebie tysiące nieproszonych gości, których nie wolno nam wypuścić do krajów zachodnich, czego pragną

oni najbardziej na świecie. Ich złość spada na nas. Uważają, że to my ich więzimy, trzymamy o kromce chleba w koszarowych warunkach, a tam, na Zachodzie, czeka ich pewnie wolność, wysokie zasiłki i mieszkania, jak czekały na niezliczonych innych, którzy mieli szczęście znaleźć się na Zachodzie wcześniej. Cóż, tak było. Jakże wielu Polaków skorzystało ze szczodrości mieszkańców bogatej Europy, przekonanych o tym, że udzielanie azylu ludziom z biednych i autorytarnie rządzonych krajów jest piękną i słuszną rzeczą. Jednak szczodrość ma zawsze swoje granice. Nasi nieproszeni goście, czekający na status uchodźca, właśnie doświadczyli tego na własnej skórze. Jeszcze bodaj nie wiedzą, że Zachód ich nie chce. Myślą, że to tylko my nie chcemy ich tam wypuścić. Wkrótce jednak zrozumieją, jak się sprawy mają. Bo niby dlaczego mielibyśmy ich trzymać na siłę? Przecież dla Polaków też byłoby lepiej, gdyby sobie pojechali do Strasburga i nie wrócili...

Wielki filozof francuski Jacques Derrida wielokrotnie upominał polityków w kwestii cudzoziemców. Mówił, że gdy w progu zjawia się gość, nawet gość nieproszony, nawet gość trudny i niechciany, mamy przyjąć go jak brata lub siostrę. Gościnność jest bezwarunkowa jak każdy akt miłości. Gościnność nie pyta. Nie pyta zwłaszcza o dokumenty i o koszty. Jest czymś więcej niż wspaiałością. Ugoszczenie kogoś nie jest tym samym co obdarowanie go, lecz czymś więcej. Jest ustąpieniem mu swojego domu. Gdy mówię: „Czuj się jak u siebie w domu”, to popełniam niechcący grzech niegościnności. To z powodu słowa „jak”. Powinienem raczej powiedzieć: „To jest twój dom”.

Moralna metafizyka Derridy i innych uduchowionych myślicieli lewicy jest trochę oderwana od rzeczywistości, jakkolwiek trudno by było z nią polemizować i nie wyjść na gburę. Możemy z niej jednak wyciągnąć praktyczne wnioski, bez popadania w egzaltację. A zresztą nie trzeba było mędrca z Paryża, by Polak wiedział, że „gość w dom, Bóg w dom”.

Pokażmy, na miarę, na którą stać biurokratyczne struktury, że jesteśmy społeczeństwem gościnnym. Weźmy na siebie tysiące darmozjadów i bohaterów, ofiary i przestępców. Weźmy do siebie ludzi, w gruncie rzeczy takich samych jak my, i pozwólmy im żyć z nami. Nie oglądajmy się na Niemców i Francuzów, których szczodrość być może się już wyczerpała. Dziś przyszedł czas na nas. Wypuśćmy ludzi z rosyjskimi czy afgańskimi paszportami z obozów, zalegalizujmy ich pobyt, wydawajmy na nich pięć, dziesięć razy więcej pieniędzy, niż dotychczas wydajemy. Przestańmy się ich bać i brzydzić. Nie musimy ich kochać, jeśli nie umiemy, ale uznajmy ich człowieczeństwo i weźmy za nich odpowiedzialność, nawet jeśli wielu z nich chce nas naciągnąć, a o wdzięczności ani myśli. Niechaj najgorsi spośród nich (ani najgorsi spośród nas) nie dyktują nam, jak mamy postępować z gośćmi. Otwórzmy więc drzwi. Pozwólmy emigrantom pracować, uczmy ich dzieci, łapmy ich przestępców, leczmy

ich chorych, chowajmy ich zmarłych. Niech jak dawniej w Krakowie, Warszawie, Łodzi rozbrzmiewają różne języki, niech w czarnych oczach odbija się i Wawel, i łan, i wierzba. Niech „Pruszków” targa się za łby z „Czeczencami”. Niech o „Tuskach” i „Kaczyńskich” przyszłych dekad rozprawiają publicyści piszący bukwą i arabskim wężykiem. Niech przybysze stają się Polakami lub nie – wedle woli. Nasza polskość od tego nie zależy. Gościnni są dobrzy. A dobrzy są wielcy. Niech żyje wielka Polska – metropolia z mocy gościnności, a nie podboju!

*

Oto przykład artykułu napisanego na zamówienie gazety w związku z aktualnymi wydarzeniami. Wtedy chodziło o grupę przebywających w Polsce imigrantów, którzy postanowili wybrać się pociągiem na Zachód, lecz dojechali tylko do Zgorzelca. Wiele się wtedy o tym mówiło. Zawsze staram się skorzystać z okazji i gdy któraś z gazet zamawia u mnie interwencyjnie tekst „na 6000 znaków na jutro do południa”, piszę coś częściowo przynajmniej oderwanego od danego kontekstu wydarzeń i mającego ogólniejsze znaczenie. Odzywa się wtenczas we mnie duch przekory i natura prowokatora – na wpół świadomie, choć nie do końca w zgodzie z samym sobą – piszę coś ostrego, radykalnego. Publicysta musi być wyrazisty, ale wyrazistość trudno pogodzić z pełną odpowiedzialnością za słowo.

RÓŻOWE I CZARNE

FELIETON UKAZAŁ SIĘ W „PRZEKROJU” Z 18 MAJA 2010.

Wrogu mego łóżka siedzi różowy miś – kosmaty i pluszowy. Nazywa się Icchak. Jest u mnie, bo nikt go nie chciał, nikt go nie kochał – pewnie dlatego, że jest różowy. Z powodu swej odmienności kosztował tylko 10 szekli, na nasze: 9 zł. Gdyby był brązowy, wszystko byłoby inaczej. Siedziałby sobie na półce z zabawkami w eleganckim sklepie i czekał na śliczną dziewczynkę z dobrego domu. Ale misie nie wybierają sobie koloru futerka.

Icchak pochodzi z Chin. Wyruszył w świat, bo w Chinach było już za dużo różowych misiów – więcej niż dzieci, które chciałyby je przytulać. Wiele tygodni płynął statkiem, razem z innymi zabawkami. W ciemnej ładowni marzył o dobrym dziecku i mieszkaniu u jakiejś miłej rodziny. Właściwie nie oczekiwał od życia wiele. Trafił, nie wiedzieć jak, do Izraela, do świętego miasta Jeruszałaim. W tym pięknym i smutnym mieście wszyscy są po trosze przybłędami, choć każdy uważa się za sól tej ziemi. Mieszkają tam Arabowie i Palestyńczycy, mieszkają Żydzi świeccy i Żydzi wierzący, a na dobitkę wielu chrześcijan rozmaitych wyznań i nacji. Wszyscy chadzają swoimi drogami, unikają siebie nawzajem, unikają dzielnic zamieszkałych przez innych, inaczej wyglądających ludzi. Tam, gdzie mieszkają wierzący w czarnych chałatach, nie zbłądzą młodzi ludzie z knajp i dyskotek dudniących parę przecznic dalej. Ani odwrotnie. Dlaczego Icchak znalazł się w biednym sklepiku w samym środku ortodoksyjnej dzielnicy Mea Shearim, a nie w centrum handlowym na przedmieściu? Widocznie taki był mu pisany los. Miejsce jak każde inne – obce jak każde inne, obce jak własna ojczyzna, w której było źle.

Zobaczyłem go w rękach wierzącej kobiety ubranej na czarno. Żydówka obracała nieufnie różowego misia z Chin, być może zastanawiając się, czy godzi się, aby miś był różowy, i czy nie ma nic niestosownego w tym, by jej dziecko bawiło się z kimś takim. Czułem, że za chwilę go porzuci. I wiedziałem już, że to ja go wykupię, wyzwolę, dam mu imię i dom. *Kama? Eser. Ile? Dziesięć.* Był mój. Z nieszczęsnego różowego przybłedy w jednej chwili przeistoczył się w Icchaka Różowego, domownika Hartmanów. Dziś, chociaż jest różowy i urodził się w Chinach, mieszka w Krakowie. Ma nową ojczyznę i własny dom. A że śpi z facetem? To i dobrze – toż w Krakowie brakuje facetów z różowymi misiami.

Błogosławiona Łomża, do której zawitali czarniawi górale, sławiący Allacha niezrządkiem po rosyjsku, choć ruski to knut ich z domu na tę tułaczkę wygnał. Posyłając ten lud czarny do polskiego miasteczka, Bóg przemienił je z pospolitej miejsciny

w kolejną małą Jerozolimę, w której odbierać będzie cześć i ofiary na wiele sposobów. Uświęcone jest to miejsce, do którego przychodzą z Bożej woli goście, by przypomnieć, że jedna jest ziemia i jeden ludzki ród, który na niej ma żyć, w wolności i braterstwie. Łomża ma gości ze świata! Gość w dom – Bóg w dom. Wyrzucicie gości, a kara was nie minie.

*

To jeszcze jeden przykład tekstu z gatunku zamawianych z dnia na dzień, na aktualny temat. Nie jest to jednak pełny artykuł publicystyczny, lecz klasyczny felieton. Z przyjemnością przyjąłem propozycję pisywania takowych dla zasłużonego i poczytnego tygodnika „Przekrój”. Napisanie czegoś spójnego i treściwego o tak niewielkiej objętości jest niemałą sztuką. Dopiero się jej uczyć. Nauka polega na tym, że pisze się znacznie większy tekst, a potem skraca i skraca, aż osiągnie się zadaną przez redakcję liczbę znaków. Jest wszakże inny jeszcze sposób, a mianowicie napisanie kilkuzdaniowego „epizodu”, który następnie otacza się dopowiedzeniami, dygresyjkami i ozdobnikami, aż do osiągnięcia zadanego limitu miejsca.

WSZYSCY JESTEŚMY PEDOFILAMI

TEKST NIEPRZYJĘTY DO DRUKU PRZEZ „GAZETĘ WYBORCZĄ”, NAPISANY W PAŹDZIERNIKU 2008 R. PUBLIKOWANY TUTAJ PO RAZ PIERWSZY.

Na początku października TVP przeprowadziła tzw. prowokację dziennikarską. W pułapkę wpadł młody mężczyzna, który ucinął sobie z redaktorem TV obsceniczną pogawędkę mailową, sądząc, że wymienia listy z czternastolatką, za którą podawał się dziennikarz. Pechowy amator nieletnich dziewcząt przesłał nawet zdjęcia mogące uchodzić za pornografię dziecięcą. Nie wiem, czy namierzono prawdziwego pedofila. Z pewnością jednak wymiana paskudnych maili z dorosłym panem z TV nie jest przestępstwem, nawet jeśli przyłapany rozpustnik myślał, że pisze do nieletniej (za myśli bowiem jeszcze nie wsadzają). Swoją akcją TVP chwaliła się w Wiadomościach, a dzień później z dużą aprobatą relacjonowano ją na łamach „Gazety Wyborczej”, bodajże wręcz biorącej w akcji udział.

Z prowokacjami trzeba uważać. Nazbyt łatwo się pomylić i złamać życie komuś, kogo wina okaże się w końcu mniejsza, niż się na początku wydawało. Pamiętajmy, że do oceniania dowodów i wymierzania kar powołany jest sąd, zaś do zbierania dowodów policja i prokuratura. Zresztą również organy ścigania powinny zachowywać daleko idącą ostrożność w stosowaniu prowokacji policyjnej, bo łatwo przekroczyć granicę między prowokowaniem domniemanego przestępcy do usiłowania powtórzenia czynu zabronionego a podżeganiem do przestępstwa.

Nie żałuję specjalnie ofiary prowokacji, która zresztą zapewne nie poniesie odpowiedzialności karnej. Akcja jednak nie podoba mi się i sprowokowała mnie do napisania artykułu o społecznym i psychologicznym podłożu panującej w Polsce od dłuższego czasu antypedofilskiej histerii, w którą TVP i „Gazeta Wyborcza” dały się poniekąd wciągnąć. Można więc powiedzieć, że red. Tracz sprowokował do pisania za jednym zamachem dwóch mężczyzn.

Obsceniczne maile pisane przez redaktora TVP wydały mi się psychologicznie mało prawdopodobne, co pewnie nie doda powagi sprawie w oczach prawników. Red. Tracz podawał się wszak za dziewczycę, a te bodaj nie są jeszcze tak potwornie wyuzdane i nie prowokują mężczyzn tak nachalnie, jak ich bardziej doświadczone koleżanki z klasy. Poddaję tu pod rozagę pytanie, czy jest aby elegancko w stosunku do dorastających dziewcząt publicznie przedstawiać wyimaginowany wizerunek kompletnie zdeprawowanej nastolatki, i to rzekomo w imię ochrony najżywoźniejszych

interesów tej nader wrażliwej kategorii osób. Skoro redaktorzy wielkich mediów uważają za prawdopodobne, aby czternastoletnia dziewczina rozważała w korespondencji z nieznanym mężczyzną arkana miłości francuskiej, to my czytelnicy możemy zmienić zdanie na temat kondycji moralnej dziewcząt, i to zmienić na gorsze. To tyle tytułem komentarza do inkryminowanego wydarzenia.

Wpisuje się ono wszelako w cały szereg publicznych lamentów i potępień związanych z przestępstwami seksualnymi na nieletnich. Gwałtowność i bezrefleksyjność wypowiedzi prasowych i deklaracji polityków w związku z tą sprawą nasuwa porównanie ze znanym w socjologii rytuałem społecznym „polowania na czarownicę”, służącym ekspozycji społecznych lęków, frustracji i konfliktów pod pozorami powszechnej społecznej zgody – zgody we wspólnym i absolutnym potępieniu diabolicznych postaci i ich czynów. Czarownica, włóczęga, sodomita, arystokrata, wróg ludu, Żyd, mason, pedofil, liberał – oto kolejne obsady tej archaicznej społecznej roli. Wydaje się jednak, że oświecone społeczeństwo XXI wieku stać na to, by odrzucić poniżający je jarmarczny spektakl i odnieść się do ważnej skądinąd sprawy nadużyć seksualnych wobec dzieci w sposób bardziej racjonalny i godny ludzi myślących. Nie jestem ani socjologiem, ani seksuologiem, ani nawet prawnikiem. Pozostaje mi więc tylko ów status „myślącego obywatela”, nieśmiało podnoszącego rękę i pytającego, czy aby nie urządzamy nowych polowań na czarownice. Z braku wiedzy fachowej ograniczę się do ułomnej i wyrywkowej argumentacji, być może wymagającej korekty lub w niektórych punktach wręcz błędnej. Taka jest skromna ranga „głosu obywatelskiego”, wszelako jej skromność nie powinna być pretekstem, by głosu obywatelowi nie udzielić.

W przedszkolu blisko 40 lat temu straszono, że nas ktoś „zabierze”, w czym wyczuwało się jakiś niejasny podtekst seksualny. Dopiero w szkole dowiedzieliśmy się dokładniej, kto nas zabierze: mężczyzna w czarnej wołdze. Pewien znany profesor miał taki samochód i mimo najlepszych chęci nie mógł brać autostopowiczek, gdyż te uciekały na jego widok. O „zboczeńcach” mówiło się sporo, ale nie było wiadomo, co oni właściwie z dziećmi robią. A gdy jakaś pani brała mnie pod brodę i mówiła z na wpół przymkniętymi oczami: „Śliczny z ciebie chłopaczek”, to żadne skojarzenie z mitycznymi zboczeńcami do głowy mi nie przychodziło. Robiło się tylko jakoś ogólnie nieprzyjemnie. Jednak wkład mitu o „zboczeńcu” do zahamowań i nerwic seksualnych w pokoleniu dzisiejszych czterdziestolatków wydaje się niemały. Ciekawe, jak będzie z naszymi dziećmi pouczanymi w sprawach „złego dotyku” niczym malutcy studenci seksuologii. Czas pokaże. Oczywiście poza mitem były i czyny. Nie raz słyszało się o tym czy tamtym, ale dzieci mają skłonność do myślenia, że skoro jest tak a tak, to pewnie tak już musi być. Zresztą skarżenie się nie miało naonczas dobrych widoków. Czy dziś ma lepsze?

Może i tak, bo przecież dziś wszystko się zmieniło. Dzieci od najmłodszych lat wiedzą, jak wygląda kobieta, a jak mężczyzna i (z grubsza) co ze sobą robią i skąd się biorą dzieci. Widzą nagość, słyszą o seksie, nie wyłączając porad dla dorosłych, jak mają rozmawiać z dziećmi. Niemal na równi z dorosłymi uczestniczą w publicznej kulturze wychowawczo-poradniczej. Ten sam pełen troski i zrozumienia głos doradza i rodzicom, i dzieciom. Dorosli nie mają już tajemnic i aż tak bardzo nie wydają się dzieciom różni od nich samych. Po zakazane dawniej owoce dziecko sięga wcześnie, łatwo i bez ekscytacji. Nie ma ambicji, żeby szybko wydorośleć, ale też nie ma poczucia, że pewne rzeczy są nie dla niego. Również seks zjawia się dość lekko jako urozmaicenie koleżeńskich relacji. Nie ma miejsca na nerwicę, płacz i strach przed ciążą. Nie ma też miejsca na wielką młodzieńczą miłość, puchnącą pod pokrywą sztucznie opóźnianej inicjacji. Inicjacja seksualna spadła bowiem do roli pewnego wydarzenia wpisanego w obyczajowość szkolną, przypisanego do którejś tam klasy jak pierwszy speed albo pierwszy wyjazd bez rodziców.

A jednak życie seksualne człowieka nadal toczy się najintensywniej gdzieś w głębi jego osobowości, przenikając różne warstwy psychiki i schodząc najniżej, do najmroczniejszej nieświadomości. Pozory mylą – nie ma człowieka, którego seksualność byłaby łatwa i bezbolesna, jasna jak na kartach kiepskiego podręcznika wychowania seksualnego lub gazetki dla nastolatek. Nie ma seksualności bez urazów, bez frustracji, bez cierpienia. Część tego cierpienia jest nieunikniona i normalna, a inna część bardzo szkodliwa, unieszczęśliwiająca, lecz dająca się unikać. Takim cierpieniem, które trzeba stanowczo eliminować, są doświadczenia seksualne dzieci z udziałem osób dorosłych. Obyczajowość bardzo surowo karze, zwłaszcza w ostatnim stuleciu, nadużycia seksualne wobec dzieci. Można przypuszczać, że dzięki temu jest ich współcześnie mniej niż dawniej. Jednocześnie coraz więcej zachowań uważanych jest za przekraczające granice tego, co dozwolone. Również prawo staje się coraz bardziej surowe w tym przedmiocie, jakkolwiek ściganie występków natury seksualnej wobec dzieci jest bardzo utrudnione, zwłaszcza gdy chodzi o występkę drobniejszą. Nie jest bowiem tak, że wszyscy lubieżnicy (niekoniecznie będący pedofilami, o zakłóconym popędie seksualnym) dopuszczają się tego samego zła. Między łobuzem, który obmacuje rozwiniętą czternastolatkę, a zbrodniarzem brutalnie gwałcącym małe dziecko jest tak samo wielka różnica jak między złodziejaszkiem kradnącym gruszki z sadu a bandytą dokonującym rozboju z bronią w ręku. W atmosferze nagonki i hysterii o takich rozróżnieniach łatwo się zapomina. Zboczeniec jest zboczeńcem i należy mu się lincz, a co najmniej kastracja.

Życie seksualne człowieka zaczyna się już we wczesnym dzieciństwie, a rozwój psychoseksualny trwa bardzo długo. W toku tego rozwoju zainteresowania seksualne przenoszą się na coraz starsze osoby. Przeciętny dziesięciolatek interesuje się

dziesięciolatką, a do dorosłych odczuwa awersję. Potem się to zmienia. Niestety, u niektórych nie. Inni znów pod zbyt cienką warstwą normalnie rozwiniętego popędu mogą w pewnych okolicznościach powrócić do seksualności infantylnej, stanowiąc niebezpieczeństwo dla dzieci. Na ogół przytrafia się to mężczyznom, ale czasami również kobietom. Dorastamy powoli, lecz również typ obiektu seksualnego zainteresowania nie zmienia się skokowo. Dojrzały mężczyzna nie wstydzi się przed sobą ani nie musi wstydzić się przed innymi, że pociągają go osiemnastolatki. Może być jednak i tak, że również znacznie młodsza dziewczynka lub chłopiec ma pięknie i dojrzałe ukształtowane ciało, które przedwcześnie oddziałuje na mężczyzn lub kobiety. Popęd seksualny nie patrzy do legitymacji szkolnej. Między dzieckiem a dorosłym jest trwający kilka lat okres przejściowy, w którym każda atrakcyjna osoba staje się z wolna obiektem zainteresowania erotycznego coraz większej liczby ludzi. A ludzie ci nie dają się podzielić na dwie rozłączne kategorie: normalnych i zboczeńców. Tych ostatnich, czyli pedofilów, jest zresztą znacznie mniej niż osób dopuszczających się przestępstw wobec dzieci. Jak wciąż przypominają nam seksualodzy, dziecko jest zazwyczaj obiektem zastępczym dla molestującej je osoby. W odpowiednich warunkach, przy odpowiednio silnie działających bodźcach i długiej wstrzemięźliwości seksualnej hamulce ulegają osłabieniu, a zakres potencjalnych obiektów zainteresowania seksualnego gwałtownie rośnie. Dotyczy to także wieku, i to w obie strony – coraz młodszych i coraz starszych „obektów”. W pewnym sensie więc potencjalnie wszyscy jesteśmy pedofilami – może nam się zdarzyć pociąg do dziecka poniżej lat 15, choć większość z nas nie dopuści się żadnych niewłaściwych zachowań. Wiedząc, że tak jest, odczuwamy wstyd i upokorzenie przekładające się na siłę naszego oburzenia w stosunku do tych, którzy popełniają przestępstwa seksualne na dzieciach. Inaczej mówiąc, zainteresowanie seksualne nieletnimi jest tabu, a jego przekraczanie jest surowo przez społeczeństwo karane. Podobnie jest z homoseksualizmem i homofobią. Tabu polega tu na upartym przemilczaniu faktu, że większość ludzi przechodzi w późnym dzieciństwie przez doświadczenia homoseksualne; wypierając te doświadczenia i jakby wzmacniając własną chwiejną zwykle nieco heteroseksualność, bierzemy udział w terapeutycznym rytuale społecznym potępiania homoseksualizmu. Niebagatelna różnica polega na tym, że molestowanie nieletnich jest dla nich bardzo szkodliwe i krzywdzące, a homoseksualizm nikogo nie krzywdzi i nie zasługuje na potępienie. Dlatego homofobia jest zła, tak jak złe jest bagatelizowanie zachowań pedofilskich.

Tabu jest w społeczeństwie rzeczą niezbędną. Trzeba jednak trzymać je pod kontrolą racjonalnego prawa. Swoją drogą siła tabu zmienia się historycznie i zależy od kontekstu. Nikt nie uważa za zboczonego króla, który przed setkami lat pojął za żonę dwunastolatkę, gdyż tak się dawniej robiło. Wiemy, że i dziś takie rzeczy zdarzają się

w niektórych społecznościach plemiennych i choć obyczaje te nam się nie podobają, nie uważamy ich za wyraz powszechnego „zboczenia”. Do członków własnego społeczeństwa odnosimy się jednak nieproporcjonalnie surowo. Niemal nie obchodzi nas, jaka była skala i natura czyjegoś występkę. Sprężona w nas wewnętrzna agresja szuka ujścia w żądzy linczu na każdym, kogo zakwalifikować można jako przestępcę seksualnego krzywdzącego nieletnich. Widać to aż nadto dobrze w więzieniach, ale widać też coraz wyraźniej w mediach i życiu codziennym. Bandyta i morderca nie budzi ani w połowie takich emocji jak jakiś żaloszny fajtłapa i nieudaczny molestujący małych chłopców. Brak nam tu dystansu, zdolności odróżniania odmiennych przypadków, brak też umiaru. Któż by dzisiaj odważył się pogłaskać cudze dziecko po głowie? Może jeszcze gdzieś na wsi, gdzie ludzie zachowują się naturalnie...

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego społeczna komunikacja w tym trudnym przedmiocie, jakim są akty pedofilii i przestępstwa seksualne z udziałem dzieci, jest na takim niskim poziomie? Dlaczego popadamy w histerię i niemalże urządzamy polowania na czarownice? Moja hipoteza jest prosta: wszechobecność bodźców seksualnych i komunikatów o treści „seksuologicznej” sprawia, że znajdujemy się nieustannie w stanie podwyższonego napięcia seksualnego, a jednocześnie sprowadzeni jesteśmy do pozycji uczniów bądź klientów psychoterapii, nieustannie namawianych do wyzbycia się wszelkich uprzedzeń w dziedzinie seksualnej. W ten sposób seksualność, ciągle w nas drażniona (w Polsce bardziej niż w większości innych krajów) widokiem na wpół nagich ciał i scen erotycznych, ulega infantylizacji i zakłamaniu. Infantylizacji, gdyż od dziecka stykamy się z postępowymi pouczeniami i poradami, które mają chronić nas przed „przesadami” i „kompleksami” oraz wszelkim cierpieniem seksualnym, zakłamaniu zaś dlatego, że udajemy sami przed sobą, iż seksualność powinna i może być oczyszczona z cierpienia, a jej mroki raz na zawsze rozświetlone. Przeżywamy więc naiwny oświeceniowy sen o niewinnej i radosnej seksualności, o seksie jako „normalnej sprawie”. Gdy zaś budzimy się z tego snu, gdy coś okazuje się nie pasować do szeroko rozciągniętych ram normalności, gdy dopada nas wstyd, gdy przychodzą seksualne niepowodzenia, budzi się w nas lęk i agresja. Właśnie z tego lęku przed prawdą o seksualności wyrasta nasze małe polowanie na czarownice. Nie wiem, czy można temu zaradzić, ale wypadałoby, aby poważni urzędnicy, politycy i prawnicy wykazywali się pewną odpornością na porywy emocjonalne tłumu. To samo dotyczy dziennikarzy.

*

Niewielkie sobie robiłem nadzieje na publikację tego tekstu. Redaktor powiedział, że nie czuje się pedofilem, i na tym w zasadzie negocjacje się skończyły. Nie mam

o to żalu – sprzeciwienie się tabu albo zbiorowej obsesji jest dla każdej gazety bardzo ryzykowne. Publicysta powinien jednak próbować. Bo skąd moglibyśmy się dowiedzieć, że granice wolności słowa zostały poszerzone, że wolno już o czymś mówić otwarcie, gdyby nie było autorów gotowych zaryzykować pisanie do szuflady? Powiem więcej – jeśli jakiś publicysta nie ma teczek z artykułami odrzuconymi, to może znaczyć, że coś jest z nim nie tak, na przykład, że jest on chałturnikiem.

CHROŃMY ŻYCIE POCZĘTE! (ALE NA SERIO)

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 2–3 PAŹDZIERNIKA 2004 R.

„Celem czynności płciowych w małżeństwie obok spłodzenia potomstwa jest okazywanie sobie przez małżonków wzajemnej miłości i pomocy w panowaniu nad pożądaniem”. Te słowa pochodzą z książki Jacka Woronieckiego „Katolicka etyka wychowawcza”, na której podstawie studenci filozofii KUL-u zdawali (przynajmniej za czasów moich studiów na tej uczelni) przedmiot etyka szczegółowa. Dzieło to czytałem z wypiekami na twarzy: jak najdalej posunięty realizm w dziwny sposób miesza się w nim z marzycielskim idealizmem opartym na średniowiecznej doktrynie psychologicznej. Taka osobliwa dwoistość daje się zauważyć zwłaszcza w podejściu katolicyzmu do spraw płci.

Stosunek Kościoła do kwestii aborcji jest więcej niż radykalny. Jest w nim coś, proszę wybaczyć, neurotycznego, tak jak w powyższym cytacie. Właściwie nie zostawia się żadnego pola do dyskusji. Lecz ten radykalizm jest dla sprawy zwalczania aborcji bardzo szkodliwy i o tym właśnie chcę pisać.

Masowe zjawisko aborcji ma swój początek w społecznym potępieniu dla „bękartów”, czyli dzieci pozamałżeńskich, a zwłaszcza dla ich matek. To nie nowoczesne poluzowanie obyczajów, bo temu towarzyszy zwykle wielki kunszt unikania ciąży, lecz ponura wzgarda i prześladowania, wpisane jak najgłębiej w kulturę tzw. społeczeństw tradycyjnych (bynajmniej nie tylko katolickich), skłaniały młode niezamężne kobiety do przerywania ciąży. Opinia Kościoła zaś na przestrzeni wieków nie przysłużyła się dobrze prawom matek nieślubnych dzieci. Katastrofalne skutki wywołuje jednakże zmieszanie tych dwóch porządków: „nowoczesnej” rozwiązłości i „tradycyjnej” nieznajomości metod zapobiegania ciąży. Na tej kulturowej ziemi niczyjej, pomiędzy społeczeństwem „tradycyjnym” i „nowoczesnym”, tam gdzie dobrych obyczajów *już nie ma*, a wysokiego standardu życia i umiejętności korzystania z techniki *jeszcze nie ma*, rodzą się niechciane dzieci. Albo się nie rodzą...

Problem aborcji jest doskonale zbadany przez socjologów, specjalistów w zakresie zdrowia publicznego i bioetyków. Dobrze wiadomo, co należy przedsięwziąć w dziedzinie legistycznej, administracyjnej i edukacyjnej, aby aborcji było jak najmniej. Spierać się można co najwyżej o szczegóły. Jeśli ktoś tej wiedzy nie przyjmuje do wiadomości i z jakichkolwiek względów upiera się przy rozwiązaniach gorszych, nieprowadzących do faktycznego zmniejszenia liczby przerwanych ciąży i uszkodzeń

zdrowa kobiet, ten bierze na siebie odpowiedzialność za to, że aborcji jest tak dużo, choć mogłoby być mniej. Chciałbym powiedzieć jasno i po męsku. Moralnie dopuszczalne jest stawianie sprawy aborcji tylko w jeden sposób: co możemy zrobić w prawie, administracji i edukacji, aby *realnie* aborcji było jak najmniej? Wiadomo, że absolutne zakazy połączone z karaniem lekarzy wykonujących takie zabiegi, nie prowadzą do ograniczenia tego procederu, lecz do jego zdżiczenia. Kto więc domaga się surowych zakazów, nie oglądając się na fakt, że ich wprowadzenie może dać w rezultacie wzrost liczby dokonywanych aborcji i związanych z tym powikłań, ten po prostu działa na rzecz szerzenia się aborcji.

Bezwzględny, ideologicznie motywowany, zakaz aborcji spycha ten proceder całkowicie do podziemia i służy jego rozkrzewieniu. Państwo traci wtenczas wszelką nad nim kontrolę. W dodatku wzrasta liczba samobójstw związanych z niechcianą ciążą oraz uszkodzeń ciała spowodowanych źle przeprowadzonymi zabiegami usunięcia płodu. Forsowane przez „obrońców życia” surowe prawo, niosące z sobą jak najgorsze skutki dla nienarodzonych dzieci, jest poza tym prawie zupełnie niewykonalne. I to z trzech co najmniej powodów. Po pierwsze, brak jest pokrzywdzonych, którzy mogliby denuncjować przestępstwo. Po drugie, z reguły brak jest świadków i *corpus delicti*. Po trzecie zaś, w tak wielu sytuacjach medycznych dochodzi do zabiegu czyszczenia macicy, że rozstrzyganie w konkretnym, ewentualnie inkryminowanym przez prokuratora przypadku, czy i w jakim stopniu zaszło pogwałcenie normy prawnej, jest prawie niemożliwe. Czyli w uproszczeniu: kto udowodni ginekologowi, że nie doszło do samoistnego poronienia w sytuacji wymagającej oczyszczenia macicy? Kto udowodni, że „wyłyżeczowany” płód nie był martwy?

Liczba przeprowadzanych aborcji zależy w największym stopniu od dostępności w danym społeczeństwie środków antykoncepcyjnych oraz wiedzy o ich stosowaniu. To nie pogląd – to fakt naukowo stwierdzony, z którym nie ma dyskusji. Nakłanianie natomiast młodzieży do zachowania czystości przedślubnej nie ma tu żadnego statystycznie uchwytne znaczenia. Powód jest najprostszy – jest całkowicie nieskuteczne. Ale już zupełnie inaczej ma się rzecz z budowaniem lepszego klimatu wokół nieślubnych dzieci i niezamężnych dziewczyn zachodzących w ciążę. Tutaj wiele do zrobienia mają właśnie instytucje religijne, jeśli tylko faktycznie chcą działać na rzecz realnego zmniejszenia liczby aborcji. W tej dziedzinie Kościół może uczynić coś naprawdę ważnego dla naprawy zła, które uczyniło rozkrzewienie w społeczeństwie wzgardliwego stosunku do niezamężnych matek i ich dzieci. Zresztą Kościół już to czyni. Coraz więcej akcji społecznych i instytucji (jak ażyle dla matek) tworzonych jest właśnie przez Kościół, np. przez Caritas. Trzeba to docenić, mając nadzieję, że z czasem i „katolicka etyka wychowawcza” stanie się bardziej, no, powiedzmy... etycznie skrupulatna.

Spędzenie płodu, jak to się wstrętnie nazywa, jest nie tylko bardzo złym postępowaniem, lecz także z reguły postępowaniem po prostu głupim. Jeśli dotyczy to młodej dziewczyny, zwykle wystarczy wiarygodnie zapewnić ją, że nie będzie sama i zdana tylko na siebie, że bycie matką jest dobre. Jeśli zaś o „skrobankę” ubiega się kobieta mająca już więcej dzieci, niż jest zdolna utrzymać, trzeba jej zaoferować pomoc materialną. Żeby w jednym i drugim przypadku nie była to mowa-trawa, potrzebny jest właściwy klimat moralny (np. rozumienie przez rodziców dziewczyny, że jej dziecko jest ważniejsze niż ukaranie własnej córki za rozwiązłość) oraz wiarygodne instytucje.

W wielu krajach (a podobnie było w większości „demoludów”) istnieją specjalne komisje, które udzielają, bądź nie, zgody na dokonanie aborcji lub wydają opinie w tych sprawach. Ich zadaniem jest przede wszystkim odwiedzenie kobiety od zamiaru przerwania ciąży i okazanie pomocy. Jeśli w końcu zgoda na aborcję zostaje wydana z powodów pozamedycznych, to w pierwszym rzędzie dlatego, że uznaje się, że dana kobieta i tak jej dokona. Aby nie zasilala „podziemia aborcyjnego”, kieruje się ją do kliniki na legalny zabieg. W Niemczech w działalność poradniczą w ramach procedur kontroli aborcji włączony był Kościół katolicki mający dzięki temu realną szansę przyczynić się do ograniczenia aborcji. Niestety, nacisk Watykanu spowodował, że niemiecki Kościół wycofał się z udziału w tych czynnościach.

Jest kilka wariantów systemu kontroli aborcji i pomocy kobietom w ciąży. Nie wiem, który jest najlepszy, ale w jednej kwestii panuje zgoda: kontrola i pomoc muszą być z sobą sprzężone. Ceną za funkcjonowanie instytucji i procedur zmierzających do objęcia kontrolą i ograniczenia zjawiska aborcji jest jednakże jej dopuszczalność w pewnych przypadkach. Nic bowiem gorszego niż aborcja nielegalna, lecz całkowicie bezkarna. Szerzy się wtenczas bez żadnej kontroli i nic nie jest w stanie jej ograniczyć. Na szczęście wielu ludzi woli postępować zgodnie z prawem, nawet jeśli jest to trudniejsze niż łamanie go. Właśnie dlatego tam, gdzie aborcja jest legalna, lecz poddana kontroli, istnieje szansa na ograniczenie jej rozpowszechnienia metodami prawno-administracyjnymi. I tak wszakże ważniejszy jest klimat społeczny i panująca w danym społeczeństwie kultura seksualna, a w tym kultura antykoncepcji. Bez tego nie ma mowy o zwalczaniu aborcji.

Może trudno się z tym pogodzić, ale prawo nie jest usankcjonowaniem kodeksu moralnego, a to, co niedopuszczalne moralnie, często musi być dopuszczalne prawnie. Jest tak z wielu powodów, a jeden z nich jest taki, że bardzo restrykcyjne prawo napotyka opór społeczny i zderza się z masowością czynów, które miałyby eliminować; wtedy też staje się niewykonalne. Tak zdarza się i u nas, na przykład właśnie z aborcją. Jeśli nie ma żadnej szansy załatwić „tego” legalnie (chyba że ciąża zagraża życiu lub jest wynikiem gwałtu), to tym bardziej problem mamy z głową: kasa do rączki, na samolot i jazda! Ewentualnie wycieczka do Lwowa. A najczęściej jeszcze

inaczej: trochę współpracy ze strony ginekologa, który wie, co ma wpisać w dokumentacji, choć może nie czyniłby tego, gdyby zbyt dużo tym ryzykował, a skądinąd wiedział, że istnieje jakaś legalna droga.

Nie znoszę bezmyślnego przerywania ciąży, tak jak nie znoszę tego, co kryje się za słowami znanych songów: „Jedno z tych pięknych miast, co się stało z Magdą K.?” (to o obwinianiu zgwałconej dziewczyny, że śmiała oskarżyć gwałticieli) albo: „Odkręciła gaz, nie zapukał nikt na czas” (to znów o samobójstwie z powodu ciąży). Chciałbym, żeby wreszcie i u nas było tak, jak już jest w wielu krajach. Żeby nie poniewierano nastolatków w ciąży, a każda ciężarna miała pewność, że ludzie, a jak trzeba to i państwo, nie dadzą jej i jej dziecku zginąć. Wtedy aborcji będzie mniej.

Jak widać, opowiadając się za wprowadzeniem w Polsce systemu podobnego jak na przykład w Niemczech, nie powołuję się na argumenty mówiące o wolności kobiet i ich prawie do stanowienia o sobie. Wprawdzie hasło „Wiosna wasza – d... nasza” rzuca mnie na kolana, ale to z powodów literackich, a nie merytorycznych. Feministki mają swoje racje i trzeba je traktować poważnie, ale w polityce lepiej trzymać się zasady wysuwania tylko najsilniejszych argumentów. Dlatego pomijam te bardziej dyskusyjne. Powtarzam za to raz jeszcze: wiadomo, pod jakimi warunkami może dojść do ograniczenia procedury aborcyjnego. Są to: właściwy klimat społeczny i moralny, szeroka dostępność antykoncepcji i edukacji seksualnej oraz właściwy system kontroli, doradztwa i pomocy. Kto się na fakty obraża, a ideologię kocha bardziej niż życie i prawdę, temu niechaj Bóg przebaczy.

Chciałbym poruszyć jeszcze kwestię edukacji seksualnej i dostępu do środków antykoncepcyjnych. Pod koniec lat osiemdziesiątych odbyła się batalia o lekcje wychowania seksualnego w szkołach, po jakimś czasie w zasadzie wygrana przez Kościół. Pewien dziennikarz w satyrycznym tekście napisał w „Polityce”, że Kościół zaleca młodzieży przyjęcie zasady „trzech P”: nie piję, nie palę, nie podejmuję przedmałżeńskiego pożycia płciowego. Zaangażowana w ten spór bohaterka satyry, s. prof. Zofia Zdybicka z KUL-u, mówiła nam zaś na wykładzie z filozofii religii, komentując podręcznik wychowania seksualnego dla szkół: „Pozycje są dobre, ale pozycje to nie wszystko”. Dobre, niedobre – to zależy które. A że miłość powinna być warunkiem dla seksu, to przecież także mówią wszystkie podręczniki wychowania seksualnego, i to mówią obszerniej niż o „pozycjach”. Kultura życia płciowego zyskuje, a nie traci na wprowadzaniu edukacji seksualnej w szkole, dokładnie tak samo jak zyskuje, a nie traci, kultura religijna dzięki lekcjom religii.

I wreszcie sprawa antykoncepcji. Znany argument, że jej powszechna dostępność stanowi zachętę do uprawiania seksu przez nastolatków, jest zupełnie nietrafny. Piętnastolatki uprawiają seks, bo jest to rzecz, której chłopcy (dziewczyny nieco później) najbardziej na świecie pragną (i tak będzie do trzydziestki albo i lepiej), a strach przed

ciężą ich nie powstrzyma. To, że w niektórych okresach (np. obecnie, choć już się to zmienia) i w niektórych krajach wiek inicjacji seksualnej różni się o kilka lat z wiekiem osiągnięcia dojrzałości płciowej, jest wynikiem potężnych bodźców i procesów kulturowych, przy których siła obyczajowego oddziaływania kazań czy szkolnych lekcji jest jako ten kij zawracający rękę.

Propagowana przez Kościół idea ścisłej monogamii (jeden partner seksualny w ciągu życia, jeśli nie dochodzi do wczesnego wdowieństwa), słuszną czy nie, może być i do pewnego stopnia bywała realizowana tylko pod jednym warunkiem: bardzo wczesnego zawierania małżeństw. Dawniej wszyscy niemal byli pożenieni przed osiągnięciem dwudziestu lat, więc młodzież oddawała się swym ulubionym zajęciom w małżeńskim łóżu. Dziś jednak człowiek chodzi po świecie przeciętnie ćwierć wieku dłużej, a edukacja i proces usamodzielniania rozciąga się zwykle dobrze poza dwudziesty rok życia. Dlatego też i żeniaczka przychodzi później. O przedmałżeńskiej czystości można więc zapomnieć, chyba że ma się jakąś dziwną namiętność do bajek dla grzecznych dzieci.

Inna idea Kościoła, mianowicie że seks powinien zawsze służyć prokreacji, jest równie księżycowa. Liczba stosunków płciowych, jakie odbywa człowiek w ciągu życia, kilkaset razy przewyższa liczbę dzieci, jakie płodzi lub rodzi. Regulowanie życia płciowego w sposób, który zakłada, że stosunki dzielą się na udane, czyli płodne, i nieudane, czyli niepłodne, jest jakimś osobliwym połączeniem hipokryzji z marzycielstwem. Jeśli coś powstrzymuje ludzi od seksu, to nie skromność i czystość, lecz wrodzona awersja człowieka do bycia dotykany przez innego człowieka. Gdyby nie ta bariera, której przełamanie wymaga znacznej „inwestycji emocjonalnej”, oddawalibyśmy się seksowi z taką samą prostotą i ochotą na różnorodność, jak oddajemy się jedzeniu, kobiety zaś byłyby zwykle ciężarne.

„Idealizm seksualny” Kościoła kapituluje przed realiami i mięknie wraz z lepszym rozumieniem ludzkiej seksualności. Dlatego Kościół dzisiaj powoli zmienia swoje stanowisko. Nadal piętnuje stosunki przedmałżeńskie, ale już właściwie nie zabrania tzw. seksu dla przyjemności (tak naprawdę tu chodzi o przymus, a nie przyjemność, ale to już inna historia). Skoro jednak raz Kościół zgodził się, by człowiek mógł w jakiś sposób wpływać na to, czy jego czynności płciowe doprowadzą do zapłodnienia, czy nie, to prędzej czy później będzie musiał zaakceptować antykoncepcję, która jest logicznym następstwem zamiaru kierowania skutkami własnej aktywności seksualnej. Na razie nie godzi się na nią, między innymi dlatego, że sądzi, iż antykoncepcja prowadzi do faktycznego zmniejszenia dzietności kobiet. Socjologowie jednakże w czym innym upatrują przyczyn zmniejszonego przyrostu naturalnego. Zgoda Kościoła na antykoncepcję, fundamentalny warunek skutecznego ograniczania aborcji i chronienia życia nienarodzonych dzieci, wydaje się kwestią czasu. Gdy już nastąpi,

rozwiązane zostaną ideologiczne pęta, które tak utrudniają Kościołowi realny udział w działaniach na rzecz ograniczenia aborcji.

*

Z pewnym rozrzewnieniem czytam dziś ten artykuł będący świadectwem mojej dość konserwatywnej kompleksji z lat młodości, której resztki zachowałem prawie do czterdziestki. Cóż, młodość skończyła się nieodwołalnie. Tekst został opublikowany razem z katolicką ripostą red. Zbigniewa Nosowskiego, a jakiś czas później zamieszczono polemikę Kingi Dunin, zarzucającą mi, poniekąd słusznie, protekcyjny konserwyzm. Większość moich artykułów wzbudza polemiki, lecz gdy przychodzi mi zaczepiać Kościół, redaktorzy wołają od razu zamówić „głos drugiej strony”. Będąc samemu „drugą stroną” w stosunku do opinii katolickiej, dorobiłem się licznych zaproszeń do debat publicznych i programów telewizyjnych w charakterze reprezentanta mniejszości liberalnej.

Jedna z reakcji na ten tekst miała charakter paszkwilu. Otóż pewien warszawski doktorant opublikował we „Wprost” niesłychanie obraźliwy tekst, w którym wyzywał od głupców i idiotów dziesięciu intelektualistów, takich jak Bronisław Geremek i Magdalena Środa. W tym zacnym bardzo gronie był łaskaw umieścić również moją skromną osobę, a to właśnie w związku z artykułem o aborcji. Tekst doktoranta był zupełnie niesłychany w swej beczelności i rzeczywiście niewiarygodnie wprost głupi. Mając w ręku taki kwiatek, postanowiłem użyć go do pewnego eksperymentu socjologicznego, którego wynik przewidziałem zresztą dość precyzyjnie. Otóż skopio wałem artykuł doktoranta i w kilku egzemplarzach rozesłałem do szefów instytucji, z którymi był on związany, wraz ze skargą i prośbą o stosowną moralną interwencję. Istotą eksperymentu było dokonanie pomiaru stosunku liczby reakcji idących w kierunku moralnego napiętnowania paszkwilantstwa i publikowania inwektyw przez adepta nauki do tych, które wyrażają daleko idącą tolerancję dla takich zachowań, odmawiają jej natomiast praktykom skarżenia się i domagania satysfakcji, kojarząc je z donosicielstwem i zamachami na wolność słowa. Wynik był prosty i wymowny: pół na pół. Nie muszę tłumaczyć, że młody autor nie był łaskaw mnie przeprosić. Zrobił to jednak za niego wiekowy i szacowny promotor jego pracy doktorskiej. Tak czy inaczej nauczka została dana, a wybaczenie nastąpiło.

GEJE, LESBIJKI, HIPOKRYCI

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 19 CZERWCA 2009 R.

Dr Bogdan Dziobkowski w artykule „Beatyfikacja homoseksualizmu” („Rzeczpospolita” z 8 czerwca 2009) upomina się o prawo wolnych ludzi do krytyki homoseksualizmu, a także ostrzega przed restrykcyjną poprawnością polityczną nakazującą traktowanie homoseksualistów jak świętych krów. Odpowiadam mu przysłowiem: nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Jeszcze długo gaszenie pożarów homofobii będzie zajęciem godnym polskiego intelektualisty, zanim stanie się nim ogacanie różyczek swobody w manifestowaniu braku sympatii do homoseksualistów.

Za to Janusz Majcherek w artykule „Naturalnie, kulturalnie” („Gazeta Wyborcza”, 29 maja 2009) stawia pod tablicą obie strony – obrońców homoseksualistów oraz ich krytyków. Upomina jednych i drugich, że bezkrytycznie powołują się na dyskusyjne kategorie „naturalnego” i „nienaturalnego” oraz niefortunnie odwołują się do wiedzy naukowej, zapominając, że nauka ustala, jak jest, a nie jak być powinno, na przykład jak powinniśmy traktować homoseksualizm.

Prof. Majcherek ma rację, że w dyskusjach o homoseksualizmie padają argumenty niecelne. Jeśli jednak poświęca swój artykuł wyłącznie tej właśnie okoliczności, to można odnieść wrażenie, iż sam pragnie w kwestii zasadniczej zachować neutralność, tak jakby prawda była gdzieś „pośrodku”. Tego zaś nie mogę zaakceptować. Tym bardziej nie mogę zmilczeć, że grupa profesorów podpisała list w obronie prawa studentów UKSW do organizowania konferencji z udziałem Paula Camerona. Od Majcherka oczekiwałam ostrej reakcji najpierw przeciwko homofobii, a potem hipokryzji, tymczasem słyszę jeno krakowskie „no taak”. Niechaj więc z moich ust wybrzmi nowohuckie: „no nie!”.

Jeśli chodzi o obronę złotej wolności akademickiej, to przypomnę sygnatariuszom listu, iż to, co nazywamy konferencją naukową, polega na zgromadzeniu przedstawicieli pewnej dyscypliny naukowej, przybyłych na zaproszenie instytucji zajmującej się badaniami w tej dziedzinie. Gdyby na przykład prof. Jacek Bomba zorganizował w Klinice Psychiatrii UJ-otu konferencję o homoseksualizmie, a ktokolwiek bronił mu zapraszać tam, kogo tylko sobie życzy, łącznie z p. Cameronem, byłby to zamach na wolność nauki. Jeśli jednak grupa studentów niebędących specjalistami organizuje odczyt hochsztaplera, nazywając to konferencją naukową, wolno nam sprzeciwić się temu, zwracając uwagę, że słowo „nauka” zostało w tym przypadku nadużyte, a prawo do decydowania, co jest, a co nie jest naukowe, nie przysługuje akurat tejże

grupie studentów. Nie sędzę, żeby sygnatariusze listu tego nie wiedzieli. Stąd moje przypuszczenie, że ich interwencją nie powoduje święty gniew na pogwałcenie swobód akademickich, lecz raczej sympatia do tez Camerona, pogromcy gejów i lesbijek.

Do niedawna w naszej i nie tylko naszej kulturze uchodziły za naturalne zachowania i stosunki, które od dziś uważamy za złe bądź haniebne. Nasza moralność przechodzi bowiem ewolucję – odkrywamy nowe obszary powinności i odpowiedzialności, nowe winy i nowe zasługi, zwłaszcza w sferze publicznej. Już trzysta lat temu ludzie postępowi dostrzegli, że niewolnictwo jest złem. Nieco później upowszechnił się pogląd moralny, iż złem jest również przemoc, nierówność praw wynikała z urodzenia, rasizm, nędza. Następnie nasi ojcowie uznali, że wszystkim mężczyznom należą się prawa polityczne, a ustrój demokratyczny, oparty na konstytucji gwarantującej ochronę mniejszości, powszechne swobody polityczne i równy dostęp do udziału w sprawowaniu władzy każdemu obywatelowi, jest jedynym ustrojem moralnie godziwym. Nieco później te liberalne ideały uzupełniono ważną korektą: prawa obywatelskie i polityczne powinny przysługiwać także kobietom. Na tym jednak nie koniec. Moralność ewoluuje dalej, na naszych oczach. Jeśli jeszcze niedawno mało kogo oburzało dręczenie zwierząt i niszczenie środowiska, to dziś uważamy się za moralnie odpowiedzialnych za dobrostan ekosystemów, a czującym i cierpiącym zwierzętom przyznajemy daleko idącą moralną i prawną ochronę.

Rozwojowi moralności w czasach nowożytnych towarzyszy zmiana akcentów w rozumieniu dobra i zła moralnego. O ile dawniej decydujące znaczenie dla oceny postępowania człowieka miała zgodność jego czynów z normami obyczajowymi i rytualnymi, a także względy honoru i miłosierdzia, to dzisiaj w moralności publicznej na czoło wysuwają się inne motywy: poszanowanie wolności i tolerancja dla odmienności, troska o prawa mniejszości, pragnienie pokoju. Dlatego właśnie uważamy za szczególnie naganne takie czyny, które sięją strach, zniewolenie i przemoc, a powstrzymujemy się od potępiania zachowań, które nie powodują cierpień, strat ani innego rodzaju krzywd osób trzecich. Rozwój etyczny społeczeństw nowoczesnych jest pewnym faktem – przebieg zmian w dziedzinie naszych ocen dobra i zła jest właśnie taki, jak to opisałem. Niemniej jednak zawsze istniały i nadal istnieją siły oporu hamujące ten proces. Zwłaszcza środowiska wyznaniowe (różnych religii) ociągają się z postępem moralnym, jakkolwiek zwykle w końcu, po latach zapierania się i prób zawracania rzeki kijem, dają za wygraną. Jeszcze niedawno Kościoły Zachodu gromiły demokrację oraz wolność słowa i wyznania. Jeszcze niedawno okazywały wzgardę innowiercom i domagały się, by państwo stanowiło prawa zgodne z żądaniami panującej wiary. Dziś, w zdecydowanej większości, musiały zmienić poglądy. Ludy bowiem poszły za nowymi bogami: wolnością, tolerancją, zgodą. Moralny anachronizm, przynajmniej na Zachodzie, broni ostatnich już przyczółków. Ktoś protestuje

przeciwko nauce o ewolucji, ktoś domaga się, aby konstytucja wyróżniała jedną z religii, ktoś głosi, że homoseksualizm to „nieład moralny”. Patrzę ze spokojem na te relikty czasów minionych, jeśli spotykam je w głębokich, „etnicznych” warstwach społeczeństwa, pośród ludzi niewykształconych. Gdy jednak widzę je pośród ludzi z cenzusem, na wyższych uczelniach, nie mogę milczeć.

Otóż, jakkolwiek to jest banalne, okoliczności nakazują przypomnieć, że dla niczych praw nie ma żadnego znaczenia, czy homoseksualizm jest wrodzony, czy nabyty. Zapewne czasami jest osobistym wyborem i ekstrawagancją. Być może też niektórzy geje i lesbijki cierpią i chcą się zmienić. Może inni za to uważają się za wybrańców losu i są szczęśliwi. Nic nam do tego. Orientacja seksualna i związany z nią styl życia to sprawa osobista. I nie ma tu żadnego znaczenia, czy homoseksualiści częściej niż inni dopuszczają się pedofilii ani czy powodują więcej wypadków samochodowych, tak jak nie ma znaczenia, czy rudzi częściej kłamią, a szewcy częściej klną. Nie przesądza to o niczyjej winie ani nie uzasadnia żadnej dyskryminacji. Wolisz kobiety – dobrze. Brzydzisz się homoseksualizmu – twoja rzecz i twoje prawo. Możesz nawet o tym mówić. Ale nie masz prawa ograniczać niczych praw, gremialnie potępiać i obrażać ludzi, którzy nie robią ci żadnej krzywdy. Jeśli to czynisz, sam grzeszysz. Grzeszysz pogardą, poniżaniem, dyskryminacją i niesprawiedliwością. To homofobia jest grzechem, zgorzeniem i zagrożeniem, a nie homoseksualizm. To z niej, a nie z homoseksualnej miłości, wypływa strach i krzywda niewinnych. Jest mi wstyd, że w moim kraju uczy się dzieci, także te o skłonnościach homoseksualnych, iż homoseksualiści powinni powstrzymywać się od miłości fizycznej, że nie wolno im kochać się i wieść wspólnego życia, jakie wiodą mężczyźni z kobietami. Jad pogardy dla gejów i lesbijek sący się już w szkole, a czasami, niestety, także na uniwersytecie. Toczą go ludzie z fałszywą troską na twarzy, z obłęsną miną hipokryty: „Co złego, to nie ja”. Wstyd, panowie. Zachowajcie swoje uprzedzenia dla siebie albo mówcie otwartym tekstem. Wszystko, byle nie hipokryzja. Bo hipokryzja to zły duch niszczący wspólnotę.

*

Oto i przykład publicystyki polemicznej. W tym wypadku polemizuję głównie z tekstem prof. Janusza Majcherka, mojego kolegi i znanego (bardziej ode mnie) publicysty. Sztuka polemiki polega na tym, aby zwięźle, ale rzetelnie streścić argumenty przeciwnika, odpowiedzieć na nie, a następnie rozwinąć na tym gruncie swój własny dyskurs. I wszystko to musi do siebie pasować. Trzeba unikać zerwań tematycznych, stylistycznych tąpnięć i wielowątkowości. Polemika musi być prosta i elegancka w formie, bo inaczej jest nieprzekonująca. Polemista nie powinien sprawiać wrażenia, iż

wykorzystuje polemikę jako pretekst do wygadania się. Czytelnik musi uwierzyć, że autor miał naprawdę ważny powód, by zabrać głos. Inaczej biedny autor wychodzi na tę żabę, co podstawia łapkę, gdy konie kują. Swoją drogą, muszę przyznać, że zajęło mi dużo czasu, zanim kwestię dyskryminacji związków jedнопłciowych i osób homoseksualnych zacząłem traktować poważnie. Wcześniej skłaniałem się do lekkiego protekcjonalizmu, który do dziś charakteryzuje większość publicznych wypowiedzi w tych sprawach w naszym kraju. Ewolucja zapatrywań to dobra rzecz – wszak tylko krowa nie zmienia poglądów. Patrząc na daną sprawę w nowy dla siebie sposób, wcale nie zapomina się przy tym, co myślało się wcześniej. Doskonale rozumie się racje tych, którzy podzielają nasze dawniejsze przekonania. Polemista, który krytykuje poglądy wcześniej przez siebie samego wyznawane, jest bardzo groźny i skuteczny. Drżycie przede mną konserwatyści wszelkiej maści!

KOBIETY SĄ LEPSZE

TEKST UKAZAŁ SIĘ W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 14 STYCZNIA 2005 R.

Nie często zdarza się, by filozof został ministrem. Tym bardziej ucieszyliśmy się w naszym filozoficznym kręgu, gdy powszechnie ceniona i lubiana dr hab. Magdalena Środa została Pełnomocniczką Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn. Pani Środa opublikowała poza tym obszerną i ciekawą pracę, w dużej mierze poświęconą zagadnieniom feminizmu „Indywidualizm i jego krytycy”, gdzie dała wyraz swemu umiarkowanemu stanowisku. Wszystko to zachęca mnie, by zwracając się niejako do niej osobiście, ale na użytek wszystkich, wyrazić nareszcie swe wątpliwości w sprawie owego zrównywania statusu płci. Twierdzę mianowicie, że wyrównał się on już w stopniu wystarczającym, a przesadne ingerencje państwa w ten proces mogą doprowadzić do zafałszowania realnych i naturalnych różnic, jakie głęboko dzielą kobiety i mężczyzn. Jeśli zaś wiele rzeczy mimo wszystko nie podoba się nam w sferze obyczajowej, to jednak rodzi się pytanie, czy to państwo właśnie ma zajmować się obyczajami?

Chciałbym skomentować kilka najważniejszych obszarów, w których, zdaniem feministek, kobiety są wciąż pokrzywdzone, a także zwrócić uwagę na pewne przywileje, jakie mimo to (a może w zamian za to) kobiety zdają się mieć w stosunku do mężczyzn. Nie chodzi mi jednak o licytację, kto ma lepiej, kobiety czy mężczyźni. Mogę się nawet zgodzić, że mężczyźni *per saldo* są uprzywilejowani. Zależy mi raczej na pokazaniu, że próby ingerowania w tę ewentualnie występującą niesprawiedliwość mogą przynieść, obok korzyści w konkretnych sprawach, również straty, i to poważniejsze, w dziedzinie duchowo-moralnej. Ta najwartościowsza a jakże delikatna sfera naszego życia wspólnotowego w znacznym stopniu przejawia się poprzez obyczaje. I one ulegają przemianom. Gdy jednak przemiany te są przyspieszane przez procesy polityczne i działania instytucjonalno-prawne, wtedy zawsze coś tracimy – jakieś symbole i gesty – nie otrzymując w zamian nic duchowo równoważnego. Najbardziej obawiam się zaś tego, że nadmiar socjotechnicznych działań rządu i organizacji pozarządowych może naruszyć tę najdelikatniejszą sferę obyczaju, która wiąże się ze stosunkami miłosnymi. Wydaje mi się, że coś takiego zaszło w niektórych krajach europejskich, np. w Niemczech, i że ludzie tego żałują.

W polityce

Kobiety mają nieproporcjonalnie niską reprezentację polityczną. Jest ich mało w parlamencie i rządzie. Powstaje tu jednak problem, czy kobiety są w ogóle jakąś „grupą

interesu", która powinna mieć osobną reprezentację polityczną. Wiele kobiet uważa, że tak. I wtedy głosują na kobiety, które również ten pogląd podzielają. Inne kobiety uważają, że nie, i te częściej głosują na mężczyzn, bo wydaje im się, że mężczyźni więcej mogą w polityce, a może i lepiej się do polityki nadają.

Gdybyśmy metodami prawnymi zagwarantowali równą liczbę kobiet i mężczyzn w parlamencie, znaczyłoby to, że ustawowo sankcjonujemy pewien pogląd polityczny pewnej liczby kobiet (a może i mężczyzn), pogląd, któremu bez przeszkód i tak mogą one dawać wyraz i nakłaniać do niego innych. Zresztą nawet gdyby ten pogląd był słuszny, tzn. gdyby było prawdą, że kobiety są grupą interesu mającą realną potrzebę odrębnej reprezentacji politycznej, to dlaczego z samego faktu istnienia grupy interesu miałyby wynikać polityczna i prawna gwarancja jej parlamentarnego zabezpieczenia? Tak się robiło w zgromadzeniach stanowych i plemiennych, ale demokracja bardzo unika takich regulacji, zachowując je głównie dla małych mniejszości narodowych, niemających bez tego szans na reprezentację parlamentarną.

Może byłoby i lepiej, gdyby nasze nawyki polityczne zmieniły się, wskutek czego zawód polityka i związane z nim dobre stanowiska w większym stopniu przypadłyby kobietom. A może byłoby i gorzej. Nie wiemy, póki życie tego nie pokaże. W każdym razie nie ma szczególnych powodów, by regulować proces demokratyczny w taki sposób, aby kobiety czy mężczyźni mieli gwarantowaną połowę miejsc w parlamencie czy rządzie. Poza wszystkim zaś, kompetencje posła albo ministra w zasadzie nie mają charakteru płciowego, lecz, jeśli dobrze rozumiem, intelektualny i moralny.

W pracy

Kobiety zarabiają mniej od mężczyzn na tych samych stanowiskach, sfeminizowane zawody są słabo płatne, zaś awans zawodowy kobiet jest utrudniony, przez co jest ich nieproporcjonalnie mniej w fotelach dyrektorów i prezesów. Co więcej, w pracy spotykają je przykrości ze strony mężczyzn – protekcyjne traktowanie, a nawet molestowanie seksualne. To wszystko jest prawdą. Ale jest i parę innych prawd. Pęd do kariery zawodowej i zdobywania wyższych stanowisk jest u kobiet mniejszy niż u mężczyzn. Warto może namawiać kobiety, by były bardziej ambitne zawodowo, ale to jest w końcu sprawa każdej z nich. Ułatwianie awansu kobiet jakimiś metodami instytucjonalnymi byłoby niesprawiedliwe. Chyba że tam, gdzie kobiety są dyskryminowane w dostępie do dobrych stanowisk. A tu i ówdzie są, tyle że nie wszystkie i zachodzi tu nierówność nie tyle między mężczyznami i kobietami, ile pomiędzy samymi kobietami. Kariera kobiet w instytucjach zdominowanych przez mężczyzn zależy bowiem w bardzo znacznym stopniu od ich urody. Jest to w oczywisty sposób niesprawiedliwe, tylko że nie podda się żadnym regulacjom prawnym.

Nawet prawne wymuszenie większej liczby awansów dla kobiet oznaczać będzie, że zatrudni się więcej z pierwszej i drugiej szachty najurodziwszych. Zgodzi się tylko w liczbach.

Nierówności między kobietami to zresztą problem szerszy. Dyskryminacja kobiet w pracy bardzo często polega na prześladowaniu jednych kobiet przez inne i ma miejsce w sfeminizowanych biurach, szkołach czy szpitalach. Są one nieraz istnym „piekłem kobiet”. Kto wie, czy nie jest to większy problem niż dyskryminacja zawodowa kobiet przez mężczyzn.

Inna prawda, którą można przytoczyć ku częściowemu usprawiedliwieniu wspomnianych wyżej nierówności, jest taka, że kobieta ma mniej czasu na pracę zawodową. Po prostu – zwykle ma ważniejsze sprawy na głowie i mniej się tej pracy poświęca. Gdy dziecko jest bardzo małe albo chore, to to dziecko chce, żeby była z nim mama, a nie tata. To czyni kobietę, przeciętnie biorąc, mniej atrakcyjnym pracownikiem. I nie jest to niczyja wina. Tak po prostu jest, a w konsekwencji jest rzeczą normalną, że ludzie nie chcą kobietom płacić tyle co facetom. Kobiety też zresztą płacą mniej kobietom.

Powiedzmy sobie zresztą uczciwie, że cała ta praca to zwykle żadne meczyje. Owszem, bywają atrakcyjne stanowiska, ale przytłaczająca większość ludzi chodzi do roboty, bo musi, i nie osiąga żadnej „satysfakcji z interesującej pracy, w której się mogą realizować i rozwijać”. Ja na przykład uczę studentów filozofii i bokiem już wychodzi mi Arystoteles, Kartezjusz i cała reszta ferajny, z jej „bytami” i „jaźniami”. Dlatego mówię do swojej córeczki: „Ucz się, Zosiu, bo jak się będziesz dużo uczyć, to może nie będziesz musiała pracować”. No i się dziecko, pełne nadziei, uczy. To samo z „kierowniczymi stanowiskami”. Jakoś nie widzę, co to za przyjemność kierować i odpowiadać. Przyjemnie tylko mieć wysoką pensję. W gruncie rzeczy w tym wszystkim chodzi o pieniądze. Te zaś jednak kobiety mają nie tylko ze swych pensji, ale w dużym stopniu otrzymują je dodatkowo od mężczyzn. Bardzo wiele z nich w ogóle nie musi pracować, będąc na utrzymaniu swoich mężów, czego i swojej córce życzę. Dla przyjemności można popracować dwie, trzy godziny, ale nie osiem, pięć dni w tygodniu.

Oczywiście nie sugeruję, że można komuś płacić za mało, zakładając, że i tak „dostanie jeszcze od męża”. Zwracam jedynie uwagę na to, że przeciętnie biorąc, kobiety w większym stopniu niż mężczyźni dysponują pieniędzmi na wydatki czysto osobiste. Społeczno-instytucjonalny układ stosunków dotyczących uzyskiwania i wydawania pieniędzy, całościowo biorąc, jest dla kobiet korzystny.

Gdyby zaproponowano mi zmianę płci w godzinach pracy, czyli przyjęcie wszystkich dobrych i złych okoliczności zatrudnienia, które dotyczą kobiet, pewnie bym na to przystał. Zarabiałbym mniej, ale wcześniejsze otrzymanie emerytury to byłaby

duża pokusa, jakkolwiek pewnie i tak cieszyłbym się nią kilka lat krócej niż pełnowymiarowa kobieta, bo te żyją sporo dłużej niż mężczyźni. Trudno byłoby mi też skorzystać z ochrony, jaką kodeks pracy zapewnia kobietom ciężarnym, zresztą całkiem słusznie. Nie jest tak, żebym coś kobietom wypominał (proszę mnie źle nie zrozumieć!), lecz po prostu skłonny byłbym wybrać los pracownika-kobiety, gdyby taki wybór byłby mi dany.

W domu

Wreszcie mamy i sferę prywatną. Tutaj prawne i polityczne ingerencje są szczególnie ryzykowne, zwykle mało skuteczne, a za to trudne do usprawiedliwienia. Nie znaczy to bynajmniej, że należy pozwalać mężczyznom bezkarnie bić i dręczyć kobiety. Z pewnością, trzeba zapewnić sterroryzowanym kobietom i dzieciom ochronę i pomoc, sprawcy przemocy domowej zaś powinni być karani. Nie jest to wszelako kwestia równości płci, lecz jedna z dziedzin kryminologii i prewencji, którą powinny interesować się właściwe czynniki. Oczywiście, przemocy domowej ulegają częściej kobiety niż mężczyźni. Dotyczy to zresztą wielu przestępstw, w których ofiara musi być słabsza fizycznie od swego krzywdziciela, by do przestępstwa mogło w ogóle dojść. Siłą rzeczy przestępstw przeciwko integralności fizycznej więcej popełniają mężczyźni. Pewna nietypowość kobiety w roli przestępcy sprawia zresztą, że gdy już tak się stanie, iż kobieta musi być osądzona za popełnione przestępstwo, dostaje łagodniejszy wyrok niż mężczyzna skazywany za to samo. Niech tak będzie. Nie zamierzam kruszyć o to kopii.

Ogólniej trzeba jednakże zauważyć, że bardzo wiele w stosunkach między płciami wynika z faktu, że kobiety są, przeciętnie biorąc, fizycznie słabsze. Nawet w najbardziej kulturalnych sferach istnieje świadomość, że w sytuacji dramatycznej może dojść do starcia fizycznego, w którym z reguły mężczyzna będzie górą. Przemoc wynikła z więzi łączącej członków rodziny jest wpisana w nasz los, tak samo jak inne formy intymności. Zdarza się, że ten czy ów przez całe życie nie pobije się z żoną czy kochanką, nie zbije dziecka czy nie odda szturchającemu go ojcu. Nie sądzę, żeby było wielu takich ludzi, a jak mi nie wierzycie (w końcu jestem tylko filozofem), to spytajcie psychologów. Pewne przesadne wysubtelnienie i wydelikacenie współczesnej kultury mieszczańskiej sprawia, że uważamy całkowitą eliminację przemocy z życia za bezdyskusyjny ideał. Zgadzam się, że lepiej nie bić dzieci i rozstrzygać spory domowe bez udziału rąk, ale będę się upierał, że czasami, choć rzadko, ceną za bezwzględne wyrzeczenie się przemocy w rodzinie jest coś o wiele gorszego. Karanie dzieci z zimną konsekwencją i zaciętą miną, które zwykle skutecznie zastępuje kłapsa, często jest o wiele od tego kłapsa brutalniejsze. Podobnie w stosunkach między

małżonkami – może lepiej, żeby kilka razy w ciągu trwania małżeństwa doszło między nimi do fizycznego starcia, nawet bardzo nierównego, niżby zamiast tego miała zalec między nimi zimna nienawiść. Czasem lepiej, by emocje zostały rozładowane w taki właśnie sposób.

Piszę o tym tylko po to, by przypomnieć, jak bardzo delikatna jest materia życia prywatnego. Z faktu tego wynika zalecenie jak najdalszej powściągliwości w regulowaniu prywatności środkami ideologicznymi, politycznymi i prawnymi. Pouczanie ludzi, jak mają żyć w swoich domach, straszenie czy zawstydzanie nie przynosi dobrych skutków. Po prostu w domu musimy być w domu. Musimy mieć możliwość, by schronić się tam nawet przed życzliwym okiem Wysoce Oświeconego i Troskliwego Ministra. Inaczej będziemy nieszczęśliwi.

W sercu

Jest jeszcze coś, co przenika obie sfery – publiczną i prywatną. To właśnie obyczaj, w swej głębszej, nieceremonialnej warstwie. O ten obyczaj nam chodzi, a właściwie o jego brak, gdy mówimy, że coś jest nieobyczajne. Należą do niego te formy zachowania, sposoby nawiązywania i budowania międzyludzkich stosunków, wyrażania uczuć i pragnień, które spontanicznie akceptujemy, uważając za własne i niewymuszone. Postępując zgodnie z obyczajem jesteśmy wolni, jesteśmy bowiem tacy, jakimi autentycznie chcemy być. A znaczną część obyczaju stanowi wieczna gra, więcej: wieczysty kontredans mężczyzn i kobiet. W każdym społeczeństwie Eros pokazuje się w innej postaci. Niestety, nie jest on zbyt posłuszny wymogom nowoczesności i demokracji. Czasem stwarza pozory dyskryminacji. Czasem zaś naprawdę zawiera w sobie jakiś element dyskryminacji kobiet i nierówności płci. A jednak obyczaj, domowy i publiczny, w którym realizują się stosunki męsko-damskie, podlega ochronie. Łatwo wylać dziecko z kąpielą. W imię starań o równość i sprawiedliwość, w imię racji politycznych można niechcący naruszyć piękno i dobro naszego obyczaju, uszkadzając i zubażając nasze życie prywatne. Wartości polityczne przeniesione na grunt prywatny, na przykład równość, zbyt łatwo prowadzą do zmiany naszych utrwalałych sposobów życia. Ingerują na przykład w kształt małżeństwa i rodziny. Przed tym nie ja pierwszy, rzecz jasna, chciałbym ostrzec.

Demokracja nie zna się na sprawach męsko-damskich. Gotowa jest lekceważyć różnice między płciami. Skoro w wyborach parlamentarnych kobiety i mężczyźni mają te same prawa, to dlaczego nie w rodzinie? Wyrównywanie i upodabnianie do siebie ról życiowych kobiet i mężczyzn, wprowadzanie symetrii i podobieństw w życie rodzinne, zacieranie wielkiej i tajemniczej *odmienności* płci spycha nasze miłosne życie w cień półlegalności, gdzie jeszcze może wolno nam oddawać się temu

wszystkiemu, co wynika z różnicy płci mimo wszystko. A jednak chcemy, by eros przenikający nasze życie miał oparcie w obyczajach i w tym, co jako obyczajne jest legalne. Potrzebujemy gestów i słów, całego tego arsenału miłosnej gry, bez którego będzie ona prymitywna i prawie że nielegalna.

Do czego zmierzam, oddając się tym filozoficznym refleksjom? Otóż pragnę wyrazić na ich tle obawę przed utratą czegoś, co darzę sentymentem i czcią i co jest dla mnie równie ważne, jak wartości demokratyczne. Boję się, że zbyt grubymi nićmi szyte instytucjonalne (ideologiczne i prawne) ingerencje w obyczaj, zarówno publiczny, jak i domowy, zakłócą i oszpecą miłosne stosunki obu płci. W świecie, którego życzyłyby sobie nawet bardzo umiarkowane feministki, takie jak Magdalena Środa, nie ma miejsca na puszczenie przodem, kwiatki, całowanie rącek, pensjonarki i kawalerów, przywoitki i swatki. W świecie tym kelner nie podaje rachunku mężczyźnie, lecz kładzie go na środku stołu. Trochę śmiesznych, a trochę wdzięcznych męskodamskich konwenansów już i tak prawie nie ma. Czy mają zostać ośmieszone bez reszty i wygubione? Gdzie wtedy będzie zakwitać między nami fenomen kobiecości i męskości? W czym wyrazi się tajemnica płci? Jak wypełni miłosna gra?

Nie udam się w podróż w poszukiwaniu straconego czasu. Wystarczy mi, aby zachować to, co jeszcze mamy. I chcę tego bronić właśnie ze względu na kobiety. Jestem bowiem przekonany, że kurtuazja, którą feministki uważają za jeden z przejawów męskiej dominacji, w istocie jest hołdem, jaki płeć męska składa płci żeńskiej. Niechaj będzie, że jestem zacofany i egzaltowany, ale skoro już zaszliśmy tak daleko, to przyznam się i do tego, że uważam, iż nie ma równości między mężczyznami i kobietami – kobiety bowiem są lepsze. Żyją prawdziwszym życiem, bliżej tego, co praktyczne i cielesne. Ich sprawy to sprawy samego życia – byt rodziny, zdrowie i bezpieczeństwo dzieci, narodziny i śmierć. Roztropność i siłę ducha kobieta hartuje w prawdziwym życiu i w nim też daje wyraz tym wszystkim cnotom, którym Grecy nadali przewrotne imię „męstwa”. Ja siłę charakteru i powagę nazywam więc „żeństwem”. I zazdroszczę go kobietom, bo wiem, że rozgadany, jakże ułomnie uteoretyzowany świat mężczyzn, ich spraw i ambicji jest światem duchowej klęski.

*

Muszę się przyznać, że z tego artykułu jestem naprawdę dumny, mimo że częściowo zmieniłem zdanie i na przykład nie życzę już swojej córce, aby nigdy nie musiała pracować. Tekst ma wyjątkowo, jak na mnie, elegancką konstrukcję i napisany jest zajmująco, dobrą polszczyzną. Mówiono mi, że był omawiany na zajęciach ze studentami dziennikarstwa. Bardzo mi to pochlebia. Swoją drogą, tekst wywołał burzę i biedna „Gazeta Wyborcza” musiała borykać się z nawałą listów i polemik.

Większość była na okoliczność mojej domniemanej tolerancji dla bicia kobiet i dzieci. Inkryminowana w tekście prof. Środa, zresztą moja dobra znajoma, też nie była nim zachwycona, ale za to zachwycona była dr Barbara Labuda, będąca wówczas Ministrem ds. Kobiet w Kancelarii Prezydenta. Napisała do mnie nawet list pochwalny w tej sprawie. Swoją drogą śmiech mnie ogrania, gdy każde z nas – Magda Środa, Basia Labuda i ja – bywa oskarżane o radykalizm. Nasi biedni prawicowcy nie czytają zachodniej prasy i nie znają chyba ni w ząb zachodniego życia publicznego. W kategoriach zachodnioeuropejskich wszyscyśmy centrowe ciamciamcie.

KOBIETA KRÓLICZKIEM RYNKU

FELIETON UKAZAŁ SIĘ W MIESIĘCZNIKU „MARKETING W PRAKTYCE” W NR 6/2011.

Obserwując reklamy skierowane do kobiet, widzę bezradność całego marketingowego aparatu, który tkwiąc w uprzedzeniach, nieudolnie stara się z nich wyzwoić.

Czy może być coś bardziej podniecającego dla męskiego marketera niż formatowanie kampanii marketingowej dla grupy docelowej o drżąco-wibrującej nazwie „kobieta”? Uwodzenie marketingowe wprawdzie nie prowadzi do rozkosznej nagrody, lecz jak powiada stara prawda impotentów: nie o to chodzi, by złapać króliczka, ale by gonić go. Jak więc gonić kobietę, by jej może nie dogonić, ale za to zagonić do sklepu, do naszej półki, do naszej marki?

Upodobania kobiet to temat tak zmitologizowany, że nawet kobietom w tej sprawie zaufać nie można. Nie znaczy to jednak, że nie warto zapytać pań w firmie, co „kręci kobiety”. Warto, ale i tak usłyszymy sporo stereotypowych odpowiedzi, które – jak się wydaje kobietom – chcieliby usłyszeć mężczyźni. Cóż, stara prawda rogaczy powiada: nie wierz nigdy kobiecie... A poza tym przecież *la donna è mobile*. Wszystko tu należy traktować z podejrzliwym dystansem.

Ale żarty na bok. Jako mężczyzna znam się na rzeczy, a ściśle na kobietach. Wiem, co lubią. Hm, brzmi perwersyjnie, a nawet seksistowsko. Jednak nie o przechwałkę mi tu właściwie chodzi, ale o wyrażenie świadomości faktu, że nie potrafię (i inni też nie!) oprzeć się poczuciu, że wiem wiele o kobietach i niełatwo będzie wyperswadować mi moje opinie. Stereotypy płci są niezwykle silne, a zaufanie do własnych doświadczeń jeszcze silniejsze. Nie mogę nabrać dystansu do własnych przeświadczeń w materii tak ambicjonalnej, ale – co ważniejsze – takiego dystansu nie mogą wyrobić w sobie sami marketerzy. Być może łatwiej przyszyłoby to badacz(k)om rynku, ale i w to wątpię. Cóż nam więc pozostaje? Ano popuścić wodze fantazji, a potem skonfrontować swoje wyobrażenia z wyobrażeniami innych. Może będzie jakaś część wspólna? Może ten krytycyzm, którego brakuje jednostce, da się wytworzyć w działaniu grupowym? Oto więc rzucam na szalę swoje widzimisie. Pochwyćcie je, wyśmiejcie i odrzućcie. A potem zróbcie to samo z własnymi wyobrażeniami, by w końcu przekonać się, że nic pewnego o kobietach nie wiadomo. *Ewige Weiblichkeit*, wieczna kobiecość, na zawsze pozostanie tajemnicą.

Ale do rzeczy. *Ad rem, ad mulierem*. „Idziesz do kobiet, nie zapomnij bicz” – tak oto w Nietzscheańskim „Zaratustrze” przemawia stara kobieta do Mistrza. Osnową życia kobiety jest starzenie się i walka z nim – ze zmarszczkami i tłuszczem. Gdy walka jest skończona, przychodzi zgorzknienie i zawiść w stosunku do młodych diabolicznie posiadających jeszcze władzę niewolenia mężczyzn. Należy im się bicz za tę ich młodość. Chyba że są to własne córki, których uroda reprezentuje minioną młodość matek. Straszliwy imperatyw podobania się sobie samej, aby tym bardziej czuć się niezależną od mężczyzny, mając w swej władzy jego żalosne libido, popycha kobiety do sklepu, gdzie bez opamiętania szukają coraz to nowych rekwizytów dla swego teatru uwodzenia, dominowania i miłości własnej. Tak naprawdę jednak kiecki, kosmetyki, torebki, diety odchudzające, marchewki i sucharki są arsenałem odwiecznej wojny, jaką prowadzą kobiety ze swą własną naturą. Im się wydaje, że to tylko środki do celu, którym jest wyzwolenie od męskiej dominacji i przejęcie inicjatywy. Tak naprawdę jednak w kobiecie walczą dwie sprzeczne tendencje: pragnienie zbudowania własnej tożsamości, która byłaby godną odpowiedzią na poniżające ją męskie pożądanie, oraz pragnienie zbudowania tożsamości czysto kobiecej, która nie byłaby już tylko jakąś figurą wystylizowaną na potrzeby wojny ze światem mężczyzn. Walczy więc kobieta jako „nie-mężczyzna” z „kobietą jako taką”. Walka nie przynosi nikomu zwycięstwa, bo obie osoby są fikcyjne. Kobieta jest tylko człowiekiem, a reszta jest zmyśleniem.

Prowadząc swą grę opartą na złudzeniach, kobiety boją się zdemaskowania tego szaleństwa, którym jest poszukiwanie kobiecości. Boją się przyznać przed sobą, że w tym szaleństwie tkwią. Dopiero w starości gotowe są uznać, że były niewolnicami płci i cieszą się, że płeć jest już za nimi. Tymczasem młode niewolnice kobiecości szaleją, opanowane przez obsesję, że ktoś je zechce przechytryć i wziąć pod włos. Zawsze muszą być o krok przed spryciarzami, którzy chcieliby wcisnąć im kit i tandetę. Żadne tam głodne kawałki, że „jesteś tego warta”, żadne tam chuderlawe modelki. Kobiety dobrze wiedzą, że są warte tego, po co zechcą sięgnąć, a patykowatych modelek i ich rurkowatych kiecek nienawidzą. Może więc lepiej mówić kobietom, że akceptujemy je takie, jakie są, że lubimy, jak są trochę grube? I to na nic. One się na to nie nabierają, a gdy ktoś stara się je namówić do polubienia własnego tłuszczu, mogą się jedynie wkurzyć, że robi się z nich idiotki. W zasadzie kobiecie na rynku nie można niczego zakomunikować, bo w nic nie będzie chciała uwierzyć – choćby dlatego, że komunikat będzie przeznaczony nie tylko dla niej, lecz również dla innych kobiet, czyli dla rywalek.

W tym właśnie tkwi paradoks marketingu adresowanego do kobiet. Kategoria „kobieta” jest przepojona ambicjonalnością i konkurencyjnością, wobec czego poziom zaufania w komunikacji na rynku kobiecym jest niezwykle niski. Dlatego szukając

marketingowego klucza do świata kobiet, należy zapytać, gdzie znajduje się kobieca ostoja zaufania, i w tym właśnie miejscu ustawić podmiot nadający komunikat marketingowy. Otóż figurą zaufania jest w fantazmacie „kobiecości” persona, która nazywa się „moja najlepsza przyjaciółka”. Jeśli możliwy jest w ogóle marketing kierowany do kobiet, to musi to być marketing poufny, dyskretny, spersonalizowany. Małe prezenty, małe próbki, zaproszenia na małe spotkanka, jakieś liściki, tajemniczki, z dala od oczu facetów i spojrzeń rywalek. Marketing szeptany, marketing ploteczkowy. Kochanie to, kochanie tamto. A spróbuj tego, a zobacz tamto. A tego jeszcze nikt nie ma, a tamto jest wygodne i milutkie, no po prostu samo się nosi.

No właśnie. Tak należy komunikować się z kobietami, ale o wiele ważniejsze jest to, co im się ostatecznie chce sprzedać. Bo byle co to kupują faceci (ja to na pewno). Kobieta wybrzydza. Co więc ją interesuje? Otóż wieczny dylemat buszującej po rynku kobiety brzmi: albo ładne, albo wygodne. Tym samym ideał kobiecego produktu jest następujący: ładne i wygodne. Życie kobiety to wszak szereg umartwień. Szpilki, biustonosze, tłuste mazidła, dietetyczne jedzenie, prażenie się na słońcu. Zgroza. Jeśli jesteśmy w stanie ulżyć tym cierpieniom, to je mamy! Tak jak każda kobieta potrzebuje mężczyzny, w którym mogłaby znaleźć oparcie i wytchnienie od znoju „bycia kobietą”, tak i dobra oferta marketingowa musi jej dawać poczucie bezpieczeństwa. Wniosek stąd taki, że idealny marketing dla kobiet to synteza dwóch ulubionych, relaksujących figur wyobraźni żeńskiej: „najlepszej przyjaciółki” i „mojego faceta”.

Obserwując reklamy skierowane do kobiet, widzę bezradność całego marketingowego aparatu, który tkwiąc w uprzedzeniach, nieudolnie stara się z nich wyzwolić. Wychodzi żałośnie: wymuskany piękniś wdzięczy się do nas (kobiet), przekonując, że kocha nas takimi, jakimi jesteśmy, i rozumie nas niczym najlepsza przyjaciółka. Jak każdy podryw, również ten marketingowy najczęściej zmienia się w obciach. Całe szczęście, że mimo wszystko kobieta musi w końcu kogoś wybrać i coś kupić.

*

Kto by się spodziewał, prawda? Cóż ma filozof do powiedzenia o marketingu? A jednak. Tak się jakoś poukładało w moim życiu, że zainteresowałem się światem korporacji, a bliżej rynkiem widzianym od strony działalności marketingowej. W ogóle uważam marketing za niezwykle ciekawe okienko na współczesny świat. Od lat wiąże mnie stała współpraca z pismem „Marketing w praktyce”, a zbiór moich miesięcznych felietonów „marketingowych” ukazał się nawet w postaci książki „Widzialna ręka rynku. Filozofia w marketingu”. To zupełnie coś innego niż pisanie do gazet codziennych lub innych periodyków masowych. Sztuka pisania przez niespecjalistę do specjalistów polega na tym, żeby tak skutecznie udawać, że jednak coś tam

się wie na dany temat, aby nawet oni dali się nabrać, i więcej: aby sam autor uwierzył, że jednak ma coś ciekawego do powiedzenia. Felietonista w roli dyletanta, który wszak dysponuje „świeżym spojrzeniem”, ma czasem powody do szczególnej satysfakcji. Gdy świat biznesu zaprasza mnie do wypowiedzenia swego zdania w tej czy innej sprawie, mam wrażenie, że moje „świeże spojrzenie” czasami przynajmniej dostrzega coś niebanalnego.



PODPALACZ OŚWIATY

MŁODZIEŻ SZUKA ODPOWIEDZI

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „DZIENNIKU” Z 18 KWIETNIA 2007 R.

Licealista Marceli Sommer rzucił w poniedziałek w „Dzienniku” wyzwanie filozofom, strzelając do nas zaiste fundamentalnymi pytaniami. Jest uczniem, więc – jak sędzę – od tego, jak się sprawimy z odpowiedzią, zależy jego przychylność dla wprowadzenia filozofii do szkół.

Bo bez woli uczniów filozofia do szkół nie wróci. Dlatego jeśli my filozofowie chcemy lekcji filozofii w polskich szkołach, musimy uczniów sobie zjednać. A to oznacza: na ich pytania starać się rzetelnie odpowiadać.

Mam nadzieję, że pan Sommer wybaczy, że w kilku słowach nie dam rozstrzygającej odpowiedzi na wszelkie niemal pytania filozofii. Muszę ograniczyć się do tego, że zacytuję trzy pierwsze i powiem, od czego zacząłbym wykład mający ułatwić słuchaczom zrozumienie tego, o co naprawdę „pytania te pytają” oraz refleksję nad tym czymś.

Bo przecież jasne jest chyba, że ważnych pytań nie zadaje się, by uzyskać raz na zawsze jednoznaczną odpowiedź i przestać sobie zawracać nimi głowę. Pytania wyrastają z myślenia i każą myśleć dalej. A myślenie przecież nigdy się nie kończy i kończyć się nie powinno. Filozofia jest myśleniem – myśleniem, które nie ustaje i nie zadowala się żadnymi rozstrzygnięciami ostatecznie. To myślenie trwa od tysięcy lat i uczyniło nas mądrzejszymi. Rozumiemy coraz więcej – świat i samych siebie – i coraz sprawniej o tym mówimy. Tylko tyle... i aż tyle.

Dlaczego wydarzył się świat?

Pan Sommer pyta najpierw: „Jaki jest prapoczątek świata?”. Czy chodzi o to, jakie zdarzenie było pierwsze? Na przykład „akt stworzenia” albo „wielki wybuch”? Jednak o to „pierwsze zdarzenie” można dalej pytać. Już nie o to, co było przed nim (bo pierwsze, to pierwsze), ale dlaczego w ogóle miało miejsce. Dlaczego w ogóle cokolwiek jest? Dlaczego „wydarzył się świat”? Cóż, mogłoby nie być nic... Tylko że nicość absolutna nie jest czymś, co „może być”, gdyż możliwość sama jest już czymś i zakłada, że istnienie „czegoś” jest samo w sobie zrozumiałe. Tymczasem my właśnie podajemy tę samozrozumiałość w wątpliwość. Może świat istnieje dlatego, że Nic jest niczym, czyli go nie ma i być nie może? Nic jest absurdem i dlatego jest

coś. Wynikałoby z tego, że coś (świat, byt) jest konieczny i nie może nie być. Jako taki wcale nie musi mieć „początku”. Proponuję przeczytać „Timajosa” Platona.

Czy istnieje Bóg?

Czy wyobrażasz sobie, że Bóg jest kimś, kogo można by spotkać i przekonać się, że faktycznie istnieje? Nie. Bóg nie jest jakąś rzeczą, o której istnieniu można by przekonać się „na własne oczy”. Więc może dałoby się czysto rozumowo udowodnić Jego istnienie? Ale rozumowanie takie w każdym przypadku musiałoby odwoływać się do tego, że bez Boga – bytu doskonałego i wszechpotężnego – świat byłby niepojęty, sprzeczny, absurdalny.

Kłopot w tym, że kto z góry wyklucza, że świat jest bez sensu, i z góry przyjmuje, że Bóg to byt konieczny – taki, który istnieje sam przez się (nie może nie istnieć), wyklucza tym samym negatywną odpowiedź na pytanie o istnienie Boga. Po co więc pytać, skoro z góry wiadomo, jaka jest ta jedyna odpowiedź, która nas może zadowolić? Przecież nie zadowoli nas odpowiedź: „Nie, Boga nie ma, a świat jest bez sensu”. Może więc jednak świat ma sens, lecz bez Boga?

Być może, ale wtedy to sam świat musiałby okazać się (jako całość) czymś samotłumaczącym się, czyli doskonałym. Nabrałby więc cech boskich. W rezultacie dyskusja idzie w stronę tego, co rozumie się pod pojęciem Boga. Może wcale niekoniecznie Osobę – kogoś, kto troszczy się o świat i ludzi. Pytanie o istnienie takiego nieosobowego Boga ma już zupełnie inną „temperaturę”. Istnienia Boga osobowego możemy bardzo pragnąć i w nie wierzyć. W takim wypadku o dowodach mowy raczej nie ma, lecz przecież niezbyt ich wtedy potrzebujemy, bo wystarczy nam nasza wiara. Z kolei istnienie jakiegoś nieosobowego Absolutu jest właściwie niezbędnym założeniem myślenia, które domaga się, by świat miał sens. Tyle że mniej nas już to obchodzi. Proszę przeczytać „Proslogion” św. Anzelmia i „Etykę” Spinozy.

Czy istnieje dusza?

Dusza, psychika, umysł, jaźń – jakkolwiek się to nazwie – z pewnością ma to być coś innego niż mózg, żywe ciało czy cokolwiek innego, co można by zobaczyć lub wykryć za pomocą jakichś instrumentów. Inaczej mówiąc, dusza nie jest przedmiotem. Rozumiemy pod tym pojęciem zawsze podmiot, czyli „to”, co myśli, czuje i pragnie. Że myślę – i jako myślący istnieję – przekonać się mogę w każdej chwili, nawet w tej, gdy mówię coś tak dziwnego, jak „nie myślę” albo „nie ma mnie”. W tym sensie nie ma kłopotu z pytaniem o istnienie duszy.

Trudniej zrozumieć, jaka ona jest i co to znaczy, że jest „moja”. No i najważniejsze: czy fakt, że nie jest rzeczą (nie jest materialna) wystarcza, by uznać, że jest niezniszczalna, czyli wieczna? A jeśli nawet jest wieczna, to czy jest w tej wieczności wciąż „moja”? Zauważmy, że wszystkie nasze świadome przeżycia zjawiają się w nas tak, jakby wyłaniały się z jakiejś nieświadomej głębi. Świadomość osadzona jest w nieświadomości. Ona też jest duszą. Ale czy mogę powiedzieć „moja nieświadomość”? Jakoś trudno. Proponuję przeczytać dialog „Fedon” Platona oraz „Medytacje o filozofii pierwszej” Kartezjusza.

Po co nam filozofia?

Po co chodzimy do szkoły? Kiedyś odpowiedź była prosta: aby uczyć się filozofii! Filozofią nazywano bowiem wszystkie niemal nauki razem wzięte. Zmieniło się to dopiero w XIX wieku, ale do dziś jeszcze gdy ktoś, np. w Wielkiej Brytanii lub USA, robi doktorat z fizyki, staje się „doktorem filozofii”.

Dlaczego dawniej fizyka był częścią filozofii, a dziś już nie jest? Stało się tak dlatego, że filozofowie (tak!) pod koniec XIX w. uznali, że całą naukę trzeba rozparcelować na szereg dyscyplin szczegółowych, a każdą z nich uprawiać z możliwie największym udziałem obserwacji i eksperymentu. Sądzono bowiem, że to właśnie z powodu ich braku nauka (filozofia) nie mogła znaleźć zadowalającej odpowiedzi na pytanie, jak zbudowany jest świat, wobec czego stawiała tak osobliwe pytania, jak: Co to znaczy być rzeczą? Co to znaczy istnieć? Dlaczego świat istnieje? Czy wszystko, co się zdarza, musi się zdarzyć? Do czego zmierza świat? I wiele innych.

Okazało się jednak, że postęp nauk doświadczalnych nie sprawił, iż takie kłopotliwe a frapujące pytania straciły na znaczeniu, a tym bardziej nie upewnił nas ostatecznie w żadnej z tych kwestii. Podobnie kłopotliwe i frapujące pozostały również inne pytania, o których nauki szczegółowe zwykle wolą nie myśleć: Skąd wiemy, co możemy, a czego nie możemy poznać? Co to jest prawda? Co czyni naukę naukową?

A jednak wcale nie jesteśmy bezradni wobec tych wszystkich pytań, choć nie pomieściły się one w naukach szczegółowych. Są one tak ważne, że nie możemy odłożyć ich ad acta – zawsze będziemy je podnosić i spierać się o nie. Nie znaczy to jednak, że nasze dyskusje są jałowe. Wręcz przeciwnie – posiadamy ogromną wiedzę na te tematy, podobnie jak na wiele innych, na przykład tych związanych z istotą moralności albo naturą piękna. Dzieje rozważań o takich sprawach, naprawdę istotnych dla poznania świata i człowieka, składają się właśnie na historię filozofii. Ta historia to ni mniej, ni więcej, tylko „dzieje myślenia” – całokształt tego wszystkiego, co najmądrszego udało się ludziom dotąd pomyśleć. A szkoła ma przecież uczyć mądrości, czyż nie? Jakże więc może obywać się bez lekcji filozofii? Przecież to sprzeczność!

Wina Arystotelesa

Wspomniałem już, że podział filozofii na poszczególne nauki dokonał się z udziałem filozofów – tych sprzed stu lat. Mieli oni tyle zażaleń w stosunku do dawniejszej tradycji filozoficznej, a jednocześnie tyle nadziei, że nauki przyrodnicze (z fizyką na czele) będą mogły przejąć na siebie wszelkie tradycyjne zagadnienia filozoficzne, iż niemalże prosili się o to, by filozofię ze szkoły wyrzucić. Stało się to faktycznie tu i ówdzie kilkadziesiąt lat temu. Niestety stało się tak również w Polsce.

Cóż, powie ktoś, sami filozofowie są sobie winni. To prawda, ale z powodu wyrzucenia filozofii ze szkół cierpią przecież nie filozofowie, lecz uczniowie, którym zabiera się podstawę wszelkiego wykształcenia, jaką jest przecież poznawanie tradycji myśli – najważniejszych pytań i najmądrzejszych na nie odpowiedzi. Nie karzmy więc uczniów za błędy filozofów!

Sytuacja jest jeszcze bardziej paradoksalna. Otóż, moim zdaniem, największym winowajcą, który doprowadził do usunięcia filozofii ze szkół w XX w. był Arystoteles – największy myśliciel starożytności, żyjący blisko dwa i pół tysiąca lat temu. Dlaczego? Zaraz wyjaśnię.

Szkoły średnie nazywają się liceami. Każda szkoła, która nosi taką nazwę, jest pomnikiem wystawionym właśnie Arystotelesowi, bo „Liceum” to łacińska forma nazwy szkoły założonej przez Arystotelesa w Atenach: Lykeonu. Szkoła ta prowadziła badania naukowe w wielu dziedzinach, gromadziła archiwum i eksponaty, wydała całe pokolenia uczonych. Nauki, jakie stworzono w Liceum, półtora tysiąca lat później, stały się podstawą nauczania uniwersyteckiego i trwało to aż do wieku XVII. Owszem, później nauki te zwalczano i nawet w owym pomysle sprzed stu lat, by zagadnieniami filozoficznymi „obdarować” nauki szczegółowe (a samą filozofię tym samym mocno okroić), pobrzmiwają jeszcze echa tej wojny z doktrynami Arystotelesa, która rozegrała się przed czterystu laty.

A jednak Arystoteles, mimo że zapomniany w liceach (coż za ironia losu!), wciąż tkwi w naszych głowach. Co więcej – również w głowach tych niemiłosiernych filozofów, co chcieli filozofię pokroić na kawałki. Chodzi o to, że Arystoteles wymyślił taki świat, w jaki wierzy nauka do dziś. Jest to świat złożony z różnego rodzaju rzeczy. Rzeczy te powinny zostać, dzięki stosownym definicjom, starannie podzielone według swych rodzajów, np. na minerały, rośliny, zwierzęta, chmury, rzeki itd. Do każdego rodzaju rzeczy należy następnie dobrać właściwą metodę poznania naukowego i zatrudnić uczonych specjalistów. Po wielu trudach badawczych wszyscy specjaliści spotkają się i złożą wspólny obraz świata...

Tak oto Arystoteles wymyślił podział świata na rodzaje, podział nauki na odpowiadające tym rodzajom dyscypliny badawcze (nauki szczegółowe) oraz uczelnię

podzieloną na wyspecjalizowane oddziały. Wymyślił więc coś, czego ostatecznie dokonano w XX wieku – wielki podział filozofii na części. I w końcu sam padł ofiarą tego wynalazku, bo gdy usunięto filozofię ze szkół, to przestano również nauczać o Arystotelesie. Sam sobie winien!

Bez filozofii nie ma wykształcenia

Nie tylko nazwa liceum jest w szkole pamiątką po Arystotelesie. Również inne nazwy, takie jak fizyka albo mechanika, które są po prostu tytułami prac Arystotelesa. Chyba nie muszę nikogo przekonywać, że warto, by uczniowie wiedzieli o tym i rozumieli, jak to się stało, że uczą się tego, czego się uczą? A podobnych jak o Arystotelesie historii mógłbym opowiedzieć jeszcze wiele – np. o Platonie, bez którego nie można wyobrazić sobie Ewangelii, albo o Millu, bez którego nie można wyobrazić sobie liberalnej demokracji. Nie pozwólmy na to, by polskie dzieci wzrastały w ignorancji. Przypomnijmy liceom i licealistom, skąd ich imię i po co jest szkoła!

Niedawno przyjęto podstawę programową nauczania filozofii w liceach. W czerwcu zakończy pracę zespół opracowujący program matury z filozofii. Są to dobre wiadomości. To wszystko jednak za mało. Powody, dla których filozofia musi być nauczana w szkole, są tak samo poważne jak te, dla których naucza się w niej matematyki, fizyki i historii. I dlatego, podobnie jak lekcje matematyki czy historii, również lekcje filozofii powinny być obowiązkowe. To sprawa zasadnicza dla wykształcenia Polaków i godności polskiej szkoły.

*

Niezmiernie się ucieszyłem, gdy zaproponowano mi napisanie tego artykułu. Nie często przecież zdarza się, aby wysokonakładowe gazety codzienne popularyzowały treści filozoficzne. Kilka razy uczestniczyłem w akcjach prasowych na rzecz powrotu filozofii do szkół, ale tylko ten jeden raz dostarczył mi sposobności do napisania paru słów o samej filozofii. To, co zwykle mówię studentom, znalazło się w gazecie. Miło.

SZKOŁO, ZOBACZ SWE DNO

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANO W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 21 PAŹDZIERNIKA 2003 R.

„**N**ieemożliwego nic dla nas nie ma, nauka temu nie przeczy”. Ten nieludzki bełkot to cytat z hymnu XIV LO we Wrocławiu, które utrzymuje się na jednym z pierwszych miejsc we wszelkich rankingach liceów i które z trudem sam ukończyłem. Jest ono zapewne nieco lepsze niż ten hymn, ale jego tekst i sam fakt, że ktoś go kiedyś zaakceptował, wiele mówi o mentalności polskiej szkoły. Brak krytycyzmu, małomiasteczkowe gusta i zadufanie w sobie tworzą atmosferę wielu szkół będących nieraz jakby karykaturami tych nielicznych, które nie muszą dorabiać sobie tradycji i przydawać chwały sztandarami i hymnami, bo tradycję mają i uczą znakomicie. Że są dobre szkoły, tego dowody mam wśród swoich studentów, a nawet w rodzinie.

Akcja „Gazety Wyborczej” „Szkoła z klasą” ukazuje nam jasne strony polskiej edukacji. Sprawa toruńska – te najciemniejsze. Ja zaś chciałbym powiedzieć głównie o statystycznej przeciętnej nauczania licealnego, które oceniam po jego rezultatach, ucząc dwudziestolatków na studiach medycznych i humanistycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, a okazjonalnie na innych uczelniach. Oceniam przeciętne wykształcenie ogólne, mentalność, a do pewnego stopnia i morale tej raczej doborowej młodzieży – i oceniam bardzo krytycznie.

Kopernik była wszystkim

Jako że wykładam filozofię, mam wiele okazji, aby dowiedzieć się, co wiedzą i co sądzą na różne tematy niedawni uczniowie. Na zajęciach mówi się o najróżniejszych sprawach, od kosmosu po literaturę i politykę. Od lat zadaję studentom podobne pytania testujące elementarne wykształcenie i mogę porównywać odpowiedzi z różnych lat i kierunków studiów.

Dzieje ludzkiej myśli zamykają się studentom w kwadracie: Kopernik, Newton, Curie-Skłodowska, Einstein. Na pytanie, kto odkrył eliptyczność orbit planetarnych, przeważnie pada odpowiedź: „Kopernik”. Jako że naukę filozofii zaczynamy najczęściej od Talesa, jest okazja zapytać o twierdzenie Talesa; odpowiedzi zwykle brak. Na zadane przy okazji pytanie o prawo Archimidesa student medycyny zwykle (nie zawsze) będzie mówił coś w rodzaju: „Na ciało zanurzone w cieczy działa siła równa jego ciężarowi”.

Ucząc filozofii średniowiecza, wiele rozmawia się o chrześcijaństwie. Pytam z reguły, kto jest autorem najpełniejszej i obowiązującej w Kościele wykładni zagadnień

teologii, metafizyki i etyki. Dodaję, że jest to święty i doktor Kościoła żyjący w XIII w. W odpowiedzi słyszę zwykle pełne wahania głosy: „Św. Augustyn?”. Gdy mówię, że Augustyn żył w starożytności, a chodzi o św. Tomasza z Akwinu, oczy wielu studentów mówią mi: „Co ty ściemniasz, człowieku, jaki Tomasz?”. A gdy przy okazji pytam, kiedy powstały uniwersytety i jaki uczony starożytny był największym autorytetem naukowym w pierwszych stuleciach ich istnienia, odpowiedzi przeważnie nie ma. O Arystotelesie wszyscy wprawdzie słyszeli, ale zwykle zapamiętali tylko jego imię.

Więcej uporu wykazuję jednak przy sprawach religii. Pytam na przykład, w jakim języku napisano Stary Testament (mniej więcej połowa sądzi, że po grecku lub po łacinie) albo kiedy żył Mahomet (zwykle brak typów). Zadaję też nieco przewrotne pytanie: do jakiego narodu należał Chrystus? Ostatnio odpowiedzi są zwykle prawidłowe, ale przed kilkoma laty miałem nieraz okazję patrzeć w oczy pełne zmieszania i wyrzutu i słyszeć zdławionym głosem wypowiedziane odpowiedzi: „Palestyńczykiem”. Straszne słowo na „Ż” nie przechodziło przez gardło w tym kontekście. I tak dalej. Jest to wprawdzie amatorska socjologia wiedzy, ale dość konsekwentna i przez to niepozabawiona pewnej wiarygodności swych wyników.

Półanalfabeci, oszuści, maturzyści

Nie brak wiedzy u absolwentów szkół średnich razi jednak najbardziej. Najgorsza jest ich „niewinna demoralizacja”. Fałszowanie (zamawianie, przepisywanie) prac, fałszowanie podpisów na listach obecności, ściąganie i kłamstwa studentów są na uczelniach masowe. Może było tak i dawniej, ale dziś wybrykom tym nie towarzyszy poczucie, że są niegodziwe, a przyłapany student zwykle nie okazuje skruchy. Tacy przychodzą ze szkół, a uczelniom nie chce się z tym walczyć.

Kiedyś, gdy uczyłem etyki (tak!) na jednej z prowincjonalnych uczelni, stwierdziłem, że studenci nie są autorami prac, które mi pokazują. Powiedziałem grupie: „Osoby, które samodzielnie napisały pracę, proszę podnieść rękę – tylko te osoby zostaną przepytane z treści własnych prac i otrzymają zaliczenia”. Nikt nie podniósł ręki; wyszedłem i już nie wróciłem. Tak, miałem do czynienia z grupą zdemoralizowanych półanalfabetów niezdolnych do sformułowania na piśmie (a zwykle i w mowie) jednego poprawnie zbudowanego zdania, a każdy z nich miał państwową maturę.

Co z oczu, to z rozumu

Ale wróćmy do doborowej młodzieży z UJ-otu. Oprócz częstych fałszerstw i kłamstw najbardziej razi nieskromność i pewność siebie, których wielu studentów nabyło

w notorycznie dumnych i zapatrzonych w siebie szkołach średnich. Ważni metodycy, ważni pedagodzy, ważne procesy dydaktyczne, programy i egzaminy, a na końcu – bardzo ważni uczniowie. W większości mają oni wpojone silne przekonanie, że ukończyli świetne szkoły, gdzie bardzo dużo się uczyli, wobec czego są wykształconą i dobrze przygotowaną do studiów młodzieżą. Jeśli okazuje się, że tego czy tamtego nie wiedzą albo w ogóle o tym nie słyszeli, to jest to najlepszy dowód, iż dana rzecz jest nieistotna.

Skoro student nie uczył się w szkole filozofii, to jest całkiem zrozumiałe, iż uważa ten przedmiot za mało ważny. Niewiedza nie boli, dopóki jej nie zauważymy. W oczach moich studentów widzę gorycz dopiero wtedy, gdy mówię im: „Widzicie, wasze szkoły nazwano «liceami» na cześć Arystotelesa i jego Liceum; uczyniono tak po to, by nigdy żadna szkoła i żaden uczeń nie považał się nie wiedzieć, czym dla ludzkości był twórca nauk. Wy jednak nie wiecie, nie powiedziano wam nawet, co znaczy słowo «liceum». Szkole udało się pracowicie zapomnieć Arystotelesa i własne swe imię”.

Niechętne filozofii ministrowi też nie należy się dziwić – skoro sam się jej nie uczył i został ministrem, najlepszy to dowód, że można się bez tego obyć. Gdyby nie uczono w szkole matematyki, też świat by się nie zawalił i nadal byłoby ministerstwo edukacji. Jakież miałoby powody, aby wprowadzać ją do szkół?

Czego tam nie uczą!

Nauczyciel filozofii pyta studentów, o jakich słyszeli filozofach. Zwykle o dwóch – Sokratesie i Tischnerze. Nie można odmówić wdzięku takiej odpowiedzi. No a Platon? (Aha, Platon, fakt.), a Kartezjusz, ten od *cogito ergo sum*? (Aha, był i taki). Na tym koniec. Z tym muszę zaczynać. Ale moja matka, która wyklada matematykę na Politechnice Wrocławskiej, wcale nie ma lepiej, chociaż lekcji matematyki odbywa się w polskich szkołach kilkaset razy więcej niż lekcji filozofii. Wykład zaczyna się od zera – nie można zakładać najskromniejszej nawet wiedzy matematycznej u większości studentów.

Wprowadzenie wielkiej liczby godzin lekcyjnych matematyki do szkół było eksperymentem edukacyjnym początku XX w. Eksperyment poniósł fiasko, tylko zapomniano go wreszcie zakończyć. Spodziewano się, że lekcje matematyki nauczą młodzież logicznego myślenia oraz pomogą w przygotowaniu do studiów w zakresie nauk ścisłych i inżynierii. Okazało się, że logicznego myślenia uczą mało skutecznie, a do studiów ścisłych nie przygotowują. Nie udało się, ale eksperyment trwa siłą inercji, i to razem z programem nauczania dostosowanym do potrzeb inżynierskich epoki maszyn parowych, nudnym i trudnym. Od logicznego myślenia jest oczywiście

przede wszystkim logika. Tej jednak się prawie nie uczy, bo nie było już na nią miejsca wobec rozrostu lekcji matematyki. Filozofowie, obarczeni nauczaniem logiki studentów, mają swoje metody sprawdzania kultury logicznej podopiecznych i wiedzą, że lekcje matematyki nie zastąpią lekcji logiki. Lubimy pytać studentów, czy prawdziwe jest zdanie: „Czy dwa razy dwa równa się cztery lub pięć?”. Odpowiedź „tak” pada niewiele częściej niż „nie”, a i to zwykle z wahaniem.

Są i inne przykłady zadziwiających luk w szkolnych programach (jakkolwiek teraz są one jakoś powoli wypełniane). Oto studenci mający za sobą lekcje nauki o społeczeństwie z reguły nie znają znaczenia takich wyrazów jak „liberalizm” czy „socjalizm”, a osiągnięta przez nich kultura prawna nie pozwala im na przykład sprawnie odróżniać tego, że ktoś popełnił przestępstwo (i jest faktycznie przestępcą), od tego, że to przestępstwo mu udowodniono i został za nie skazany. Podobnie z ekonomią. Wszyscy pragną dobrobytu, ale jakoś szkoła zapomniała o elementarzu ekonomicznym. Moi studenci z reguły nie wiedzą, skąd bierze się bogactwo, co kształtuje koniunkturę gospodarczą, a często nawet nie wiedzą, co to jest prawo popytu i podaży. Jak to możliwe, że wciąż uczy się w szkole tak mało ekonomii, podstaw prawa i logiki? Jak to możliwe, że wypławkom poświęca się sto razy więcej miejsca niż Platonowi, a fotosyntezie więcej niż rachunkowi zdań? Oczywiście, są różne modele wykształcenia i można się o nie spierać, ale przecież tylko do pewnych granic! Uznajmy, że wypławek jest ważniejszy od Platona dwa albo pięć razy. Ale sto razy?

Też mi filozofia!

Najbardziej lekceważy się w polskiej szkole właśnie filozofię. Filozofii uczy się na świecie nie *po coś*, bo treścią tego nauczania jest najlepszy dorobek intelektualny ludzkości, dzieje naszego myślenia i rozumienia świata – a od tego jest właśnie szkoła! Jeśli ktoś jednak by się upierał, wtedy można mu powiedzieć, że filozofii uczy się w celu wyrobienia w uczniach zdolności krytycznego i logicznego myślenia oraz przygotowania ich do wszelkich studiów, zwłaszcza zaś humanistycznych.

Oczywiście nie domagam się, żeby dla filozofii usunąć ze szkół np. matematykę. Chodzi mi tylko o proporcje i odrobinę rozsądku – niech lekcji matematyki nie będzie więcej niż lekcji filozofii! Któż śmiałyby powiedzieć: „Matematyka po stokroć ważniejsza jest od filozofii i należy jej po stokroć więcej uczyć w szkołach”? A jednak uczy się jej stokroć (co najmniej) więcej... To samo z historią czy fizyką.

Walczącym o powrót filozofii do szkół proponuje się wplatanie filozofii w „ścieżki przedmiotowe” (Czy proponuje się uczenie historii na polskim?), wprowadzanie niewielkiej liczby nieobowiązkowych lekcji filozofii (A dlaczego nie wprowadzić

nieobowiązkowych lekcji chemii?) oraz prowadzenie lekcji filozofii przez nauczycieli historii lub polskiego (Czemu nie odwrotnie?). To są pomysły głęboko niestosowne i świadczące o tym, że władze w ogóle nie wiedzą, o czym mówią.

Grzech pierworodny pozytywistów

Jednak winę za ten stan rzeczy, a poniekąd za całą złą kondycję szkół (nie tylko w Polsce) ponoszą częściowo sami filozofowie. Muszę tu, jako filozof, uderzyć się w pierś i przeprosić za swych przodków sprzed stu lat. To przedstawiciele nurtu scjentyistycznego dokonali linczu na filozofii i złożyli wiernopoddajczy hołd „naukom pozytywnym”, czyli przyrodniczym. To oni wymyślili szkołę w jej obecnym kształcie, z jej pogardą dla filozofii, przemądrzałym zadufaniem w sobie i zapatrzeniem w matematykę i fizykę jako ideały wiedzy.

Tylko że scjentyści i ich poglądy są na wymarcu, a scjentyistyczne szkoły utrzymują się siłą bezwładu. Wytworzyła się sytuacja absurda – szkoły uczą kultury umysłowej, której poza nimi już nie ma, a absolwenci liceów, opuszczając mury swych szkół, znajdują się w innym świecie, o którego istnieniu w ogóle nie wiedzieli. Idą na jakieś studia i słyszą na samym początku (to reguła): „Wiem, że w szkole mówiono wam, że to jest tak. Okazuje się jednak, że to jest trochę inaczej, a mianowicie tak a tak. Ale tak naprawdę to nie wiadomo właściwie, jak jest”. Dopiero jako student młody człowiek dowiaduje się więc, że nauka jest domeną sporu, a nie raz na zawsze poczynionych ustaleń, że nie rozwija się przez „przyrost wiedzy”, na podobieństwo muru z cegieł, i że wszystkie akceptowane dziś teorie wkrótce zostaną zastąpione przez inne.

Jego fantastyczne wyobrażenie o nauce zaczerpnięte z pozytywistycznej baśni sprzed stu lat, baśni wymyślonej przez filozofów, łatwo można by skorygować – wystarczy, aby uczono w szkole filozofii, a razem z nią metodologii i teorii nauki. Młodzież dowiedziałaby się, co to takiego nauka, wiedza i racjonalność, a raczej, o co ludzkość spiera się, starając się odpowiedzieć na te pytania. Dowiedziałaby się też, czemu właściwie służy szkoła – co to znaczy wykształcenie, co składa się na dorobek poznawczy i duchowy ludzkości, a zwłaszcza że ma on w sobie pewną konsekwencję i spójność i że nie można w nim przebierać oraz wybierać jak z kosza z majtkami: te mi się podobają, te mnie interesują, a te są nieciekawe i nie będę w nich chodzić.

Ale żeby te zbawienne zmiany nastąpiły i żeby szkoła dojrzała do tego, by spojrzeć na siebie i zapytać: „Co ja sama umiem?”, „Co umieć i czego uczyć powinienam?”, musi wpięrow nastąpić wstrząs. Odłóż więc szkołę na bok urażoną dumę i zajrzyj w swe dno. Zobacz odbite w nim własne oblicze. Przeraż się i przebudź!

*

No cóż, belferska frustracja wychodzi z tego tekstu niczym słoma z butów. Piszę jednakże w takim stylu całkiem świadomie. Podobnych artykułów napisałem kilka i wiem, że właśnie dlatego, że są emocjonalne, poruszają trochę środowisko i wywołują dyskusję. Narażam się na połajanki ze strony obrażonych młodych i niemłodych ludzi, ale przynajmniej coś z tego wynika. Wielkie awanturowanie się w jakiejś konkretnej sprawie zwykle przynosi jakiś skutek. Oczywiście nie można porównywać siły publicystyki z dziennikarstwem interwencyjnym czy nawet reportażem. Niemniej jednak czasami warto narazić się na łatwe zarzuty egzaltacji i w ogóle poświęcić kawałek własnego dobrego imienia, żeby coś popchnąć do przodu. Z polską szkołą wciąż jest bardzo źle, a nawet jest, przeciętnie rzecz biorąc, coraz gorzej. Przybywa jednak szkół na lepszym poziomie i jest w tym jakaś nadzieja. Poza tym młodzież coraz więcej uczy się poza szkołą, która powoli traci swój edukacyjny monopol.

SZKOŁA BUJA W OBŁOKACH

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 9 KWIETNIA 2009 R.

O czym my w ogóle mówimy?! Oto co przychodzi mi do głowy za każdym razem, gdy stykam się z wywodami przedstawicieli władz edukacyjnych rozprawiających niezmiennie o wielkich reformach, którym poddawane jest – bądź ma zostać poddane – nasze szkolnictwo. O czym my w ogóle mówimy?! Przecież każdy, kto ma do czynienia z młodzieżą szkolną lub z taką, która właśnie zdała maturę, doskonale wie, że stawką w grze nie jest żadne „przygotowanie młodego człowieka do życia w nowoczesnym społeczeństwie”, żadne „wyrabianie umiejętności samodzielnego krytycznego myślenia” ani tym bardziej „orientacja w podstawowych gałęziach wiedzy, umożliwiająca dalsze samodzielne kształcenie się i rozwój intelektualny”. Stawką w naszej grze jest po prostu upowszechnienie umiejętności czytania i pisania.

Nie wiem, jaki odsetek absolwentów szkół średnich w Polsce umie napisać poprawnie kilka zdań po polsku. Wiem, że wśród studentów na pierwszych latach studiów jest to nieco ponad 50%. Wśród tych, którzy nie umieją pisać, większość po prostu nie zna ortografii, gramatyki i interpunkcji, ale od biedy może się wystowić. Być może w fantasmagoriach w rodzaju „profil absolwenta szkoły podstawowej”, śnionych przez specjalistów od metodyki nauczania, osoby te odpowiadają kandydatowi do gimnazjum, choć i w to wątpię. Oprócz półanalfabetów mamy jednak wśród studentów analfabetów prawdziwych. Jest ich z pewnością nie mniej niż 10%. Osoby te zdolne są jedynie zapisać ciąg kulfonów nieukładających się w zdania, stworzyć wypowiedzi pozbawione struktury gramatycznej, wielkich liter i kropek, podmiotów i orzeczeń. Pozbawione sensu. Są to absolwenci polskich liceów i techników, posiadacze matur, starych bądź nowych, bez różnicy.

Wykładowcy szkół wyższych wiedzą doskonale, że większość studentów nie ma żadnej, najskromniejszej nawet, wiedzy na żaden temat, a część nie umie czytać (duka bez zrozumienia) ani pisać. Dlatego nie ma nawet mowy o tym, żeby jakiś wykładowca, na przykład nauczyciel matematyki na politechnice, poniechał wykładania najbardziej nawet elementarnej wiedzy, zakładając, że student już ją posiada. Wykłada się zawsze wszystko od zera. Gdy zaś przychodzi do zaliczeń, każdy wykładowca, wiedząc, że normalny egzamin, zgodny z wymogami programu studiów i powagą uczelni oraz dyplomu, spowodowałby odsiew większości studentów, musi pogodzić się z koniecznością udzielenia zaliczeń tym 70 procentom „studentów”, którzy niczego bynajmniej nie studiują, w życiu nie przeczytali

żadnej książki ani bynajmniej nie mają takiego zamiaru. Jak to zrobić, skoro w najcięższych przypadkach chodzi po prostu o analfabetów? Po pierwsze trzeba wprowadzić zaliczenie na podstawie prac pisemnych, czyli tzw. referatów. W zdecydowanej większości (zdarzało mi się, że w 100%) będą to plagiaty (ściągnięte z Internetu bądź napisane na zamówienie), na co oczywiście należy przymknąć oko, aby swój cel – zaliczenie zajęć prawie wszystkim studentom – osiągnąć. Druga metoda to testy. Konstruuje się test w taki sposób, aby tylko niedorozwinięty umysłowo mógł go nie zdać. Test taki nie wymaga umiejętności pisania, a i sprawdza się szybko. Tak czy inaczej, zaliczenia będą rozdane, a etat wykładowcy, na prywatnych uczelniach zagrożony w przypadku zbyt dużej liczby postawionych dwójek, uratowany.

Wiem, wiem – są też inne licea i inne uczelnie. Ja jednak nie mówię dziś o poezji, lecz o prozie. Nie chodzi mi o „pełny obraz” ani „wielostronne ujęcie problemu”, lecz o powiedzenie głośno prostej rzeczy: większość młodych posiadaczy polskiej matury, a w tym większość nowych studentów, kompletnie nic nie umie, a co gorsza nauczona jest w szkole oszukiwania i ściągania. Kto pragnie ze mną polemizować, niechaj pamięta, jaka jest moja teza i na czym ją opieram.

A opieram ją na wieloletnim doświadczeniu w pracy z 19-latkami, absolwentami liceów. Doświadczenie to jest coraz bardziej przygnębiające. Jeszcze dziesięć lat temu zadawałem studentom rozmaite pytania odnoszące się do podstawowej wiedzy szkolnej, a potem utyskiwałem na szkoły, że niczego nie uczą. A wyglądało to tak, że pytałem na przykład o prawo Ohma albo Archimedes, albo o Austerlitz, albo o cokolwiek w tym stylu, i zwykle na kilkanaście osób odpowiedź znana była jednej czy dwóm. Mówiłem wtedy z cierpkim uśmiechem: „Wprawdzie przeciętny absolwent nie umie nic, ale zbiorowa mądrość grupy studentów jest wielka”. Otóż te czasy się skończyły. Dziś moje pytania kierowane do studentów I roku nie mogą już dotyczyć wiedzy szkolnej. Przypominają raczej quiz z pytaniami za 100 zł z „Milionerów”: Po jakimu mówi się w Argentynie? XII wiek – jaka to epoka? W jakim kraju leżą Ateny? Co to jest ZSRR? Kiedy wybuchła I wojna światowa? I znowu jest tak samo: ogromna większość nie wie, ale prawie zawsze znajdzie się w grupie ktoś, kto wie. Tylko że pytania się zmieniły...

Ja też muszę dawać zaliczenia. Też imam się wspomnianych metod, z wyjątkiem świadomego akceptowania plagiatów. Urządzam za to egzaminy pisemne. Polegają one na tym, że wytypowani studenci piszą ściagi, a reszta je przepisuje na egzaminie, nie bacząc specjalnie na treść pytania. Ściaga znaczna większość, jakkolwiek zwykle z dwóch, trzech wzorów. Dlatego w pracach egzaminacyjnych powtarzają się te same treści u kilkunastu osób (nie licząc odkształceń wynikających z niezrozumienia lub niezdolności do odczytania tekstu ściagi, takich jak „japońska

filozofia przyrody” zamiast „jońska filozofia przyrody”, żeby posłużyć się nagminnym przykładem). Niedawno, sprawdzając prace egzaminacyjne z historii filozofii, miałem okazję przeczytać kilkanaście razy zdanie: „Heraklit żywił się trawom i innymi roślinnościami”. Niechby to zdanie wykuto w portyku Ministerstwa Edukacji przy alei Szucha. Żeby wreszcie zeszło na ziemię i przestało produkować fantastyczne programy nauczania i bajeczki o „wszechstronnym rozwoju osobowości”, „samodzielności myślenia”, „nowoczesnym społeczeństwie informatycznym” itp.

Z jakichś powodów polskie szkoły nie tylko mało kogo czegoś nauczyły, przynajmniej w ostatnich dwóch dekadach. Gdy już bowiem mimo wszystko nauczyły, to najczęściej nauczyły źle. Lekcje szkolne często wyglądają jak parodie dyskursu naukowego. Siłą się na naśladowanie języka i sposobu ujmowania zagadnień właściwego dla poszczególnych dyscyplin akademickich. Tak oto na polskim rosą mali teoretycy literatury, na historii – mali historycy, na biologii – mali biologowie. Jest to niemądre, pretensjonalne, irytujące. A nade wszystko krzywdzące dla uczniów. Bufonada niektórych „metodyków”, „twórców programów” oraz naszego zakompleksionego i niedowartościowanego polskiego szkolnictwa przeistacza się na lekcjach w teatralną hipokryzję. Zamiast pocziwego nudziarstwa szkoły, która niegdyś kazała dzieciom na słowo uwierzyć, że „Słowacki wielkim poetą był”, dzisiejsza szkoła każe się uczniom „staromaleńko” wymądrzać o „sytuacji społecznej” i „uwarunkowaniach politycznych i historycznych”, nie mówiąc już o „środkach literackich”, „zabiegach formalnych” oraz „nawiązaniach i parafrazach”. I to wszystko zamiast poczytać z uczniami coś, co naprawdę może do nich przemówić, a potem całkiem bezpretensjonalnie z nimi o tym porozmawiać. Co to, to nie. Do głosu dojść musi fałszywy do szpiku kości, przemądrzały, pseudo-naukowy potworek, którego niczym maskotki licealni prymusi przynoszą z sobą na uniwersytet. Tam oczywiście też jest dużo wymądrzania się, ale przynajmniej ze zrozumieniem i odrobiną samokrytycyzmu.

Uczniowie wychodzą ze szkoły z właściwym wszystkim ignorantom przekonaniem, że bardzo wiele umieją. Jednocześnie przez wiedzę rozumieją przypadkowe wiadomości, które nic ich nie obchodzą, z niczym się im nie kojarzą i do niczego nie wydają się im przydatne. Tak to widzą. W istocie nie mają żadnych wiadomości ani nawet mglistej intuicji, czym mogłaby być wiedza i wykształcenie. Owo bez ustanku powtarzane przez uczniów „Po co mam się tego uczyć?” (dziś dodają, poniekąd słusznie: „Przecież wszystko mogę zawsze sprawdzić w sieci”) doskonale oddaje kompletną porażkę systemu edukacji nie tylko w samym nauczaniu, lecz także we wzbudzaniu w umysłach młodzieży jakiejś ogólnej idei wykształcenia i ambicji, aby być mądrzejszym niż się jest. O nie, ze szkoły każdy wychodzi dostatecznie mądry, a gdyby na uczelni kto śmiał podważyć tę świętą prawdę,

zaraz pójdzie na dywanik do dziekana, skutkiem skargi urażonych w swej godności studentów. Ba, można mieć nieprzyjemności, nawet podważając plagiaty, gdyż znaczny odsetek studentów nie ma najmniejszego pojęcia, że ściąganie jest naganne – szkoła nauczyła ich wręcz czegoś odwrotnego. Doprawdy, działające na niezliczonych polskich uczelniach „socjologie” i „pedagogiki” gromadzą w większości nie studentów, lecz materiał do socjologicznych i pedagogicznych analiz. Część z nich może i powinna dotyczyć tragedii szkolnictwa. Czy tylko polskiego? Nie, dokładnie to samo dzieje się w USA, we Francji czy w Izraelu, gdzie piszę te słowa (i gdzie głośno mówi o tym problemie premier). Jest to bodajże jakaś głębsza „choroba dewaluacyjna”, w której wyniku zapewne ulegną transformacji i przewartościowaniu pojęcia wiedzy, wykształcenia, a nawet inteligencji.

O tych wielkich cywilizacyjnych procesach, które prowadzą szkolnictwo do upadku, nie mam nic mądrego do powiedzenia. Mam jednak prosty sposób na doraźną poprawę sytuacji. Czy nie można by tego samego quizu, który ja bez powodzenia przeprowadzam na studentach pierwszego roku, przeprowadzić na maturze? Właśnie to proponuję: poprzedzić kierunkowe egzaminy maturalne elementarnym testem składającym się z najprostszych pytań z różnych dziedzin życia, pytań, na które powinien umieć odpowiedzieć absolwent szkoły podstawowej. Do dalszych etapów matury dopuszczano by tylko tych, którzy taki test zdadzą. Byłyby to pytania w rodzaju: „Czy równik ma: a) 6 tys. km, b) 40 tys. km, c) 70 tys. km” albo „Goethe był: a) Niemcem, b) generałem, c) świętym”. Może dla dobrych uczniów byłoby to deprecjonujące, ale i oni przecież woleliby nie dzielić tytułu maturzysty z kompletnymi nieukami. Jest oczywiste, że jeśli maturę ma zdawać 80% młodych Polaków, to ten egzamin nie może być dostosowany nawet do poziomu umysłowego przeciętnego ucznia. Musi być do zdania dla osoby wręcz co nieco ociążałej umysłowo. Ale nawet takie osoby mogą, jeśli się do tego zmuszą, czegoś się nauczyć w ciągu dwunastu lat. Proponowany przeze mnie test byłby takim musem. Obawiam się jednak, że testu nie będzie – oblałaby go połowa maturzystów, pokazując – tym razem metodą naukową – że król jest nagi. A przecież umówiliśmy się, że jest inaczej.

Jeśli to, co tu napisałem, nie dotyczy części szkół i części studentów, to żadna w tym pociecha. Przeszanę bić na alarm, gdy relacjonowane przeze mnie zjawiska będą czymś marginalnym. Do tego jednak bardzo jeszcze daleko. Tymczasem namawiam polityków, nauczycieli, rodziców i samych licealistów do podjęcia narodowej debaty o ratowaniu polskiej szkoły. Dyskusje na temat sześciolatków w szkole, listy lektur obowiązkowych i kilku innych spraw szczegółowych debaty takiej nie zastąpią. Chodzi tu bowiem o same fundamenty systemu edukacji, które, położone przed dziesiątkami lat, wydają się dziś niebezpiecznie zapadać.



Artykuł dość podobny do poprzedniego, utrzymany w nieco alarmistycznym, egzaltowanym stylu. Jak już mówiłem, uważam, że lepiej narażić się na kpiny, lecz zasiać jakiś ferment, niż napisać coś nijakiego. Tym razem uderzam po równo: w szkołę, w uczniów i w wykładowców akademickich. Zasiałem wiatr, zebrałem burzę. Szkoda o tym gadać. Zamiast tego opowiem dowcip, który tytułem komentarza do tego artykułu usłyszałem od kolegi z Lublina:

Rozmawia dwoje wykładowców filozofii.

– No i jak ci idą te zajęcia w Radomiu?

– Bardzo dobrze. Jak idę do sali, to przeciskam się przez tłum tlenionych blondynek na wysokich obcasach, palących nerwowo papierosy i mówiących przy tym „kurwa, kurwa, kurwa”.

– No i jak ty im tłumaczysz, że substancja jest podmiotem?

– Jak to jak? Normalnie: substancja jest, kurwa, podmiotem.

KRYTYKA MŁODZIEŻOWEGO ROZUMU

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „TYGODNIKU POWSZECHNYM” W NR 12 (3219) Z 20 MARCA 2011 R.

Każdy ma prawo do własnej opinii. Ludzkość od niepamiętnych czasów zadaje sobie pytania o sens życia, ale każdy człowiek odpowiada na to pytanie w inny, tylko sobie właściwy sposób. Nie ma jednej odpowiedzi i nie może jej być, bo każdy człowiek jest inny, niepowtarzalny. Już starożytni filozofowie pytali, na czym polega godność człowieka. Jan Paweł II twierdził, że godność jest wartością najwyższą w człowieku. Zgadzam się z tą opinią.

Macie już dość? A ja tak muszę każdego roku, dziesiątki razy. Ten bełkot, ten szczerzółny, jakże charakterystyczny, szpetny język... Jakby się wszyscy zmówili. Od lat borykam się z czymś, co najpochlebniej można by nazwać światopoglądem, a mniej pochlebnie śmieciem wypełniającym umysły, a może tylko usta większości (na szczęście nie wszystkich!) moich pierwszorocznych studentów. Jestem specjalistą od mentalności naszej młodzieży, i to bez żadnych badań ani studiów, a łatwiej tej uczoności na byłem dzięki monotonii i prostocie przedmiotu. Jedną z najbardziej cenionych przez młodzież wartości, czyli niezależność osobistej opinii, pozostaje w sferze deklaracji – zastępy studentów wykazują się niezwykle jednolitością wyobrażeń o świecie. Ich wypowiedzi są tak przewidywalne, że sprawiają wrażenie jeśli nie rytualnych mantr, to w każdym razie wyuczonych frazesów. I proszę mi wierzyć, że nie ma większego znaczenia, czy mówi ogolony na tyso chłopak z mieczykiem Chrobrego, zakonnicą czy okularnik z włosami do ramion. Jeśli dawniej grzeczne pensjonarki i kawalerowie powtarzali za swymi nauczycielami rzeczy jakoś znośne intelektualnie i etycznie, to ich dzisiejsi rówieśnicy torturują siebie i nas trywialnym i bezmyślnym nihilizmem, wypranym z jakiegokolwiek idei moralnej i pozbawionym krzty krytycyzmu. Trudno nawet dopatrzeć się w tym obłudy czy zepsucia – bezmyślność jest wszak niewinna. W niepokalanym samozadowoleniu młodzi deklamują bałamutne brednie, wtłoczone im do głów przez jakiś obłądny szkolno-telewizyjno-kościelny kartel. Krzywdzimy swoje dzieci!

„Ja mam swoje zdanie, że każdy ma prawo do własnego zdania”. Czyli jakie jest pani/pana zdanie? „No właśnie, że każdy ma swoje zdanie”. Taki – zapewniam, że nie całkiem hipotetyczny – dialog profesora ze studentem streszcza istotę rzeczy. Można by właściwie na tym tę skargę na jałowość i trywialność umysłową absolwentów polskich szkół zakończyć, bo treści „własnych zdań” nie są ani obfite, ani mądre, ani

bynajmniej nie są oryginalne. „Własne zdania” nigdy też nie słyszały o tym, że powinny być czymś poparte i uzasadnione. Bardzo się takim żądaniom dziwią – przecież są właśnie „własne”! Nie dajmy się jednak tak łatwo spławić. Rzeczom beznadziejnym należy się przyglądać, bo przemawia przez nie rzecz metafizycznie ogromna – Pustka. Pustka pod postacią obojętności, ignorancji, gnuśności, podchodzi pod nasze domy ze wszystkich stron jak nocny mróz. Czyż nie stajemy czasem w oknie, by zanurzyć wzrok w lutowej nocy? Lecz szczególnie przejmujące jest mroźne piętno nicości na twarzach i w słowach młodych ludzi. Nie możemy udawać, że go nie widzimy. Młodzi przychodzą na uniwersytet i stają przed nami jakby zaczarowani. Pograżeni w jakimś umysłowym autyzmie recytują wyuczoną lekcję. Ta infantylna opowieść o świecie i życiu nosi tytuł, jakże by inaczej, „Moje zdanie”. Jest nowa i absurda. Pojawiła się kilkanaście lat temu i zapewne wkrótce zostanie zapomniana. Jakiś antropolog powinien ją na gorąco spisać i zbadać. Bo to jest pieśń tego ludu i tych czasów.

Ów „świat młodych” jest prosty i taki też im się wydaje. Młodzieży jest zresztą obojętne, jaki jest naprawdę ten świat, czyli jaka jest, jak to się dziś dość prostacko nazywa, „otaczająca rzeczywistość”. Nie, nie można powiedzieć, że „nie wierzą w prawdę”. Nigdy bowiem nie myśleli na serio, że może jest jakaś prawda, którą warto by poznać. Tym samym nie mieli sposobności przeżyć zawodu, że „nie ma jednej prawdy”. Żaden tam bolesny sceptycyzm, żaden cynizm. Nawet nie relatywizm. Gdy ich spytać, czemu służy nauka, nie przychodzi im na myśl, że może służyć „poznawaniu prawdy”. Samo słowo „prawda” kojarzy im się z religią, a religia z czymś mglistym i nudnym. Z religią kojarzy się również „etyka”. Etyka to dekalog, a dekalog to „nie zabijaj” i „nie kradnij”. Poza tym jeszcze etyka mówi, że zła jest aborcja i eutanazja. Tak naprawdę jednak to każdy ma własną etykę i „nikt nie ma prawa oceniać etyki innych ludzi”. A słowo „moralność”? To z pewnością coś z seksem, ale dzisiaj są „inne czasy”, to znaczy „pewne rzeczy, które dawniej były niedozwolone, dzisiaj po prostu wszyscy robią”. Oczywiście, są pewne zasady. Bo jak nie będę ich przestrzegać, kiedyś się to na mnie odbije. Dlatego trzeba ich przestrzegać. Trzeba też pomagać innym ludziom, bo jak nie, to i nam też nikt nie pomoże. Nie, nie należy być egoistą. Egoista myśli tylko o sobie, a przecież trzeba myśleć także o innych, jeśli inni mają się z nami liczyć. Bo w ogóle musi być równość. Każdy jest takim samym człowiekiem, każdy ma prawo do szacunku i nikt nie może mówić, że ktoś „coś zrobił nie tak” albo że „jest gorszy”. Każdy ma taką samą godność i nie wolno nikogo krytykować. Bo jakie ktoś ma prawo, żeby oceniać innych ludzi? No, a jak ktoś już zrobi coś bardzo, bardzo złego, to jest policja, są sądy. A jak kolega coś mi złego zrobi, to mogę przestać się z nim kolegować. Ale tak naprawdę tylko Bóg może ludzi sądzić, a nie człowiek. Czy Bóg istnieje? Chyba istnieje, tak, na pewno istnieje. W każdym razie każdy ma prawo wyobrażać sobie Boga po swojemu i z Nim rozmawiać. To jest „subiektywne”. Do kościoła chodzi się dla siebie, żeby się modlić i dostać wsparcie od

Boga. Nikt nie wie, co będzie po śmierci, ale na pewno coś będzie. Każdy może mieć swoje zdanie na ten temat. To też jest „subiektywne”.

Na razie jesteśmy na tym świecie, a ten świat składa się z atomów. Fizyka mówi o tym, jak ten świat powstał. Ale może to Bóg go stworzył – tego nie wiadomo do końca. Istnieje „coś wyższego”, ale co to dokładnie jest, to nie wiadomo i każdy może różnie o tym myśleć. Myśli są sprawą osobistą, subiektywną. Jak czegoś nie można zobaczyć, to tego nie ma tak naprawdę i nie może być na to żadnych dowodów. Można w coś takiego, nieistniejącego, czego nie można zobaczyć, wierzyć, ale to jest subiektywne. Nauka mówi o atomach i innych faktach obiektywnych i służy do tego, żeby nam się lepiej żyło, żeby były wynalazki. Nauka coś odkrywa, a potem się to stosuje. Naukowcem był na przykład Kopernik. Naukowcy mają umysły ścisłe, a my raczej jesteśmy humanistami; z matematyki mieliśmy tróję, a z polskiego zawsze dobre stopnie. Poza obiektywnymi faktami są różne rzeczy, o których możemy sobie myśleć, które możemy lubić albo nie. Ktoś lubi taką muzykę, a ktoś inną. Każdy ma inny pogląd. Ktoś wierzy w Boga, a ktoś inny jest niewierzący. To jest subiektywne, czyli to jest moja sprawa. W takich sprawach nie ma jednej prawdy, tylko jest tyle prawd, ilu jest ludzi. Na przykład jak ktoś jest muzułmaninem, to myśli tak, a jak chrześcijaninem, to może inaczej.

Każdy ma jedno życie i ma prawo je przeżyć, jak uważa, że jest dobrze dla niego. W życiu trzeba się realizować i musi być w nim miłość, radość, rodzina. Wtedy jest szczęście i sukces. Bo życie jest tylko jedno. Trzeba pracować, żeby zarobić na życie i móc cieszyć się tym życiem i realizować swoje marzenia. Trzeba dbać o zdrowie i uprawiać sport. Fajnie jest podróżować, żeby poznawać inne kultury. A od polityki lepiej trzymać się z daleka. Bo politycy tylko się kłócą i to do niczego nie prowadzi. Powinien być pokój na ziemi, ale to jest chyba niemożliwe, bo zawsze znajdują się ludzie, którzy wywołują wojny. Ludzie są dobrzy, chociaż niektórzy są źli, na przykład Hitler. My jesteśmy dobrzy. Zresztą nikt nie ma prawa nas oceniać. Tylko Bóg – jeśli ktoś w Niego wierzy. Młodzi ludzie powinni mieć zapewniony jakiś start. Powinni móc dostać pracę i zarabiać tak, aby godnie żyć. Czy „godnie” to znaczy po prostu „wygodnie”? No nie, chodzi tylko o to, żeby na wszystko starczyło, żeby nie trzeba było się martwić. I jeszcze trzeba być patriotą. Polska wniosła wielki wkład do kultury i historii. Na przykład daliśmy światu papieża Polaka. Poza tym było powstanie warszawskie. Polska odzyskała niepodległość.

Co to jest?! Skąd wzięła się ta karykaturalna kakofonia idei i ideek? Pobrząkują tu różne instrumenty, a wszystkie rozstrojone – jakaś grecka lutnia, stara chłopska fujarka, burżujski patetyczny fortepian, a do tego swingujący saksofon zza morza. Orkiestra z tego nie ma, ale można rozpoznać, w co się tu niby gra.

Skrócona diagnoza jest następująca. Najbardziej archaiczna warstwa idei naszej młodzieży jest z pochodzenia grecka. Da się tu wysłuchać nuty eudajmonizmu,

epikureizmu, a także sceptycyzmu. Wszystko to jednak w postaci skarłatej i zdeformowanej w trybach demokratycznego populizmu, będącego ideologią egalitarnego społeczeństwa czasów liberalnej demokracji. Powstały w ten sposób heterogeniczny, niespójny kompleks uległ następnie galwanizacji w pozytywistycznym scjentyzmie. Do tego dochodzą jakieś zbłąkane smugi nacjonalistycznego czadu epoki romantycznej i ostatnie strzępki feudalnego katolicyzmu.

Brzmi absurdalnie, ale to jest absurdalne. Oczywiście, nie twierdzę, że „epikureizm wiecznie żywy”. Nie chodzi mi o realne wpływy i ciągłość idei, ale po prostu o ich obecność. Współczesny hedonizm nie jest pozostałością tego greckiego, tylko jego powtórzeniem w gorszej postaci. Ale do rzeczy. Otóż starożytni Grecy uważali, że należy dążyć do szczęścia świadomie i z rozmysłem. Szczęśliwy jest ten, kto nie pragnie więcej, niż może mieć, kto umie cieszyć się życiem, nie poddając się smutkowi i lękom, a za to słuchając swej natury, z którą walczyć byłoby szaleństwem. Warunkiem szczęścia jest też opanowanie i rozumność. Człowiek szczęśliwy jest mądry i cnotliwy. Te trzy przymioty: cnotliwość, rozumność i szczęśliwość są tak dalece współzależne, iż właściwie zlewają się w jedno. Pod tym względem była zgoda, by tak rzec, jak Grecja długa i szeroka, przez długie tysiąclecie greckiej filozofii. Było jednak kilka punktów spornych, a jeden z nich okaże się tu dla nas istotny. Otóż eudajmoniści, na czele z Arystotelesem (IV w. p.n.e.), uważali, że obowiązkiem światłego męża jest stale doskonalić swe zalety i charakter, ucieleśniając jakby we własnej osobie ideał człowieka. Kto osiągnie pełnię cnót i życiowej tężyzny, ten jest szczęśliwy („eudajmonia” znaczy po grecku szczęście i doskonałość charakteru). Podobnie jak nasza młodzież, eudajmoniści twierdzili, że dobre życie polega na rozwoju wewnętrznym, czyli, jak to dziś mówią, „samorealizacji”. Tyle że Grekom chodziło o to, że jesteśmy bardzo marni i musimy ciężko pracować nad sobą (z pomocą wychowawców), by stać się lepszymi niż dotąd ludźmi, jeśli nie wręcz ludźmi w ogóle. Współczesna młodzież myśli zaś, że wszyscy są równi i równie wiele warci, a wysiłki nie służą temu, aby przewyciężyć własną nędzę, lecz spełnieniu pragnień.

Zasadą podstawową etosu naszej młodzieży jest bowiem całkowita odmowa uznania jakichkolwiek własnych słabości oraz jakichkolwiek celów społecznych, mających ważność niezależnie od tego, czy przynoszą nam osobiste korzyści. Gdybyśmy mieli być w istotny sposób lepsi bądź gorsi jedni od drugich, to zagrożona byłaby równość. Lepiej umówić się, że nikt nie będzie wywyższony ani poniżony, cokolwiek będzie czynił, lecz że wszyscy będą zawsze równi i równe będą mieli prawo do szacunku, bez względu na to, co czynią i ile umieją. Ten drugi, demokratyczny, system jest wszak o wiele łatwiejszy, z góry wyklucza pretensje jakichś uzurpatorów do rzekomych „wyższych celów” – jak gdyby im akurat chodziło o coś innego niż osobisty sukces. Nie ma wygranej, ale i nie ma ryzyka: wszyscy są wspaniali, równi

i nastawieni wyłącznie na osobiste cele. Co więcej, system ten wygląda na sprawiedliwy, bo przecież równość i sprawiedliwość idą w parze.

Populistyczny egalitaryzm jest wynalazkiem XIX-wiecznego demokratyzmu, nawiązującego do rewolucji francuskiej, a współczesna demokracja medialna, opierająca się na nieustannym schlebaniu wszystkim wyborcom, a więc w ogóle wszystkim ludziom, „zabetonowała” tę logikę nihilizmu i resentymentu, jak określał to Nietzsche. Bardzo brzydką stroną tej nowoczesnej „myśli gminnej” jest egoizm, który nie umie sam rozpoznać się jako egoizm ani sobą samym zawstydić. Gdy pytam młodzież, dlaczego wspiera akcje charytatywne, to słyszę nieodmiennie, że „pomagam, bo sam mogę kiedyś potrzebować pomocy”. Współczucie i bezinteresowny odruch serca nie wydają się godnymi racjami działania. Rozumność wymaga, by powołać się na jakiś interes, czyli korzyść. Tak też się i czyni, a brak styczności z ideałami moralnymi sprawia, że ludzie nie wstydzą się deklarować egoizmu. Co więcej, zdają się wierzyć, niczym oświeceniowi protoplaści liberalizmu, że roztropny egoizm powszechny, prowadzący do równomiernego uwzględniania interesu wszystkich ludzi, a więc tym samym interesu publicznego, jest najrozumniejszym i najbardziej naturalnym ustrojem życia społecznego. Dziś ja pomagam tobie, a jutro ty mnie. Solidarność co się zowie!

Osobliwy racjonalizm i klasycyzm światopoglądu młodzieży jest jednak bardzo niekonsekwentny, by nie powiedzieć pozorny. Pełna ochrona integralności każdej jednostki jako równej pozostałym i chronionej przed wszelką krytyką, wymaga bowiem, aby nie dochodziło do takich sytuacji, iż oto nagle okazuje się, że ktoś ma rację, a ktoś inny nie. Trzeba więc wykluczyć rozum, gdyby ten miał jakieś pretensje do prawdy i słuszności. A skoro rozum usuniemy z tronu, sprowadzając go do roli negocjatora egoistycznych interesów równych i zadowolonych z siebie pretendentów do „godnego życia” oraz „samorealizacji”, jego miejsce zająć mogą tylko odczucia. W rezultacie nie ma już „prawdy”, a jedynie właśnie owe słynne „subiektywne odczucia” – jakie tylko komu odpowiadają. Tu żadne negocjacje nie są już potrzebne – poglądy są sferą czystej wolności. Nie ma sensu o cokolwiek się spierać. Chleba z tego nie będzie ani przyjemności żadnej; a nawet przeciwnie. No więc się nie spieramy. W taki sposób masy skonsumowały przesłanie liberalne: myślimy sobie, co chcemy, i w drogę sobie nie wchodzimy. Przy takim stanie rzeczy uchodzi wszystko z wyjątkiem jednego: wszelkie sugestie, że ktoś mógłby jednak mieć rację nie tylko subiektywną, swoją i dla siebie, lecz także rację domagającą się uznania publicznego, muszą być stanowczo oddalone. Ten zaś, kto chciałby wejść w rolę jakiegoś mentora racji publicznych, wywyższając się tym samym ponad innych, zasługuje na potępienie jako wróg równej wolności. „Nikt nie ma prawa narzucać innym swojego zdania”, brzmi jeden z obmierzłych frazesów otumanionej młodzieży.

Odrzucając rozum, a w każdym razie rozum obcujący z ideami w nadziei prawdy, czyli rozum nieinstrumentalny i nietrywialny, traci się wraz z nim wszelkie ideały. Ideały moralne i w ogóle wszelka wiara w cokolwiek niewidzialnego musi się rozwiać, gdy „wszystko jest subiektywne”. „Obiektywne” są tylko rzeczy złożone z atomów. Wszak „jeśli czegoś nie można zobaczyć i dotknąć, to znaczy, że tego czegoś nie ma” – by zacytować kolejną mantrę młodego studenta. Tak się jednak składa, że i ja sam nie jestem taki całkiem materialny i nie mogę zobaczyć tego czegoś, co nazywam słowem „ja”. Na gruncie nieźle, jak widać, uwikłanego filozoficznie, mimo całej swej bezmyślności, światopoglądu naszej młodzieży nie da się utrzymać wiary, że życie człowieka to coś więcej niż coś, co „można dotknąć”, czyli przeżyć. A więc życie to po prostu ciąg przeżyć. I trzeba się starać o to, aby te przeżycia były jak najlepsze i najprzyjemniejsze. Dobra jest nauka? Dobra – bo „ciekawa”. Dobry jest film? Dobry – bo „wzruszający”. Dobra jest msza? Dobra – bo daje „przeżycie religijne”.

Zamknięcie życia i całego jego sensu w strumieniu przeżyć było wynalazkiem greckich filozofów nastawionych opozycyjnie do eudajmonizmu, a tym bardziej do uduchowionego stoicyzmu, a mianowicie cyrenaików i epikurejczyków. Najważniejszy był Epikur, więc stanowisko takie nazywa się epikureizmem; można jednak nazywać je również hedonizmem, od słowa *hedone*, oznaczającego dobre, przyjemne przeżycie. Epikurejczycy uważali, że życie jest sztuką, której trzeba się nauczyć. A kto posiada tę sztukę, ten będzie szczęśliwy. Trzeba więc umieć cieszyć się życiem i je smakować – najlepiej wspólnie z przyjaciółmi. Życie przecież jest tylko jedno i trzeba je najlepiej, jak się da, wykorzystać. Pogląd ten jest tak bezwarunkowo uwewnętrzniony przez naszą młodzież (i nie tylko młodzież), że można go nazwać etyką współczesności. Żadne tam „życie chrześcijańskie”, żadna „sprawiedliwość i pokój”, żadne „wolność, równość i postęp”. Liczy się jedno: przyjemne, dające wiele radości i satysfakcji życie, a wszystko inne – nauka, sztuka, religia – nabiera wartości tylko o tyle, o ile daje się temu projektowi podporządkować. Czysty epikureizm. Starożytni górą! Niestety, zachwyt nad odrodzeniem idei klasycznych studzi w nas widok szpetnego oblicza współczesnego trywialnego hedonisty. Gdzież mu tam do ogrodów Epikura. Nie dla niego wysmakowane dysputy, elegancja i styl. Jego „sztuka życia” to zaledwie użycie. Szybkie i byle jakie. Piwo, muza, plaża, seks. Dla bardziej wymagających jeszcze kino i msza. I żeby się nie narobić. To jest właśnie „godne życie” i to jest „własne zdanie”.

„Bo ja na przykład lubię chodzić do kina, ale uczyć się to nie bardzo lubię. Chyba że mnie coś interesuje. A filozofia to nie wiem, do czego mi jest potrzebna, i to mnie nie interesuje. Poza tym ja mam umysł ścisły i lubię konkretne rzeczy, które do czegoś się przydają w życiu. Takie bynajmniej jest moje zdanie”.



Chyba żaden mój tekst nie wywołał tylu reakcji. W szkołach, a nawet na pewnym uniwersytecie, urządzano dyskusje, w Internecie zaś wrzało. Pewną liczbę dłuższych i krótszych polemik wydrukowano. Jedno z krakowskich liceów zaprosiło mnie na spotkanie z uczniami. Przyszli bojowi, wyszli weseli i zadowoleni. Mnie jednak po tym wszystkim było raczej markotno. Otóż jak nigdy wcześniej przekonałem się, że siłę uprzedzenia i tzw. stereotypu nie można przeciwstawić się ot, takim sobie zwykłym napomknieniem albo zastrzeżeniem. Takie zwykłe wyjaśnienia, jak dla kogo bystrego, nie wystarczą. Wprawdzie w artykule wyraźnie zastrzegłem, że nie cała młodzież jest „taka”, wprawdzie ostrze krytyki nie w stronę młodzieży, lecz dorosłych zwracam, lecz i tak niezliczoną ilość razy musiałem wysłuchiwać, jak to niesprawiedliwe jest wyszydzanie całej młodzieży bez różnicy i jakie to banalne ciągle narzekać, jaka ta młodzież okropna, a my to byliśmy całkiem inni. A przecież ten tekst niby nie o tym. Przynajmniej nie w zamiarze autora. Dla czytelników jednak okazał się właśnie o tym. Kto tu decyduje? Obawiam się, że jednak czytelnicy, a ci w swej masie bardziej skomplikowanych logicznie i retorycznie tekstów po prostu nie umieją ze zrozumieniem przeczytać. Taki już los.

PROFESORY I CHAMY

ESEJ OPUBLIKOWANY W „PRZEGLĄDZIE POLITYCZNYM”, NR 59 (2003).

Aby odmienić położenie nauki w Polsce potrzeba przede wszystkim porządków w samych uniwersytetach. A na początek: szczerych wyjaśnień, na czym polega życie akademickie i dlaczego jest godne poparcia mimo swych wielu wad. Doprawdy – nie zmiękczymy serc władzy, narzekając, że mało nam daje na badania i niskie płaci pensje. Zresztą jedno i drugie jest tylko półprawdą. Na rzeczywiście ważne badania pieniądze na szczęście na ogół się znajdują, a dochody pracowników nauki nie składają się z samych pensji (niskich, ale też odpowiadających niewielkim na ogół obciążeniom obowiązkami) i są wystarczające dla tych, którzy miłują mądrość bardziej niż złoto.

Nauka w Polsce i na całym świecie przeżywa kryzys kompetencji i kryteriów jej oceny, czego następstwem jest obniżone poczucie własnej wartości środowisk naukowych oraz wzrost tolerancji (również ze strony wąskich elit rzeczywistych uczonych) dla różnych przejawów „plebeizacji” w życiu akademickim. O tych sprawach będzie tu mowa. Pytanie, w jaki sposób w warunkach, gdy etos życia poświęconego służbie prawdzie, w zgodnym przekonaniu uczonych, nawet w sferze deklaracji nie jest zbyt wyrazisty, rodzi się wiedza, jest jednym z najbardziej fascynujących zagadnień współczesnej humanistyki. A już przed dwustu dwudziestu z górą laty Kant miał powody, by napisać: „W dzisiejszych czasach uważa się za marzyciela tego, kto żyje zgodnie z tym, czego naucza”.

Rozdzieranie szat

Janusz Haman pisał niegdyś o braku polityki wspierającej rozumienie nauki i jej zadań przez społeczeństwo („Wprost”, 30 maja 1999). Skutkiem niedoboru propagandy proakademickiej jest sukcesywne zmniejszanie się społecznego poparcia dla dotowania nauki. Kłopot jednak w tym, że polityka promocji musi zawsze opierać się na jakimś jednolitym wizerunku nauki i jej celów, a takich możliwych wizerunków sama nauka proponuje po pierwsze, wiele, a po drugie, z reguły zawierają one spory ładunek samokrytyki.

Inaczej mówiąc, wszelka polityka promocji nauki zakłada pewną wiedzę i pogląd nauki na samą siebie, a więc pewną *samowiedzę* nauki. Jak wszystko w nauce, samowiedza ta jest przedmiotem odrębnej naukowej kompetencji, a przede wszystkim jest przedmiotem sporu. Toczy się on przynajmniej na gruncie filozofii nauki i socjologii wiedzy, a okazjonalnie w kilku innych dziedzinach. Żadnego jednolitego i powszechnie

uznanego wyniku tej debaty naukowej nie ma i być nie może. Nauka nie produkuje bowiem – tak jak parlament – żadnych oświadczeń i werdyktów, nawet na temat samej siebie. Choć wykształcenie szkolne może wywoływać inne wrażenie, to jednak nauka jest przede wszystkim właśnie sporem: sporem pojęć, hipotez, teorii, a wreszcie sporem środowisk badawczych i całych dyscyplin.

Przyjmowane przez różnych uczonych i przez różne środowiska koncepcje uniwersytetu i społecznej roli nauki zależą od ich poglądów metodologicznych, politycznych i wielu innych. Wprawdzie koncepcje te bywały i są nadal bardzo od siebie różne, to jednak, na szczęście, w poszczególnych epokach pewne idee bywały dominujące, dzięki czemu życie akademickie uzyskiwało w miarę jednolity charakter w całym zachodnim świecie. Było tak w czasach pionierskich uniwersytetów, których działalność badawczą i dydaktyczną określa się słowem scholastyka, było tak w dobie oświeceniowej odnowy życia uniwersyteckiego oraz w okresie kształtowania się dzisiejszej formy uniwersytetu (w drugiej połowie XIX wieku). I jest tak nawet dzisiaj, w czasach, które w światowych dziejach uniwersytetów inicjuje cezura roku 1968. O ile w dyskusjach prowadzonych z okazji reform wywołanych właśnie wydarzeniami 1968 r. zwracano bardzo często uwagę na to, że żadna szlachetna moralnie i filozoficznie podbudowana ideologia mająca podtrzymać autorytet uniwersytetu i jego prerogatywy nie może być już powszechnie wiarygodna i wpływowa (pisze o tym np. J. F. Lyotard w swym słynnym raporcie „Kondycja ponowoczesna”), o tyle jednak nigdy nie doznały uszczerbku podstawowe ideały nowożytnych uniwersytetów: prawda, służba dobru publicznemu, oświata narodowa, autonomia badawcza, konstruktywne stosunki z państwem i Kościołem. Nigdy też żaden sceptycyzm nie spostponował ideału człowieka wykształconego. Ogromny ładunek krytyki, a nawet wzgardy, jaki zawiera się w tradycji komentowania życia akademickiego przez jego przedstawicieli (żeby wspomnieć wielkich: Schopenhauera i Nietzschego) nie oznacza braku ideowości, ale wręcz przeciwnie – namiętny protest przeciw temu, że tak rzadko ideały bywają wypełniane. To właśnie zderzenie ideałów z praktyką życia akademickiego określa stan rzeczywistej samowiedzy świata akademickiego, której pewne drażliwe strony zaczynają być dzisiaj widoczne i dla polskiej publiczności.

Dla każdego X istnieje Y, który uważa X za idiotę

Prof. Łukasz Turski w swoich licznych artykułach słusznie podnosił kwestię poziomu polskiej nauki. Jako fizyk prof. Turski dysponuje dobrymi kryteriami oceny pracy swoich kolegów. Nikt nie śmie też podważyć wartości badań fizycznych jako takich. Z podobnego komfortu nie może jednak korzystać znaczna część środowisk naukowych. Dla przykładu: sposób, w jaki uprawia się politologię (używane pojęcia, formy

argumentacji np.), jest w przekonaniu większości filozofów polityki naiwny, natomiast w przekonaniu większości politologów teksty z dziedziny filozofii politycznej są miałkie, oderwane i niekonkluzywne. Takich sytuacji, gdzie całe środowiska naukowe (nieoficjalnie) mają się wzajemnie nieomal za nic, a co najmniej nie uważają nawzajem, że kompetentnie zajmują się jakąś prawdziwą nauką, jest wiele. Filozofowie należą, rzecz jasna, do najczęściej lekceważonych i lekceważących.

Nie ma żadnej instancji, która zapewniłaby porządek i pokój między „fakultetami” na gruncie jednolitej koncepcji podziału nauk i ogólnych kryteriów naukowości. Od średniowiecza aż do pierwszych dekad XX wieku tworzeniem i utrzymywaniem takiego porządku z powodzeniem zajmowały się wydziały filozoficzne; dziś niejednolitość, rozczłonkowanie i skłócenie nauki zaszło tak daleko, a ranga filozofii spadła tak nisko, że autorytatywne określenie choćby tylko standardów naukowości (kryteriów przynależności do nauki) stało się niemożliwe. Poszczególne dziedziny naukowe rozwijają się w znacznej izolacji od siebie i często jest tak, że pewne ogólne wyobrażenia i sformułowania wynikające z praktyki jednej z nauk i uważane przez jej przedstawicieli za bardzo ważne brzmią naiwnie z punktu widzenia przedstawicieli innej nauki. Niech zilustruje to przykład dwóch grup uczonych, którzy w swoim przekonaniu zajmują się ostatecznymi podstawami rzeczywistości: fizyków (zarówno tych badających strukturę molekularną materii, jak i kosmologów mówiących np. o początku świata materialnego) oraz metafizyków (ontologów), którzy zastanawiają się nad ostatecznymi warunkami bycia przez cokolwiek bytem czy przedmiotem. Ich wypowiedzi są tak dalece niewspółmierne z sobą i tak dalece wzajemnie obojętne dla ogromnej większości przedstawicieli obu dyscyplin, że nieliczni filozofowie przyrody, którzy próbują je uzgadniać i wiązać w jedną całość, znajdują jakiś posłuch jedynie w swoim własnym gronie. Taki stan rzeczy datuje się ledwie od stu lat, a Kartezjusz, który w pewien sposób sam przyczynił się do jego powstania, z pewnością uznałby, że jesteśmy szaleni, skoro w naszych czasach „drzewo nauk” zmieniło się w kępę krzaków.

Podobnie jak istnieją głębokie bruzdy oddzielające poszczególne nauki i w konsekwencji poszczególne części uniwersytetów, również i w ramach konkretnych dyscyplin ich autorytawni przedstawiciele dość często uważają się wzajemnie za ignorantów, maniaków, kombinatorów, bufonów itp. Nie ma żadnego powodu przypuszczać, i nikt tak nie sądzi, że w opiniach takich wszyscy się mylą, a więc że w istocie nie ma nieuków z profesorskimi tytułami ani bałamutnych teorii bronionych przez profesorów. Kłopot w tym, że nie dochodzi do ustalenia żadnej odpowiedzialnej środowiskowej opinii w tym względzie (a mianowicie, kto w końcu jest tym nieukiem) i nadal współistnieją z sobą w jednym kraju, a nawet na jednej uczelni, dajmy na to, utytułowani historycy czy nawet lekarze, którzy uważają, że ci drudzy

nie zasługują na stopień naukowy. Co więcej, zasiadają oni razem w różnych gremiach i z konieczności współdecydują na przykład o stopniach akademickich innych naukowców.

Pierwsza odmiana paraliżu oceny kompetencji wiąże się więc z nieprzewidywalnymi konfliktami merytorycznymi i personalnymi. Zjawiskiem przeciwnym, choć komplementarnym, jest natomiast symbiotyczne kumoterstwo, które stanowi podstawę owej drugiej odmiany rzeczoności paraliżu. W żadnym małym kraju nie da się uniknąć tego, że w poszczególnych specjalizacjach naukowych czynnych jest często zaledwie kilka bądź kilkanaście osób, które się doskonale znają, i nawet jeśli nie zawsze się lubią, to z uwagi na wspólny interes muszą np. wystawiać sobie wzajemnie referencje i pisać dobre recenzje (chyba że akurat dzielą się na ostro zwalczające się frakcje teoretyczne lub geograficzno-instytucjonalne). Żaden wewnętrzny krajowy system recenzyjny – czy to dotyczący nadawania stopni naukowych i tytułu profesora, czy to grantów na badania naukowe – nie jest w stanie przezwyciężyć logiki solidarności w małych grupach. Żadna reforma – szkolnictwa wyższego ani Komitetu Badań Naukowych – nie zapobiegnie temu, że ogromne kwoty nadal wydawane będą czasem na badania niepotrzebne, pozorne, nieaktualne, rozrzutne albo i zupełnie bałamutne. Urzędy muszą bowiem wierzyć autorytetom naukowym (choć ostatecznie to urzędnicy podejmują decyzje), a te bywają różne – prawdziwe lub pozorne, uczciwe lub ulegające naciskom i wpływowi prywaty, pryncypialne lub pragmatyczne – jak się trafi. Na jednym z podrzędnych uniwersytetów piłem kiedyś toast wznoszony przez gospodarza konferencji „za wszystkie recenzje dla KBN-u z nienapisanych jeszcze książek, jakie obecni tu panowie profesorowie zechcą napisać dla nas, a my dla nich”.

Iluzja studiów

Studia nawet na najlepszych uniwersytetach są dziś już tak masowe, że siłą rzeczy w większości przypadków może je ukończyć przeciętnie inteligentny człowiek. Wyjąwszy absolwentów wyjątkowo poważnych kierunków studiów (jak matematyka lub fizyka albo medycyna), poziom wykształcenia specjalistycznego magistra jest zazwyczaj bardzo niski i nawet nie ociera się o „przygotowanie profesjonalne”, nie mówiąc już o wdrożeniu do uprawiania nauki.

W związku z umasowieniem, zmianie uległa sama istota studiów. Chociaż nadal absolwenci utrzymywani bywają w iluzji, że wprowadzono ich w zagadnienia danej nauki, to tak naprawdę często odbywają oni jedynie dość niezobowiązującą, jakby autokarową wycieczkę po wybranych pomnikach jej historii oraz metropoliach i kurortach jej współczesności. Często zresztą nie może być inaczej, skoro poszczególne

nauki są tak rozbudowane, że po prostu nie sposób wdrożyć się w nie w ciągu pięciu lat. Ponadto realna dyscyplina studiów ma się nijak do oficjalnych obowiązków studenta i oficjalnie określonego „materiału nauczania”, a bardzo często jest znacznie niższa niż w porządkowej tradycyjnej szkole. Tych ostatnich zresztą jest coraz mniej i w przeważającej opinii wykładowców wyższych uczelni z roku na rok na studia przychodzi młodzież coraz mniej wykształcona, a w dodatku niemająca pojęcia o swej ignorancji. W interesie wszystkich – studentów i uczelni – jest jednak utrzymanie owego złudzenia, że wszędzie studia są na serio, choć naprawdę tylko niektóre wydziały mogą i chcą takie studia prowadzić. Ta wielka mistyfikacja obejmuje zresztą sporą część świata. W wielu krajach przestano już jednak udawać, że studia są nadal czymś poważnym, a ich dawną rolę zaczęły pełnić na wpół masowe studia doktoranckie. W Polsce proces zrównywania funkcji doktoratu z dawnym magisterium jest jeszcze, mimo wszystko, dość daleki od zakończenia, a dyplom magistra wciąż coś jeszcze dla pracodawcy znaczy, i to nawet pomimo upowszechniania się procederu ordynarnej sprzedaży dyplomów pod pozorem odbycia jakichś tam niby-studiów oraz pomimo szalonej kryminalizacji studiowania (szacuje się, że na niektórych kierunkach nawet 25% prac zaliczeniowych oraz magisteriów to plagiaty lub fałszerstwa!).

Gdzie ci uczeni?

Prof. Turski ubolewa, że połowa profesorów od lat nie napisała żadnej pracy naukowej. Tymczasem należy się z tego tylko cieszyć. Szkoda jedynie, że wśród tej drugiej połowy tak wielu pisze prace, które potrzebne są tylko im samym, a na ich przygotowanie i wydawanie łoży się znaczne kwoty z publicznej kasy. Świat akademicki nie jest elitą i nikt tego nie może rozsądnie oczekiwać. On jedynie ma swoje elity. Poza tym składa się na niego „publiczność” czy też „widownia” – kompetentni nauczyciele, czytelnicy i kompilatorzy prac naukowych, którzy pracują na stanowiskach naukowych i dydaktycznych, stanowiąc jakby naturalne zaplecze społeczne, ową „otulinę” rzeczywistej nauki. W tylnych rzędach tej publiczności zasiadają natomiast różne akademickie kurioza: nieudacznicy, nieuki, dziwacy. Jedną z mniej znanych funkcji uczelni jest i zawsze było sprawowanie opieki nad pewną ilością ludzi niezaradnych i nieinteligentnych. Ta na wpół świadoma opiekuńczość może posuwać się nawet do zapewniania takim osobom stanowisk profesorskich. Z tych powodów posiadanie przez kogoś tytułu profesora jest tylko poszlaką, że posiadacz tytułu to ktoś inteligentny i kompetentny i w żadnym wypadku nie daje gwarancji, że jest to uczony lub choćby osoba ogólnie wykształcona i np. znająca ortografię języka ojczystego. W krajach pokomunistycznych niemiernodajność insygniów naukowych

wiąże się dodatkowo z dyplomatycznie niedostrzeganym faktem zalegania na uczelniach sporych wciąż grup „miernych, lecz wiernych (partii)”. Zresztą nie tylko takie przypadki składają się na „warstwę plebejską” środowisk akademickich. Znacząca liczebnie ich część, i to również na dobrych uniwersytetach, to ludzie w gruncie rzeczy prości i pozbawieni głębszego wykształcenia i zainteresowań. Podkreślam, że nie dotyczy to większości, ale też przejawy trywialności intelektualnej i moralnej, a nawet brak zwykłego obejścia czy kultury słowa, bynajmniej nie są czymś rzadkim. Dawniej, gdy profesor mówił: „Proszę panią, co tu pisze?”, to można było pokusić się o zgadywanie, jaki reprezentuje wydział; dziś już nie. Co gorsza, istniejąca wciąż piękna elita akademicka również, mimo wszystko, nie stanowi solidnego oparcia dla poszukujących autorytetu ludzi ideowych. Jest ona często skłócona wewnętrznie, sfrustrowana, przytłoczona, a nawet „zmanipulowana” przez warstwy urzędniczo-menedżerskie świata akademickiego. A co więcej – kompetencje i autorytet tych prawdziwych uczonych jest zawsze wycinkowy i częściowo problematyczny, o czym sami zwykle chętnie przypominają. Każdy wybitny profesor zna się oczywiście na swojej dziedzinie i ma pewne wykształcenie ogólne, ale jego kompetencja pełna jest nagłych uskoków, wyrw i trzęsawisk. Powyżej pewnego stopnia kultury umysłowej i wykształcenia w zasadzie każdy uczony sam czuje się „niedoukiem” – ma dojmujące poczucie niewiedzy i niekompetencji oraz braków w wykształceniu. Jest to zresztą całkiem realna niekompetencja, a nie żadna kokieteria czy piękna skromność. Cały uniwersytet to jakby jedno wielkie nieuctwo: jedni po prostu są nieukami i już, drudzy mają wykształcenie znacznie skromniejsze niż to, do jakiego zobowiązuje ich formalnie ich stopień naukowy (żyjąc z udawania, że wiedzą więcej, i często w przeświadczeniu, że na szczęście koledzy są mądrzejsi), a jeszcze inni wreszcie są ignorantami w znaczeniu sokratejskiego „wiem, że nic nie wiem”. I tylko część spośród tych ostatnich może być zwolniona – i to zawsze w późnym wieku – z obowiązku pokrywania niewiedzy iluzją wiedzy, jaką daje erudycja. Ci nieliczni szczęśliwcy pełnią rolę akademickich sceptyków i mędrców, którym każda wypowiedź i każdy sarkazm ujdzie na sucho.

Uwagi te stosują się nie tylko do polskiej nauki; zagranicą jest nie inaczej. Gorzej jest u nas jednak pod jednym, bardzo ważnym względem: polscy wykładowcy akademicy w zdecydowanej większości nie znają ani jednego języka obcego w stopniu pozwalającym, dajmy na to, swobodnie czytać gazetę w tym języku, nie mówiąc już o porządnym wykładaniu. Ignorancja językowa jest żenująca, co widać na konferencjach i przy okazji odczytów zagranicznych gości. Dowodów na to, że obowiązujący kandydatów na doktorów egzamin z języka obcego jest fikcją, dostarcza każdy niemal dzień spędzony na uczelni, nie mówiąc już o tym, że prawie nikt takiego egzaminu nie oblewa. I niech przypieczętuje te twarde słowa przykład i anegdota: na

jednym z budynków pewnej politechniki przez całe lata wisiała miedziana tabliczka z napisem „Urban Educational Center”, co w jakiejś koślawej angielszczyźnie mogłoby znaczyć „Miejski ośrodek wychowawczy” (czyli bodaj poprawczak), wszelako napis ten odnosił się do „Ośrodka szkolenia urbanistycznego”.

Przeciw uczelnianej miernocie

Nieuctwo jest zagrożeniem w każdym kraju, a tych, gdzie jest pod tym względem daleko gorzej niż u nas, bynajmniej nie brakuje. W wielu jednakże walka z uczelnianą miernotą przynosi zauważalne rezultaty. Kwestia weryfikacji kompetencji naukowych rozwiązywana bywa tam zazwyczaj w ten sposób, że o kontraktach profesorskich decyduje pozycja naukowa wynikająca z udziału w międzynarodowym ruchu naukowym, mierzona ilością publikacji w poważnych międzynarodowych czasopismach, oraz sukcesy dydaktyczne, mierzone ilością studentów i doktorantów. Rzecz jasna, te wszystkie urzędowe pomiary i przeliczniki są trochę bałamutne i nieraz prowadzą do fałszywych ocen, a w dodatku wytwarzają nacisk raczej na wzrost ilości niż jakości publikacji, niemniej jednak jakoś to na Zachodzie działa. Polska nauka nie ma wyjścia – również musi zdecydować się na „kontraktowanie” i „punktowanie”. Pojawiają się już pierwsze regulacje w tym względzie i wywołują na uczelniach wiele emocji. Z czasem jednak, zwłaszcza po wejściu Polski do UE, będzie coraz trudniej, bo okaże się, że wedle rozsądnie sformułowanych kryteriów oceny wartości dorobku naukowego, uwzględniających obecność na międzynarodowym forum naukowym, większość profesorów w ogóle nie powinna być profesorami. W istocie bowiem tylko część utytułowanych pracowników nauki zajmuje się czymś innym niż nauczaniem, powielaniem i komentowaniem cudzych badań, ewentualnie drobnymi przyczynkami; tylko część ma też jakiś międzynarodowo zauważalny dorobek (zresztą w naukach humanistycznych, które często są bardzo „unarodowione”, uzyskanie międzynarodowego autorytetu z pozycji mieszkańca Polski jest prawie niemożliwe). To sztydło wyjdzie kiedyś z worka, lecz na szczęście już dziś coraz częściej o pozycji akademickiej profesora decyduje nie sam jego tytuł, ale rzeczywiste, szeroko uznane osiągnięcia. W niektórych zaś naukach, np. w matematyce, stopnie w ogóle mają znaczenie drugorzędne.

A jednak instrumenty urzędowe i legislacyjne same przez się dają tylko ograniczone możliwości zapewniania wysokiego poziomu naukowego zatrudnianej na uczelniach kadry. I tak wszystko ostatecznie zależy od uczciwej i odpowiedzialnej polityki kadrowej uczelni oraz od recenzentów, a więc od decyzji tego samego środowiska, które ma zostać poddane rygorom. Dopóki tak często zatrudniać się będzie na uczelniach młodych doktorów, którzy wprawdzie nie pokazali, że są lepsi

od swych konkurentów, lecz za to pokazali, że są po prostu wierni, lojalni i przydatni swoim szefom, dopóty ugrzecznioma miernota, owo „drobnomieszczaństwo uniwersytetów” będzie reprodukować się bez przeszkód. Odpór tej ostrożnej z natury, lecz skutecznej praktyce kolonizowania uczelni przez „kadrę letnią” dać może jedynie siła autorytetu wsparta dostojeństwem tradycji. Bo w rzeczywistości o poziomie danego środowiska naukowego decyduje głównie to, czy ma ono dostatecznie długą i ciągłą tradycję, żywe związki z zagranicznymi ośrodkami naukowymi oraz własne wybitne osobowości naukowe. Straszliwego wroga nauki, podstępnego i wszędobylskiego – Nieuctwa – nie da się wyplenić przez samo zaostrzenie procedur awansowych i przez pomnożenie wydatków na naukę. Musimy uzyskać orientację (a nie mamy jej), którzy to profesorowie są rzeczywistymi uczonymi – prawdziwymi twórcami nauki, a zarazem ludźmi mądrymi i szlachetnymi – by móc im właśnie oddać władzę w nauce. Tylko oni będą umieli wskazać wśród rzeszy chętnych do pełnienia funkcji profesorów-menedżerów tych, którym naprawdę można powierzyć bezpośredni zarząd spraw codziennych, oddzielając ich starannie od bezideowych karierowiczów i partaczy. Autorytet wąskiej elity profesorskiej o największych kwalifikacjach intelektualnych i moralnych (co bynajmniej nie musi znaczyć: profesorów najstarszych wiekiem) jest *spiritus movens* życia akademickiego, nawet demokratyzowanego. Dziś instancja ta pozostaje niepokojąco bierna. Bez obywatelskiej woli prawdziwych uczonych mających intelektualne, moralne i kulturalne kwalifikacje najwyższej próby urzędnicy, przy najlepszej nawet woli, pozostaną bezradni. Gdy zabrakło solidnych wyższych sfer, czerpiących kulturę z tradycji, to właśnie świat akademicki przejmuje w największej części odpowiedzialność za kulturalną kondycję społeczeństwa. Dlatego też rosnące rzesze prymitywu i chamstwa, krzycząca bezmyślność i egoizm w każdym zakątku polskiej „sfery publicznej” to porażka także nasza – ludzi uniwersytetu. Stawiajmy szanę i szykujmy odsiecz, bo rzecz idzie o najwyższe dobro: źle wychowanemu i pyszałkowatemu głupcowi nikt nie naprawi tej wielkiej duchowej krzywdy, jaką mu wyrządzono, pozwalając, by takim się stał. Bo nikt nie rodzi się chamem.

*

Oj, trudno było to opublikować. Najpierw posłałem ten artykuł do „Gazety Wyborczej”, która bez zwłoki przyjęła go do druku. Jednakże tekst nie ukazywał się, mijał miesiąc za miesiącem, a na moje monity redakcja nie odpowiadała. W takiej sytuacji postanowiłem poskarżyć się listownie samemu Adamowi Michnikowi. Nic to nie dało, ale dorobiłem się bardzo oryginalnego listu, w którym redaktor naczelny „Gazety” pisze do mnie, że zatrzymał tekst z bardzo ważnych powodów, które gotów

jest mi wyjaśnić, gdy tylko zechcę go w tej sprawie odwiedzić. Nie odwiedziłem i do dziś nie wiem, co miał mi do powiedzenia. Sądzę jednak, że to całkiem zrozumiałe, że inteligencka gazeta nie chce zamieszczać artykułów niezbyt grzecznych dla dużej części jej uniwersyteckiej klienteli. Potem artykuł odrzucił jeszcze „Tygodnik Powszechny”, a wreszcie zlitował się „Przegląd Polityczny”, gdzie rzecz wreszcie się ukazała. Publikacja przeszła niemal bez echa – zaledwie jedna, jakkolwiek znana i znaczna osoba, zechciała z aprobatą się o nim wypowiedzieć. Zresztą może to i dobrze? Dziś, samemu będąc profesorem, uważam ton artykułu za nazbyt przemądrzały. Co do meritum zdania jednak nie zmieniłem. Mogę tylko powiedzieć, że dziś jest już znacznie lepiej niż wtedy.

HUMANIŚCI W REFORMACH

TEKST OPUBLIKOWANY W „GAZECIE WYBORCZEJ” W PAŹDZIERNIKU 2011 R.

Co robią humaniści i filozofowie? Czytają książki i piszą książki. Czasami coś badają, najczęściej jakieś archiwa, czasami coś odkrywają, ale i tak kończy się na książkach, czyli tekstach. Taki tekst może być bardziej lub mniej nowatorski, może coś rozważać, porównywać, interpretować, może z czymś polemizować, może zagłębiać się w szczegóły, a może też być syntezą lub panoramą jakiegoś tematu. Często zdarza się, że w ogóle, jak to się mówi, „nie wnosi niczego nowego”, bo zaledwie coś referuje czy omawia, na oryginalność żadną nawet się nie siląc.

Gdy już humanista napisze swój tekst, najczęściej w swoim języku, i jakoś go wyda, to przeczyta go kilkudziesięciu innych humanistów piszących własne teksty i gromadzących do nich bibliografię. Jeśli zaś książka jest nieco mniej ambitna, lecz napisana lekko i wydana przez fachowego wydawcę, humanista może czasem zakosztować niejakiej popularności. I tak to się kręci. Większość całej tej produkcji – jak to z większościami bywa – jest mierna, czyli przeciętna. Świat by się nie zawalił, gdyby jeden, stu, a niechby i tysiąc miernych humanistów wraz ze swymi letniami, wtórnymi dziełami, poszło na zieloną trawkę. Zaprowadzenie w humanistyce racjonalnych porządków, opartych na wymogach fachowości i produktywności albo talentu i nowatorstwa, przetrzebiłoby szeregi doktorów i profesorów, zadekowanych w setkach instytutów, a oszczędzone dziesiątki milionów można by wydać na kierunki „innowacyjne” i „prorozwojowe”. Zostaliby sami znakomici, sam kwiat polskiej inteligencji humanistycznej, a w dodatku owych paru wielkich erudytów tłumaczy, którzy dziś żyją biednie i nie wiadomo z czego, można by wciągnąć na pokład uniwersyteckich instytutów.

Brzmi to sensownie, ale jest bez sensu. Z humanistyczną produkcją tekstów jest bowiem trochę podobnie jak z literaturą. Literatura jest luksusem kultury – zbędność jest jej przyrodzona. Zbędność dla świata, który nie czyta, i zbędność całej masy słabych i średnich utworów, które w zasadzie czytelnicy mogliby sobie darować. Lecz tak naprawdę ten czarny chleb literatury przeciętnej jest karmą dla dzieł wielkich, a popsuty papier nawozem jest historii literatury. Dlaczego tak? Bo po pierwsze mierni autorzy są gorliwymi czytelnikami, którzy swe czytelnictwo przeżywają na sposób pisarstwa, a po drugie w wielu przypadkach trzeba napisać sporo słabych utworów, aby wreszcie napisać dobry. W literaturze zastępy szaraczków tworzą awangardę stukrotnych zastępów czytelników, a słabe pracuje na dobre. Tak

samo w humanistyce. Skromni, lecz pożyteczni badacze, pracowici, lecz nieutalentowani, pospołu z nieutalentowanymi ignorantami oraz utalentowanymi być może dyletantami, użyźniają grunt pod rzeczy najdonioślejsze. Wnoszą przyczynki, stanowią audytorium, a czasem sami wydają ze swego grona postacie wybitne. Dużo tu trzeba siać, by czasem co zebrać. Marnotrawstwo, ale tylko na pozór. Zawsze tak w humanistyce, w filozofii i w całej literaturze było i zawsze tak będzie. Tego zreformować się nie da i próbować nie warto.

Przede wszystkim żadna reforma nie sprawi, że ludziom przybędzie talentu. Żadna reforma nie sprawi również, by szalenciec boży, który musi liczyć przecinki u Wergiliusza albo szukać macew po stodołach, poniechał swej pasji. Humanistyka jest dość tania i opiera się właśnie na pasji – żaden przeto ustrój i żadna bieda jej nie straszna. Poeci są w każdym kraju i wcale nie mają się gorzej, gdy w surducie dziura. Z humanistyką do pewnego stopnia jest podobnie. Jest „reformooporna” – ani jej całkiem zniszczyć, ani istotnie poprawić reformami nie można. To, jakie piszemy książki, zależy od tego, jaki gatunek człowieka uprawia dziś historia w płodźmianie pokoleń. Wielkich profesorów tworzy cała kultura, a nie tylko uniwersytet i ministerstwo ze swymi reformami, geniusze zaś nie potrzebują tytułów, przynosząc zaszczyt uniwersytetom, gdy przekraczają ich mury.

Również i ta właśnie dokonująca się reforma nauki nie wywrze znaczącego wpływu na naszą humanistykę. Przeora ją Internet, oćwicz masa wypełniająca plebejskim jazgotem mury uniwersytetów, a rynek i demokracja dopełnią dzieła wielkiej przemiany. Konieczność przystosowania się do biurokratycznych wymagań systemu finansowania nauki to wobec dziejowej nawałnicy szalejącej po niwach kultury zaledwie niegroźny pomruk nowego. Od dawna już piszemy, nie zawsze w dobrej wierze, „programy badawcze”, wykazując swe „cele badawcze”, „metody” i „hipotezy”, aby dostać kilka tysięcy na książki, więc pewnie zniesiemy tę konieczność i w przyszłości. Owszem, na razie nie liczono nam zbyt gorliwie punktów za publikacje, a pieniądze nie były nam przyznawane w ramach „konkursów”, ale i to przetrwamy. Będziemy walczyć o minimum rozsądku w sposobach „punktowania” dorobku i pewnie po kilku latach absurdów wynikających z przenoszenia kryteriów odpowiednich dla nauk przyrodniczych na pole nauk humanistycznych dorobimy się czegoś na wpół nieszkodliwego. Dostosujemy się do każdego systemu recenzji i awansów, a nawet do egzaltowanej demokracji nakazującej profesorom stawiać w konkursowe szranki z doktorantami jak z równymi sobie – dopóki będą jakieś etaty i pieniądze, poradzimy sobie, tak jak radziliśmy sobie w PRL-u i później. Każą „wnosić wkład” – wniesiemy, każą po angielsku – coś się napisze, a kolega poprawi. Wszystko już było i wszystko przetrwaliśmy. Kiedyś Moskwa, dziś Bruksela, jak to mówią. Naszą bronią i argumentem jest nieodmiennie to, że mało chcemy –

ot, ułamek drobnego tego, co trzeba inżynierom czy fizykom. Ledwie odpadki z pańskiego stołu – jeśli stół zasobny, to i kości pod nim dosyć. I na całe dla nas szczęście nikogo tak bardzo, tam, w Warszawie, nie obchodzi, co my z tymi rzuconymi nam na literackie zmarnowanie drobnymi milionami zrobimy. W końcu tak czy inaczej, będą to tylko książki i artykuły, których nikt nie będzie czytał. Pewnie jedyna korzyść z tych darmozjadów taka, że trochę dzięki nim w szkole ma kto uczyć polskiego i historii. I tak, w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, podobno w tym roku będzie do rozdania pięćdziesiąt milionów zł. Na długofalowe prace wspierające ochronę dziedzictwa narodowego, na publikacje, na tłumaczenia, na wyjazdy doktorantów. Wspaniale – dzięki i za to. Dostanie, kto dostanie – nie ma czegoś takiego jak optymalne, czyli po naszymu najlepsze, wydatkowanie takich środków i nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwe ich dzielenie. Grupa profesorów podzieli, jak umie najlepiej, a zadanie ministrów polega na tym, by tych profesorów dobrać najlepszych lub pozwolić środowiskom wybrać ich samodzielnie.

Idzie więc reforma. Można by w zasadzie wzruszyć ramionami (wszak i bez reformy parę milionów się znajdzie, a profesorowie i tak zostaną ci sami), żałując co najwyżej biednych habilitantów, którzy będą teraz przecierać szlaki nowych procedur. Lecz może stać nas na więcej niż pobłażający światu sceptycyzm klerka albo stoickie zapadnięcie się w siebie. Powiedzieć sobie, że przetrwamy i że tak bardzo nas to wszystko nie dotyczy, to za mało i nie dość honorowo. Nie przystoi nam taki stosunek do państwa, który zakłada, że biurokracja, zreformowana czy nie, z natury rzeczy jest głupia i bałamutna, a naszą powinnością i prawem jest mieć ją pozorami posłuszeństwa, dogadzać jej wieczystemu „absurdowi”. Należy biurokracji pomóc, nawet jeśli nie mamy ani wiele do stracenia, ani do zyskania. Dlatego, z uwagi na godność nauki i powagę uniwersytetu, powinniśmy sami coś zrobić, aby nie podłożono nas pod sztancę nauk ścisłych, nauk stosowanych, nauk prorynkowych i obiecujących rozwój oraz dobrobyt. Jest sprawą honoru naszego i honoru rządu, abyśmy nie oszaleli na punkcie „bio-info-techno” i nie dali się bez reszty wprasować pomiędzy trzy przylegające do siebie tkaniny nowoczesności: biurokrację, kulturę korporacyjną i metodologię nauk przyrodniczych. Nie możemy pozwolić, aby uwięziono nas w jej splotach, niczym ozdobną szpilkę w garniturze technokraty, gdyż naszym zadaniem jest nonkonformistyczny opis i diagnoza – to zaś wymaga wolności i szerokiego oddechu, których scjentyści i biurokraci instynktownie, bez złej woli, nam skąpią. Całe szczęście, że niektórzy z nich też kiedyś chodzili na nasze wykłady, stwarzając nam szansę, byśmy dali im powody do szacunku. Jeśli zrozumieją nasze błogosławione nieróbstwo i szlachetną bezproduktywność, to tym lepiej i dla nich, i dla nas. Oby tylko nie pomyliła się im nasza wolność z obowiązkiem stania na straży „wartości” i „dziedzictwa”. Jak pisał Stanisław

Ossowski, uczonemu „nie wolno być posłusznym ani synodowi, ani komitetowi, ani ministrowi, ani cesarzowi, ani Panu Bogu”. „Ipeenizacja” humanistyki byłaby czymś najgorszym, co może jej się w Polsce przytrafić. Pragnę upewnić ministrów, iż aby dawać pieniądze na filologię klasyczną i historię sztuki, nie potrzeba żadnego usprawiedliwienia, żadnej „narracji”. Każde takie usprawiedliwienie będzie „tekstem humanistyki”, ale niestety – w wykonaniu urzędników – tekstem raczej miernym.

Owszem, bywają humaniści republikanie, mający poczucie, że służą państwu i narodowi, lecz wolna humanistyka, daleka od narodowej egzaltacji, nie służy społeczeństwu i nie jest mu do niczego potrzebna. A jak już tak zupełnie i do końca przestaje być potrzebna, to wtedy robi się niezbędną. Niezbędna dla samej siebie i dla tych, co wstąpili dla ochłody pod arkady kultury, opuszczając na chwilę rozpaloną agorę. Lecz państwo nie może powiedzieć: „Bądźcie wolni i niepotrzebni, bo za to wam płacimy, a skoro płacimy, to widocznie jesteście niezbędni”. Nie można wszak płacić i nie wymagać. Dla urzędów humaniści, podobnie jak artyści i filozofowie, będą zawsze paradoksalni, nieuchwytni, „pozakategorialni”. Trzeba urzędników zrozumieć, ale i oni (oby starczyło im na to ducha!) powinni zrozumieć, że dyskurs urzędowy, związany retoryką efektywności i rozwoju (wymyśloną przez humanistów w XVIII wieku!), jest pułapką bez wyjścia, uniemożliwiając oku racjonalnej biurokracji dotarcie tam, gdzie archaiczne żywioły talentów i metafizycznych egzaltacji plotą biesiadę geniuszy, epigonów i pieczeniary. Bezbronny humanista tylko nagą mądrością powstrzymać może reformatora, rzekłszy mu: „Nie rusz mnie, panie, wszak kiedyś razem czytaliśmy Dantego!”.

W takiej paradoksalnej sytuacji biurokracja może i powinna zachować racjonalność negatywną – jeśli humanistyki nie da się, nie szkodząc jej, biurokratycznie „zoperacjonalizować”, tworząc na jej użytek specjalne odmiany kryteriów efektywności oraz zaprzęgając do „pracy państwowotwórczej”, to pozostaje zaufać pewnym ludziom i temu, że będą umieli rozumnie gospodarować powierzonymi im środkami. Przekładając ten postulat na język konkretny: sugeruję decydującym, aby pozwolili w odniesieniu do procedur formalnych w dziedzinach humanistycznych zachować jak największy margines ocen jakościowych oraz złożyli jak największą „dyskrecjonalną” władzę decyzyjną w rękach autorytetów, które poszczególne środowiska naukowe z siebie wyłonią. Tylko zaufanie do wybitnych ludzi, mających niekwestionowany dorobek naukowy, daje częściową rękojmię, że środki na nauki humanistyczne będą wydawane mądrze. Punkty punktami, programy programami, ale ostatecznie najważniejsze jest to, czy młodszy autor, ubiegający się o parę groszy, ma dobrą opinię. Połączenie zdrowego (a więc wymagającego uzdrowienia!) systemu recenzyjnego z odrobiną patriarchalizmu mędrców nadałoby ludzką twarz

naukowej biurokracji. Złożmy więcej władzy w wybieralnych organach środowisk naukowych, takich jak Centralna Komisja i komitety naukowe PAN-u. Pozwólmmy na tworzenie, w dyskusjach i sporach, list rekomendowanych recenzentów, oddawajmy niewielkie choćby kwoty do całkiem swobodnej dyspozycji naukowym autorytetom. I tak będą liczni pokrzywdzeni i niezrozumiani. Będzie ich jednak mniej, gdy o pieniądzach i awansach decydować będą przede wszystkim ludzie, a nie liczba punktów zbieranych za publikacje w czasopiśmie z jakiejś tam listy.

Obok nieprzystosowania humanistów do oczekiwań technokratyczno-scyentystycznej, a jednocześnie wciąż jeszcze silnie republikańskiej, kultury instytucjonalnej niebezpieczne dla humanistyki są pewne złudzenia, które nierzadko rodzą się w głowach samych humanistów. Oto nie dajmy się zwieść pozorom, że dla stanu polskiej humanistyki decydujące znaczenie mają kontakty zagraniczne i publikowanie za granicą. Humanistyka jest zawsze „parafialna”, czyli narodowo i kulturowo podzielona, a prowincja anglojęzyczna, choć rozległa, wcale nie jest przez swą wielkość ważniejsza od innych. I nie dajmy się też uwieść własnemu snobizmowi, myśląc poważaną humanistykę i filozofię z wdzięczną eseistyką. Na naszych sabatach nieraz toczą się sprawy o wiele poważniejsze, niż to piękne i poczytne książki widziały. Niechaj ministrowie nie patrzą na nas oczami księgarza urzędującego półkę z naukami humanistycznymi i filozofią. I wreszcie złudzenie najbardziej niebezpieczne, w świetle słusznych skądinąd projektów tworzenia uprzywilejowanych naukowych „ośrodków wiodących” (swoją drogą „wiodący” musi być, po polsku, dokądś...). W humanistyce akurat nie ma zbyt silnej topograficznej ani instytucjonalnej koncentracji talentów, więc i koncentracja finansowania na kilku uniwersytetach byłaby błędem. Wielcy erudyci, przenikliwi badacze, oryginalni i inspirujący autorzy rozsiani są po kraju niczym poeci. Są w Warszawie, ale są i w Rzeszowie. Są profesorami, ale są też doktorami lub magistrami. I chyba należy się cieszyć, że tak ich porozrzuciło. Bo gdziekolwiek są, są jak te kariatydy podtrzymujące przybytki kultury. Nie zwlekajmy ich wszystkich do Warszawy – wręcz przeciwnie, wspierajmy prowincję i migracje humanistów z Warszawy do mniejszych miast. Śmiem twierdzić, że milion wydany na humanistykę w Opolu jest lepiej wydany niż kolejny milion dla uczonych stołecznych.

Klamka zapadła – reforma staje się faktem. Nie sama jednak ustawa o reformie stanowi. Ważne są rozporządzenia i ważne są nowe procedury oraz praktyki, które wykształcą się w pierwszych latach po reformie. Dlatego dyskusja nie powinna ustawać. Wiele spraw pozostaje jednak jeszcze kwestią wyboru. Jak wspomniałem, ustrój nauki ma na humanistykę wpływ ograniczony. Nie znaczy to jednak, że nie powinniśmy walczyć o to, aby te wybory, których można jeszcze dokonać, były słuszne.



Myślę, że artykuł ten, w dużej mierze poruszający te same zagadnienia co poprzedni, dobrze obrazuje ewolucję temperamentu, postępującą wraz ze starzeniem się autora. O ileż gładszy, łagodniejszy, o ileż bardziej nostalgiczny i wyrozumiały jest ten artykuł w porównaniu z tym napisanym przed laty. A jednak wymowa ta sama – sceptyczna, z lekka fatalistyczna. Ktoś zarzucił mi niedawno, że jako publicysta jestem zgryźliwy, wiecznie niezadowolony, a na dodatek chwiejny. Owszem, publicyście łatwo krytykować, więc krytykuje. Zresztą po co pisać, jak jest dobrze? Píše się raczej przeciwko czemuś niż z potrzeby chwalenia. Takie teksty, które chwalą zasłużonych, są zresztą z reguły nudne i irytujące. Duże dawki krytyki również jednak czytelników denerwują. Trzeba mieć wyczucie, znać umiar i w odpowiednim momencie powstrzymać każdą tyradę. Mimo wszystko nawet najbardziej wyważony publicysta musi pogodzić się z tym, że jego zajęcie jest do pewnego stopnia płache. W końcu papier wszystko zniesie i choćby nie wiem jak się starać, publicysta za swe słowa odpowiada wyłącznie własną reputacją. Nic od niego nie zależy, więc się wymądrza – oby pod kontrolą. Żeby choć odrobinę tę niepoważną kondycję zrównoważyć, przyda się publicyście szczypta autoironii. Byle znów nie za dużo, bo oskarżą o egzaltację i kabotyństwo.

CZYTU-CZYTU NA PATYKU

PEŁNA WERSJA TEKSTU OPUBLIKOWANEGO 16 CZERWCA W „GAZECIE WYBORCZEJ”
POD TYTUŁEM „CZYTANIE? TO BLAGA!”

Mitologia „Kultury” i „czytelnictwa”

Mniej czytamy? Owszem, ale i tak więcej niż nasi pradziadowie, wprawdzie żyjący w epoce rozkwitu literatury, lecz w większości niepiśmienni. Czytamy szybko, łatwo i krótkie teksty? Cóż, na grube książki czas mieli i nadal mają nieliczni, za to wielu miało i dziś ma całe półki nieprzeczytanych nigdy tomów. Normalnie pracujący człowiek, dawniej i dziś, może sobie poczytać jakąś godzinkę albo dwie dziennie. To daje 20–100 stron, zależnie od trudności tekstu, tempa lektury i poświęconego na nią czasu. Odliczając połowę na gazety i czasopisma („lub czasopisma!”), dostajemy taki rachunek: pracujący obywatel czyta co roku 10–50 książek. W ciągu życia średnio pewnie z tysiąc. Zawodowy erudyta, pochłaniacz książek, wyrabia tę normę w trzy lata. W dodatku rozumie i pamięta, co przeczytał, a zwykły inteligencki szaraczek nie za bardzo. Czyta dla przyjemności, niekoniecznie mądre rzeczy, i wcale taki znowu mądry od tego się nie robi. Bo może i książki kształcą, ale jak kto głupi, to mu nawet cała biblioteka nie pomoże.

Moje życiowe tysiąc książek pozostawi mnie takim samym ignorantem w godzinę śmierci, jakim byłem za życia. Wszak to ledwie mała kropelka w oceanie tekstów, a nawet Tekstów. Swoją drogą, z tymi wielkimi Tekstami też nie należy przesadzać, bo i tam głupstw nie brakuje. Poza tym, gdy jeszcze byliśmy sobie małą Europą, mogło się nam wydawać, że jest jakaś jedna Wielka Literatura tworząca Kulturę. Homer z Platonem, Owidiusz z Horacym, Petrarca z Miltonem. Jednak gdy trochę wychylniliśmy na świat, widzimy, że takich klasyków i kanonów można by namnożyć, że taki Pendżab nie gorszy od Bałkanów, a mity Północy nie głupsze od mitów Południa. I nie o żaden multikulturalizm mi chodzi, lecz o to, że tego wszystkiego nie da się przeczytać i że wszyscy jesteśmy ignorantami, no, może z wyjątkiem Kani i Gondowicza, ale oni przecież od innej mały pochodzą.

Do czytania rzeczy poważnych trzeba mieć talent i umysł znacznie więcej niż przeciętny. Dlatego próba wepchnięcia średnio inteligentnego człowieka na widowienie parnasu jest przedsięwzięciem niemądrym i niesmacznym. A dręczenie dzieci lekturami, z których nic zrozumieć nie mogą, bo nie dla dzieci je pisano, to już niemal perwersja. Gdy patrzę, co się biedactwom każe w szkole czytać, na te wszystkie bryki z Internetu i „klucze” do egzaminów z języka polskiego, to ja bym już wolał, żeby mi dziecko poszło na rower. Nie chcę, żeby moja córka wyrosła na przemądrzałą

ćwierćinteligentkę, jaką chce z niej zrobić szkoła. A obawiam się, że wielkie urzędowe „promowanie czytelnictwa” (kto wynalazł ten zwrot potworny?) tą samą ręką „straszego mieszczanina” jest czynione co programy nauczania polskiego, klucze do matur i inne bezceństwa w tym rodzaju. O nie, nie marzę o Polsce pod rządami takich jak ja zwyrodnialców, którym w mózgach urosły bicepsy poruszające językiem i piórem, ale nie chcę też Polski półinteligentkiej, urobionej łapami filistrów. Pragnę Polski ludzi wolnych i radosnych, co swój rozum mają, a czytają sobie od czasu do czasu, co im się podoba, dla przyjemności, a nie dla Kultury. Dawno już skapitulowałem, czyli „wyluzowałem” i to samo polecam Szanownemu Państwu.

Czytanie ma wszelkie cechy blagi lub mitu, jak kto woli. To tak jak z seksem. Wszystkim się wydaje, że inni mają go mnóstwo, w wielkim urozmaiceniu, a tylko oni sami jakoś tak szaroburo. Podobnie inteligentom wydaje się, że inni porządnie czytają, od deski do deski wartościowe rzeczy, a tylko oni mało i niedokładnie. Bez tego złudzenia i bez tych kompleksów nie byłoby zresztą poważnej literatury. Owładnięci mitem „czytelnictwa” autorzy biorą się do pracy w złudnym przekonaniu, że ktoś ich będzie czytał i rozumiał – nawet coś, czego nie udało im się powiedzieć. Z tych wszystkich narcystycznych iluzji i ambicji, lecz także z przyjemności, jaką daje lektura, coś jednak dobrego wynika. W sumie przecież sporo dobrych rzeczy się pisze i czasem ktoś to jednak mniej czy bardziej uważnie poczyta. Jesteśmy od tego odrobinę inteligentniejsi i odporniejsi na ciemnotę. O mądrych zaś martwić się nie musimy. Ten gatunek, choć jest rzadki, to ma się wcale dobrze. Ludzie mądrzy zawsze będą dużo czytać. Przetrwają mimo ukończenia szkoły i „promowania czytelnictwa”.

Czytanie jako wyzwolenie

Gdy nie było jeszcze książek, nie było problemu. Nieliczni czytali sobie na głos uczone zwoje, a reszta cieszyła się klechdą i kazaniem. Dopiero gdy zaczęto kroić papier i oprawiać w deski, zrobiło się niebezpiecznie. Uczonych w piśmie, nie tylko świętym, zaczęło jakby przybywać. Ale prawdziwa katastrofa nastąpiła dopiero po wynalezieniu druku. Oto rozmaici niepowołani zeloci pokupowali sobie Biblię i zaczęli ją studiować na własną rękę, a nawet na własny rozum i sumienie.

Gutenberg wypuścił dzina z butelki, a dzin uczynił reformację. Po reformacji, niesyty, zabrał się do spraw świeckich. Drukowana plaga spadła na bezbronne owczarnie Europy i zamieniła pokorne baranki w stado politycznych wilków. Oto bezbożne gazeciarstwo, ów Internet XVIII wieku, uczyniło z maluczkich rzemieślników i pisarzyków biedujących po miastach bluźnierczą „opinię publiczną”. Na domiar złego żądni zysku „xięgarze” już od XVI wieku karmili lud jarmarcznymi romansidłami i bajdami o rycerzach, w których pod płaszczykiem cnoty i pobożności kipiała chuć i kotłowało

poróbstwo. Aż przyszedł ten czas, gdy nawet paryski prostaczek dość umiał składać litery, by odczytać rewolucyjną ulotkę: „Wolność, równość, braterstwo!”.

Słowo pisane, przez tysiące lat służące pospółu możnym i uczonym do stróżowania wieczystemu porządkowi boskich praw na ziemi, wielce dla panów tych korzystnych, trafiwszy spod prasy do brudnych oficyn i pod chłopskie strzechy, obróciło się w oręż wolności. Wyzwoliło duchy narodów, oświeciło i ześwieczyło miejską masę, uwolniło naukę od scholastycznego wzdęcia. Lecz prawdziwa i ostateczna potęga książki miała się objawić w czymś innym. Oto z łona odrodzenia i nasienia oświecenia narodziła się nowoczesna *kultura humanistyczna*, wykarmiona na powieści, wierszu i esaju, zapatrzona w Grecję, rozmiłowana w leśnych bajdach Północy, lecz przecież ciągle chrześcijańska. Rabelais, Cervantes, Montaigne przetarli szlak, którym poszła nowoczesna Europa. Szlak książki. I gdy w XX wieku oświecenie spełniło swą obietnicę i trafiło do mas, wszystkim się zdawało, że szczytem marzeń jest naród złożony z inteligentów, którzy nauczeni tego w szkole, do grobowej deski delektują się Literaturą.

Guzik z pętelką. Zapomnijmy. Niemądre pretensje wymarłej sekty egzaltowanych czytelników, wczytanych w Goethego, Manna, Prousta albo Joyce’a, czas oddalić, a ich posłańców odprawić z powrotem do zakurzonych bibliotek. Niechaj sobie tam siedzą, ci erudyci maniacy, za pan brat z mołem i roztoczem. Nam e-papier, czytnik i sieć. Niech żyje wolne czytanie! Książka przyniosła nam wolność – niechaj teraz pozwoli nam tę wolność praktykować.

Pisząc niniejsze w pociągu z Krakowa do Warszawy, moim drugim domu na kołach, mogłem poznać czytelnictwo narodowe organoleptycznie. Naprzeciw mnie, ach, blondynka. Blondynka czyta „Gazetę Wyborczą”. Po chwili odkłada i bierze się do amerykańskiego romansidła, o dziwo, w oryginale. Czytelniczka, okazuje się, właśnie zdała maturę, a jej prezentacja z polskiego dotyczyła „Wyznań nimfomanki” (czas poważanie rozważyć likwidację szkół...). Książki czyta przygodowe, a romansidło służy jej do nauki angielskiego, gdyż wybiera się do Albionu, by zarobić na studia z zakresu grafiki komputerowej. Zapewniła, że książki lubi i nigdy ich nie porzuci. Czytelniczka nowej ery – żadnych zahamowań. Zapytała, co bym jej polecił. Mozołnie literujemy: „Gargantua i Pantagruel”. Oczarowany tą egzotyką wysiadłem na Centralnym z mocną wiarą: jeszcze książka nie zginęła! Waginalnie, digitalnie, po drogach żelaznych sący się słowo gramatyczne, słowo logiczne w blond mózgi. Zawsze sobie drogę znajdzie. Tekstura oplata jej kibić, bluszcz kultury lubieżnie wspina się na łono kolejnej niewinnej Ewy. Dość. Jesteśmy obrzydliwi. No właśnie, obrzydliwi. Stanowczo można się bez nas, satyrów pióra, obyć.

Ale i ja jestem, prawdę mówiąc, młody. Bliżej mi do Oli z pociągu niż do własnego ojca. Mój ojciec, rocznik 1914, deklamował przy obiedzie wiersze Schillera,

Puszkina i kogo tam jeszcze. Był sercem w XIX wieku. Obszerną pamięć hojnie nastroczał wieszczom. Moja zaś pamięć spoczywa w nieznanych serwerach, w internetowej chmurze. Dla mnie po „*Quousque tandem abutere, Catilina...*” jest już tylko „*et cetera*”. Czytam, ale nie doczytuję do końca. I nic nie mogę zapamiętać. Nie muszę – sięc pamięta. Na szczęście rozumiem, co czytam. Taki mój fach. I w dodatku piszę, w owym narcystycznym złudzeniu, że ktoś to przeczyta i mniej więcej ogarnie. Ale fakty temu przeczą. Rację miał Lem, parafrazując Gorgiasza: nikt nic nie czyta, a nawet gdyby czytał, to i tak by nie zrozumiał, a nawet gdyby zrozumiał, toby nie zapamiętał. Podkreślam raz jeszcze: literatura wyrasta ze złudzenia. Piszemy, bo lubimy u siebie inteligencję i wygadanie. I czytamy z tego samego powodu. Literatura jest dziwowiskiem ludzkiej inteligencji i talentu. Jej zadaniem jest być lepszą od swych autorów i czytelników. Uwiedzenie, oczarowanie. Po prostu erotyka. I co się dziwić, że po lekturze przychodzi sen zapomnienia?

Rewolucja tysiąca płaszczyzn, czyli powrót do jaskini

W nowym świecie nieskończonej biblioteki w e-czytniku nie będzie już rządów Autora ani poddaństwa Czytelnika. Książęta krytyki nie będą nam już dyktować, komu składać mamy daniny naszego czasu i uwagi. Erudyci z krwi i kości staną się żałosnymi dziwolągami udającymi mądrość wszechwiednej sieci. Absolut hipertekstu, biblioteka totalna, o której marzył Borges i inni, stanie się wkrótce faktem. Nasze umysły wyleją się z czerepów i przeniosą do sieci, która stanie się już wkrótce naszym Umysłem wspólnym i uniwersalnym. Nie będzie już autorów i czytelników. Każdy będzie pisać i każdy będzie czytać. Nie będzie pisania do szuflady i pisania do druku, zawodowców i amatorów. Wszystko, co napiszemy, nagramy i sfilmujemy, będzie publiczne i wszystko będzie prywatne. Mądre zmiesza się z głupim, literatura z grafomanią, nauka z ciemnotą. Przez nasze czytniki i przez nasze mózgi przepływać będą każdego dnia setki urywków – czytanych w roztargnieniu lub słuchanych jednym uchem – na niezliczoną liczbę najbardziej rozbieżnych tematów. W tej kakofonii zgranulowanych i skompresowanych treści to i owo zdoła jednak przykuć naszą uwagę i zatrzymać przy sobie myśl, wyobraźnię i uczucie. Niełatwo będzie się przebić. Formy krótkie, lecz pojemne i wyraziste zdobywać będą na chwilę przyczółki w naszych mózgach- -końcówkach sieci, by zaraz ustąpić miejsca kolejnym, jeszcze doskonalszym „multimedialnym” monadom.

Czeka nas epoka fascynująca. W absolutnej wolności wymiany tekstów, nagrań i obrazów kanony i hierarchie skazane są na kompromitację. Każdy z nas będzie arbitrem obdarzającym punktami swej uwagi, swymi łaskawymi kliknięciami to czy owo, wchodzącym każdego dnia w setkę nisz i zostawiającym w nich swe ślady: dopisek,

ocenę, inwektywę. Prywatnie i na własną rękę. Kultura rozdrobni się w miliony aforyzmów i obrazków. Dzieła złożone i rozwlekłe ustąpią miejsca „spotom”, czyli utworom zwartym i monadycznym, niczym haiku, a jednocześnie wplecionym w sieć niekończących się odesłań, którymi nie będzie zarządzać erudyta, lecz silnik wyszukiwarki. Już niedługo ziści się proroctwo sprzed półwiecza: świat jako *mille plateaux*, tysiąc płaszczyzn, które wieszczili Deleuze i Guattari.

Kiedyś pograżaliśmy się w lekturze, by zapomnieć o swoim małym, nieprawdziwym i niedobrym świecie. Pograżaliśmy się w iluzji świata lepszego i lepszego życia, które było zawsze nie tu, gdzie my. W *samotności lektury* przedstawialiśmy z wyższymi duchami i zdradzaliśmy samych siebie. Dziś czytając-pisząc, słuchając-mówiąc, wyglądając-oglądając, jesteśmy z innymi, we wspólnym, doskonale realnym *wirturealu*, w prawdziwie własnej, wytworzonej pospólną pracą rzeczywistości. Odzyskując wolność i odzyskując kulturę, nie będziemy już szukać w niej odskoczni od nędzy naszego życia. Nareszcie będzie nasza, wyemancypowana. Będziemy w niej u siebie i to razem z innymi – nie z duchami, lecz z ludźmi, współczynnymi i współtwórcami. Zamiast topić w książkach swą straszliwą samotność, nauczymy się z radością odnajdować samych siebie właśnie wtedy, gdy odłączymy się od sieci.

Prawdziwie wolni ludzie nie muszą już czytać. Naszym ostatecznym przeznaczeniem jest być na powrót *offline*, sami z sobą, bez słuchawek, bez tabletu, bez książki. Pragniemy powrotu do jaskini. Epoka wyzwolonej i totalnej kultury, *mille plateaux*, tam nas właśnie prowadzi. Gdy i ona przeminie, nareszcie odnajdziemy swe przeznaczenie – znów staniemy się małpami. I będziemy szczęśliwi. Dopóki znów nie przyjdzie jakiś Platon.

*

Artykuł został zamówiony u mnie z okazji rozpoczęcia wydawania przez „Gazetę Wyborczą” comiesięcznego magazynu o książkach. Zaszczytu napisania czegoś o książkach i czytaniu dostało kilka osób i doprawdy czułem się wyróżniony. Jako że mało czytam, postanowiłem zrobić donos na siebie, a na czytelnictwo i całą naszą tradycyjną koncepcję „książki” przy okazji. Chyba się udało, bo tekst został dobrze przyjęty i nie wytykano mi zbędnej kokieterii. Jednakże odrobinka próżności daje się tu wyczuć. To jednak, moim zdaniem, należy do publicystycznego rzemiosła. Dobra publicystyka ociera się o literaturę, a więc i sztukę. A czymże byłaby sztuka bez miłości własnej artysty?



MAŁY RYCERZ NIEWIARY

ZŁA NOWINA

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „TYGODNIKU POWSZECHNYM”, NR 5 (3160) Z 31 STYCZNIA 2010 R.

„**B**óg umarł!”, mówili świadkowie wojny trzydziestoletniej, największej wojny religijnej nowożytnej Europy. Rozbicie jedności chrześcijan i niezliczone ofiary bratobójczych walk – dla ludzi wrażliwych było to niczym powtórne ukrzyżowanie. „Bóg umarł dla nas” – jakaż przewrotna dwuznaczność tkwi w tym powiedzeniu, które oznacza jednocześnie: „Bóg poświęcił Syna dla naszego zbawienia” oraz „Wyrzekliśmy się Boga”! Lecz może właśnie stało się coś jeszcze gorszego, coś, co nie mieści się w teologii winy i odkupienia? Wszak wystarczy tylko odjąć słowa „dla nas”, a wyjdzie nagie i straszne „Bóg umarł”. A więc może Bóg nas opuścił? A może Boga w ogóle nie ma? Te bluźnierstwa nie przypadkiem powstały po raz pierwszy w głowach filozofów właśnie w XVII wieku, gdy okazało się, że Bóg nie raczył utrzymać swego Kościoła w jedności. Odtąd zaczęła narastać wśród wiernych – katolików i protestantów – świadomość, że każdy wyznawca, chcąc nie chcąc, trwając przy swej wierze, dokonuje *wyboru* tego właśnie wyznania. Życie religijne utraciło naturalność i bezpośredniość, utraciło niewinność. Świat przestał dzielić się na wierzących prawdziwie oraz innowierców i heretyków, wartych tyle co bluźniercy i obrazoburcy. Jak u zarania chrześcijaństwa, gdy różnie odczytywano Ewangelię i nie wiadomo było jeszcze, która przeważy szala, również i wtedy, u zarania nowoczesnej Europy, życie religijne stało się domeną sporu. Tylko że nie był to już spór o sens objawienia, lecz o dziedzictwo kilkunastu stuleci chrześcijaństwa, które tak wielu wyznawców rozczarowało, niektórych wręcz przywodząc na skraj ateizmu.

Z traumy wojen religijnych wywodzi się wołanie o tolerancję. Baruch Spinoza, John Locke, a potem filozofowie i moralisci oświecenia wzywali ludy i rządy, by wyrzekły się zasady, iż zło wypalać trzeba gorącym żelazem. Niechaj ci, którzy wierzą fałszywie, mają prawo do istnienia, w imię chrześcijańskiej zasady miłosierdzia. Lepiej tolerować niewiernych, a może nawet niewierzących, niż sprzeniewierzać się przykazaniu miłości, siejąc przemoc i stosując religijny przymus. Trzeba było stuleci, aby idea ta przyjęła się w świecie, a dopiero całkiem niedawno uzupełniono ją o myśl niesłychaną i jakże ryzykowną: nie dość się tolerować, wskroś wszelkich różnic w wyznaniu i sposobie życia, lecz należy się ponadto uznawać wzajemnie i szanować.

Bo tolerancja nie domaga się bynajmniej uznania w innym jego równych z moimi praw i racji. Równość jest przecież ideą dla wiary ogromnie ryzykowną. Uznania innej wiary za „równą mojej”, cokolwiek miałyby to znaczyć, nie da się w pełni

pogodzić z roszczeniem każdego wyznania opartego na objawieniu do prawdy i doskonałości. Prawdziwa wiara zakłada, że to moja, a nie twoja wiara jest właśnie prawdziwa. Stronniczość zawierzenia i wyznawania wiary niezwykle trudno jest połączyć z szacunkiem dla innych wyznań, a tym bardziej z przekonaniem o powszechnej równości lub komplementarności ludzkich konfesji. Okazało się jednak, w XX wieku, że nie jest to całkiem niemożliwe. A jednocześnie okazało się, jak wysoką cenę trzeba zapłacić za nowożytną „nadświadomość kulturową” będącą warunkiem pokoju między wyznaniem, a więc za upowszechnienie się doświadczenia wielości wyznań oraz idącego za nim toksycznego dla wiary przekonania, że to człowiek tworzy swe religie, tak różne, jak różne są obyczaje, prawa i wszelkie sfery życia ludów ziemi. W dusze najgorliwiej nawet wierzących mieszkańców Zachodu kultura nowoczesna, zrodzona w dobie reformacji, wszczepiła odrobinę naturalizmu i relatywizmu, stanowiących zalążek niewiary. Któż bowiem pośród mieszczańskiego tłumu nic nie słyszał o tym, że religie powstają i giną, tak jak inne wytwory ludzkiej kultury, że są, były i zapewne będą różne kulty, różne opowieści o bogach, boginiach, herosach, zbawicielach i prorokach, jedynych bądź mnogich, z nieba, z ziemi albo i z człowieka poczętych? Są religie mnogie, są mnogie teologie, a jeden jest tylko Bóg i jedno jest religioznawstwo. Tak bodaj gotów jest myśleć człowiek współczesny, nawet wierzący, i to bardzo, a trudno mu się dziwić i odmawiać rozsądku takiemu widzeniu spraw. W taki też sposób powstał deizm – parodia religii, gdzie Bóg nie ma już ni władzy, ni imienia i znika jak plamka na horyzoncie. Przekonany, iż do takiego stanu ducha powszechnie zmierzamy, Nietzsche, bolejąc nad utraconą religijnością prostą i mocną, powtarzał: „Bóg umarł”. Tym razem nie za nas, nie dla nas. Nie zasnął, nie opuścił nas. Nie zabił Go, a On nie zmartwychwstał. Bóg umarł naprawdę, samotny i opuszczony przez nas, odkąd uwierzyliśmy, że On tylko nam się przyśnił. W łonie naszego nowoczesnego świata wydarzyła się kosmiczna katastrofa – lecz nie będzie ani odkupienia, ani kary. Bo Bóg nie żyje. Stało się coś strasznego, lecz tylko szaleńcy i wizjonerzy dostrzegają grozę tego wydarzenia: opuściła nas wiara, nie będzie już religii! A jak do tego doszło? Ot, po prostu uznaliśmy za śmieszne, aby obstawać przy jednym objawieniu i jednym bogu, skoro tyle jest objawień i tylu innych bogów, człowiek zaś, wolny i rozumny, dorósł w końcu do tego, by zmierzyć się ze swą samotnością na szczytach natury.

Nieobecność Boga i szaleństwo wiary, *credo ut absurdum*, to wielkie prawdy doświadczenia religijnego. Bóg jest wszak nieskończony i nijak poznać go i uobecnić dla siebie, w skończoności naszych dusz, nie potrafimy. Bóg jest poza i ponad wszelkimi atrybutami, jakie możemy mu w najwyższym stopniu przypisać, nawet gdy są najdoskonalsze: prostota, jed(y)ność, nieskończoność, rozumność, miłość... Nawet tego, że „jest bytem” nie możemy orzec o Bogu dosłownie i prawidłowo,

jak o czymkolwiek, co jest stworzone. A skoro nic o Bogu powiedzieć fortunnie nie możemy, to poniekąd tyle samo warte są superlatywy co ich przeciwieństwa. Ani Bóg dobry nie jest, ani zły – bo ponad dobrem i złem. Ani Bóg skończony, ani nieskończony – bo ponad skończonością i nieskończonością. Ani Bóg pojęciem, ani realnością – bo stoi ponad różnicą dzielącą zmyślenie od rzeczywistości. I tak, każde zdanie, które o Bogu wypowiemy, powinniśmy za sobą zaraz skreślić, posuwając się naprzód w poznawaniu-niepoznawaniu Jego niepojętej Istoty, w „uczonej niewiedzy”, jak się wyraził Kuzańczyk. W taki to sposób nauczyl nas prawić o Bogu wielcy mistycy, od Pseudo-Dionizego, przez Mistra Eckharta, aż po Mikołaja z Kuzy właśnie. Nie sama przeto nieobecność Boga jest tragedią, o której mówi Nietzsche. Nawet nie pycha ateisty, który pod słońcem rozumu, nie widząc świętości nieba, pławi się w oślepiającej go jasności, ostatecznie zamykając się na Tajemnicę. To bywało i dawniej. Tragizm naszego położenia, tragizm nowej i ostatecznej śmierci Boga polega na tym, że nie wierząc naprawdę, nie umiemy też naprawdę cierpieć ani kochać, że wraz z prawdą wiary opuściła nas autentyczność i powaga egzystencji. Tragedia śmierci Boga nie rozgrywa się w naszych czujących sercach ani w naszych myślących umysłach, lecz dotyka nas nieświadomie i nieodczuwalnie, bezboleśnie zamrażając nasze dusze. Śmierć Boga sprowadza powolną, choć bezbolesną śmierć na nas samych; dlatego Nietzsche uważał, że jesteśmy „ostatnimi ludźmi”. Przyszłość należy przeto do istot metafizycznie od nas doskonalszych, nadludzi, których wolność i spontaniczność na zawsze zwycięży nihilizm rodzaju ludzkiego.

Nietzsche był autorem egzaltowanym. Wyolbrzymiał i dramatyzował. Lecz w tej sprawie, w sprawie kosmicznej tragedii śmierci Boga, nie ma słów dość strasznych i potężnych, aby ją opisać. Gdy bowiem przetłumaczymy to z poezji na prozę, mówiąc na przykład o zmierzchu religijności wspólnotowej i ortodoksyjnej, opartej na przywiązaniu do określonego wyznania i głębokiej wierze w moc rytuału, albo o postępującej sekularyzacji współczesnych społeczeństw, to wcale nie powiemy tego, co trzeba. Bo utrata wiary jest jak sama śmierć, a śmierć to nie jest fakt jak każdy inny. O śmierci trzeba mówić mądrze. A to jest trudne. Kto nie umarł, ten boi się śmierci. Kto umarł, ten nie żyje. O śmierci nie da się opowiedzieć; chyba tylko w roli zatrwożonego świadka. Podobnie jest ze śmiercią wiary. Kto ją utracił, ten nie czuje straty. Różnica polega na tym, że kto wierzy, ten nie boi się, że wiarę utraci. Życie się kończy, lecz wiara zdaje się wierzącemu nieśmiertelna. Jest jednak taki stan, gdy jeszcze wierzymy, lecz czujemy, że jest to już wiara zatruta, „wiara na wiarę”, jakby z łaski naszego własnego postanowienia, którego podjęcie wymusił na nas współczesny świat nakazujący nam wciąż korzystać z wolności i dokonywać wyboru, nawet tam, gdzie wybieranie jest skandalem. I właśnie w tym miejscu znaleźli się wierzący naszego świata. W tym miejscu znaleźli się również Polacy: na progu narodowej

tragedii bezpowrotnej utraty wiary. W obliczu konania Boga. To ostatnia chwila, by się cofnąć, bo potem przestanie już boleć. Ale czy krok w tył jest możliwy? Ja w to nie wierzę. I to czyni mnie właśnie człowiekiem niewierzącym.

Człowiek współczesny może zająć wobec spraw wiary jedną z trzech pozycji. Niestety, na coś musi się zdecydować, a sam przymus podjęcia takiej decyzji jest gwałtem na jego religijnej czystości.

Pierwsza możliwość to udawać, że wszystko jest po staremu i bronić wiary przodków, dogmatów, dobrych obyczajów i uświęconych przywilejów Kościoła przeciwko wrogom i ateistom. Tradycjonalizm może być agresywny, ale może też być tkliwy i sentymentalny. Zawsze jednak będzie skażony fałszem, będzie, mówiąc po heglowsku, „zapośredniczony”. Wszak w świecie współczesnym, w którym nawet prości ludzie wiedzą, że wyznania są różne i równoprawne, a państwo świeckie, na dogmaty wiary nieczułe, że obok świata wiary istnieje świat wiedzy, że prawo nie tylko na religii się opiera – w świecie współczesnym trwanie przy dawnym kształcie wiary, czy tego chcemy, czy nie, staje się „kultywowaniem tradycji”. Tradycja zaś, o której trzeba wciąż przypominać, że jest właśnie „tradycją”, staje się swym zaprzeczeniem – sentymentem, pamiątką – a przestaje być żywą i autentyczną praktyką. Biedni tradycjoniści, złapani w pułapkę świadomości nowoczesnej, sami przez wszystkie przypadki odmieniają słowo „tradycja” i zamiast robić coś po prostu, ciągle tylko „kultywują tradycję” i „bronią tradycji”.

Druża możliwość to religijny relatywizm. Zamiast wierzyć w święty Kościół i jego autorytet, wierzymy, iż na różne sposoby ludy różnych krain i epok wyznają Boga, oddając mu cześć swymi kultami. Wyznajemy swoją religię poniekąd przykładowo albo z przywiązania, z którego przygodności sami zdajemy sobie sprawę. Równie dobrze moglibyśmy zostać buddystami. Liczy się wszak tylko to, że jesteśmy wierzący, miłujemy Boga i ludzi. A jednak, gdy cała dogmatyczna i rytualna oprawa życia religijnego sprowadza się do zwyczaju, stając się dekoracją albo środkiem (potencjalnie wymiennym na inne) głoszenia chwały Boga, doświadczenie religijne staje się coraz bardziej prywatne i nieokreślone. W imię pragnienia pokoju i jedności wszystkich ludzi na ziemi, w imię miłości i szacunku dla wszystkich kultów i kultur, nasza zapośredniczona, sentymentalna wiara paradoksalnie od wspólnotowości się oddala – przeistacza się bowiem w osobiste życie duchowe, które nie poddaje się żadnemu zewnętrznemu dyktatowi. Nie poddaje się właśnie z powodu lekcji nowoczesności – wszak nikt nie może mi odebrać prawa do samodzielnego, wolnego kształtowania mych przekonań i wierzeń. Bojaźń Boża i autorytet kapłana giną w oddechach mojej nowoczesnej wolności, której nijak nie umiałbym się wyrzec, nawet gdybym bardzo tego pragnął. Nie ma bowiem drogi powrotu z krainy samoposiadania, z piekła wolności.

No i wreszcie możliwość trzecia. Skoro nie ma szans na to, by być wiernym w sposób naturalny i autentyczny, skoro wiara człowieka oświeconego przemienia się w miłą sentymentalizm i relatywizm religijny, a najgorliwsi stoją na straconych pozycjach wrogów nowoczesności, w dodatku postępując niekonsekwentnie jako „obrońcy tradycji”, to może lepiej dać sobie z tym wszystkim w ogóle spokój. Dać spokój, czyli nie myśleć, nie odpowiadać na pytanie, czy jestem wierzący, czy nie, czy jestem ateistą, czy może agnostykiem. Po prostu nie zajmować się tym, być, jak to się ostatnio mówi, „indyferentnym”. Ci, którzy decydują się na to rozwiązanie, stają się dla pozostałych apostołami złej nowiny: *„Gott ist tot”*.

Między tymi trzema posturkami wiary i niewiary możliwy jest jakiś ruch. Przechodząc z jednego na drugi, wydeptując własne ścieżki w tym trójkącie, możemy zyskać złudzenie, że jest jakieś wyjście z pułapki śmierci Boga, że można w jakiś sposób pozostać wyznawcą w nowoczesnym świecie. A jednak to tylko złudzenie – wszak trójkąt jest nakreślony, a jego wierzchołki znaczą trzy klęski. Ktokolwiek stoi w tym polu, ponosi klęskę tak czy inaczej.

Immanuel Kant, wcielenie oświeceniowego rozumu, ze wszystkich sił starał się pogodzić wiarę z rozumem, wolność z wiernością, nowoczesność z tradycją, chodzenie na uniwersytet z chodzeniem do kościoła. Zasadą tego pojednania oświeceniowego rozumu z samym sobą miała być demarkacja kompetencji wiary, moralności i wiedzy. Wiedza możliwa jest tylko o zjawiskach, reszta zaś, a więc wszystko, co metafizyczne, domaga się wiary, wszak racjonalnej przez to, że wierząc w boski ład i celowość świata, w życie wieczne i nagrodę pośmiertną, potwierdzamy uniwersalny sens wszechrzeczywistości, zarówno spełniając w ten sposób wymóg racjonalnego ładu we własnym umyśle, jak i czyniąc zadość wymaganiu racjonalności świata.

Niestety, kantowskie przesłanie, iż rozumnie jest wierzyć, a w oświeceniu nie ma sprzeczności ani zagrożenia dla religii, ma słaby punkt. Otóż tą władzą rozumową, z której mocy wydajemy taki właśnie osąd: że świat jest dobry i celowy, że porządek rozumu i porządek wiary uzupełniają się do pięknej i wzniosłej całości, zwieńczonej Tajemnicą, jest „władza sądenia”. Poświęcił jej Kant swoją trzecią „krytykę”: „Krytykę władzy sądenia”. To ja sam, mocą swego oświeconego rozumu, w sposób nieodparty i apodyktyczny, osądzam świat jako celowy i dobry. Władza sądenia wyprzedza o pół kroku łaskę. Kant pisał o religii wiele, ale unikał języka teologii. Trzeba czytać między wierszami. Nie udało mu się jednak usprawiedliwić luteranśkiej nauki o usprawiedliwieniu, nie potrafił pogodzić szaleństwa wiary z oświeconą racjonalnością. Jego dzieła nawołują do tej jedności i postulują ją. To jednak nie wystarcza, by usunąć sprzeczność. Później, przez cały wiek XIX, poszukiwano nowego miejsca dla religii autentycznej w autentycznej nowoczesności. Nie udało się. Kończyło się albo na rozpuszczeniu religii w uniwersalnej jedności życia duchowego i społecznego,

wolnego od konfliktów i nieracjonalności, albo na jej całkowitej prywatyzacji, czyli zredukowaniu do ludzkiego świata wewnętrznego. Filozofia religii swą jałowością potwierdziła klęskę wiary, potwierdziła nieodwołalną śmierć Boga.

Jesteśmy zaiste „ostatnimi z ludzi”, w sytuacji bez wyjścia. Nie ma już nic świętego i nie będzie. Człowiek wyszedł na spotkanie swej kosmicznej samotności, wziął na siebie niemożliwe zadanie objawienia samemu sobie prawdy życia i śmierci, a także zadanie samorozgrzeszenia i samozbawienia. Słowem, zakpił sobie z samego siebie. Tajemnica, ryt i tabu stały się ledwie bladą tęsknotą, pogrążoną w oświeconej samowiedzy, w jakiejś etnograficznej „świadomości kulturowej”. Żadne słowa już nie pomogą, gdy nawet błogosławieństwo i sakrament skażone są pyłem „zapośredniczenia”, fałszującym ich sens i skuteczność. Złośliwe echo zniekształca słowa kapłana, skrzecząc: „jesteśmy rytualne”, „jesteśmy tradycją”, „jesteśmy kulturą”. Mocy sakramentalnej sam udzielić muszę memu kapłanowi, mocą własnego wyboru lub „władzy sądenia”. Autorytet kapłana i głoszonego Słowa Bożego poprzedzony jest moim przyzwoleniem i uznaniem. Zawierzenie staje się moją sprawą, a łaskę muszę przyjąć sam i dobrowolnie. Sam zawieram przymierze z Panem. Nieledwie sam siebie chrzczę. To wszystko jest bez sensu. Ludzka dusza, która była niegdyś świątynią wizerunku Boga, stała się galerią symboli kultury, w której rządzi moja władza sądenia, intelektualno-etyczne oraz estetyczne upodobanie. W takiej sytuacji postawiła mnie nowoczesność. A że jest to sytuacja bez wyjścia, to znaczy, że Bóg umarł naprawdę.

Moje życie przestało być hierofanią, znakiem i naczyniem boskości. Stało się znojem przeżywania. W pocie czoła staram się wypełnić je dobrymi doświadczeniami – radości, wiedzy, miłości, wiary. Jeszcze Hegel wierzył, jeszcze Kierkegaard wierzył, że mroki oświecenia rozświetli najbardziej wewnętrzne doświadczenie prawdziwej boskości – pełne grozy, trudne, śmiertelne; takie, w którym ego kurczy się aż do zniknięcia, pod naporem transcendentnej świętości. Nie przewidzieli, że fałszywe światło „oświecenia”, które obaj uważali za nędzny kaganek, zapalony przez człowieka, oślepi nas tak trwale i zupełnie, iż nie będziemy już zdolni ujrzeć mroku tajemnicy. Niestety, miedziany grosz wyparł złotego talara. Nawet w samotności, człowiek nowoczesny wybiera „przeżycie religijne”, radosne wzruszenie, tłumiąc w sobie bojaźń i drżenie. Rządzi nim bowiem imperatyw humanizmu – pochwały człowieka i piękna jego przeżyć. Zamknęto nas wszystkich w ogrodzie Epikura. Kazano żyć pięknie i sensownie, w miłości i przyjaźni z wolnymi i szczęśliwymi bliźnimi. W tym odzyskanym, nowoczesnym raju nie ma drzewa poznania ani zakazanego jabłka. Nic nie mąci naszego papierowego szczęścia, może oprócz tego, że ogród otoczony jest murem, do którego nie należy się zbliżać. Bo za murem czeka samotność, bezradność i bezboga otchłań.

Uwięzieni w ogrodzie, zawieszani w kosmosie, musimy zadowolić się taką świętością, jaka tkwi w nas samych, pięknem człowieczeństwa. Swoje nowe niebo zapełniamy ludźmi z krwi i kości, umieszczając ich tam w podzięcie za ich dzieła. Niektórym wydaje się, że jest to jakaś postać życia religijnego, lecz to tylko złudzenie. Religia czci Boga, nie człowieka. Gdy najodważniejsi z nas podchodzą do muru nowego Edenu, jakże ryzykownie poczynając sobie z własną wolnością, widzą, że jest on ścianą płaczu, ruiną dawnej Świątyni Pana. Daremnie wołają: „Kyrie eleison!”. Nikt nie słucha.

*

W tle tego ambitnego eseju znajduje się nagroda Grand Press, przyznana mi w 2009 roku. Otrzymałem ją za tekst napisany dla „Tygodnika Powszechnego”, więc wydawało mi się, że powinienem coś jeszcze opublikować w tym szacownym periodyku. Z tą myślą zabrałem się do pisania, a jako że pismo jest w dużej mierze religijne, postanowiłem wyrazić swój ogólny pogląd na religię. Były właśnie święta Bożego Narodzenia, więc poszło mi tym łatwiej. Powstała praca o szerokim zakresie, prawdziwie filozoficzny esej, jakich mało się dziś ukazuje. A jednak coś jest w tym tekście nie tak. Wierząc w złą nowinę o niemożliwości utrzymywania się we współczesnym świecie, przynajmniej bez popadania w paradoks, postawy religijnej, jestem wobec tego faktu obojętny. Niewierzącemu przecież już nie zależy, o czym zresztą tutaj wspominam. Tymczasem cała praca napisana jest w tonie troski. Jest to niekonsekwentne, ale nie do końca nieszczerze. Czasami myślę o tych sprawach z przejęciem, czasem powierzchownie i obojętnie. Jednak czytelnikom „Tygodnika Powszechnego” z pewnością sprawy wiary obojętne nie są. Chcąc ich zainteresować, a nawet poruszyć, musiałem przybrać ton, który mnie do nich przybliży. Czy jest to manipulacja? Może to za mocne słowo. Niemniej jednak, powiadam, coś jest z tym tekstem nie tak.

JEDNA KATOLICZKA WIĘCEJ

ARTYKUŁ ZOSTAŁ OPUBLIKOWANY W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 27 LIPCA 2007 R.

Chrzest zmienia życie człowieka – także to doczesne. Mój dziadek i babka ze strony ojca jeszcze w XIX w. zostali ochrzczeni (w kościele ewangelicko-augsburskim), dzięki czemu mogli wyrwać się getta, jak nieco pogardliwie spolonizowani Żydzi nazywali żydowskie dzielnice Warszawy. Dziadek został wziętym warszawskim adwokatem, babka mogła studiować. Swego syna, a mojego ojca, też ochrzcili. Całe szczęście. Gdyby nie to, nie przeżyłby wojny. W 1943 zwolniono go z Pawiaka „z braku dowodów na żydowskie pochodzenie”... Dziadkowie zresztą też przeżyli, w Milanówku. Dla nich wszystkich chrzest był bramą życia ziemskiego – w istnienie Boga i Ducha Świętego nie wierzyli. Mnie już nie trzeba było chrzczyć, bo w komunistycznej Polsce bynajmniej nie wydawało się to niezbędne dla powodzenia w życiu. Zostałem agnostykiem, mającym wszelako swoje przekonania religijne. W skrócie pogląd mój jest taki, że skoro nie wiemy, czy istnieje Bóg, kim jest i czego od nas żąda, to nie należy wiązać się z żadną z konfesji; trzeba wziąć na siebie ciężar niewiedzy i pokornie go nosić.

Żywiąc taki pogląd na sprawę religii, wołałbym, aby moja córka odebrała wychowanie całkiem świeckie, a w sprawach wyznania decydowała w przyszłości sama, już jako osoba dorosła. Stało się inaczej. Ma dopiero dziewięć lat i została małą katoliczką. Było to nieuniknione. Gdybym upierał się, aby do tego nie doszło, zrobiłbym dziecku krzywdę. Zresztą nie miałem prawa się upierać, gdyż brałem ślub kościelny „z wyłączeniem”, obiecując, że nie będę przeszkadzał katolickiemu wychowaniu swego potomstwa. Nie powinienem więc narzekać. Gdybyśmy jednak nie brali z żoną ślubu katolickiego i na przykład byli zawziętymi ateistami (a takimi, broń Boże, nie jesteśmy), nic by to nie zmieniło. Naszą córkę katoliczką uczyniło bowiem przedszkole i szkoła.

Dla katolickiej większości na ogół to żaden problem – wiedzą, że lekcje religii w przedszkolach i szkołach nie są obowiązkowe. Nie ma przymusu religijnego, więc nie ma o czym mówić. Owszem, jeśli przez przymus rozumiemy prawo nakazujące coś czynić pod groźbą sankcji, to takiego przymusu nie ma. Jeśli jednak rozumiemy to słowo w znaczeniu potocznym, czyli jako konieczność znoszenia przykrości w następstwie niezastosowania się do jakiejś normy zachowania, to taki przymus jest, i to bardzo silny. Wyobraźmy sobie, jaką cenę musiałaby zapłacić moja córeczka, gdybyśmy uparli się z żoną, że nie będzie podlegać wychowaniu religijnemu w przedszkolu i szkole, na przykład dlatego, by o sprawach swej religijności mogła postanawiać

świadomie w wieku dojrzalszym. Dodam, że wyobraźnię należy przenieść się w tym przypadku do Krakowa, gdzie pewnie jest trochę inaczej niż w Warszawie. Nie sądzę wszelako, aby to Warszawa była typowa; raczej już właśnie Kraków.

W przedszkolu wyglądało to tak, że dwa razy w tygodniu do sali, gdzie na co dzień przebywała „nasza grupa”, przychodziła katechetka i prowadziła swoją lekcję. Teoretycznie mógłbym zażądać, by moja córka nie brała udziału w tych zajęciach, ale oznaczałoby to, że na czas ich trwania zostanie wyprowadzona do innej sali. Tylko że w przedszkolu wyprowadzenie dziecka do innej sali to najsurowsza forma kary... O żadnym proteście nie było mowy.

Sądzę, że moja córka wierzyła w to, co mówi przedszkolna katechetka, bo czemu nie? Przecież decydując się na oportunizm, nie mogłem teraz wzbudzać w swoim dziecku wątpliwości. Mój ojciec też tak postępował. Chciałem robić to co inne dzieci, więc zacząłem chodzić na przykościelne katechezy. Było to w roku 1973, we Wrocławiu. Nie nachodziłem się jednak długo, bo pewnego razu, gdy wyraziłem wątpliwość w kwestii Biblii i Pana Jezusa, o których to przecież nie uczy się w szkole, katechetka popatrzyła na mnie spode łba i rzekła: „Ej, Jasiu, ty to chyba Żydek jesteś”. Wyręczyła w ten sposób mego ojca w trudnym dziele uświadczenia dziecka, ale wcale mu się to nie spodobało, bo powiedział: „Owszem, jesteś Żydek i jak widzisz, lekcje religii nie są dla ciebie”. W ten sposób nie dane mi było zostać chrześcijaninem z wyboru, jak niektórzy moi krewni.

W szkole sytuacja się powtórzyła. Okazało się, że w pierwszej klasie dwie katechezy odbywają się pomiędzy innymi lekcjami i jeśli moja córeczka miałaby w nich nie uczestniczyć, musiałaby iść w tym czasie na świetlicę. Rzecz jasna, byłaby to dla niej wielka przykreść i wstyd, gdy sama jedna miałaby zostać w taki sposób wykluczona z życia klasy i napiętnowana odosobnieniem. Mowy nie było, by stawiać opór. Zresztą dziecko było chętne, by na lekcje religii uczęszczać. Do przymusu społecznego dołączył się wynikający z niego przewrotny przymus psychologiczny. Miałbym walczyć z sumieniem własnego dziecka? Gdybyśmy byli innego wyznania, to sprawa byłaby łatwiejsza. Takie dzieci mają coś w zamian za lekcje religii katolickiej. Wiedzą, że wprawdzie nie uczestniczą w katechezach i różnych uroczystościach, ale za to ich koledzy nie uczestniczą w innym życiu religijnym, które one mają poza szkołą. U niewierzących nie ma takiej kompensacji. Jest czysta strata i pokrzywdzenie – inne dzieci idą do komunii, mają piękne ubranka i prezenty, a ja nie... Którzy rodzice będą tak zawzięci, by skazać swe dzieci na taką przykreść? Swoją drogą, ciekawe, ile dzieci chodzi na religię i przystępuje do komunii właśnie w takich okolicznościach? Trudno byłoby policzyć, ilu jest w Polsce autentycznych katolików, skoro tak silna jest społeczna presja, by się nie wyróżniać przez nieuczestniczenie w powszechnych manifestacjach religijności. Czy nasi socjologowie religii znają odpowiedź?

Gdy zawierano konkordat, społeczeństwo uzyskało zapewnienie, że dołoży się wszelkich starań, aby lekcje religii odbywały się w szkołach tylko na pierwszych i ostatnich godzinach. Skończyło się na rozporządzeniu ministerialnym w tej sprawie, dawno już zapomnianym i zazwyczaj ignorowanym. Nie zamierzając toczyć wojny, lecz po prostu dla zasady udałem się na rozmowę z dyrektorką szkoły, do której chodzi moja córka. Powiedziałem jej, że elementarnym standardem współczesnej demokracji, a także wymogiem polskiej konstytucji jest gwarancja zachowania przez każdego obywatela prywatności w kwestiach wyznania lub też jego braku. Nauczanie religii w szkole w zasadzie wyklucza respektowanie tego prawa, gdyż o każdym spośród nielicznych dzieci, które nie uczęszczają na te lekcje, wiadomo, że nie jest wyznania katolickiego. Bardzo ułomnym środkiem zaradczym byłoby w tej sytuacji respektowanie zasady, że lekcje odbywają się na pierwszych bądź ostatnich godzinach. Uzyskałem obietnicę, że począwszy od drugiej klasy (a więc rok później) tak się stanie w przypadku klasy, do której chodzi moja córka. Usłyszałem jednak, że powinienem dać dziecku możliwość wyboru, że powinienem być bardziej tolerancyjny, a w ogóle to warto, żeby dziecko poznało religię, po prostu z racji kształcenia się. Poczułem się jak na planie filmu satyrycznego – czy to na serio? Powstrzymując wzburzenie, odparłem, że w kwestii wyznania małym dzieciom nie daje się wyboru – dzieci chodzące na lekcje religii są na nie po prostu posyłane, bo tak życzą sobie ich rodzice, a celem tych lekcji bynajmniej nie jest i być nie może „informowanie o religii katolickiej”, lecz formacja katolicka. Hipokryzję i udawanie głupiego spotykałem potem nie raz, poruszając ten temat w różnych okolicznościach.

Szkoła mojej córki, zwykła samorządowa szkoła podstawowa w Nowej Hucie, jest niemalże sanktuarium. Pierwszy z nią kontakt mojego dziecka polegał na poświęceniu tornistrów... Symbole religijne są tam obecne na każdym kroku, a uroczystości religijne i rekolekcje przewijają się przez szkolną codzienność, często kosztem lekcji świeckich. O takiej wartości politycznej jak „świecki charakter instytucji publicznych”, jak się wydaje, nikt tam nie słyszał.

Nie muszę tej opowieści komentować. Jak jest, to widać. Elementarz liberalnej demokracji leży już na urzędniczych biurkach, ale jeszcze nie został otwarty. Mam nadzieję, że to się kiedyś zmieni. A nadzieję tę żywię nie tylko jako demokrata i liberał, lecz także jako ktoś, komu zależy na tym, by tak ważna dla polskiego społeczeństwa religia katolicka nie musiała zdobywać kolejnych pokoleń wiernych środkami administracyjnymi. To nie ma sensu i do niczego dobrego nie prowadzi. Wiem, co mówię. Uczę studentów filozofii i etyki. Jako absolwent KUL-u, pełen głębokiej rewerencji dla tomizmu, zawsze mówię studentom, czym jest doktryna katolicka w zakresie moralności i jaka stoi za nią metafizyka. Nie stronię też od elementarnej teologii. Z biegiem lat widzę na tych zajęciach postępującą barbaryzację religijności

młodzieży lub jej zupełny zanik. Barbaryzacja polega na kompletnej ignorancji, a zanik wiary stwierdzam wtedy, gdy proszeni o wypowiedzi na tematy egzystencjalnie absolutnie podstawowe, jak istota dobrego życia i powinności dobrego człowieka, studenci odpowiadają w sposób całkowicie nietknięty przez idee i skojarzenia religijne. Mówią o urzędzeniu się, o przyjaźni, miłości, ale nie o pracy czy tworzeniu, a bynajmniej już nie o życiu chrześcijańskim. Pal sześć, że nie słyszeli o Tomaszu, a nawet o Augustynie, ale czy muszą po kilkunastu latach katechez być tak mocno przekonani, że katolicy wierzą, iż Bóg zbawia tych, którzy mają więcej dobrych niż złych uczynków?

Właściwie nie powinno mnie to obchodzić. A jednak obchodzi. I to tym bardziej, im mniej widzę zwyczajnie religijnej młodzieży, a za to coraz więcej barbarzyństwa w wyobrażeniach moralnych i religijnych swoich studentów. W pewnym sensie jestem więc współpracownikiem Kościoła. I zapewne moja córka w końcu lepiej pozna katolicyzm, słuchając mnie niż szkolnych katechetów. Jedna światła katoliczka więcej.

*

Bardzo osobisty, jak widać, artykuł pobudził wiele osób stykających się z przymusem religijnym do listów i wyznań. Zwykle po opublikowaniu kontrowersyjnego lub dotyczącego drażliwych spraw artykułu dostaję kilkanaście listów, niezależnie od licznych komentarzy na formach internetowych. Tym razem tych listów było szczególnie dużo. Moja opowieść jest błada i nijaka w porównaniu z tym, co przeżywają ludzie w małych miejscowościach, zwłaszcza zaś w rodzinach podzielonych przez zapatrywania religijne. Nie muszę tłumaczyć, że pisanie czegoś tak osobistego, jak ten artykuł, wciąga do gry członków rodziny. Niekoniecznie muszą być z tego zadowoleni. Nie wiem, co pomyśli moja córka, jak będzie duża. W końcu w jakiś sposób naruszyłem jej prywatność. Publicysta musi zawsze mieć takie rzeczy na uwadze i zadawać sobie pytanie, czy czasem w danym wypadku trochę nie sprzedaje siebie i swoich bliskich. Do pewnego stopnia jest to nieuniknione, niezależnie od tego, jaki gatunek literatury się uprawia, niemniej jednak trzeba sobie wyznaczyć jakieś granice. Publikacja mojego artykułu została uświetniona wybitnym rysunkiem Jacka Gawłowskiego. Miałem szczęście – ten rysunek przejdzie do historii polskiej sztuki ilustracji gazetowej, a mój artykuł na doczepkę.

MÓJ DZIWNY KRAJ I JEGO DZIWNA RELIGIA

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W NUMERZE I (2009) KWARTALNIKA „LIBERTÉ!”.

Spróbuję spojrzeć na Polskę i jej religię oczami kogoś zupełnie bezstronnego – niebędącego Polakiem, niebędącego katolikiem. Nieuprzedzonego, lecz i nie-szczególnie życzliwego – ani Polsce, ani katolicyzmowi. Jeśli sprzeniewierzę się temu, to znaczy napiszę tu coś stronniczego – przegrałem. Proszę jednak nie mylić stronniczości z brakiem życzliwości. Życzliwość nie jest moim obowiązkiem (bo mogę być obojętny, jakkolwiek powinienem doszukiwać się u ludzi raczej dobrej niż złej woli), bezstronność zaś owszem.

Polska jest państwem wyznaniowym

Polska jest krajem katolickim, jakkolwiek jej mieszkańcy na ogół nie uważają, aby była państwem wyznaniowym. Faktycznie, poza zapisami o wartościach chrześcijańskich (ludzie rozumieją przez to na ogół wartości Dekalogu, tysiąc lat od chrześcijaństwa starszego, ale trudno, aby naród nazywał swój matecznik aksjologiczny „wartościami żydowskimi”) w dwóch bodajże ustawach (edukacyjnej i medialnej), nie ma formalno-prawnych potwierdzeń wyznaniowego charakteru państwa. Zwykle jednak mówiąc „państwo wyznaniowe”, mamy na myśli nie tyle istnienie takiego zapisu w konstytucji, ile pewne fakty, jak uprzywilejowana pozycja prawna i fiskalna pewnej organizacji religijnej w państwie, finansowanie praktyk religijnych i nauki religii ze środków publicznych, stałą obecność symboliki religijnej w ceremoniale państwowym i w budynkach publicznych oraz obecność doktryn religijnych w oficjalnym dyskursie władz państwowych, wreszcie tak daleko posuniętą niezależność dominującej instytucji religijnej od państwa, iż nie ma ono możliwości takiego kontrolowania jej działalności i finansów, jakim poddaje działalność i finanse wszystkich innych organizacji. Jeśli jakieś państwo spełnia wszystkie lub prawie wszystkie te warunki, jest „państwem wyznaniowym”.

Rzecz jasna, Polska spełnia te wszystkie warunki, a nawet więcej, bo oprócz wszechobecności religii katolickiej w oficjalnym życiu państwa polskiego, finansowania przez państwo Kościoła i nauczania religii w szkołach, oprócz przywilejów fiskalnych i ubezpieczeniowych, radykalnego uprzywilejowania (wraz z innymi Kościołami i związkami wyznaniowymi) w repriwatyzacji, Kościół nie może być

w Polsce przedmiotem bezpośredniej krytyki, wyjąwszy media niszowe. Nie wynika to z żadnych zapisów, ale starannej autocenzury mediów, a nawet poszczególnych autorów. Nie ma mowy o krytyce nie tylko doktryn katolickich (zwanym zwykle Nauczaniem), lecz także biskupów (wyjątkiem są sprawy o pedofilii), nie mówiąc już o papieżu. Postać papieża, a chociażby biskupa, nie pojawia się nawet w programach satyrycznych. Odwrotnie zaś – jak najbardziej – poglądy z katolicyzmem sprzeczne lub mu niechętnie publicznie potępiane są w jak najostrzejszych słowach, ocierających się o język nienawiści, by wspomnieć znaną inwektywę „cywilizacja śmierci”, z grubsza obejmującą współczesną kulturę życia publicznego i kulturę prawną społeczeństw liberalnych. W normalnym sensie, w jakim bezstronni ludzie używają określenia „państwo wyznaniowe”, Polska jest więc bezspornie takim państwem. Nie próbuje się zresztą specjalnie tego maskować. Krzyże wiszą w sejmie, w pałacach władzy znajdują się katolickie kaplice, religia jest jednym z głównych przedmiotów nauczania w szkołach (jedna, a częściej dwie lekcje w tygodniu od przedszkola do matury w przypadku ok. 80–90% uczniów), Kościół hojnie obdarzany jest gruntami i budynkami, programy katolickie i propagujące katolicyzm (łącznie z krzewieniem wieści o cudach) w ogromnej liczbie nadawane są przez media publiczne, księża obecni są na wszelkiego rodzaju uroczystościach publicznych i proszeni o opinie we wszystkich sprawach (ciekawostka osobista: nigdy nie uczestniczyłem w programie telewizyjnym, w którym nie byłoby księdza). Pisma Jana Pawła II, przypominające te czy inne fragmenty doktryny katolickiej, traktowane są jak wyrocznia, z którą niepodobna dyskutować, sama zaś postać papieża Polaka jest przedmiotem nieznanego chyba żadnych granic kultu państwowego (w takiej skali niewidzianego w Polsce od czasów Józefa Piłsudskiego, choć jeszcze chyba większego – bo Stalina i Bieruta jako postaci zbrodniczego reżimu komunistycznego z porównań wyłączam). Co gorsza, prawie nikt nie ma dość odwagi na to, by powiedzieć głośno „kultowi jednostki” stop!, by sprzeciwić się nazwaniu imieniem Jana Pawła II kolejnej ulicy, szpitala czy szkoły. Swoją drogą, zwykle przywódcy nie lubią, gdy stawia się im za życia pomniki i oponują przeciwko temu – pomniki takie nie sytuują ich bowiem w dobrym towarzystwie. Z Janem Pawłem II było jednak inaczej – nie tylko nie oponował (gdyby był to uczynił, z pewnością zastosowano by się do jego zalecenia), ale przychylnie patrzył na rosnący kult swojej osoby. Dla postronnego, nieuprzedzonego obserwatora nie jest to fakt zachęcający do katolicyzmu ani budzący szacunek. Warto pamiętać, że gdy w XVI wieku zaczęto stawiać pomniki żyjącym papieżom, stało się to jedną z pobudek dla ruchu reformacji.

Trzeba przyznać w tym miejscu, że skrajnym przejawem ustroju państwa wyznaniowego jest istotny udział instytucji religijnej w stanowieniu prawa oraz w codziennym życiu politycznym, co w Polsce nie jest rutyną. Pomijając tu kwestię statusu

prawa kanonicznego na terenie RP, o czym będzie jeszcze mowa, można wręcz powiedzieć, że w Polsce udział ten ograniczony jest tylko do kwestii bezpośrednio interesujących, z takich czy innych powodów, Kościół katolicki. Trudno wszelako wyobrazić sobie, by jakieś życzenie Kościoła w zakresie stanowienia prawa, a zwłaszcza prawnych gwarancji przywilejów kościelnych (odszkodowania za utracony majątek, repriwatywacja, przywileje podatkowe, ubezpieczeniowe itd.), nie zostało przez władzę ustawodawczą uwzględnione. Co najwyżej w niektórych spornych przypadkach ustawodawstwo po prostu nie rozwija się, gdyż nie życzy sobie tego Kościół. Tak jest w dziedzinie bioetyki, w której przyjmowanie bardziej szczegółowych regulacji mogłoby oznaczać coś więcej (tj. jakieś bardziej elastyczne i różnicujące ujmowanie rzeczywistości) niż bezwzględne zakazywanie takiej czy innej praktyki potępianej przez Kościół. Jeśli zaś chodzi bezpośrednio o uprawianie polityki przez Kościół (co jest rzeczą typową dla państw wyznaniowych, jakkolwiek samo w sobie bynajmniej naganne nie jest), to przynajmniej raz po 1989 r. Kościół odegrał rolę kluczową, a jednocześnie negatywną. Stało się tak mianowicie w roku 2005, kiedy to w kurii warszawskiej pod patronatem Kościoła, przed kamerami kościelnej telewizji zawarto koalicję PiS-u z organizacjami, które trudno było podejrzewać o szczególne cnoty chrześcijańskie.

Wyznaniowy charakter państwa wiąże się jednak przede wszystkim z oficjalnym uznaniem przez państwo Kościoła katolickiego za niekwestionowany autorytet moralny, z którego stanowiskiem się nie dyskutuje. Bezstronny obserwator bardzo się dziwi zwłaszcza temu, że duchowni katolicy z wyjątkowym upodobaniem i wyjątkowo często komentują zagadnienia życia rodzinnego i seksualnego, w których to dziedzinach z zasady i z wyboru mają jak najmniejsze doświadczenia osobiste. Jan Paweł II napisał nawet książkę z zakresu seksuologii, w której na wstępie tłumaczy, że wprawdzie nie ma doświadczeń własnych, ale ma wiedzę pochodzącą ze spowiedzi. Broni się tam tezy, że kochanie się z kobietą, która nie jest własną żoną, narusza jej godność i oznacza traktowanie przedmiotowe (tzn., prawdopodobnie, na podobieństwo rzeczy). Podobnie zdumiewające teorie są przez katolików głoszone w odniesieniu do innych spraw płci, na przykład homoseksualizmu. W polskich szkołach uczą się (na lekcjach religii), że czynny homoseksualizm jest „nieładem” (jest to bodajże eufemizm oznaczający „grzech”), i osoby o takiej seksualności powinny powstrzymać się od uprawiania miłości. Być może powstrzymywanie się od seksu jest dla duchownych betką, ale dla większości ludzi nie, przeto, jak zresztą dobrze wiadomo z psychologii, wzbudzanie w dzieciach poczucia winy w związku z homoseksualizmem i odwođenje od życia płciowego szkodzi ich samopoczuciu i rozwojowi psychoseksualnemu. Tylko w państwie wyznaniowym możliwe jest, by za pieniądze państwa w publicznych szkołach uczyć dzieci, że homoseksualizm jest złem. W tych

samych szkołach, z uwagi na znaczenie, jakie mają w nich księża, oraz z powodu ogólnie panującej pokory w stosunku do Kościoła katolickiego, nie uczy się prawie wcale o rzeczach tak ważnych, jak pochodzenie i dzieje religii. Trudno też wyobrazić sobie otwarte mówienie, czy to w szkołach, czy to w mediach, o najciemniejszych stronach historii Kościoła, chyba że w kontekście umniejszania ich znaczenia.

W ogólności zadziwia występowanie Kościoła w roli autorytetu moralnego. Przecież Kościół katolicki nie brał udziału, a często gwałtownie przeszkadzał w rewolucji moralnej, która w ciągu ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat nauczyła nas, że złem jest przemoc fizyczna, a dobrem równość, wolność i swobody polityczne, demokracja i jawność życia publicznego. Kościół współczesny popiera wprawdzie wolność słowa, demokrację itp. wynalazki liberalne, ale czyni to po wielu latach burzliwego ich zwalczania. Czy to jest pozycja, z której wypada wchodzić w buty autorytetu i mentora moralności publicznej? Podobnie ma się sprawa w związku z przywilejami, z których korzysta Kościół. Czy wypada występować w roli autorytetu publicznego instytucji, która godzi się na status ekonomicznego i prawnego uprzywilejowania, a więc na przykład godzi się na ustawowe pierwszeństwo w procesie reprivatyzacji (a kto wie, czy wręcz nie domagała się go), korzystając z dobrodziejstwa całkowitego zadośćuczynienia, podczas gdy osoby prywatne, zgodnie z duchem prawa i nauką chrześcijańską stojące przed każdą instytucją i mające pierwszeństwo przed nimi w kolejności wyrównywania krzywd, nie korzystają z podobnego dobrodziejstwa wcale?

Czy Polska naprawdę jest tak bardzo katolicka?

W myśl doktryny katolickiej należy żyć skromnie i w czystości. Nie wolno się rozwodzić i należy mieć sporo dzieci. Niedozwolona jest aborcja, antykoncepcja i nieskromne zachowanie, pijaństwo zaś jest bardzo ciężkim grzechem. Trudno jednak znaleźć kraj, gdzie tak wiele kobiet pokazuje publicznie brzuchy, a seksualność tak wyziera z każdego kąta. W niewielu krajach jest tyle nierządu, aborcji i pijaństwa. Mało gdzie w Europie moralność publiczna stoi tak nisko, a przestrzeń publiczna tak bardzo narażona jest na chuligańską dewastację. W niewielu krajach włączą się po nocach pijane i rozwrzeszczane hordy, burdele mnożą się w najmniejszych nawet miasteczkach, a cokolwiek zostanie na ulicy lub w parku postawione, niezawodnie zostanie za jakiś czas zniszczone. Kto był w Skandynawii albo w takiej na przykład Korei, wie, jak wielka może tu zachodzić różnica w poziomie moralności publicznej, i to właśnie rozumianej tak, jak rozumiemy to katolicy – w dość ścisłym związku z kwestią czystości i skromności.

Jeśli „bycie katolikiem” oznacza przestrzeganie nakazów moralności katolickiej, to z pewnością katolickość Polski pozostawia wiele do życzenia. Wiemy wszelako, że

w odróżnieniu od paru innych religii katolicyzm nie wyklucza, aby grzesznik nadal pozostawał wyznawcą. Trzeba więc jakoś wężiej zakreślić kryteria bycia katolikiem. Sądzę, że roztropnie będzie uznać za katolika kogoś, kto po pierwsze, jest ochrzczony w Kościele katolickim, po drugie, ma pewne niewielkie choćby pojęcie o doktrynie katolickiej, a po trzecie, co najmniej czasami uczestniczy w nabożeństwach. Faktem jest, że warunek pierwszy spełnia ogromna większość Polaków. Bywa to nawet podstawą do głoszenia tezy, jakoby 90% Polaków była katolikami, jakby kto zapomniał, że do chrztu zwykle nie idzie się z własnej woli. Znacznie gorzej jest z drugim warunkiem. Z moich doświadczeń nauczyciela filozofii wynika, że ogromna większość młodzieży nie zna podstawowych dogmatów katolickich, chociaż uczyła się religii przez wszystkie lata szkoły, nie mówiąc już o słuchaniu kazań. Ci sami młodzi ludzie nie przejawiają też zwykle żadnej gotowości podporządkowywania się wezwaniom Kościoła w zakresie życia prywatnego, jak na przykład powstrzymywania się od seksu przedmałżeńskiego, związków homoseksualnych czy antykoncepcji. Nie posiadają żadnej wiedzy o Biblii, nie słyszeli o doktorach Kościoła, a tym bardziej nie wiedzą, jakie są ich poglądy. Nie mają też zwykle żadnego pojęcia o etyce Kościoła katolickiego, wyjąwszy to, że słyszeli wiele razy o godności i „prawie do życia od poczęcia do naturalnej śmierci”. Jeśli chodzi o kryterium trzecie, to faktycznie spełnia je bardzo wielu Polaków. Chodzenie do kościoła na mszę uważają oni jednak zwykle za rytuał społeczny, czyli obyczaj, a więc ich religijność jest raczej kulturowa niż autentyczna. Do tych utartych obyczajów należy również chrzczenie dzieci, stąd nawet osoby obojętne religijnie zwykle dzieci swoje chrzczą, utrzymując tak wysoki odsetek formalnych katolików w społeczeństwie.

Konkludując, wydaje się, że stosując wymienione rozsądne kryteria, należy uznać, iż w Polsce jest wielu katolików, jakkolwiek zapewne nie jest to większość społeczeństwa, a na pewno nie jest to większość wśród młodzieży. Daleko nam do tego stopnia katolicyzmu społeczeństwa, którym poszczycić się mogą niektóre kraje Ameryki Łacińskiej, a w Europie Malta. Zapewne zresztą osób religijnych będzie w Polsce ubywać, bo takie są tendencje w świecie zachodnim. W sąsiednim społeczeństwie czeskim religijność jest na przykład marginalna, co zresztą nie powoduje żadnego ubytku w moralności Czechów, a wręcz, zważywszy na wyżej wspomniane aspekty życia moralnego, nasi bracia stoją od nas wyżej. Inna rzecz, że polski katolicyzm jest zupełnie czymś innym niż katolicyzm w zachodniej Europie. Dla katolików z Zachodu nie tylko „integryzm” pewnych odłamów polskiego Kościoła, nacjonalizm i ksenofobia, ale nawet takie rzeczy jak zbieranie pieniędzy na tacę i nierozliczanie się z nich przed wiernymi albo wycieczki przeciwko homoseksualistom i liberałom są po prostu egzotycznym anachronizmem godnym politowania. (Mam takie wspomnienie: katolicki ksiądz z Australii, bioetyk, mówi do mnie: „Proszę mi łaskawie wybaczyć, jeśli

okaże się, że uległem jakimś przesądom i uprzedzeniom, ale słyszałem, że w Polsce w kościołach rzuca się pieniądze na tacę – czy to może być prawda?”.)

O co chodzi w chrześcijaństwie?

Dla osób postronnych i nieuprzedzonych chrześcijaństwo jest bardzo osobliwą religią. Dziwną przede wszystkim dlatego, że nader trudną do zrozumienia, a jednocześnie tak bardzo pewną swych racji, że gotową krzewić się wśród wszystkich ludów kosztem śmierci ich lokalnych wyznań i kultów, jak to stało się i u nas w ciągu późnego średniowiecza, gdy rodziła się i krzepła katolicka Rzeczpospolita.

Może najtrudniej zrozumieć niekatolikom, że chrześcijanie oddają cześć boską człowiekowi (Jezusowi), twierdząc jednocześnie, że Bóg jest jeden i że jest niecielesny. Prawdę mówiąc, twierdzą nawet więcej niż to, że pewien człowiek jest Bogiem, lecz że Bóg jest jednością w aż trzech osobach. Ta jedność jest doskonała i absolutna, a ta troistość nie mniej przez to prawdziwa i rzeczywista. Trudno zrozumieć tę tezę i dlatego przedstawiana jest ona wyznawcom jako tajemnica wiary. Inna trudna do zrozumienia rzecz znowu wiąże się z postacią Jezusa. Wyznawca musi zrozumieć, że był on Chrystusem, czyli zapowiadany w Biblii Mesjaszem, choć przecież żadna odnowa i wybawienie Żydów ani innych narodów wraz z Jezusem ani po jego śmierci bynajmniej nie nastąpiły. Co więcej, chrześcijanie wierzą, że Jezus umarł na krzyżu dla odkupienia win ludzkich wobec Boga, co zakłada, że nieskończenie doskonały Bóg zdolny jest do odczuwania cierpienia i że dla wybaczenia ludziom grzechów sam (bo Jezus jest Nim samym – Synem w jedności z Ojcem) musi siebie przebłagać i złożyć sobie samego siebie w ofierze. Wiemy, że teologowie tłumaczą tę osobliwość wiary na różne sposoby (niektóre nawet znam), ale faktem jest, że zwykli wyznawcy najczęściej nic o tych wyjaśnieniach nie wiedzą. Tym bardziej mają prawo dziwić się postronni, którzy stają wobec osobliwości chrześcijaństwa zupełnie bezradni. Szczególny dreszcz metafizyczny przeszywa zaś niechrześcijanina, gdy styka się z jakże archaicznym i na ogół przecież wypartym już ze zbiorowej świadomości ludów motywem, jaki widać w rytuale, którego częścią są słowa „bierzcie i jedzcie z tego wszyscy...”. W ogólności jest czymś niezwykle i wprost niewytłumaczalnym, że mitologia starożytnych Żydów, z całą jej osobliwością i historycznymi oraz geograficznymi uwarunkowaniami, stała się podłożem wyobraźni religijnej tylu ludów żyjących w wielkim oddaleniu od Palestyny i jakiejkolwiek pustyni w ogóle.

Katolicy wierzą, że Bóg jest jeden, a żaden człowiek (poza Jezusem) nie ma natury boskiej. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że na przekór doktrynie traktują Matkę Boską jak boginię, a nie człowieka. Zdarza się nawet, i to nierzadko, że katolicy modlą się (choć nie jest to zgodne z nauką Kościoła) do świętych. Ci ostatni także są zresztą

osobliwością katolicyzmu. Dlaczego modlitwa do Boga ma być skuteczniejsza, gdy za naszą sprawą orędownicą będzie jakiś święty? Czyżby Bóg słuchał doradców niczym król? Czyżby trzeba było załatwiać sobie do niego „dojścia” niczym do jakiegoś księcia? Kult świętych – opiekunów i orędowników – czasami przeradza się nawet w kult dygnitarzy Kościoła. W Polsce można wręcz odnieść wrażenie, zważywszy na przykład na liczbę czczonych wizerunków i miejsc nawiedzenia, iż większym kultem darzony jest Jan Paweł II niż Jezus. Być może faktycznie nie jest to prawda, niemniej jednak z pewnością w naszym kraju kult człowieka symbolizującego godność narodu polskiego w jakimś sensie rywalizuje z kultem Boga.

O wiele bardziej zrozumiałe od idei religijnych katolików wydają się doktryny filozoficzne i etyczne Kościoła katolickiego. Pochodzą one głównie ze źródeł greckich i reprezentują to, co w nich najlepsze, łącząc arystotelesowską metafizykę (teorię substancji) i doktrynę cnót (aretologię) z platońską teorią idei (rozumianych jako myśli Boże) i partycypacji oraz stoicką etyką prawa naturalnego, do czego pisarze chrześcijańscy dołączyli kilka nowych elementów, takich jak nauka o istocie i istnieniu, o transcendentaliach, o sumieniu i cnotach teologicznych. Jako filozof, uczony tych doktryn na KUL-u, muszę przyznać, że pomimo swego synkretyzmu (Platon, Arystoteles, stoicy i neoplatonicy do spółki), należą one do najpiękniejszych zabytków filozofii. Są to jednak właśnie tylko *zabytki* – nikt poza osobami z racji zawodowych zobligowanymi do ich krzewienia i obrony tych starożytnych i średniowiecznych zabytkowych doktryn nie wyznaje ani nie traktuje poważnie jako aktualnej propozycji teoretycznej. Robią to wyłącznie katolicy, zwykle zresztą duchowni. Choć jest ich wielu, przecież nie zmienia to faktu, że są to dziś doktryny podtrzymywane urzędowo, a nie broniące się w wolnej przestrzeni publicznej i akademickiej, a więc pewna formacja niszowa. Wyjątek stanowi przyjęty niedawno w katolicyzmie wątek personalistyczny (w średniowieczu jakoś obecny, ale słabo się zaznaczający), bo podobne przekonania (doktrynę o osobie i jej godności) spotyka się w różnych wersjach również wśród protestantów i Żydów. Tak czy inaczej, są to wszystko całkowicie wyznaniowe poglądy, niemające żadnego sensu i znaczenia poza kontekstem wiary w Boga osobowego. Roszczenie, iż takie religijne na wskroś i metafizyczne poglądy, zupełnie nieobecne we współczesnym życiu intelektualnym poza Kościołem, mogły stanowić podstawę do stanowienia prawa (a w tym ustanawiania zakazów) dla wszystkich obywateli, a w tym i niekatolików, jest nad wyraz aroganckie. Niestety, w Polsce żądania stanowienia praw pod dyktando średniowiecznych doktryn religijno-filozoficznych, w rodzaju doktryny prawno-naturalnej, jest normą, a pytanie o moralny status wysuwania takich żądań nawet nie pada.

Chwaląc tradycję filozofii katolickiej, muszę jednakże wyłączyć z tego pewne doktryny etyczne (doktryny polityczne i społeczne, w rodzaju potępienia pożyczki na

procent, pomijam, bo nikt ich już na serio nie głosi). Niektóre więc elementy etyki katolickiej wydają mi się bardzo mało przekonujące (także moralnie), nawet w intelektualnych warunkach średniowiecza. Katolik (wykształcony) uważa, że najważniejszym kryterium moralnej wartości czynu jest głos sumienia. Niestety, różnie głos ten brzmi, wobec czego *implicite* zakłada się, że będzie to nie byle jakie sumienie, lecz dobrze wychowane. Dobrze wychowane sumienie nie jest wszelako produktem wychowawczym liberałów, lecz bodaj samych tylko katolików. Co więcej, chociaż i niekatolik może osiągnąć znacząco doskonałość moralną, to nie może równać się z katolikiem, który otrzymał łaskę cnót teologicznych wiary, miłości i nadziei. Jakby tego było mało, mamy tu jeszcze na dokładkę doktrynę prawa naturalnego, którego wykładnia, tak przecież różna wśród zwolenników starej tezy, jakoby coś takiego w ogóle istniało i dawało się intuicyjnie poznawać, zastrzeżona jest raczej wyłącznie dla Kościoła. Nie można sobie przecież wyobrazić, aby ktoś podał coś za prawo naturalne, sprzecznie z doktryną katolicką (np. „niektórzy ludzie są homoseksualni i homoseksualizm jest dla nich dobry”), a Kościół uznał żądanie tej osoby, aby na podstawie tak odczytanego prawa naturalnego stanowione było prawo pozytywne. Nie ma więc w praktyce żadnej różnicy między „prawem naturalnym” a arbitralnym przesądzeniem doktrynalnym Kościoła. Cóż, wiemy już od czasów oświecenia, że „prawo naturalne” nie jest niczym więcej niż strategią retoryczną, za której pomocą perswadowano najróżniejsze już rzeczy. Trzeba wyjątkowo złej woli, aby ignorować fakt, że pośród autorów wierzących w istnienie prawa naturalnego i jego poznawalność nigdy nie było zgody co do jego treści. Jeśli to jeszcze nie kompromituje tej doktryny, to czego, u licha, trzeba jeszcze?

Watykan i my

Katolicyzm nie jest lubiany. Prawdę mówiąc, poza buddystami, którzy na ogół o wszystkich mówią dobrze, nie spotkałem nikogo, kto darzyłby katolików sympatią. Generalnie ma się im za złe, że uważają się za lepszych od innych, za depozytariuszy jedynego prawdziwego objawienia. Za to samo nielubiany jest zresztą również islam i judaizm. Najbardziej niechętni katolikom są jednak chrześcijanie innych niż katolicyzm odłamów, a to głównie z powodu przekonania katolików, że są chrześcijanami *par excellence*, a inni wyznawcy Jezusa powinni zjednoczyć się z Kościołem powszechnym pod berłem papieża. Właśnie papieństwo jest instytucją, której niekatolicy chrześcijanie nie lubią najbardziej, i to papieża mają zwykle w świecie szczególnie złą prasę. Tak, Watykan jest doprawdy wielkim problemem. Jeden z twórców idei tolerancji John Locke uważał, że Anglia powinna tolerować wszystko poza ateizmem i katolicyzmem (możemy mu wybaczyć to głupstwo, bo w końcu żył w epoce

przedliberalnej). Katolicy bowiem, jak podkreślali zawsze protestanci, a zwłaszcza kler katolicki ma podwójną (a więc fałszywą) lojalność – krajową i watykańską. Cóż, faktycznie trudno sobie wyobrazić, żeby duchowny katolicki nie robił tego, co nakazuje mu władza watykańska, a łatwiej sobie wyobrazić, żeby nie robił tego, co nakazuje władza świecka. W razie konfliktu powinien przedkładać posłuszeństwo Kościołowi i papieżowi nad posłuszeństwo władzy świeckiej, nawet w wolnym i demokratycznym kraju. Czy w świetle tej konstatacji Polska jest suwerennym krajem, a księża są faktycznie jej lojalnymi obywatelami? Jakoś trudno mi sobie wyobrazić w polskich realiach, by jakiegokolwiek życzenie Kościoła, zwłaszcza w zakresie jego własnych interesów materialnych, nie zostało przez władze publiczne gorliwie wykonane. To samo dotyczy życzeń płynących z Rzymu. Nie wiem, czy są one formułowane wprost, niemniej jednak przyznacie, że sytuacja, w której powiada się Kościołowi – narodowemu lub Watykanowi – „nie”, „nie wtrącajcie się w to – to nasza sprawa” jest raczej fantastyczna.

Z prawnego punktu widzenia Kościół jest państwem (państwem watykańskim – monarchią absolutną) i jego prerogatywy i autonomia na terenie naszego kraju nosi cechy eksterytorialności, gdyż gwarantowana jest konstrukcją prawną umowy międzynarodowej, którą jest konkordat. Stanowi on prawo najwyższe po konstytucji, a nawet równe z nią, a Kościół występuje w nim jako suwerenna i równa strona, zgodnie z zasadami prawa traktatowego. Pozycja Kościoła katolickiego nie jest więc pozycją wolnej instytucji w wolnym kraju – wolnej do działania, lecz poddanej prawu krajowemu i kontroli państwowej, jak to jest na przykład w przypadku stowarzyszeń lub związków wyznaniowych, lecz jest pozycją obcego państwa działającego mocą szczególnej prerogatywy na terenie państwa polskiego. Artykuł pierwszy konkordatu, w ślad za konstytucją, stanowi, że „Rzeczpospolita Polska i Kościół Katolicki są – każde w swej dziedzinie – niezależne i autonomiczne”. Korzystając z państwowego statusu Watykanu, polski Kościół jako swego rodzaju „duchowe terytorium zależne” Watykanu uzyskuje quasi-państwową niezależność, coś w rodzaju eksterytorialności, jakiej nie posiada żadna inna instytucja czy organizacja w Polsce. Byłby to być może budujący przykład wolności (oficjalna racja zawarcia konkordatu jest zresztą liberalna – komentarz katolicki powołuje się tu na zasadę wolności religijnej¹), szkoda tylko, że ta niebywała, anarchiczna wprost wolność nie przysługuje innym instytucjom i stowarzyszeniom. Suwerenność Polski jest ograniczona przez konkordat tak dalece, że pośrednio przyznaje zdolność stanowienia skutecznego prawa (kanonicznego) Kościołowi i nakazującego RP respektowanie tego prawa. Potwierdza to zresztą polski Trybunał Konstytucyjny, powołujący się na prawo kanoniczne w wyrokach

¹ Zob. J. Krukowski, Konkordat polski. Znaczenie i realizacja, Lublin 1999, s. 257.

oddalających skargi na ponadkonstytucyjne prerogatywy Kościoła. Jak pisze w swym autorytatywnym komentarzu prawniczym J. Krukowski: „Działania władz państwowych nie mogą rodzić skutków prawnych w porządku kościelnym. Takie skutki mogą wynikać jedynie na podstawie wzajemnego «uznania», zagwarantowanego w odpowiedniej dyspozycji prawnej”. Inaczej mówiąc, Kościół katolicki władny jest sam decydować, czy będzie łaskaw podporządkować się polskiemu prawu i je „uznać”. Trudno o bardziej wymowny dowód, że stanowi Kościół katolicki dosłownie niemal „państwo w państwie”.

Konkordat nie tylko ogranicza suwerenność Polski i nadaje Kościołowi i duchowieństwu przywileje, które właściwie wyłączają je spod polskiej jurysdykcji i kontroli takich instytucji jak izby skarbowe czy Najwyższa Izba Kontroli, lecz także instauruje (wraz z konstytucją i odpowiednimi rozporządzeniami władzy administracyjnej) system indoktrynacji religijnej, całkowicie opłacany przez rząd polski. Nauka religii jest wprawdzie nieobowiązkowa, ale presja społeczna na dzieci, by na te lekcje uczęszczały, jest bardzo silna. Dotyczy to zwłaszcza małych dzieci, w przedszkolu i pierwszych klasach szkoły podstawowej, które nie uczestnicząc w lekcji, muszą przebywać w innym pomieszczeniu (w świetlicy, w sali innej grupy przedszkolnej), co przez dziecko odczuwane jest jako napiętnowanie i rodzaj poniżającej kary. Nic dziwnego, że wielu rodziców, którzy wcale nie życzyliby sobie, by ich dziecko chodziło na religię, posyła je na katechezy, a co za tym idzie oddaje je do chrztu i komunii. W ten sposób liczba katolików z pewnością wzrasta. Trudno zresztą Polakowi formalnie nie należeć do Kościoła, skoro ze wszystkich stron – z radia, telewizji i gazet – bombardowany jest przekazem doktrynalnym. Panuje w Polsce powszechne przekonanie, że wyłamanie się z formalnego przynajmniej katolicyzmu jest trudnym i społecznie ryzykownym przedsięwzięciem – czymś na kształt odmowy udziału w pochodzie pierwszomajowym w czasach PRL-u. Polacy może nie wierzą specjalnie w dogmaty katolickie i katolickie doktryny (których zresztą zwykle wcale nie znają), ale na pewno dali się przekonać do uparcie powtarzanej tezy, że Polska to kraj katolicki i zdecydowana większość społeczeństwa to katolicy. A skoro prawie wszyscy są katolikami, to może lepiej się nie wyłamywać...

Dlaczego Kościół jest aż tak silny?

Trudno na to pytanie odpowiedzieć, bo nie wiemy nawet, czy Kościół w Polsce to kolos na stalowych czy glinianych nogach. Przekonamy się o tym dopiero za kilka czy kilkanaście lat, gdy okaże się, czy zajdzie w Polsce proces sekularyzacji, podobny do tego, jaki miał miejsce w Hiszpanii albo (w innej postaci) we Francji lub we wspomnianych już Czechach. Jest wysoce prawdopodobne, że tak właśnie będzie, ale za wcześniej jeszcze, by o tym przesądzać.

Moja teoria na temat siły Kościoła w Polsce jest amatorska i nie należy brać jej całkiem poważnie. Jest to raczej pewna hipoteza badawcza. Sądzę mianowicie, że siła Kościoła wiąże się z jej zakorzenieniem w warstwie chłopskiej, a przywileje Kościoła należy rozpatrywać w kontekście przywilejów chłopów, którzy zwolnieni są w Polsce z podatków, korzystają z wielkich przywilejów ubezpieczeniowych i otrzymują ogromne dotacje państwowe. Narzuca się myśl, że duchowieństwo, wywodzące się w większości z warstwy chłopskiej i mające swe zaplecze głównie na wsi, zawdzięcza swe przywileje temuż właśnie umocowaniu społecznemu. Poniżana przez stulecia systemu feudalnego klasa chłopska, mająca zresztą oparcie właśnie w Kościele jako swym obrońcy, prawie całkowicie się w XX wieku wyemancypowała i ukonstytuowała w niezwykle skuteczną grupę interesu. Potęga chłopska jest imponująca. Świadczą o niej nie tylko wielkie przywileje fiskalne i dotacje (w całej prawie Europie), lecz także „nietykalność” chłopstwa dla władzy politycznej, nawet totalitarnej. Nie dotyczy to wprawdzie ZSRR, ale już na przykład reżimów nazistowskich owszem. Były one (także w okupowanej Polsce) znacznie łagodniejsze dla chłopów niż dla mieszczan. Podobnie rzecz się miała za komunizmu w Polsce. Wprawdzie nie mógł Kościół działać swobodnie, a wielu księży cierpiało prześladowania, ale też żadna pozapaństwowa struktura nie cieszyła się w tym kraju takim zakresem swobody. Komunistyczne państwo pozwalało (w ograniczonym zakresie) na wydawanie prasy katolickiej, na budowanie kościołów (czasami), zbieranie pieniędzy na tacę, a nawet prowadziło uczelnię katolicką (Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie) i puszczało w potoku radiowej propagandy komunistycznej także audycje watykańskie (umiarkowanie przychylne demokracji i własności prywatnej, co z pewnością nie było władzom nie-miłe). Trudno sobie wyobrazić, by jakkolwiek organizacja niechętna komunistom (a Kościół z pewnością był takową) mogła tak w Polsce prosperować. Jak mawiał (po winku) ks. Tischner, „oni (Kościół) zawsze umieli się z nimi (komunistami) dogadać, bo i jedni, i drudzy lubili wypić”. Nie bez znaczenia dla dynamiki stosunków PRL-u z Kościołem był również fakt, że znaczny odsetek księży (10% wedle najostrożniejszych szacunków) współpracował z bezpieką. Z drugiej strony wielu księży udostępniało sale katechetyczne dla nielegalnych zebrań bądź w inny sposób pomagało opozycji – nie były to jednak bynajmniej zjawiska masowe.

Coś w tym chyba jest. A może my liberałowie powinniśmy się uczyć od Kościoła, jak czynić sobie państwo powolnym? Jakże to byłoby pięknie, gdybyśmy zdołali narzucić państwu polskiemu nasz liberalny dogmat: „Nie wolno wam stanowić praw ograniczających wolność obywateli, jeśli nie wymaga tego ich własne fizyczne bezpieczeństwo; niechaj każdy – katolik, gej i ateista – żyje po swojemu i nie narzuca swych przekonań i sposobu życia innym ludziom!”. Może, idąc za wskazówką Tischnera, trzeba by wypić z Donaldem Tuskiem?

*

Oto i najbardziej popularny w Internecie mój tekst. Pozostawiono pod nim dobrze ponad tysiąc komentarzy, w większości anonimowych kubłów z pomyjami, co zresztą jest już moją specjalnością i częścią osobistego wizerunku. Czytam go po kilku latach z dużą satysfakcją, gdyż niewątpliwie proces sekularyzacji i normalizacji stosunków państwo–Kościół już się w Polsce zaczął i pod wieloma względami jest już lepiej niż wtedy, gdy pisałem ten tekst, nie mówiąc już o latach dziewięćdziesiątych. Nawet uwaga o programach telewizyjnych, w których występuję zawsze w towarzystwie księży, już się zdezaktualizowała. Wyobrażam sobie, jak za dwadzieścia czy trzydzieści lat jakiś młody człowiek sięga po niniejszą książkę i czyta te egzotyczne tyrady z niedowierzaniem, łapiąc się za głowę. Swoją drogą, pozdrawiam.

SYMPATYCZNE I NIESYMPATYCZNE CECHY RELIGII

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W NUMERZE V (2010) KWARTALNIKA „LIBERTÉ!”.

Tytuł zaiste bluźnierczy. Jakże można rozpatrywać religię w kategoriach sympatyczne–niesympatyczne? No i w tym właśnie wyraża się jedna z niesympatycznych cech religii, a mianowicie to, że wyznawcy każą się traktować z najwyższą powagą i szacunkiem daleko przekraczającym zwykłe stosunki między obcymi sobie ludźmi. Religia nie ma być sympatyczna ani miła – wyznawców nie obchodzi, jakie budzi uczucia. Religia jest dobra i święta, jeśli nie wręcz konieczna i nakazana – sama z siebie. Jeśli ktoś nie jest jej wyznawcą i nie może tej świętości potwierdzić, niechaj siedzi cicho. „Sympatyczność” wyznawcy sobie wypraszają. W sprawach własnej religii wyznawcy są więc śmiertelnie poważni i niezwykle łatwo ich urazić. A gdy się już ich urazi, ci zwykle nie widzą żadnych powodów, by ograniczać się w stosowaniu środków repulsji. Można to nazwać „świętym prawem”. Wyznawcy rozmaitych kultów mają we własnym mniemaniu święte prawo do tego, by traktowano ich z najwyższym szacunkiem, powstrzymywano się od krytyki ich wierzeń, od satyry, od ironii. Nie wystarczy im bynajmniej swoboda sprawowania kultu – domagają się ponadto szczególnej rewerencji i daleko idącej powściągliwości w krytyce. Wszak krytyka i wszelkie przejawy traktowania z pozycji zewnętrznej, w oparciu o swobodę sądu, uważają za zamach na własne prawa, „obrazę uczuć religijnych”, a tym samym podstawę do najgwałtowniejszej a uświęconej w ich mniemaniu reakcji.

Te cechy: brak dystansu do samych siebie, domaganie się szczególnego szacunku, odmawianie innym prawa do krytycznego osądu, ogromna drażliwość oraz wymuszanie na innych respektu dla świętości swej wiary – to osobliwie szpetne cechy wielu najbardziej znanych religii. Sumują się one do pychy. Jakże rzuca się ona w oczy, szczególnie u kapłanów rozmaitych skłóconych ze sobą wyznań, zawsze wszystko wiedzących najlepiej, gotowych pouczać i żądać posłuchu nie tylko u wyznawców, lecz także w całym kraju, jeśli nie na całym świecie!

Pycha jest siostrą hipokryzji. Ci sami, którzy uważają się, jak to bywa w wielu religiach, za depozytariuszy boskiego objawienia i przemawiają tonem protekcjonalnej

wyższości do swoich wiernych, mają jakże często usta pełne frazesów o pokorze i dobroci. Gdy zaś faktycznie zdarzy się wśród samych kapłanów jakiś taki pełen dobroci, który do ludzi odnosi się z pokorą, ten może łatwo stać się narzędziem pysznienia się przez religijną instytucję własną moralną doskonałością. Otóż hipokryzja i bezprzykładne samochwalstwo to kolejne niesympatyczne cechy wielu religii i ich instytucji. Samochwalstwo sąsiaduje zaś z zakłamaniem. Jakże często religie mające w swej historii najgorsze ekscesy nawracania siłą i stosowania rozmaitych prześladowań, zamiast rozpamiętywać ofiary swych poczynań i grzechy (jakby nakazywała głoszona przez nie moralność), oddają się namiętnie wychwalaniu swych męczenników, o ofiarach wspominając ukradkiem albo wcale.

Jak wszystko, co ludzkie, także religie są lepsze i gorsze, ale religii i instytucji religijnej naprawdę wolnej od pychy, a za to skromnej i samokrytycznej doprawdy ze świecą szukać. Pycha zaś to narów szczególnie groźny, gdyż wyzwała chorobliwe ambicje, żądze władzy i odbierania czci, a wreszcie nienawiść i przemoc, gdy próżność nie jest w pełni przez otoczenie zaspokajana. Instytucje religijne z największym trudem znoszą wokół siebie innowierców nieskorych do uznawania supremacji jedynej prawdziwej wiary ludu danej ziemi, a jeszcze bardziej doskwiera im obojętność ze strony osób i instytucji świeckich, gdy te nie składają im hołdów, nie potwierdzają ich duchowego i moralnego przywództwa wśród ludu i w całym kraju. Sposób zaś, w jaki traktują się wzajemnie wyznawcy i kapłani różnych religii, zwłaszcza takich, które pochodzą ze wspólnego pnia i rywalizują na pewnym terytorium, woła, by tak się wyrazić, o pomstę do nieba. W najlepszym razie panuje między wyznaniem chłodna obojętność, częściej pogarda, nierzadko nienawiść. W zwykłych warunkach wyznawcy różnych religii obdarzają się wzajemnie niepocholebnyimi epitetami, w rodzaju „krzyżowcy”, „poganie” albo „papiści”. W czasach zaognienia stosunków religijnych mordują się wzajem bez litości. Trudno nazwać to niesympatyczną cechą religii – religijne wojny i jatki to plaga ludzkości. Miliony mordowały „za wiarę” i miliony „za wiarę” ginęły. Tysiące spośród tych, którzy mordowali, by sami nareszcie zginąć „za wiarę”, czczonych jest jako męczennicy i bohaterowie. Jakoż wszyscy oni walczyli w imię miłości i pokoju. Zapięły fanatyzm stworzył w dziejach konfliktów religijnych tak ścisły węzeł z hipokryzją, że nikt już nawet nie podejmuje się ze stanowiska neutralnego dociekać, kto bardziej był w nich winny i po czyjej stronie było więcej racji.

Od kiedy istnieją państwa, religie zawsze przybierały postać potężnej instytucji równoległej wobec państwa, a jednocześnie tak silnie z nim splecionej, że władza polityczna i religijna aż do czasów oświecenia były trudne do odróżnienia, stanowiąc aspekty jednego systemu. Do dziś w niektórych krajach realne rządy sprawują kapłani, a prawo państwowe oparte jest na kodeksach religijnych. Nie ma tam zwykłe

wiele litości dla innowierców i niewierzących, a rząd autorytarny oraz codzienny paternalizm władzy jest czymś tak oczywistym, że prawie nikt nie próbuje go kwestionować. Wprawdzie bywają wyznania mniej represyjne, łagodniejsze i bardziej tolerancyjne od innych, lecz władza religijna nigdzie nie dopuszcza równouprawnienia wyznań oraz swobód obyczajowych niezgodnych z tradycją religijną, chyba że zmusza ją do takich ustępstw siła liberalnej demokracji i złaicyzowana część społeczeństwa. Swoją drogą zwykła wrogość do obcych zwykle wzrasta jeszcze, gdy przychodzi do konfliktów z niewierzącymi i ateistami. Wszyscy, którzy nie chcieliby żyć wedle wymagań obyczajowych i rytualnych panującej w danym kraju religii ani żadnej innej, która jest w nim tolerowana, stanowią obiekt napastliwej pogardy. Bez żadnych oporów moralnych szermuje się oskarżeniami o najgorszą demoralizację i zepsucie, czemu towarzyszy najczęściej kompletna niewrażliwość na własne występki oraz święte oburzenie w razie jakiegokolwiek krytyki.

Pokłady pogardy i nienawiści zbierające się w instytucjach religijnych nie mogą znajdować naturalnego ujścia w szczerej egzaltacji, gdyż ambicje kapłanów, by sprawować rząd dusz nad swoimi wiernymi, wymagają protekcjonalnego, a więc łagodnego sposobu bycia. Instytucje religijne i kapłani przemawiają więc tonem umiarkowanym, acz nieznoszącym sprzeciwu. Wydają werdykty i nauczają swoich wiernych, mówią, co jest dobre, a co złe w sposób całkowicie autorytatywny, a jednocześnie tonem dobrotliwym, ojcowskim. Unikają przy tym angażowania się w sprawy publiczne, w których zwycięstwo strony religijnej nie jest z góry przesądzone. Autorytet religii wymaga, aby była ona zawsze zwycięska, a jeśli już zdarzały jej się przegrane, to są one przedstawiane jako prześladowania i heroiczne akty męczeństwa. Oczywiście występują tu znaczne różnice między wyznaniem, lecz prawie nie zdarza się, aby któreś powiadało: „Myliliśmy się, broniliśmy złej sprawy, słusznie stawiano nam opór, zmieniliśmy zdanie”. Ludzie rzadko przyznają się do win i błędów, ale instytucje religijne chyba najrzadziej. Błędy instytucji są winą jednostek, a zasługi jednostek są zasługami całej instytucji – taka bodajże zasada interpretacji własnych poczynań i własnej przeszłości obowiązuje w większości wyznań. Gdy już zaś dojdzie do jakiejś wymuszonej ekspiacji, to wkrótce okaże się, że jej akt stanie się pożywką dla obłudnej dumy nakazującej rozpamiętywać nie grzechy, do których się przyznano, lecz moralną doskonałość instytucji, która znalazła w sobie odwagę i mądrość, aby te grzechy wyznać. Wszystko to jest nader niesympatyczne, gdy się o tym w gazetach czyta.

O pochodzeniu i ewolucji wyznań religijnych mówi nauka zwana religioznawstwem. Nie będę się tutaj wdawał w szczegóły tych dobrze już poznanych zjawisk. Jakoż zadaniem, które sobie stawiam, jest wskazanie na niesympatyczne oraz sympatyczne cechy religii, takich jakimi one już są, bez względu na ich pochodzenie.

Na wszelki wypadek wykluczam z tej oceny jedną religię, to jest religię prawdziwą, pochodzącą z jedyne prawdziwego objawienia, ale nie wiem, która to jest religia i czy w ogóle takowa istnieje. Nie sądzę, żeby wiedzieli to również moi czytelnicy, jakkolwiek mogą mieć w tej sprawie jakieś przekonania oparte na wierze. Jeśli je mają, niechaj moje uwagi traktują jako odnoszące się do pozostałych setek wyznań, byleby tylko oszczędzili mi gorzkich wyrzutów, które zawsze sprawiają mi przykrość.

Niezależnie więc od swego pochodzenia religie są pełne wyobrażeń potężnych istot rządzących losami człowieka, na czele z istotą najwyższą, która stworzyła świat, naznaczyła los przyrodzie i człowiekowi oraz nadała wszystkiemu ostateczne i niezmiennie prawa. Niemal zawsze te święte istoty budzą tyleż uwielbienie, co bojaźń i prawie zawsze ludzie traktują je tak, jak dzieci traktują rodziców, a więc z synowską czcią, a jednocześnie tak, jak poddani traktują króla – z pokorą, uniżeniem i nadzieją na łaskawe wysłuchanie prośb. Ciekawą cechą większości bóstw jest ich notoryczna niewinność. Czynią one wyłącznie dobro, a za zło trzeba już winić ludzi lub jeszcze kogoś innego. Dlatego wyznawcy, zwłaszcza religii monoteistycznych, wciąż dziękują swojemu bogu za wszystko, co ich w życiu spotyka dobrego, nigdy zaś nie obwiniają najwyższej istoty z powodu cierpień i udręków, jakie ta na nich zsyła. Gdy zaś najmniejsza nawet zajdzie w ciężkim losie poprawa, to gotowi są znowu składać swemu bogu dziękczynienie, podczas gdy bodaj lepiej by było, aby bóstwo w ogóle złego losu wcześniej nie zsyłało. Co więcej, jakkolwiek wierni zwykle uważają, że bogowie czynią to, co najlepsze, i sami, bez ludzkiej pomocy, wiedzą, co jest sprawiedliwe, to i tak nieustannie się o coś do bogów modlą, tak jakby chcieli ich do czegoś jednak przekonać, jakby nie dowierzali, że bogowie sami najlepiej wiedzą, co mają robić. Teologie różnych religii znają sposoby, aby to wszystko uzasadnić, niemniej jednak wierni nie mają o tym najmniejszego pojęcia i tkwią w najlepsze w tych i innych jeszcze paradoksach. Niektórzy uważają nieracjonalność zachowań wiernych za coś niepozbowionego uroku – ja jednak jakoś tej urody nie dostrzegam.

Bogowie są bardzo polityczni i bardzo ludzcy; przypominają chimerycznych i nieobliczalnych władców starożytnych królestw. Trzeba stale uważać, by ich nie zdenerwować, gdyż są mściwi. Trzeba wciąż apelować do ich miłosierdzia i obłaskawiać ich ofiarami, których nieustannie się domagają. Jako że dostęp do tak wysokiej władzy nie jest łatwy, najlepiej korzystać z pośrednictwa – kapłanów, herosów i innych postaci, które mogą przekonać bóstwa, aby nie gniewały się na ludzi, zechciały przyjąć ich ofiary oraz zesłać swe łaski: zdrowie, plony, a nawet zbawienie. Niestety, istoty boskie są chimeryczne tak jak prawdziwi władcy, przeto trzeba postępować z nimi bardzo umiejętnie. Łacno się obrażają, lecz nigdy nie nudzą im się objawy czci i nigdy nie tracą apetytu na kolejne ofiary. Na szczęście kapłani wiedzą, jak zadowolić bogów i zjednać ludowi ich łaskawość; zostali wszak przez samych bogów pouczeni

w objawieniu, jak mają oddawać im cześć, aby uśmierzyć ich gniew i pobudzić łagodne strony ich natury. Cała ta religijna polityka u bożego dworu wydaje się nawet bardzo malownicza i na swój sposób sympatyczna, ale tylko pod warunkiem że występuje we właściwym etnograficznym kontekście. Jeśli w społeczeństwie ludzi oświeconych uparcie trwa zabobonny kult, silniej odzwierciedlający archaiczną społeczną traumę tyranii niż więź człowieka z naturą, jeśli nadal prowadzi się religijną grę w prześlągiwanie i przechytrzanie bogów, załatwia wstawiennictwa do boskiej władzy lub wykupuje od jej gniewu, to trudno uważać to za sympatyczny folklor. To raczej niesmaczny anachronizm, dowód na porażkę masowej edukacji oraz moralne zacofanie. Moralne zacofanie dlatego, że etyka religii starożytnych siłą rzeczy zupełnie nie przystaje do poziomu rozwoju moralności, jakim cieszymy się dzisiaj. Moralność owych dawnych czasów, zakonserwowana w wyznaniach religijnych (bo większość z nich jest stara albo w tych dawnych czasach bezpośrednio zakorzeniona), chwali pokorę wobec władcy, stronniczość, dumę i honor rodowy, patriarchyzm, nieprzejednanie, używanie przemocy w imię świętej sprawy, a przykłady zachowań chwalebnych zawarte w opowieściach o czynach bogów i innych świętych bohaterów bardzo często są nad wyraz kontrowersyjne moralnie, nie mówiąc już o zgodności z jakimkolwiek cywilizowanym prawem. Religia zwykle szczydzi się umoralniającym wpływem na wyznawców. Nie jest to prawda, chociażby dlatego, że prawie zawsze systemy etyczne poszczególnych wyznań nakazują czynienie dobra przez wzgląd na posłuszeństwo bogom i prawu, a nie wprost dla dobra innego człowieka. Posłuszeństwo prawu nie jest w ogóle istotną motywacją etyczną, a zresztą mniejsza o te filozoficzne sprostowania. Najważniejsze jest to, że religie zawsze hamowały rozwój moralny ludzkości, do ostatniego tchu sprzeciwiając się tolerancji, demokracji, równości i zniesieniu rządów autorytarnych. W dobie nowożytnej największe wyznania poniosły moralną klęskę, broniąc prawa wyznaniowego przeciwko prawu demokratycznego państwa, chroniącego na równi swobody wszystkich jednostek i grup. Szkoda, bo jak pokazuje dzisiejsze względnie liberalne stanowisko wielu niezłe prosperujących wyznań, wolność, równość i demokracja same w sobie nie stanowią zagrożenia dla wiary i nie muszą wywoływać konfliktu z religijnym światopoglądem.

Niesympatycznych aspektów religii jest bardzo wiele. Czy zostaje jakieś miejsce na pochwały? Czy jest coś miłego i sympatycznego w religiach? Z pewnością. Przede wszystkim jest czymś pięknym i ujmującym widzenie wokół siebie przejawów wyższego, świętego porządku i stałe wykraczanie myślą i nadzieją poza widzialny świat. Ludzie religijni są w tym podobni filozofom i zwłaszcza filozofowi wydaje się to miłe (a autor tych słów filozofem jest właśnie). Wprawdzie metafizyka religijna bardzo często psuta jest przez prostackie wyobrażenia oraz odpychające moralnie przekonania (na przykład takie, iż wypełnianie pewnych rytuałów magicznych prowadzi

do zbawienia), niemniej jednak, gdy przybiera postać subtelną (lecz nie postać pokrętnych teologicznych sofizmatów!), ma w sobie nieodparty urok. Ta strona religii jest rzeczywiście piękna, i to nawet bardziej niż filozofia, której brakuje zwykle autentyzmu, tak charakterystycznego dla zjawisk tradycyjnych, masowych i od dawna w społeczności zakorzenionych.

Jak wiadomo, jedną z funkcji religii jest podtrzymywanie i rekonstruowanie więzi społecznej. Wspólnota religijna może być przy tym zamknięta we własnym poczuciu wyższości oraz wroga w stosunku do obcych, ale może też być otwarta i przyjazna. Jeśli jakaś religia czyni wyznawców ludźmi łagodnymi, gościnnymi i szczerymi, to należy to uznać za bardzo ujmującą cechę tej religii. Szkoda tylko, że nie o każdej religii da się to powiedzieć.

Osobiście jednak mam dla religii pewną sympatię jeszcze z innego powodu. Religia bowiem niezwykle sprzyja pięknu. Jest pobudką do tworzenia natchnionej sztuki wszelkich gatunków. Pieśni religijne, architektura sakralna, malarstwo i poezja o podłożu religijnym są niezrównanym i niezastąpionym źródłem bogactw duchowych ludzkości. W szczególnym stopniu dotyczy to świętych ksiąg, które nierzadko łączą w sobie wielkie walory artystyczne z głębokimi przemyśleniami o życiu. Nazwanie związku religii z pięknem sympatyczną jej cechą byłoby aroganckie. Jest to religii autentyczna wartość.

No i wreszcie coś szczególnego i trudno uchwytnego. Religia jest tak silnie powiązana z życiem i obyczajem narodów, że nie można sobie większości z nich wyobrazić bez tych religijnych tradycji. Co więcej, bez religii wielu ludzi i wspólnot więdnę i traci swój charakter. Jeśli jesteśmy ludźmi otwartymi o autentycznie liberalnych poglądach, jeśli przeto cieszy nas różnorodność kształtów ludzkiego ducha, wyrażającego się w tradycjach, wierzeniach i obyczajach ludów, powinniśmy szanować religie jako tradycje tych fundament. Gdziekolwiek są prości ludzie, ze swoimi przykrymi cechami, ale i ze swoim niepodrabialnym autentyzmem, tam też jest jakaś forma wiary religijnej. Sympatia do społeczeństwa musi iść w parze z sympatią dla jego religijnych tradycji. Niekoniecznie jednak z sympatią dla instytucji władzy – czy to świeckiej, czy to religijnej. Tam, gdzie religia nie sroży się potężnymi instytucjami, nie sprawuje autorytarnej władzy politycznej, nie urządza wojen religijnych, nie straszy ludzi piekłem i nie wtlacza w beznadziejny zabobon, aby tylko podporządkować ich panującym stosunkom oraz poddać dyscyplinie, może być ostoją autentyczności i piękna, niedostępnych dla ludzi nazbyt oddalonych od ludowych źródeł kultury, z powodu swego wykształcenia i krytycyzmu nieco wyobcowanych i nazbyt kosmopolitycznych. Religijność zawsze będzie przedmiotem niejakiej zazdrości wykształconych niewierzących, tak samo jak przedmiotem ich nieustającego oburzenia będą zbrodnie i głupstwa popełniane w religijnym zacietrzewieniu, pycha i hipokryzja licznych

instytucji religijnych oraz kapłanów, nieokiełznany i bezwstydną zabobon urągający rozumowi i godności człowieka. Jak wszystkie wielkie ludzkie sprawy: miłość, praca, twórczość, poznanie, również religia naznaczona jest nieusuwalną dwoistością.

*

To kolejny, obok artykułu „Mój dziwny kraj i jego dziwna religia”, tekst pisany z przekornym zamiarem, aby dotknąć najczulszych strun ludzi religijnych i silnie związanych z Kościołem. Miałem i nadal mam ambicję, aby dotrzeć do nich i zmusić do przejścia przez czyściec wątpliwości, aby ich wiara stała się bardziej krytyczna i dojrzała. Ambicje te wywiodłem zresztą z KUL-u, gdzie w latach osiemdziesiątych studiowałem. Oczywiście ten proces, na którym mi zależy, jest niezwykle bolesny i w rezultacie ściągam na siebie gniew adresatów tego rodzaju tekstów. Jestem jednak głęboko przekonany, że przynoszę im dobro i pomagam mierzyć się z własnymi, być może bardzo skrytymi, wątpliwościami. Sądzę, że dobry publicysta może czasami sięgać wysoko, pretendując do roli terapeuty – samego siebie i swoich czytelników. Krytyka, a nawet szyderstwa i pogarda, z jakimi się spotyka, mogą czasami być najlepszym potwierdzeniem jego terapeutycznej skuteczności.

TEODEMOKRACJA KACZYŃSKICH

ARTYKUŁ WYDRUKOWANY W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 20 LUTEGO 2007 R.

Prawo i Sprawiedliwość pragnie odmienić Polskę. Nowa Polska ma być wprawdzie demokratyczna, ale nie liberalna. A przecież wolny świat to „kraje demokracji liberalnej”. Słowo „liberalny” ma tam znaczenie wyłącznie pozytywne, jako pogłębienie pojęcia demokracji. W Polsce zaś słowo to nabrało konotacji negatywnych i „liberał” to omalże wyzwisko. Przyczyniła się do tego partia Kaczyńskich, która w swej propagandzie ostro przeciwstawiła „Polskę solidarną” „Polsce liberalnej”.

Słowo „liberalny” jest tu wszelako rozumiane opacznie. PiS zdaje się sądzić, że „liberalny” to znaczy „niechętny pomocy socjalnej” oraz „przychylny swobodzie obyczajowej”. To nieprawda. Oczywiście w różnych krajach liberałowie protestują, gdy rząd kupuje sobie głosy, rozdając pieniądze i przywileje wybranym grupom społecznym albo ulega ich szantażowi. Protestują jednak nie dlatego, że są liberałami, ale dlatego, że jest to niesprawiedliwe. Co zaś do swobody obyczajowej, to liberał może opowiadać się za luźnymi obyczajami lub nie, jednak tym, co czyni go liberałem, jest świadomość, że każdy ma prawo wieść życie, jakie mu się podoba, nawet rozwiązłe, jeśli tylko nie narusza niczych praw. Liberał może więc być wrażliwy na cudzą biedę, a w dodatku być człowiekiem surowych obyczajów, namawiając do tego samego innych. Jest jednak zawsze przeciwnikiem programów politycznych zakładających, że wygrane wybory dają rządowi mandat do tego, by układać ludziom życie według przekonań zwycięskiej partii o tym, co jest dobre, a także rozporządzać ich majątkiem w imię celów, które uważają za sprawiedliwe. Liberałowie nie są ani lewicą, ani prawicą, ani nawet centrum. Ograniczają się do obrony wolności i dążą do praw gwarantujących, że państwo będzie się powstrzymywać od nastawiania na wolność i własność obywateli, bez względu na to, jaka partia obejmie władzę. Żyj i pozwól żyć innym. W Polsce jest zupełnie inaczej.

Często mówi się, że liberalizm jest ideologią, która udaje, że nią nie jest. To nieprawda. Liberałowie jak nikt inny dokładają starań, by żadna ideologia nie była wcielana w życie środkami państwa. Wprawdzie trudno, gdy jest się u władzy, powstrzymać się od mówienia ludziom, jak mają żyć, ale to właśnie liberałowie poczytują sobie za sprawę honoru, by powściągać swe zakusy uszczęśliwiania ludzi na siłę. Obyswszystkie ideologie były tylko w tym stopniu ideologiami, w jakim jest nią liberalizm.

Przed dwoma laty w Fundacji im. Stefana Batorego Jarosław Kaczyński oznajmił, że PiS chciałby zmienić konstytucję: „Nie ukrywamy, że należy oprzeć konstytucję na systemie wartości, który jest jedynym w skali społecznej znanym (występującym, obowiązującym) w Polsce. Jego depozytariuszem jest przede wszystkim Kościół katolicki. Jest to system nawiązujący do chrześcijaństwa i tradycji narodowej. Oczywiście nie oznacza to próby budowania państwa wyznaniowego. Chcę bardzo mocno to podkreślić! Chodzi jedynie o odwołanie się do realnie istniejącego systemu wartości. [...] W systemie, o którym mówię, nie ma niczego, co byłoby nie do przyjęcia przez osobę niewierzącą, chyba że jest ona osobistym przeciwnikiem Pana Boga”. Te same niemal słowa o „jedynym znanym systemie wartości” Jarosław Kaczyński powtórzył w exposé 19 lipca 2006 r., jego brat zaś użył ich na początku tego roku w związku z odwołanym ingresem abp. Stanisława Wielgusa. Opublikowany przed dwoma laty przez PiS dokument „IV RP. Dwanaście tez” również nie pozostawia wątpliwości co do tego, że fundamentem konstytucji stać się ma religia chrześcijańska. Te częste wypowiedzi każą więc przypuszczać, że religijne umocowanie ustroju Polski jest celem PiS-u.

Otóż bynajmniej nie jest tak, że jeśli ktoś jest wierzący, to chce elementów religijnych w konstytucji, a jeśli jest niewierzący, to powinno mu być to obojętne lub nawet miłe, gdy mają one charakter tylko ogólny, apelując do wartości, które i tak wyznaje. I bynajmniej nie jest tak, że liczba wyznawców danej religii ma tu decydujące znaczenie. Wolni ludzie chcą żyć w państwie, które jest światopoglądowo możliwie najbardziej bezstronne i nie epatuje ludzi doktrynami żadnej religii, nawet gdy jest to ich religia. I to nie dlatego, że konstytucja jest dla wszystkich, a nie tylko dla wierzących, lecz dlatego, że państwo wiążące się z jakąś ideologią czy religią nie jest w stanie wywiązać się z obowiązku ochrony wolności wszystkich obywateli, bez względu na ich wyznanie i poglądy. Takie państwo nie będzie też sprawiedliwe i praworządne w tym podstawowym sensie, by w jakimś stopniu nie uprzywilejowywać obywateli zaangażowanych mocniej niż inni w doktrynę, która poprzez konstytucję staje się doktryną państwową.

Dlatego niewiele znaczy zapewnienie Jarosława Kaczyńskiego, że nie chce państwa wyznaniowego. To bowiem, czego chce, czyli wyznaniowego charakteru konstytucji, jest równoznaczne z ustrojem państwa wyznaniowego. Tak określamy ustroje, w których doktryny religijne stają się doktrynami państwa. Symbole państwowe łączą się tu z religijnymi, a oficjalny język nabiera charakteru propagandy wyznaniowej i cech służalczości wobec dominującej religii. Duchowni asystują w aktach państwowych, a najwyżej postawieni z nich nie podlegają krytyce. Życzenia ekonomiczne i polityczne instytucji religijnej stają się dla władzy rozkazem. Gdy proces klerykalizacji postępuje, instytucje religijne uzyskują autonomię w ramach państwa i prawie

całkowity immunitet. Państwo nie sprawuje nad nimi kontroli fiskalnej i ma tylko ograniczoną kontrolę prawną. Z czasem utrwala się przywileje ekonomiczne i podatkowe, a państwo zaczyna łożyć własne środki na cele danego wyznania – finansuje jego szkolnictwo i wspiera potrzeby inwestycyjne. Wreszcie treści wyznaniowe są wprowadzane do ustaw. Najpierw nieśmiało, do ustaw drugorzędnych, ale potem do konstytucji. Taka jest logika powstawania i rozwoju państwa wyznaniowego.

Zwykle za państwo wyznaniowe uznaje się państwo, w którym choć jedna ustawa nakazuje przestrzeganie wartości jakiejś religii. Jeśli jednak odwołanie do religii już w samej konstytucji nie oznaczałoby, że dane państwo jest wyznaniowe, to termin ten całkowicie traci swoją treść. Stany Zjednoczone w momencie uchwalania swej konstytucji były zapewne bardziej chrześcijańskim krajem niż współczesna Polska. W preambule do konstytucji amerykańskiej nie mówi się jednak o Bożych błogosławieństwach, lecz o „błogosławieństwach wolności”. Bo Stany Zjednoczone są demokracją, a nie „teodemokracją”.

Kaczyński łądzi się więc tylko, że nie chce państwa wyznaniowego. Łudzi się, że jest demokratą. Ale to nie koniec listy jego złudzeń. Nieprawdą jest też to, że system wartości reprezentowany przez Kościół jest w Polsce znany i dominujący. Prawdą jest tylko, że ogromna większość ludzi chodzi do kościoła i ponadto uważa, że źle jest zabijać, kraść i kłamać, a dobrze jest kochać bliźnich. Te przekonania nie mają jednak większego związku z religią katolicką niż z jakąkolwiek inną.

Dzisiejszy kształt doktryn Kościoła pochodzi w największej mierze z XIII w. Nauka Kościoła o człowieku i moralności, choć jest wielka, to w wielu aspektach przebrzmiała i poza samym Kościołem nie zachowała istotnych wpływów. Teoria człowieka jako osoby – duszy wcielonej, rozumnej i obdarzonej przez Boga wolną wolą – oraz teoria moralności oparta na nakazie kształtowania cnót jako władz moralnie dobrego działania oraz sędzie sumienia jako wewnętrznym kryterium moralności to idee silne i mądre. Z równą stanowczością można jednak powiedzieć, że dawno już przez rozwój myśli poniehane. Czynienie z etyki i psychologii XIII w., nie mówiąc już o teologii, półoficjalnej doktryny państwowej w XXI w. jest kuriozum na miarę upierania się przy astronomii Ptolemeusza, bez ujemy dla jej niepodważalnej wielkości.

To, że Polacy na ogół nie znają doktryn katolickich, nie znaczy jedynie, że nie znają katolickiej etyki, metafizyki i teologii. Znaczy jeszcze coś ważniejszego, co zadaje kłam przekonaniu Kaczyńskiego. Otóż fundamentalne przekonania Polaków zazwyczaj wcale nie są katolickie, przynajmniej w przypadku młodszego pokolenia. Wielokrotnie rozmawiając ze studentami na temat ich poglądów, przekonałem się, że zdecydowana większość nie zgadza się np. z poglądami, że „należy żyć, starając się we wszystkim naśladować Jezusa”, że „życie doczesne jest przede wszystkim przygotowaniem do życia wiecznego”, że „prawo Boże objawione w Biblii i objaśniane

przez Kościół stoi zawsze ponad prawem ludzkim, które musi mu być posłuszne". A przecież wszystkie te idee są ważne dla doktryny katolickiej.

Wielką aprobatę uzyskują zaś poglądy w rodzaju: „Należy żyć tak, by wypełnić swe życie bogactwem różnorodnych dobrych doświadczeń i przeżyć”, „Człowiek powinien cieszyć się życiem i dzielić tę radość z innymi”, „Dobre jest to, co sprawia, że jest nam dobrze”. Te zdania, prócz ostatniego, nie są sprzeczne z katolicyzmem, ale nie są dla niego charakterystyczne. Są za to charakterystyczne dla epikureizmu. Nie twierdzę oczywiście, że na poglądy Polaków szczególny wpływ wywarł żyjący trzy wieki przed Chrystusem Epikur. Twierdzę tylko, że poglądy zbieżne z ideami epikurejczyków są w Polsce popularniejsze niż poglądy św. Augustyna, św. Tomasza czy Jana Pawła II. A to oznacza, że Kaczyński także w tej sprawie nie ma racji.

Życie jest bogatsze i bardziej złożone, niż może to sobie przedstawić jeden człowiek, a nawet partia. Co więcej, jak śpiewał Stanisław Staszewski (ojciec Kazika): „Z tylu różnych dróg przez życie, każdy ma prawo wybrać źle”. Dlatego uczciwość i mądrość nakazują nie ulegać pokusie wpływania na cudze życie w imię swych wyobrażeń i przekonań tylko dlatego, że ma się dobrą wolę, a swoje wizje uważa za słuszne.

*

Ta publikacja nie była dla mnie sprawą błahą. Nie powiem, że była aktem odwagi, ale w każdym razie miała w sobie coś z hazardu. Ludzie pukali się w głowę i mówili: „Po co ci to?”. Czułem się jak dwadzieścia lat wcześniej, w 1987 r., kiedy to będąc w Paryżu i pracując przez dwa miesiące w piśmie „Kontakt” Mirosława Chojeckiego zaproponowałem do druku felietonik mówiący o tym, że dorośli opozycjoniści powinni doceniać wysiłki młodzieży i z nią współpracować. Wtedy jakoś nic się nie stało. Tym razem było odrobinę gorzej. Gdy „Gazeta” opublikowała „Teodemokrację Kaczyńskich”, do Kancelarii Prezydenta (Lecha Kaczyńskiego) trafił wniosek o nadanie mi tytułu profesora. Zachodziła obawa, że za karę poczeka on sobie trochę dłużej niż powinien... Obawa, zdawać by się mogło, podyktowana niecnymi obsesjami z jednej strony, a zarozumiałstwem z drugiej. A jednak nie. Wprawdzie postanowienie o nadaniu mi tytułu profesora Lech Kaczyński podpisał w normalnym, kilkumiesięcznym, terminie, lecz w grudniu, podczas uroczystości wręczania postanowień o nadaniu tytułów profesora w Pałacu Prezydenckim okazało się, że wcale tak być nie musiało. Lecz Kaczyński, z widocznym zrozumieniem dla swej roli urzędniczej w warunkach praworządnego państwa, oświadczył w swym przemówieniu do zgromadzonych, że nigdy dotąd nie odmówił podpisu, jakkolwiek gdy widzi pewne nazwiska, to ma wątpliwości. Cóż, było na sali kilku świeżo upieczonych profesorów nauk

humanistycznych, ale w prasie publikowałem bodajże tylko ja. Nie mogłem więc nie poczuć się adresatem tej królewskiej uwagi. Gdy zaś podchodziłem do prezydenta, aby odebrać dokument, Lecz Kaczyński popatrzył na mnie ze smutnym uśmiechem i rzekł: „Ach, to pan”. Może to się wydawać niektórym igraszką, ale w czasach rządów PiS-u mieliśmy do czynienia z recydywą pewnych elementów PRL-u i doprawdy inteligencja czuła się moralnie zobowiązana do okazywania sprzeciwu. Moim małym sprzeciwem był ten artykuł, którego publikacji trochę się obawiałem. Jak wielką odwagę musieli wykazywać się ci, którzy publikowali w drugim obiegu w czasach komunizmu, bądź zajmowali się wydawaniem „Bibuły”! Jest to doprawdy godne podziwu. W demokracji odwaga publicysty jest znacznie tańsza, ale zawsze.



POLAK NIEPRAWDZIWY

CZY POLSKA JEST SPRAWIEDLIWA?

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „RZECZPOSPOLITEJ” Z 17 KWIETNIA 2004 R.

Tradycja myśli politycznej każe przykładać do państw miarę sprawiedliwości: dobre państwo to państwo sprawiedliwe. Nie takie, w którym wszystkim dobrze się żyje, nie takie, w którym wszystkim żyje się tak samo, lecz takie, w którym rozumna władza uczciwie i jednakowo traktuje wszystkich, biorąc pod uwagę dobro wszystkich i każdego z osobna, nie poświęcając interesów jednych dla korzyści drugih.

Oczywiście to nie wszystko. Państwo sprawiedliwe również nikogo nie dyskryminuje i nikogo nie wyróżnia z racji urodzenia czy przynależności społecznej, co zresztą wcale nie znaczy, że nie nagradza zasłużonych i nie pomaga ubogim. W tym prostym, szeroko podzielanym pojęciu sprawiedliwości chodzi jeszcze o dwie rzeczy: o praworządność i respekt dla wolności. Państwo sprawiedliwe to takie, w którym prawo jest wykonywane, a wolność ludzi ograniczana tylko w stopniu, jaki jest niezbędny, aby jedni nie krzywdzili drugih, a w kraju panował ład i bezpieczeństwo.

Kierując się takim właśnie rozumieniem sprawiedliwości, stawiam pytanie, czy Polska jest państwem sprawiedliwym. Nie pytam więc o to, czy nasze państwo jest najlepiej, jak to możliwe, zorganizowane ani czy jest dobrze na co dzień rządzone, ale czy przestrzega własnych praw, czy nie daje jednym kosztem innych, niemających się wcale lepiej, i czy stosując przymus, czyni to dla dobra wszystkich, czy też dla dobra niektórych, z krzywdą dla innych.

Odpowiedź na to pytanie jest w moim przekonaniu łatwa: Polska jest krajem niesprawiedliwym. Większość państw jest niesprawiedliwa – jedne bardziej, drugie mniej. Polska należy do tych pierwszych. Nie sądzę, bym uzasadniając tę tezę, poczynił jakieś oryginalne spostrzeżenia. Sens mojej wypowiedzi nie jest jednak poznawczy, lecz moralny. Chodzi mi o to, żeby powiedzieć głośno to, co wszyscy wiedzą i o czym nawet mówią, ale czego w polskim życiu publicznym nie nazywa się w ten sposób, choć nazywać się tak powinno: Rzeczpospolita Polska jest niesprawiedliwa.

Sprzeniewierzenie

Jednym z głównych obszarów, w których państwo może postępować sprawiedliwie lub nie, jest wydatkowanie środków publicznych. Pochodzą one z różnych źródeł,

ale głównie z różnego rodzaju podatków płaconych przez właścicieli przedsiębiorstw oraz osoby fizyczne. Stosowany przez państwo przymus podatkowy nakłada na nie szczególne zobowiązanie do sprawiedliwego wydatkowania powierzonych mu kwot, czyli do wydawania ich na potrzeby wspólne, i to w sposób gospodarny. Nie może być tak, by pieniądze pobrane od tych, którzy utrzymują państwo, stawały się trwałym źródłem utrzymania rzesz ludzi zdrowych i zdolnych ponosić odpowiedzialność za swe życie. O pomstę do nieba woła zaś ta niesprawiedliwość, gdy niezamożni, a ciężko pracujący, ludzie ponoszą ogromne ciężary na rzecz ludzi podobnych sobie, którzy prawie żadnych zobowiązań nie dźwigają. A w naszym kraju tak właśnie jest. Nierówne traktowanie dotyka zarówno osoby utrzymujące państwo, które podlegają uciskowi fiskalnemu dla większych korzyści tych, którzy są przez państwo utrzymywani, jak i samych beneficjentów tej pomocy. Ci ostatni bowiem w bardzo różnym stopniu mogą korzystać z pomocy państwa bez związku ze swą zamożnością i stanem zdrowia.

Z jednej strony staje na przykład bezrobotny nędzarz, dla którego społeczeństwo i państwo ma drobny zasiłek wypłacany przez kilka miesięcy, a z drugiej – pracownik nierentownego i niepotrzebnego przedsiębiorstwa, którego miejsce pracy kosztuje społeczeństwo nawet kilkakrotnie więcej niż zasiłek dla bezrobotnych. W dodatku to miejsce pracy utrzymywane bywa przez długie lata i czasami daje pobory bliskie tym, jakie otrzymuje profesor uniwersytetu.

Z jednej strony staje kobieta, której praca pielęgniarki czy urzędniczki kupowana jest przez państwo za głodową pensję, a z drugiej – jej klasowy pobratymiec, któremu każdego miesiąca państwo wypłaca kilkakrotnie wyższą kwotę – a to w postaci dotacji dla upadającego przedsiębiorstwa, a to w postaci dopłaty do cen skupu produktów rolnych, a to w postaci dopłaty do ubezpieczenia emerytalnego.

Z jednej strony staje biedabiznesmen, właściciel baru z bigosem i fasolką albo małego warsztatu, płacący horrendalne podatki i ZUS, któremu po nocach śnią się kontrole urzędu skarbowego, z drugiej zaś jego ludowy brat i współobywatel – chłop, niepłacący podatków, prawie że niepłacący ubezpieczenia i otrzymujący najrozmaitsze dotacje.

Żeby choć w naszym kraju zabierano bogatym i dawano biednym! Nie, u nas inny jest porządek: jakże często zabiera się biednym i daje średnim! W polskich miastach żyją miliony ludzi płacących podatki i ledwie wiążących koniec z końcem, wynajmujących cudze mieszkania lub spłacających ciężkie kredyty za własne, lecz obciążone hipotecznie mieszkania. Na polskich wsiach żyją miliony ludzi mających własne wygodne domy i samochody, lecz niepłacący żadnych podatków, ciesząc się za to dopłatami do jedynej działalności gospodarczej, która otrzymuje gwarancje „opłacalności” ze strony państwa i prawie darmowymi emeryturami. I choć wiele na

wsii biedy, może nawet więcej niż w mieście, to fakt jest faktem: są miliony takich, którzy daniny publiczne składają i miliony takich, którzy będąc w nie gorszej od tamtych sytuacji materialnej, z danin tych korzystają.

Jak to możliwe, że jedni robotnicy w tym kraju, tracąc pracę w państwowym przedsiębiorstwie otrzymują dziesiątki tysięcy złotych, a inni kilka tysięcy? Jak to możliwe, że państwo swoim własnym urzędnikom, często mającym wyższe studia, płaci dwa razy mniej niż prostym robotnikom, których pracy do niczego nie potrzebuje, a firma, w której pracują, przynosi gigantyczne straty? Krzycząca niesprawiedliwość tych stosunków to właśnie sprzeniewierzenie. Nie po to producent mieszkań lub butów płaci podatki, by jego kolega prowadzący działalność gospodarczą w innym sektorze, na przykład produkując ogórki lub rzepak, mógł ich nie płacić. Nie po to producent samochodów albo podręczników szkolnych płaci „ubezpieczenie” obowiązkowe, którego wolnorynkowa wartość jest kilkakrotnie niższa od jego ceny, a pewność żadna, żeby producent rzepy mógł otrzymywać podobne świadczenia emerytalno-rentowe i zdrowotne dziesięciokrotnie taniej. Nie po to – ale jednak na to.

Nie tylko więc na sprawy wspólne idą pieniądze z publicznych danin i nie tylko dla chorych i niezdolnych do pracy. Te pieniądze idą w wielkich kwotach tam, skąd może przyjść zagrożenie przemocą, tam, gdzie ludzie są gotowi zorganizować bunt, który zmiecie rząd. Dziwnym trafem są to te same miejsca, skąd – dopóki te pieniądze będą – spodziewać się można głosów wyborczych.

Sprzeniewierzeniem jest nie tylko niesprawiedliwe wydatkowanie środków publicznych; jest nim też poniesienie wydatków publicznych na cele, które pozostają w bezpośrednim związku z dobrobytem państwa i społeczeństwa. A to znów jest kwestia fachowa. Dobrze wiadomo, na co państwo powinno wydawać środki publiczne, skoro ma dbać o wzrost dochodu narodowego, zamożności społeczeństwa i własne fundusze. To nie jest sprawa sporna, o którą mogłyby się kłócić partie polityczne, ale kwestia wiedzy ekonomicznej – chodzi o wydatki na edukację, naukę, infrastrukturę. U nas zaś budżety tych sektorów wyglądają żałośnie w porównaniu z budżetami „dopłat”, „programów pomocowych”, „naprawczych”, „oddłużeń” itp. Wydatki na naukę i rozwój techniki są wielokrotnie mniejsze niż wydatki na bezpośrednią, rozdawniczą pomoc społeczną, której absurdalne proporcje uciskają gospodarkę, prowadząc do biedy i beznadziei.

Dyskryminacja i przywileje

Sprzeniewierzenie środków publicznych pozostaje w bezpośrednim związku z dramatyczną nierównością obywateli wobec państwa. Nierównością dzielącą społeczeństwo na obrosłą przywilejami wieś i ponoszące ciężary danin publicznych miasto, na

wielkoprzemysłową klasę robotniczą, wyposażoną w partie, związki zawodowe, a jak trzeba to i bojówki, oraz rozproszony proletariat robotniczy i urzędniczy, wreszcie na ludzi gospodarczego „sektora państwowego” cieszącego się dotacjami i „oddłużeniami” oraz ludzi „sektora prywatnego”, pracodawców i pracowników bez litości uciskanych podatkami i niemogących spodziewać się od państwa niczego, może z wyjątkiem tego, że przyjdzie „kontrol”.

Najgorsza jest chyba taka nierówność, która koreluje z urodzeniem. Przypomina ona bowiem tę pierwotną nierówność, której zniesienie było podstawową aspiracją rewolucji społecznej, od której datujemy czasy zwane nowoczesnymi. A taką nierówność mamy w naszym kraju. Prawdopodobieństwo, że osoba x nie płaci podatku dochodowego (i posiada wiele innych przywilejów) jest wielokrotnie większe, jeśli x urodził się w rodzinie chłopskiej. Nie jest niemożliwe, aby przywileje te nabył ktoś z miasta, wszelako urodzenie na wsi daje ogromną szansę na ich uzyskanie i to całkowicie niezależnie od tego, czy będzie to osoba albo rodzina zamożna, czy też nie. Pochodzenie miejskie zaś oznacza wielokrotnie mniejsze prawdopodobieństwo tych korzyści.

Ktoś mógłby tu oponować, że w ten sposób państwo wyrównuje status materialny miasta i wsi. Pomijając już kwestię sprawiedliwości takiego projektu, trzeba zauważyć w odpowiedzi, że państwo, rozdając te przywileje, wcale nie interesuje się statusem majątkowym ich beneficjentów, a ponadto różnice w komforcie życia pomiędzy masami wiejskimi i miejskimi są nader problematyczne. Przy najżyczliwszej interpretacji można by najwyżej powiedzieć, że swój program dowartościowania wsi nasza republika chłopsko-robotnicza już wykonała.

Bolesne są jednak również nierówności w traktowaniu przez państwo z jednej strony zorganizowanych w związki robotników wielkoprzemysłowych, a z drugiej – robotników drobnego przemysłu, proletariatu urzędniczego i rzesz prostych i niezamożnych ludzi, którzy próbują coś robić na swoim, zwanych drobnymi przedsiębiorcami. Dla jednych: trzynastki, czternastki, dodatki, dopłaty, deputaty, dotacje, umorzenia, emerytury pomostowe, odprawy, pożyczki i zasiłki. Dla innych: PIT, VAT i ZUS. To oczywiście retoryczny obrazek. Ale wiemy, o co chodzi. O straszne nierówności w dostępie do pomocy państwowej i w ponoszonych ciężarach.

Im więcej zaś dostajesz, tym bardziej jesteś niewdzięczny. Czy widział kto chłopów demonstrujących swą wdzięczność ludowi Warszawy za dotacje, cła zaporowe i dopłaty do emerytur rolniczych? Albo górników dziękujących społeczeństwu za gigantyczne dopłaty do wydobywania węgla, pozwalające im zachować, jak to nazywają, „godne warunki życia” i poczucie, że są potrzebni? Nie? A chłopów wywołujących zamieszki na ulicach i drogach z wściekłości, że za mało dostają? A górników rzucających kamieniami, bo przecież za mało jeszcze naród wydał miliardów na utrzymanie

ich kopalń? Tak. Choć to już inne, etyczne, a nie polityczne, pojęcie sprawiedliwości, to jednak trzeba powiedzieć: to właśnie tych ludzi, którzy żyją na cudzy koszt, lecz nie przyjmują tego do wiadomości i uważają, że do końca życia należą im się pieniądze od państwa, niezależnie od ekonomicznych skutków ich pracy, dotyka największa niesprawiedliwość.

Nieubłagane prawo społecznej psychologii każe tym ludziom stawać się niewdzięcznikami, ślepymi na to, że ktoś jest biedny, aby oni mieli pracę i dobrą płacę, a w dodatku gotowymi do użycia przemocy, gdyby ktoś chciał im ich przywileje choćby drobinę okroić.

Quousque?! Jak długo tak będzie? Cóż, możemy być pewni odpowiedzi na to pytanie: bardzo długo. Wprawdzie nie w takiej skali, ale jednak i w Unii Europejskiej dzieje się podobna krzywda społeczna, podobna nierówność i dyskryminacja. Tam, gdzie są silne związki zawodowe, gotowe niszczyć gospodarkę i bezkarnie organizować zamieszki, tam chłop i wielkoprzemysłowy robotnik może spać spokojnie – on do interesu „państwo” nie będzie musiał dokładać.

Polska jest krajem niepraworządnym. Prawo, dobre czy złe, bardzo często nie jest wykonywane. Jest to fundamentalna niesprawiedliwość. Gdy ktoś zostaje niewinnie skazany, dzieje się źle. Gdy winny przestępstwa nie zostaje za nie skazany, wtedy dzieje się równie źle. Także jemu. Każdy bowiem, kto popełni przestępstwo, ma prawo do sprawiedliwego procesu, a w rezultacie – skoro faktycznie jest przestępcą – do sprawiedliwej kary. Ogromna większość przestępców z tego prawa nie korzysta. Gorzka ironia, ale na miejsu.

W Polsce drobnych przestępstw zwykle w ogóle nie zgłasza się władzy państwowej, mimo że przecież wzięła ona na siebie całkowicie ściganie, osądzanie i karanie przestępców. Nie zgłasza się, bo szanse na uzyskanie sprawiedliwości są nikłe. Nawet jeśli sprawcy będzie się szukać, to pewnie się go nie schwyta. Nawet gdy się schwyta, to pewnie nie oskarży. Nawet jak się go oskarży, to pewnie nie skaże na więzienie. Nawet jak się go skaże na więzienie, to pewnie do niego nie pójdzie, bo nie będzie miejsca. Ofiara przestępstwa może za to łatwo usłyszeć od sądu, że pobicie jej lub okradzenie to czyn o niskiej szkodliwości społecznej, a w najlepszym razie zasługujący na karę w zawieszeniu.

To, co pysznie nazywa się „wymiarom sprawiedliwości”, to w Polsce zadufany w sobie bizantyjski moloch, w którego meandrach najlepiej czują się adwokaci-cwaniaczekowie (a takich niemało) i recydywiści, skrzywdzeni ludzie zaś często przemyskają zastraszeni, zadając sobie pytanie, jaką cenę przyjdzie im zapłacić za to, że ośmielili się uciekać do pomocy państwa.

Najbardziej elementarne poczucie sprawiedliwości podpowiada, że nikt nie może czerpać korzyści z przestępstwa. Ci, którzy wymuszają na drodze łamania prawa

jakiegokolwiek przywileje, powinni mieć pewność, że będą ostatnimi, którzy je otrzymają. Jest to oczywisty warunek przyzwoitości w życiu publicznym. Tymczasem brutalne wymuszenia gigantycznych kwot poprzez okupację budynków i blokady dróg nie tylko są skuteczne, lecz także bezpośredni sprawcy tych przestępstw nie ponoszą żadnej odpowiedzialności karnej ani cywilnej. Jest to po stokroć gorsze od przypadku nieskazania drobnego bandyty, który wymusi na kimś w ciemnej uliczce sto złotych. Tutaj chodzi bowiem o kwoty dziesiątek i setek milionów złotych, a osób terroryzowanych na drogach lub w okupowanych budynkach są często tysiące. Bezpośrednie ofiary tych przestępstw nie mają żadnych realnych możliwości dochodzenia odszkodowań, a sprawcy uchodzą wolni i bezpieczni ze swym łupem. Co więcej, organizacje, które specjalizują się w urządzaniu tego rodzaju publicznych wymuszeń, działają legalnie i biorą udział w sprawowaniu władzy w Polsce. Gdybyż choć władze zadały sobie trud oceny, jaka jest faktycznie kwalifikacja prawna przestępstw, do jakich dochodzi w związku z blokadami i okupacjami! Nie zadadzą sobie tego trudu, bo ciężar paragrafów jest tu zbyt wielki, aby nadal mogły zachowywać się tak, jak im najwygodniej: uspywać szańce z publicznych pieniędzy.

Głębokiej niepraworządności towarzyszy w Polsce daleko posunięta demoralizacja i odpowiednie do niej traktowanie prawa. Nie tylko przestępcy, lecz także przedstawiciele władzy nie odróżniają faktu popełnienia przestępstwa od faktu bycia za przestępstwo skazanym. O rozumieniu moralnych konsekwencji faktu, że przeciwko komuś toczy się śledztwo, szkoda już nawet gadać; podejrzenie jest u nas czymś, czego jakby w ogóle nie ma. Bezczelne męty obnoszą się bezkarnie ze swą działalnością, pewne, że „skoro nic mi nie udowodniono, to jestem niewinny”. Cóż, nie udowodniono, bo komu by się tam chciało. Wydawcy obłądnych żydożerczych pism śpią spokojnie. Tak samo tysiące oszustów piszących na zamówienie prace magisterskie lub doktorskie oraz ich klienci. Są spokojni nie tylko dlatego, że nikt ich nie ściga, lecz także dlatego, że nauczono ich wierzyć, że dopóki nie ma dowodów i wyroku, dopóty też nie ma żadnej winy.

Zmarnienie moralne społeczeństwa i niesprawiedliwość państwa nawzajem się wspierają i warunkują. Jak zmienić nasz kraj? Nie wiem. Ale wiem, że najpierw trzeba głośno mówić, jak jest. Choćby i tak wszyscy to wiedzieli.

*

To artykuł napisany z pasją i w złości. Codzienne oglądanie przez całe lata bezkarności, beczelności i niesprawiedliwości w siermiężnym polskim życiu publicznym popchnęło mnie wreszcie do napisania bez owijania w bawełnę, jak to u nas jest. Tekst zauważono, nawet doceniono, ale co z tego? Wpływ publicysty na rzeczywistość jest

minimalny. Politycy czytają gazety, znajdują w nich pewne zachęty i ostrzeżenia, lecz jeśli jakiś materiał prasowy ma dla nich rzeczywiste znaczenie, to musi to być sprawa bardzo konkretna. Taka „publicystyka złości” jak ten artykuł daje zaledwie satysfakcję autorowi i czytelnikom. Ot, powiedział, co mu na wątrobie leży. Przyjemnie mi jednak czytać swój tekst po siedmiu latach, bo choć nadal Polska jest krajem niesprawiedliwym, to w stosunku do tamtych niedawnych przecież czasów poczyniliśmy znaczne postępy.

POKOLENIE KONSERWATYWNYCH KOSMOPOLITÓW

PEŁNA WERSJA ARTYKUŁU, KTÓREGO FRAGMENTY OPUBLIKOWAŁ „PRZEGŁĄD POLITYCZNY”
W NUMERZE 67 Z 2004 R.

I znów dyskusja o moim „pokoleniu”! Tym razem w „Przeglądzie Politycznym” (66). Zamieszczona rozmowa wybitnie inteligentnych humanistów w wieku 35–40 natchnęła mnie do uwag i wspominków, którymi wypełnię ten esej, bez nadziei na ciekawe wnioski. Nie będzie wniosków, bo nie ma żadnego pokolenia. Co najwyżej „pokolonko”, pięciolatka, jakich można wykroić kilkanaście spośród żyjącej populacji. Wykroić z takim samym skutkiem jak w przypadku owych roczników 65–70 czy jakoś tak. Trzeba dopiero inteligencji i wyobraźni mitotwórczej humanisty, aby zrobić z takiej czy innej „kohorty wiekowej” (K. Kruszewski) *pokolenie*. Uczciwość tegoż humanisty każe mu jednakże odwołać świeżo ogłoszony mit i dlatego też dyskusje o „pokoleniu” kończą się niczym. Są po prostu wspominkami. Tyle samo warta jest i moja wypowiedź. Przebywszy pół drogi życia o statystycznie przeciętnej długości nabywam może prawo, żeby sobie po raz pierwszy to i owo powspominać i poopowiadać. Dla mnie to chrzest – nigdy niczego takiego jeszcze nie robiłem! Równie wielką ochotę mam jednak i na to, by skomentować pewne ciekawe wypowiedzi szanownych rówieśników, a więc przyłączyć się do ich rozmowy.

Otóż nie wiem, jak z Wami, Panowie (swoją drogą, czemu to Redakcja nie zaprosiła ani jednej dziewczyny?), ale ze mną sprawa jest całkiem prosta. Wychowałem się w PRL-u i w PRL-u dorosłem. W związku z tym byłem odpowiednio zacofany i głupi, zupełnie tak samo jak reszta. Potem przyszła wolność i zacząłem się otrzaskiwać, unowocześniać, wyzbywać ciemnoty. Młodemu idzie to chyżej niż staremu, więc dziś jestem pewnie trochę sprawniejszy od większości swoich zawodowych czy społecznych odpowiedników starszych roczników. Dość młody i dość sprawny, czuję jednak na karku oddech obrzydliwie przystojnych młodzieńców, jakichś doktorantów o nieznanym jeszcze nazwiskach, strzaskanych na brąz w jakichś abstrakcyjnych Oxfordach i czytających po dwie książki dziennie. Nie mam z nimi szans na dłuższą metę. Muszę więc uciec do przodu, zanim się całkiem nie skapują, że nie jestem im do niczego potrzebny i nie stratują. Pracujemy nad tym. Ale po kolei.

Wychowałem się w wielkiej mydlanej bańce iluzji, lewitującej w stratosferze, skąd do dziś nie mogę porządnie spaść na ziemię. W moim domu we Wrocławiu, począwszy od roku 76, uprawiano małą konspirę, udatnie zwącą się „Klubem Pickwicka”. Był też „Uniwersytet Latający”, bibuła i różne doraźne akcje zbierania podpisów, przekazywania pieniędzy itp. Wszystko to było dość ryzykowne, choć ojciec jako międzynarodowy profesor matematyki miał jako taki immunitet. Szykany jednak były – aresztowania na cztery osiem, rewizje, raz jakiś kocioł (SB w czarnych skórach i w czarnych okularach, jak na filmie), czasem odmowy paszportu i publikacji, wreszcie internowanie w stanie wojennym. W 68, kiedy ojciec stanął za studentami, wyrzucili go z uniwersytetu i wsadzili do PAN-u. Jako Żyda chcieli wykurzyć z kraju, ale powiedział, że wróci; no to dla odmiany nie dali paszportu w ogóle. W ten sposób nie zostałem Kanadyjczykiem (ech...). Zresztą siostra i szwagier narażali się więcej (SKS, okolice Nowej i Mirka Chojeckiego; szwagra wywalili z uczelni, z wielką stratą dla socjologii). Zasługi starych, i słusznie, sławi się jednak więcej. Ojciec doczekał się nawet (z czego jestem osobiście dumny) własnego hasła w pierwszym tomie „Słownika opozycji”, ze zdjęciem, na którym czyta „Le Monde” (będącego wtedy jeszcze przyzwoitą gazetą). Taki był. Przedwojenny, z wolnościowymi narowami. Jakieś mądy, szpigle, hotele w Zurychu i kawiarnie w Paryżu. Nawet chyba nie wiedział, że to jest właśnie wolność. A za to w domu, na kultowym Biskupinie we Wrocławiu, wszystko jak Niemiec zostawił... Jedno dziadostwo. Ale tego się nie widziało. Jakoś tak niepostrzeżenie zaczęliśmy w latach 80 biednieć, linieć, może nawet trochę śmiesznieć. Poniemieckie pstryczki-elektryczki zaczęły się psuć itd. Dziś, zda się, to karłowaty świat. Ale wtedy, ci profesorowie-korowcy (tytuł „korowca” nosił każdy członek „demokratycznej opozycji” jakoś tam współpracujący z KOR-em) mieli jakąś moc przemieniania. Komunał głoszący, że bez opozycji lat 70. nie byłoby Solidarności, a bez Solidarności nie byłoby roku 89, choć zaściankowo nieskromny i rażąco niesprawdzalny, coś jednak w sobie ma. Jakieś ścieżki tu biegną.

Iluzja, w której żyłem, dotyczyła właśnie doniosłości tego, co się wokół mnie odbywało. Zebrania starszych panów i pań, debatujących o „sytuacji” i planujących zbieranie „podpisów” uważałem za centralny ośrodek oporu przeciw czerwonemu. Myślałem Bóg wie co, że tu się mianowicie dzieje historia i że tu, w tej elicie, żyje godność uciemiężonego i oglupiałego narodu. (Bo naród kochał Gierka, aż do bonu na cukier w 76, a potem lubił, po prostu lubił. „Towarzysze po dysze, Towarzyszeki po dwie dyszki, Rodacy!”; było w sumie całkiem fajnie.) Takie tam więc sobie myślałem. Nazwiska Kuronia i Michnika znaczyły dla mnie tyle co dla starych Piłsudski. Nie wyobrażałem sobie nawet, że można nie czcić, nie podziwiać, a już na pewno – że można w ogóle nie znać. Dlatego właśnie pierwszą nauzką polityczną, którą dostałem, było zderzenie moich wyobrażeń o sławie opozycji z rzeczywistością. Kiedyś

bowiem, wiosną roku 80, a byłem wtedy w ósmej klasie, odwiedził nas Jacek Kuroń z żoną. Miał złoty sygnet, chrapliwy głos, był strasznie kudłaty i wypalił dwie paczki gitanesów. Nie przestawał gadać. Mówił o radach robotniczych itp. Jako że byłem wyjątkowo bezczelnym smarkaczem, poprosiłem Kuronia, aby ten sprokurował mi dwadzieścia autografów na sprzedaż. Byłem pewien, że zrobię interes, sprzedając paski papieru kredowego z podpisem Jacka Kuronia po 20 zł za sztukę. Kuroń miał dość poczucia humoru, aby spełnić moją prośbę, nie pytając nawet o własne zyski (wiadomo, zawsze był altruistą). Gdy nazajutrz zaniósłem 20 pasków do szkoły, okazało się, że nikt nie chce ich ode mnie kupić! A wtedy akurat urządzałem klasowy bojkot lekcji rosyjskiego i wydawało mi się, że wszyscy jesteśmy politycznie uświadomieni (choć bezpośrednie powody protestu były innej natury). Taki był właśnie początek mojego otrząsania się z iluzji. Trwało to jednak jeszcze bardzo długo.

Latem 80 pojechaliśmy do Wiednia. Słuchaliśmy o strajkach, o lokomotywie w Świdniku. Ojciec powiedział, że jak wejdą Rosjanie, to zostajemy w Austrii. Biegałem jak oszalały po tym Wiedniu, czekając z sercem w gardle, żeby już te ruskie wreszcie weszły. A tu nic.

Że będzie stan wojenny, to gadali w szkole (a chodziłem do XIV LO we Wrocławiu, takiego trendy, z olimpijczykami i dobrymi jointami) już kilka tygodni wcześniej. Ale jak przyszedł, nie byłem w stanie przyjąć tego do wiadomości. Zawód był proporcjonalny do chorobliwego uniesienia, z jakim przeżywałem sierpień. Roilem, że za tydzień, za dwa wszystko wróci do stanu poprzedniego, czyli przedwojennego. 13 grudnia byłem sam w domu. Rodzice wyjechali do Krakowa. Gdy wrócili, byłem zawiedziony, że mój ojciec najwyraźniej nie znalazł się na pierwszej liście do aresztowań. Na szczęście po miesiącu przyszli i po niego. Przyjechała cała suka zomoli. Wydaje mi się, że z dziesięciu ich było. Jak się władowali nam do chałupy, nie wiadomo było, gdzie się podziać. Matka, widząc całe to towarzystwo i kompletnie nie wiedząc, co z tym począć... zaproponowała gościom herbatę. To był najlepszy surreal, jaki widziałem. Ojciec bał się tak strasznie, że był zdolny myśleć jedynie o szczoteczce do zębów. Podczas wojny siedział na Pawiaku, w celi śmierci; przesłuchania, bicie. Do czegoś takiego człowiek się nie przyzwyczaja. Powyżej pewnego progu represje nie hartują. Wręcz przeciwnie. Stąd ten strach. Ale w „internacie” (w Nysie) było w sumie fajnie. Wykłady, śpiewy, paczki, widzenia. Tylko nie wiedziało się, kiedy się wyjdzie i czy w razie pogorszenia sytuacji nie wywiozą. Na szczęście szybko go wypuścili (dobiegał już siedemdziesiątki). Częścią tego wypuszczania była symulacja choroby kolana. Jak na widzeniu ojciec ciężko nieogolony (pierwszy raz widziałem go nieogolonego) zaczął coś nienaturalnie głośno uskarżać się na kolano, to myślałem, że ma coś z głową. To była scena jak z tej komedii o francuskich partyzantach. Do dziś się śmieję na to wspomnienie.

Stan wojenny przebiegł podniosło. Gdybym tylko nie miał takiego pietra. Milczące przerwy były jeszcze OK. Pani od polskiego latała od jednego do drugiego ponurego młodzieńca podpierającego ścianę, pokrzykując: „No, powiedz coś!”, „Dlaczego nic nie mówisz?!”. To było nawet zabawne. Ale tak przejść od szkoły do domu z opornikiem w swetrze to już był dla mnie horror. Milicji bałem się wprost panicznie. Do dziś mam problem, jak widzę policjanta. Dzień, w którym wydrukowałem na dziecięcej drukarence ulotkę o treści „PRONcie WRONy stanie wam w gardle OKONem” i rozrzuciłem na pętli tramwajowej na Biskupinie, pamiętam brzuchem i nogami, które wówczas odmawiały mi posłuszeństwa. Było takich okazji więcej. Na przykład jak w godzinę policyjną chodziłem z kolegą malować „Wrona skona” na ścianie XI LO. Albo w ten straszny wojenny dzień 31 sierpnia 82, kiedy rozszalałe i naćpane ZOMO lało na oślep i strzelało petardami, a nad miastem latały złowrogie helikoptery. Nie, nie byłem na demonstracji. Za mało odwagi, choć zawsze tak bardzo chciałem posłuchać wezwania z pieśni: „Przeżyj to sam!” (a może ten nasz hymn jest nieco późniejszy?). Zbliżyłem się tylko na kilkaset metrów do placu Grunwaldzkiego. Byłem z dwoma kolegami. Zatrzymali. „Pokazać łapy!”. Były czyste, więc puścili. Bałem się ich tak strasznie, że byłbym chyba wszystko zrobił, żeby nie dostać. Nie mogę pojąć, po prostu nie mogę pojąć, jak ci ludzie z opozycji, czasem tylko trochę starsi ode mnie, mogli narażać się na więzienie i w tych więzieniach faktycznie siedzieć. Chyba jestem strasznym tchórzem. Żeby trochę zmęźnić nawet się przez kilka lat wspinałem. Najważniejsze wspomnienie z gór – strach, czyli „psychy mi siada”. Przypadek nieuleczalny. Chociaż, gdy urządziłem w klasie maturalnej kilkutygodniowy bojkot lekcji nauki o społeczeństwie socjalistycznym i gdy czułem za sobą całą klasę, bałem się jakby mniej.

Ostatnia odsłona mojej praktycznej edukacji politycznej to KUL, lata 85–90. W 87 była dwumiesięczna praca w „Kontakcie”, u Mirka Chojeckiego w Paryżu. Wielki facet, niedoceniany. Jakaś bibuła, nawiedzona, ale kto by tam wtedy na to patrzył – bibuła to bibuła, trzeba kolportować. Potem to wrzenie w 88. Poczucie, że to powtórka z 68 było niezwykle silne. Demonstracje pod znakiem „Urodziliśmy się w 1968”, jakieś listy w sprawie wolności akademickiej, zebrania, wiece, wizyty Moczulskiego i Kaczyńskiego, ale i Bujaka, wreszcie reaktywacja NZS-u. Miałem 21 lat i z różnych powodów, także osobistych, wydorostałem wtedy na dobre.

Władze KUL-u zgodziły się na użytkowanie przez zrewoltowaną młodzież z NZS-u niewielkiego pokoiku w piwnicy. Powstała tam w 88 redakcja gazety studenckiej „BiS”, w której zostałem sekretarzem redakcji. To była pierwsza próba działania „normalnego”. Gazeta była już legalna, sprzedawała się w kioskach Ruchu, mieliśmy legitymacje dziennikarskie. Nakład 2 tys. To było spore środowisko, mocno prawicowe. Źle się tam czułem. Dokuczał mi bałagan, kult Wałęsy połączony z pogardą dla

ROAD-u (mój ojciec to z kolegami zakładał) i to, że był szef tego interesu. Nigdy potem tak naprawdę nie miałem szefa. Ten szef interesu nazywał się Przemysław Omieczyński i potem został biznesmenem. Nidy nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi serio; dziewczyny za nim szalały. Paru innych z tej kanciapy też się wybiło. Darek Wójcik, zadymiarz z KPN-u, został pamperssem i objął wkrótce stanowisko wicemarszałka sejmu. Piotr Semka i Jacek Łęski zostali znanymi dziennikarzami prawicowymi. Kręcił się tam czasami i Ryszard Czarnecki, nadzieja Samoobrony i Parlamentu Europejskiego. Opowiadał, jak tam w Londynie ZChN zakładał. Prosiłem, żeby mi z tego Londynu załatwił pieniądze na drugi tom czasopisma filozoficznego „Principia”, które właśnie założyliśmy (legalnie, w 89, ze stemplem z Mysiej!). Nie załatwił. Pojechałem do Warszawy prosić przewodniczącego NZS-u Janusza Piskorskiego, ale też nie dał. Dał filozof na stanowisku wiceministra prof. Stefan Amsterdamski. Starszy człowiek nas uratował, młodzi już się nie solidaryzowali z sobą. Nie było dobrej atmosfery. Wspaniały był rok 89, ale my młodzież jakoś byliśmy mniej wspaniali. Mam silne podejrzenie, że w 68 też nie było wcale tak słodko.

Na tym skończyła się rachityczna praktyka (naprawdę same drobiazgi, w porównaniu ze starszymi kolegami). Niby bardzo chciałem działać, byłem czas jakiś w krakowskiej UW, zapatrzony w Rokietę, ale jakoś nic z tego; zawsze mówili: „Masz pomysł, świetnie, więc zrób to sam”. A „robić” to robota nie dla mnie. Przeszedłem więc na razie do teorii. Zająłem się filozofią polityczną (jak dotąd z miernym skutkiem). Ten werbalny temperament sprawia właśnie, że chciałbym troszkę poteoretyzować (ale bez przesady) na marginesie debaty Kolegów o naszym „pokoleniu”.

Więc w dyskusji Kolegów dominuje nastrój nieokreśloności. Jakaś ta pięciolatka rówieśnicza nijaka, przechodnia, nieoznaczona, a przecież mimo to wyraźnie inna od młodszych i od starszych. Pięciolatka urodzonych za późno na poważne działania przeciwko komunie, a za wcześnie, aby bez obciążeń i kompleksów wchodzić w nowe, kapitalistyczne i wolne życie. „Notoryczne spóźnianie się – tak w latach osiemdziesiątych, jak dziewięćdziesiątych – jest naszą skazą, której już się nie pozbedziemy”.

To niezdefiniowanie i osobliwość „stanu przejściowego” przywodzi nas do nastrojów ogólnego niezadowolenia i resentymetu. Okazuje się więc, że pokolonko 65–70 jest w sumie mało sympatyczne, mało udane, żeby nie powiedzieć przegrane. Śpiewa fałszywym głosem w polityce, w życiu religijnym, na uniwersytecie. W gruncie rzeczy wcale go nie ma – jest „kohortą wiekową”, „niemającą żadnych wspólnych interesów i wartości, które czyniłyby z niego pokolenie w mocnym, symbolicznym sensie” (P. Dunin-Wąsowicz). Wszystko to prawda.

Resentymentalny charakter ma też typowy dla elit tej grupy wiekowej konserwatyzm. Diagnoza psychologicznego podłoża naszego konserwatyzmu, jaka wyłania

się z dyskusji opublikowanej na łamach „PP”, diagnoza wspólnie postawiona przez kilku uczestników, wydaje się i odkrywcza, i trafna. Nie odmówię sobie jeszcze kilku cytatów. J. Ostrowski pisze: „Czuliśmy się oszukani przez dawnych idoli, takich jak Adam Michnik i Jacek Kuroń, i wplątaliśmy się [...] w rozgrywki dawnej Solidarności, przekształcając się z dnia na dzień w prawicowców, ale ten nasz konserwatyzm był tylko substytutem, nawet nie wiagrą pokoleniowej potencji”. Z superego, którym jest podmiot konserwatywny, chcieliśmy uczynić, pisze Ostrowski, „formę przejawiania się libido”. Jednakże „te nużące zabawy z pojęciem konserwatyizmu, z którego chcieliśmy uczynić coś bardziej postępowego i nowoczesnego niż sama nowoczesna idea postępu, wskazują, że stanowił on gorset, jaki na siebie bezwiednie założyliśmy”. P. Graczyk podejmuje ten wątek, wskazując na agresywny ładunek frustracyjnego konserwatyizmu: „Konserwatyzm to nie tylko superego, nie tylko zakazy, konserwatyzm zawsze w historii miał dużą siłę o charakterze, rzecz można, libidinalnym – i była to siła linczu. [...] Konserwatyzm jest o tyle sexy, o ile jest siłą pozwalającą na linczowanie”.

Rzeczywiście, zdaje się, że wykształceni ludzie w naszej grupie wiekowej często odznaczają się gniewnym nieco moralizmem i konserwatyzmem. Zawiedzeni życiem publicznym, w którym również ich reprezentanci mieli udział dość dwuznaczny, odarci z uniesień i wzruszeń politycznych znaczących ich młodość, są jakby przedwcześnie zgorzkniali i poirytowani. Wszystko się zgadza. To jakby o mnie. A więc nie jestem sam! Skoro tak, to może jednak jakoś tam się w naszym pokolonku rozumiemy, jakiś wspólny przenika nas dreszczyk, nawet jeśli nie jest to dreszcz sympatii.

Powolny proces otrząsania się z iluzji i dojrzewania do warunków nowoczesnego i kosmopolitycznego życia nie jest pasmem odkryć i zwycięstw moralnych, lecz raczej małych i większych rozczarowań. Te największe zranienia duszne już się chyba dobrze zabiżyły. Że Solidarność i Wałęsa zmienili się w klerikalną, populistyczną groteskę, że państwo słabe i tchórzliwe, wodzone na postronku przez warcholów i cwaniaków, że nikt nas Polaków, apostołów wolności, na rękach po świecie nie nosi – to już mężnie znieśliśmy. Rozczarowaniom jednak nie ma końca, a co gorsze dotyczą one nas samych. Może, żeby nikogo nie obrazić, znowu zacznę mówić o sobie samym, a więc o tym, jak sam zostałem sfrustrowanym konserwatystą i jak boleśnie przebiega moje oświecenie polityczne.

W PRL-u łatwo było być mądrym. Jak to arcytrafnie ujął P. Graczyk: „to, że wiedzieliśmy, kto jest przeciwnikiem, było raczej naszą słabością niż siłą; są takie rodzaje wiedzy, które oślepiają, bo są za łatwe” (bardziej już tylko podobała mi się wspomniana w rozmowie dziewczyna, która mówiła, że dziś nie ma takich potrzeb, które nie byłyby zaspokojone – jakoś to podstępnie godzi w moją męską dumę). Ale bądźmy choć przez chwilę poważni (mówiąc o sobie?). No więc, w PRL-u było się

tak mądrym, że w ogóle się nie myślało. Wszystko, co czerwone, z natury było żałosne i godne pogardy. Wszystko, co mówili w telewizji, było prostacką propagandą albo kłamstwem. Państwo zdawało się propagandową atrapą, pozbawioną nie tylko wszelkiego majestatu, lecz także powagi. Czerwony nie był nawet groźny. Groźny był Breżniew. (Pamiętam, że gdy umarł i ktoś wpadł do klasy zakomunikować nam tę wieść, wybiegliśmy w euforii przed szkołę.) Na tym się z grubsza świadomość polityczna kończyła. Wielkie życie duchowo-polityczne uświadomionego narodu kwitło na widowniach kabaretów, rechoczących przy każdej, najbardziej nawet prostackiej „aluzji politycznej”. Mądrości polityczne w rodzaju: „W socjalizmie satyra ma się szczególnie dobrze, bo tak wielką rolę odgrywa tu aluzja” wtórowały mądrościom gospodarczym: „W kapitalizmie jest lepiej, bo majątek ma gospodarza, a jak wiadomo pańskie oko konia tuczy”. Takich kawałków dałoby się wypisać kilkanaście. Potem, po sierpniu, historia dopisała jeszcze kilka. Że jesteśmy początkiem rewolucji, że u nas kolebka wolności i że to dzięki nam padł berliński mur, a nawet zawaliły się Sowiety. To, że Polska jest najważniejszym miejscem na świecie, a „jesień ludów” największym wydarzeniem historycznym od czasu wojny, było tak oczywiste, że niemal nieartykułowne. Te transparentne oczywistości i głębinne refleksje utwierdzały nas dodatkowo w przekonaniu, że jesteśmy ze wszystkich demoludów najbardziej obeznani ze światem, najbliżsi Zachodu i w dodatku niezbędnie potrzebni światu jako znawcy komunizmu i ZSRR. Wszystko to myślałem ja sam osobiście, współ w zespół z rzeszami starszych ode mnie rodaków „po studiach”. Pochlebiam sobie wszelako, że nie powieślałem tej dobrej nowiny z kolejki po mięso, że „Komunizm to piękna idea, tylko nieziszczalna” ani „Socjalizm tak – wypaczenia nie”.

W ogólności jednak dno. Jak w ogóle można było od tego dna się odbić? Byłem tam jeszcze 14 lat temu, a dziś ośmielam się mienić filozofem polityki! Ceną, którą musiałem zapłacić za ekspres do niejakej wiedzy o polityce, był ów resentymentalny konserwatyzm, który stał się głównym przedmiotem rozmowy znakomitych Kolegów. Chodzi po prostu o to, że trzeba było jakoś pogodzić się czy polubić tego głupka, którym się było, bo minimum intelektualnej samooakceptacji było warunkiem tego, żeby jeszcze chcieć się rozwijać. I to, co tak autoterapeutycznie zaakceptowałem w sobie, to właśnie ogólny tępawy zarys tego peerelowskiego, zaściankowego młodzieniaszka. Polubić chłopca – sól ziemi, polubić arystokratę – przetrwalnik starych dobrych czasów, polubić porządnego, niezepsutego przez zbytnią łatwość konsumpcyjnego życia młodzieńca peerelowskiego – oto różne wersje „potrzeby konserwatywnej”. Moja najżywsza nienawiść do populizmu dzikiej demokracji, do bezmyślnej nieobyczajności, do bezczelnej lub właśnie niewinnej ignorancji, jest wyrazem solidarności z tym ograniczonym i zaściankowym typem peerelowskim, który choć głupi i pyszałkowaty, to jednak wolny od skaz moralnych młodzieży „okresu transformacji”. Jest to więc

konserwatyzm gderliwy, sarkający na miejską młodzież i wiejską gawieź na równi, tym śmieszniejszy, że podszyty zazdrością o szanse życiowe ludzi ledwie 10 czy 15 lat młodszych. To nie jest najszlachetniejszy gatunek konserwatyzmu, ale przynajmniej mało skory do linczu. Bez niego trzeba by być błaznem, udającym bardziej nowoczesnego i młodzieżowego niż chłopaki z klubów.

Reedukacja młodego i zakompleksionego konserwatysty *in spe* przebiegała jednak nadzwyczajnie gładko. Najpierw trzeba było się dowiedzieć, że naprawdę istnieją inne kraje, inne społeczeństwa, dalekie strony, dla których my jesteśmy dalekimi stronami. Wprawdzie nadal, gdy widzę cudzoziemca, nie mogę wyjść z zachwyty, że to też gada i że to też jest człowiek (do końca nie uwierzę w to nigdy), ale już nauczyłem się, że tam, za granicą, też są jakieś przepisy, szczegóły, rzeczy wątpliwe albo niefortunne, tragedie i inne sprawy zastrzeżone dotąd dla jedynej realnej rzeczywistości, czyli dla Polski. Potem trzeba było rozstać się z aroganckimi kliszami i mesjańskimi mądrościami Narodu Wybranego, jedna po drugiej. Na przykład z taką, którą epatowaliśmy naszych zachodnich rozmówców, mówiąc: „Wiem, że macie problemy – bezrobocie czy co tam jeszcze. Chcielibyśmy mieć takie problemy jak wy!”.

Potem trzeba było zauważyć, jakie są proporcje, nauczyć się spoglądać na mapę świata z Ameryką na środku, z Rosją na środku itd. Dowiedzieć się, że są dziesiątki krajów, gdzie były jakieś czerwce i grudnie, KOR-y a nawet Solidarność. Że są inne światy, wielkie procesy, gigantyczne społeczeństwa. Jakieś „Azje i Pacyfiki”, a w nich te same lub o wiele gorsze więzienia i pałki, dzielni bohaterowie i dyktatorzy z gębami pełnymi lewackich czy prawackich frazesów.

Dalej przyszła kolej na demitologizację historii. Starej i nowej. Poznawanie historii, jaką mają do pamiętania i opowiadania Niemcy, Ukraińcy, Litwini. Pogodzenie się z tym. Było to trudne i ciągle trwa... Ale jeszcze trudniejsze było zajrzenie poza fasadę PRL-u i dostrzeżenie, że tam również było prawdziwe życie. Prawdziwi ludzie, prawdziwe sprawy, także państwowe. Jaką pogardę budziło w nas nieustanne gadanie o planach produkcyjnych i ich wykonywaniu! Do głowy nam nawet nie przychodziło, że w kapitalizmie także się planuje, i to jak! I że problem nie w tym, że głupie komuchy wyliczają potrzeby i planują produkcję, tylko w tym, że było to niewykonalne przy takiej skali, przy takich metodach zarządzania itd. A to tylko jeden przykład. Jako że byłem wtedy dzieckiem i młodzieńcem, z natury rzeczy mało mającym do czynienia z poważnymi sprawami, z instytucjami, w mojej świadomości fasadowość ustroju i propagandy spotykała się z abstrakcyjną, ubogą wiedzą i szczątkowym doświadczeniem instytucjonalnym związanym z PRL-em. Jedno jakby potwierdzało się w drugim – śmieszność propagandowego PRL-u i moja własna ignorancja polityczna.

Sądzę, że dotyczy to całego naszego pokolenia. Niby znamy PRL z autopsji, ale była to autopsja uboga i bardzo ograniczona. PRL nam się w pamięci odrealnia, tracimy go

jako kontekst naszej osobistej historii, na rzecz zmitologizowanej śmieszności Polski gierkowskiej. To jest nasz problem – PRL nie jest naszym domem duchowym, choć tam zakwitła nasza młodość. W rezultacie nie możemy powiązać naszej młodości z żadnym państwem, choćby wstrętnym i represyjnym, bo nam to państwo zaraz zniknęło jak niebieski balonik, prysło jak mydlana bańka w 1989. Wyalienowaliśmy się politycznie, straciliśmy grunt pod nogami. Nie załapujemy się już na sentyment do czasów komuny, typowy dla większości ludzi starszych od nas, ale lat młodzieńczych na swobodzie, w kraju wolnym też nam los poskąpił. Dlatego nie mieliśmy też okazji naprawdę polubić i uznać za własne tego nowego świata, III RP, podobnie jak nie polubili jej starsi od nas. Dlatego czujemy się jakby trochę pokrzywdzeni. I dlatego jesteśmy sfrustrowani. W rezultacie – konserwatywni. Pokolono konserwatywnych kosmopolitów.

*

Pisanie o sobie, o swojej młodości i doświadczeniu pokoleniowym jest zbyt trudne chyba dla każdego. Fałszywe nuty są nie do uniknięcia. Mój szwagier powiedział, że ten tekst ma „tonik”, którego nie lubi. Zgadza się z nim. Jest tu jakaś protekcjonalność, jakiś fałsz, jakaś skłonność do przechwałek. To się wyczuwa, ale trudno pokazać konkretnie, które zdanie jest nie tak i co należałoby zmienić. To nie jest coś, co można poprawić na poziomie redakcji tekstu, własnej czy też dokonanej przez redaktora w gazecie. Niby wszystko jest nieźle – napisane szczerze, prawdziwie, od serca, z pewną swadą i z wykorzystaniem niebanalnych jak na publicystykę środków literackich. A jednak ten tekst nie jest całkiem udany. Mówi o nieudanej, niedobrze ukształtowanej świadomości i te mankamenty przenoszą się jakby na niego samego. Coś nieprawdziwego w naszym pokoleniu odbija się w nieprawdzie artykułu, który o nim opowiada. I to jest właśnie jego prawda... Ale sprawa przedstawia się jeszcze dziwniej. Otóż od napisania tego eseju minęło już siedem lat. Jestem znowu w innym miejscu, niż wtedy. I... trochę nie poznaję siebie. A może nie lubię już siebie z młodości i sprzed siedmiu lat? Nie przypominam sobie już tak dobrze tych zdarzeń i nastrojów, o których pisałem. To się jakoś oddaliło. Wydaje mi się, że dystans emocjonalny, którego nabrałem w stosunku do opisywanych w tym tekście spraw, w znacznej mierze powstał właśnie wtedy, gdy to pisałem i z powodu tego pisania. Publicysta musi pamiętać, że pisząc, wyprzedaje bezpowrotnie coś ze swojej duszy. Nawet jeśli pisanie leczy jego duszę, to jest to leczenie chirurgiczne. Co zapisane, to z serca. To jedna z najsmutniejszych tajemnic pisarstwa – pisząc, umieramy.

NASZA, LUDOWA, ZAPOMNIANA

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 22 LIPCA 2010 R.

Wśrodku wakacji, 22 lipca każdego kolejnego roku władza komunistyczna urządziła podniosłe a radosne obchody powstania pierwszego rządu komunistycznego, działającego na Lubelszczyźnie w 1944 roku. Jeszcze w 1990 roku w Chełmie wisiały napisy „Chełm miastem PKWN”. Partia ze szczególną pasją celebrowała to swoje kombatanckie „Boże Narodzenie”, a ludzie też nim nie gardzili. Bo ojczyznę ma się jedną i trzeba ją kochać taką, jaka jest. Była socjalistyczna i ludowa – kochało się socjalistyczną i ludową. Wyrosta z wojennej traumy i upadła na progu pięknego wolnego świata, w którym wychowaliśmy nowe pokolenie szczęśliwych nareszcie Polaków.

I ja mam swój rytuał pamięci ludowej ojczyzny. Każdego roku przepytuję studentów, tych nareszcie szczęśliwych Polaków, z polskich dat. Rzucam je grupie dziewiętnastolatków z wyczekującym wyrazem twarzy: 1956, 68, 70, 76, 80, 89. Od dawna nie wypada to dobrze. Nigdy jednak nie zdarzyło mi się, aby rok 1989 nie wzbudził żadnych skojarzeń. Aż do dziś. Dwudziestu studentów z rocznika 1990 uparcie milczało... Cóż, nie było ich wtedy na świecie. Dawne dzieje. Zastanawiam się, czy to dobrze, czy to źle, że tak szybko doczekaliśmy się pokolenia dorosłych Polaków, którzy nie bardzo wiedzą, że był jakiś PRL i jakaś PZPR, i w ogóle jakaś „komuna”? Czy umysły tych młodych są przez to bardziej otwarte i nieobciążone, czy też odwrotnie – okazują się żałośnie puste i jałowe? Jedno jest pewne: tak oczywisty dla starszej połowy społeczeństwa dualizm komuny i wolności, oddzielonych od siebie cezurą 4 czerwca 1989, stopniowo przestaje być matrycą politycznej świadomości społecznej. Po wielu latach trwania mentalnej opozycji „za komuny – teraz”, spadkobierczyni wygasłej ćwierć wieku temu opozycji „przed wojną – po wojnie”, ma szansę odnowić się naturalna i realistyczna ciągłość społecznej retrospektywy. Wierzę, że tak być powinno. Nie stanie się to wszak samo przez się. Zapomniany PRL trzeba jakoś umieścić w świadomości młodych Polaków.

Aby z niewinnej ignorancji wyrósł dojrzały i wyważony stosunek nowych pokoleń Polaków do niedawnej przeszłości ich kraju, konieczna jest rozmowa o tych czasach. Ci, co je pamiętają, powinni zadbać o to, by ich opowieść dotarła do młodzieży, była dla niej zrozumiała, szczerą i uczciwą. Jakże łatwo przecież zrazić ją naszymi urazami, zmylić legendami lub odstraszyć egzotycznym obrazem zacofania i głupoty

czasów PRL-u. Jakże łatwo popaść w ton zbyt patetyczny albo zbyt ironiczny – w obu przypadkach wywołując wrażenie, że PRL był epoką klęski, a jednocześnie epoką niepoważną, niegodną, by ją pamiętać. A przecież pamiętać trzeba, bo to był nasz świat, w którym większość z nas przeżyła część swego życia i którego kontynuacją pod zaskakująco wieloma względami jest Polska współczesna.

Walka o pamięć jest walką o ciągłość – ciągłość życia społecznego, a także ciągłość biografii nas samych i naszych rodzin. Ciągłość jest dobra i racjonalna, lecz bardziej ponętne są bipolarne mity – irracjonalne i zwykle kłamliwe. Ja sam odzyskałem poczucie ciągłości z trudem. Na przykład przez wiele lat nie przyszłoby mi nawet do głowy, że można by w jakiegokolwiek kwestii być po stronie „komuny”, że solidarnościowy podział „my – oni” mógł być w wielu wypadkach iluzją lub co najmniej nadmiernym uproszczeniem. Ba, nie przychodziło mi do głowy, że w PRL-u mogła być jakaś prawdziwa polityka, jakieś realne spory i procesy polityczne innej natury niż tylko walka społeczeństwa z uprzykrzonym i bankrutującym reżimem oraz walki frakcyjne w PZPR. Dziś widzę te sprawy inaczej i chciałbym, żeby moi studenci również spojrzeli na życie swoich rodziców i dziadków jak na życie prawdziwe, nie zaś serię anegdot i epizodów, śmiesznych bądź bohaterskich, lecz stanowiących zaledwie przygrzywkę do prawdziwego życia, które jest teraz – z komórkami, Internetem, w zjednoczonej Europie. Chciałbym powalczyć o godność Polski, jak to się mówi, „za poprzedniego ustroju” w wyobraźni swoich studentów, a nawet, przyznam, chciałbym, aby odrobinę nam zazdrościli, że znamy inny świat, świat, który może był zacofany, lecz miał swoją prawdę, swoje racje, swoje nadzieje i namiętności.

Dzisiejsi uczniowie i studenci wciąż mają szansę poznać historię najnowszą swego kraju z pierwszej ręki, wolni od mitów, uprzedzeń i aroganckiego poczucia wyższości. My jednak, przez naszą niefrasobliwość, możemy im tę szansę odebrać. Jakoż wydaje mi się, że w mediach pamięć polski komunistycznej zawłaszczana jest przez dwie opowieści szczególne, lecz przez swą szczególność dalekie od obiektywizmu. Pierwsza to opowieść Barei, Gruzy i innych autorów znakomitych komedii późnego PRL-u. Druga to opowieść pryncypialnych historyków i polityków skupionych na przerysowanej nieraz dramaturgii bohaterskiej wojny społeczeństwa i Kościoła ze zbrodniczym reżimem pachołków sowieckiej Rosji. W jednej opowieści dominują głupkowaci i zacofani biurokraci tworzący groteskowy, acz niepozbawiony swoistego uroku aparat korupcji i nepotyzmu. PRL z tych filmów to kraj, w którym cynizm idzie o lepsze z nieudolnością, ale mimo to, dzięki mieszkającym tu ludziom oraz różnym zabawnym rewizytom, kraj dość sympatyczny. Taki wizerunek Polski pozwalano upowszechniać w ostatnich kilkunastu latach PRL-u, ba – sama władza, kontrolująca jednak kulturę, patronowała jego tworzeniu. Druga opowieść jest całkiem inna. Są w niej bojownicy wolności, niestrudzenie walczący od samego roku

1944 do ostatecznego zwycięstwa w roku 1989, prześladowani przez ubecję, więzieni i bici, ale zawsze wierni Bogu i ojczyźnie. Był też wprawdzie i KOR, i jacyś dysydenci, nie zawsze dość wierzący i nie zawsze dość polscy, ale nie zmienia to faktu, że to sam naród polski, któremu przemocą narzucono komunizm, czerpiąc siłę z wiary katolickiej i z przykładu przodków, konsekwentnie i do końca walczył o zrzucenie tego jarzma. Jeśli młody Polak, trzydziestolatek albo dwudziestolatek, chciałby dowiedzieć się, w jakim właściwie kraju żyli jego rodzice, najpewniej natrafi na którąś z tych opowieści, a być może na jedną i drugą. Tym sposobem uzyska obraz PRL-u albo satyryczny, albo martyrologiczny, albo dwoisty i zupełnie niespójny. Raz Polska sprzed paru dekad będzie mu się wydawać miejscem niepoważnym, innym razem – smutnym i ponurym, lecz heroicznym. Tak czy owak, wniosek nasuwa się jeden: nie ma do czego wracać. Nieprawda.

Dla swojej córki kupiłem wydane w 2006 roku przez „Gazetę Wyborczą” i Oficynę Imbir „Dekady” – piękną serię książek na temat kolejnych dziesięcioleci komunistycznej Polski. Jej wydanie to jednakże zaledwie incydent. Potrzebujemy dyskusji o sposobie prezentacji PRL-u w szkolnej nauce historii, o muzeach i wystawach, o aranżacji miejsc i obiektów wiążących się z dziejami komunistycznej Polski. Dziś miejsca społecznego oporu upamiętniają głównie krzyże, a budowle charakterystyczne dla tej epoki są przedmiotem kpinek, jeśli nie wręcz zagrożone rozbiórką. Sam mieszkam w Nowej Hucie, nowocześnie i elegancko zaprojektowanym mieście PRL-u, w którym komunistyczny był tylko pomnik Lenina. Ta stylowa dzielnica Krakowa uchodzi za skansen „komuny”, po którym turystów spragnionych „klimatu PRL-u” obwozi trabant. Czy po nas zostanie taki „skansen”, po którym ktoś obwoził będzie turystów fiatem punto?

Kiedy zdobędziemy się na to, by mówić o PRL-u na serio i uczciwie? Czy też może zadowolimy się propagandą? Wszak za komuny propaganda lasowała nasze mózgi i w końcu bodaj nikt nie wie, jak tam było naprawdę. A skoro tak, to może przyjąć jakąś dobrą wersję, która nikogo nie urazi? Taką na przykład, że był sobie komunizm, nieludzki i nędzny, ale Jan Paweł II i Wałęsa go zwyciężyli. A gdyby Wałęsa miał być niepewny ideologicznie, to może sam Jan Paweł II, z bł. ks. Popiełuszką. A Gierek chciał dobrze, tylko mu nie wyszło, za to Jaruzelski może musiał wprowadzić stan wojenny, ale do końca nie wiadomo, bo może sam chciał. Był jeszcze Kuroń, Michnik, Geremek, ale to już polityka, a w polityce są, wiadomo, różne zdania, więc tych osób akcentować zbytnio nie trzeba. Wyjdzie więc na to, że był Naród, był Kościół i była komuna. Skoro część narodu popierała komunę, to znaczy, że niektórzy komuniści byli dobrymi Polakami, chociaż w zasadzie to byli pachotkami Moskwy, ale na szczęście naród jako całość pozostał wierny, a Kościół wskazał mu drogę do wolności. Fajnie, tylko kto to kupi?

Pytam dziś: co mówiono w szkołach moim studentom, skoro nic nie zapamiętali? Może nic? A może nie zapamiętali dlatego, że słyszeli propagandę, a nie szczerą i uczciwą opowieść? Kto jest winien temu, że nic nie wiedzą? Chyba nie media, jakkolwiek ich dwoisty, satyryczno-patetyczny przekaz bardziej mąci, niż rozjaśnia w głowach. Ale media przynajmniej nie przemilczają epoki PRL-u. A więc szkoła. Szkoła, która w ogóle unika trudnych i drażliwych tematów, chowając się za oportunistyczną sztafpą albo wręcz oddając pole innym instytucjom. Winne są też kolejne rządy, które pozostawiły pamięć po PRL-u samej sobie. Leży więc porzucona i każda instytucja może robić z nią, co zechce. Zwykle nie chce nic robić, a jak już musi zechcieć, to zadowala się formą bezpieczną a niewyszukaną.

Tak to sobie dziś poczynamy z naszymi rodzicami i z naszą własną młodością. Trwonimy i zaklamujemy pamięć, która jest jeszcze w nas. Podejrzana, dziwnie jakoś przechylona na stronę prawicowo-konserwatywną, „polityka historyczna” skupia się na powstaniach i zrywach niepodległościowych. Oczywiście, są ważne i trzeba o nich pamiętać. Ale równie ważne jest rozumienie zwykłego życia, niekoniecznie prawnego, które toczyło się w naszej ojczyźnie, za zasłoną mitów i symboli. Zwłaszcza jeśli to było nasze własne życie.

*

Ten świeży jeszcze tekst powstawał w dyskusji z redaktorem działu opinii „Gazety Wyborczej” Rafałem Zakrzewskim. Pierwsza wersja nie podobała się, kazano mi wiele rzeczy zmienić. Pewnie słusznie. Większość artykułów, które piszę spontanicznie, a nie na zamówienie, rodzi się z długo tłumionych emocji i kompulsywnych nieraz przemyśleń. Piszę, co mnie boli. I bardzo często taki tekst – ostrzegam – jest nieudany, a biedny autor, choć przeczuwa, że coś jest nie tak, nie bardzo umie samego siebie w takiej sytuacji poprawić. Własne uprzedzenia, obsesje, idiosynkrazje są świetną pożywką dla dobrej publicystyki, ale jednocześnie źródłem trudnych do samodzielnego naprawienia błędów. Polegają one na zbyt emocjonalnym tonie, histerycznym stylu, rapsodyczności i nadmiernej skrótowości przekazu (ślady takiej retoryki widać w tym tekście). W takich sytuacjach nieoceniony jest dobry redaktor, który spokojnie popracuje z autorem i przygotowuje go do przebudowania tekstu. Wtedy rezultat może być całkiem dobry. Sądzę, że brak dystansu do własnych wypowiedzi, jeśli wywodzą się z silnych przeżyć i ważnych dla autora doświadczeń, może przydarzyć się nawet najbardziej doświadczonym ludziom pióra. I dobrze – gdy ogień wewnętrzny przygasa, autor staje się nudny. Nuda zaś jest grobem publicystyki.

ONI ZGINĘLI W SMOLEŃSKU, A MY NIE

FRAGMENTY TEKSTU OPUBLIKOWAŁ „PRZEGLĄD POLITYCZNY” W NUMERZE 100 (2010).

Co musi się wydarzyć, aby nareszcie poczuć, że żyje się w Historii? Czy jest coś, co może nie spowszednieć, umknąć spod gilotyny rozsądku, który mówi zawsze to samo: było, minęło, nie ma o czym gadać? Nic bodaj, bo w końcu ile można ciągle o tym samym? Ile lat można „zawsze pamiętać”, rozprawiać o takim Katyniu czy innej tragedii? Tyle lat, ile jeszcze potrzeba, aby powiedzieć wszystko do końca. A gdy już powiemy do końca? Czy mamy tkwić w neurotycznej obsesji rozpamiętywania? Oznaczałoby to, że jesteśmy winni, a obsesja powrotu do tego, co się stało i się już nie odstanie, będzie miała znaczenie pokuty. Swoją drogą, coś w tym jest. Gdy giną ludzie śmiercią gwałtowną, ci, którzy pozostali przy życiu, stają się winni, a tym samym wezwani do złożenia ofiary przebiegającej, jeśli im jeszcze życie miłe. Gdy odejdą ci, co poszli przed nami, nas żywych dosięga zmaza i wstyd, że pozostajemy tu, po stronie profanum, w trywialnym trwaniu, winni zwierzęcego trzymania się życia, podczas gdy zmarli zostali uświęceni i przeniesieni do nowego porządku, wolnego od wszelkiej małości. Stają się „najlepszymi z nas”, bezgrzesznymi, nieomal świętymi. Przejmuje nas zabobonny lęk, że zmarli domagają się od tych, którzy ośmielili się pozostać wśród żywych, ofiar i czci, a gdy poczują się zlekceważeni, wpadną w gniew i ześlą na śmiałków, na nas, okrutną zemstę. Zemstą jest śmierć za życia – pogarda i potępienie. Zaiste, zmarli są nietykalni dla tych, którzy chcieliby jeszcze pożyć w spokoju. Uważaj, gdy piszesz o zmarłych!

Takie myśli naszły mnie, gdy zadzwonił do mnie redaktor Wojciech Duda z prośbą o napisanie tekstu o katastrofie pod Smoleńskiem. Chciał, abym napisał, co czułem i myślałem w tych pierwszych dniach. Nie można odmówić, ale dlaczego akurat ja? Wszak milczeć i przeczekać jest bezpiecznie, a gadanie urąga pamięci ofiar, przeszkadza jak natrętna mucha, prowokuje zmarłych do owej zemsty zza grobu, usługnymi rękami żywych spełnionej. Kto mówi, zamiast z pochyloną głową stać na cmentarzu, jest jak ta żaba, co podstawia łapkę, gdy konie kują. No dobrze, ale ja i tak już jestem tą żabą i wszędzie łapkę podstawiam. Taki to już los – młyny miela, pisma piszą, a garnki nie święci lepią. Cóż więc może uczynić pisarczyk, żeby choć najmniejszy był z niego pożytek, gdy dzieją się sprawy święte, sprawy narodu? Chyba jedno tylko uczynić może – położyć na ołtarzu ofiarnym mały kamyczek własnej szczerości. Szczerość jest aktem pokory i aktem pokuty pisarza, który na co dzień

żyjąc z prostytuowania własnej duszy, już tylko z własnego ponizenia zdolny jest uczynić ofiarę. Co innego, gdy jest pisarzem wielkim, którego talent uświetnia nawet świętości, lecz pisarz niewielki, byle jak sprzedający ciało swej duszy, gdy już pragnie wyjątkowo uczcić uświęconych, powinien tego dnia oddać się jakoś sromotnie, do granic natężając i wypinając swoją lichą, papierową kondycję. Składałem więc tym tekstem ofiarę za dusze zmarłych pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 roku, biorąc na siebie część winy i oddając się w ręce mścicieli. Będę wszak mówił tylko o sobie, z całą świadomością tego, jak niedorzeczne jest opowiadanie o Janie Hartmanie w tych okolicznościach. Lepsze to jednak niż pastwienie się nad Tragedią i Historią w nieudanym, przeciętnym eseju. Dlatego właśnie pozostaje mi opowiedzieć o tym, jak przeżyłem tydzień po dziesiątym kwietnia – co czułem, myślałem, mówiłem. Scenka rodzajowa z życia wewnętrznego polskiego inteligenta, zabijacza czasu antenowego, w obliczu tragedii narodowej. Może odnajdziecie tu motywy własnych przeżyć, a może zaskoczy was ich całkowita odmienność od waszych doświadczeń i przemyśleń. Tak czy inaczej, nie oszczędzajcie mnie zbytnio, jakkolwiek liczę na to, że skoro czytacie te słowa, gdy żałoba dawno ustąpiła już codzienności, ostatecznie machniecie ręką. Pozwólcie mi wszak na jedno zastrzeżenie: ten tekst nie ma być, nie ma prawa być *dobry*. Od nieudanego eseju gorszy mógłby być tylko esej udany. Nie można w dwa tygodnie po tak okropnej katastrofie rzucać w strzępy rozerwanych i spalonych ciał, które jeszcze nie obróciły się w proch, posiewu literatury. Nie wypada. Co innego zapiski koślawe, postrzępione, nadpalone. Są nic nie warte – jakby wcale ich nie było. Przeczytajcie, zapomnijcie. Jak zapomnicie o nieszczęsnych pasażerach lotu 101, jak zapomnicie o wszystkim, co przeżyliście, o sobie samych. Jak zapomniał prezydent Lech Kaczyński i stewardessa Justyna Moniuszko. Błogosławiona niepamięć czyni nasze życie lekkim i znośnym. Nic ważnego – było, minęło, byłem, minąłem. Wszystko jest do przeżycia, bo w końcu w najgorszym razie umrzemy, a umrzemy i tak. Umarli? Jak dobrze, że jest już po wszystkim!

*

11 września 2001 roku byłem na wycieczce kolejką górską w Davos. Wraciałem w wesołej gromadzie co młodszych uczestników konferencji z tomem „Czarodziejskiej góry” kupionym w księgarni w centrum miasteczka, do hotelu – jednego z niezliczonych eleganckich domów wczasowych dla zamożnych Europejczyków wypełniających swymi kłocowatymi kształtami słynny alpejski kurort. W hallu zobaczyłem grupkę ludzi skupionych przy telewizorze, a dalej, na wygodnych fotelach, zaczytanych w swych gazetach starszych mężczyzn. Przy recepcji paru gości załatwiali swe hotelowe sprawy. W telewizji dymiąca wieża WTC, informacja o samolocie,

który właśnie w nią uderzył. Oglądam, nie rozumiejąc. Potem drugi samolot, relacja na żywo z zamachu. Film jakiś? Wokół mnie Amerykanie, dość spokojni i skupieni. Znajoma pani mówi, że jej córka jest właśnie w szkole na Manhattanie. Telefon nie odpowiada. Z wolna ogarnęła mnie groza. Świat się wali – co teraz będzie? A ja za granicą! Odwołaliśmy obrady konferencji, przykuci do telewizorów lub pogrążeni w jałowych rozmowach o wypadku, którego skala i znaczenie były jeszcze zupełnie niejasne. *America under attack!* Zabito tysiące ludzi! Prezydent w powietrzu! Trzystu strażaków idących na pomoc zginęło! Co teraz będzie?! Czy to jest incydent, czy przełom, po którym nic nie będzie tak jak dawniej, tylko znacznie gorzej i smutniej? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Odpowiedź otrzymałem od panów na fotelach: przeżyjemy i to. Dla nich przez cały ten długi dzień nic jeszcze się nie wydarzyło. Wszak nie pisano w gazetach, że 11 września 2001 roku dwa samoloty powaliły wieże WTC w Nowym Jorku. Będzie o tym w gazetach nazajutrz, więc wtedy się przeczyta i oceni, czy może być z tego jaka strata dla uczciwego Szwajcara albo Niemca. Tymczasem zaś życie w hotelu toczyło się normalnie. Panowie czytali gazety, recepcja spełniała niedorzeczne życzenia zamożnych gości, kelnerzy podali kolację. Spokój Davos przypominał ten bezruch i komfort kurortu dla gruźlików, w którym Hans Castorp spędził siedem lat poprzedzających pierwszą wojnę. Bogata Europa wszystko przetrzyma – jakże jest silna swym egoizmem, bogactwem i zadowoleniem. Nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi hotelarzy z Davos ani ich tęgich gości.

Przeżyłem 11 września, przeżyję i to, powiedziałem sobie, czytając na iPhone skromną informację z portalu „Gazety Wyborczej”, że prezydencki samolot miał wypadek w Smoleńsku. Kaczyński chyba żyje, bo od razu by napisali, że zginął. A może boją się tak napisać, bo co by to było, gdyby się nie potwierdziło! Cóż, zaczyna się duże coś, trzeba włączyć telewizor. Żonie mówię, co się stało, ale ona jeszcze nie chce słuchać, zajęta przy komputerze. Wie, że ma czas, bo to będzie dłuższa sprawa. W telewizji dezorientacja, ale po chwili pojawia się czarno-biały portret pary prezydenckiej. Aha, nie mają jeszcze siły powiedzieć, że zginęli, lecz aluzju poniał. Jesteś w historii, Lechu Kaczyński, niechaj ci tam będzie dobrze i swojsko, niechaj przypadną ci do serca powstańcy i patrioci, a ty im. Miałeś miłą twarz i przyjaźniłeś się z nami Żydami – w sumie dałeś się czasem lubić. Zwykle jednak nie dawałeś. No dobra, sorry – skąd miałem wiedzieć, że polegniesz w Katyniu? Przykro mi.

Zaczynają spływać informacje. Liczba ofiar – jak zwykle, czekam na jak największą drakę. Od 87 do 134? Jak katastrofa, to katastrofa – w tej konkurencji liczy się ilość. Chyba jednak nie będzie setki. Żona płacze. Dziecko zdenerwowane. No, teraz się zacznie – jeden Katyń, drugi Katyń, polegli na placu boju, martyrologia narodowa, rozmodlenie i rozhisteryzowane media. Boże, byle tylko nie zamach! Nie, bez sensu – po co by był ruskim trup Kaczyńskiego i druga legenda katyńska? Ale mogą

być podejrzenia, plotki, insynuacje zatruwające umysły milionów. Lista ofiar. Boże, ilu ich leciało, takich ważniaków, jednym starym ruskim gratem? Gdzie ja żyję – co za obciach, co za wstyd! Kto jest temu winien? Na pewno polecą głowy. Tusk? W końcu to rząd odpowiada za samoloty. Może sejm się rozwiąże? Czy rząd da sobie radę z kryzysem? Jak zachowają się Rosjanie? Czy Jarosław ma szanse przejąć władzę? Nie, nie, na te pytania przyjdzie czas za kilka dni. Czytajmy listę ofiar – może jacyś znajomi? Tak, jest Mariusz Handzlik, kolega ze studiów, był na roku z moją żoną, taki miły chłopak. Półtora roku temu widzieliśmy go na rozdaniu nominacji profesorskich w Pałacu Prezydenckim. Bardzo mi go szkoda. I te panie, od lat moje ulubione piękne panie z SLD – Szymanek-Deresz i Jaruga-Nowacka. I Szmajdziński. To straszne. I młodych szkoda. I tych starszków z rodzin katyńskich.

Jak łatwo jest zginąć, jakie to proste, wręcz trywialne – ot, mały błąd, jakaś niefrasobliwość i lecimy w przepaść, nie ma nas. Tak wypadło, że zdarzył się wypadek. Trudniej pojąć taką metafizykę, otwartą na zwyczajny nieszczęśliwy wypadek, mówiącą: „Cóż tu jest do gadania – nieszczęście i tyle”, niż najmętniejszą i najbardziej patetyczną historiozofię. Ascetyczne ubóstwo znaczeń jest okrutne, podczas gdy mnożenie skojarzeń, symboli i prorocत्व koi żal, zajmuje umysły i wzrusza serca. Ale generałów, którzy powinni wiedzieć, że nie lata się jednym samolotem w takim składzie, których nic nie nauczyła katastrofa CASY sprzed dwóch lat, jakoś mi nie szkoda. Zresztą generał powinien zginąć na służbie, a tu mieli coś w rodzaju służby. Żon, dzieci mi szkoda, ale generałów nie. Ktoś jest winien, to nie miało prawa się stać – generałowie są wśród winowajców. Wszyscy jesteśmy winni – ja też. Prymitywny gomulkowski przesąd, że władza jest wiarygodna, gdy jest biedna, jest wspólną winą całego społeczeństwa. Maria Kaczyńska – taka miła, jaka szkoda. Wcale nie była brzydka, tylko miała taki zabawny, długi nos. No i swoje lata – to takie dziecięce, że ukrywano, że jest starsza od męża. Moja żona też jest starsza ode mnie. Lecz Kaczyński, Lech Kaczyński – miał takie pocziwe brązowe oczy, moja żona go lubiła za niewymuszoną staroświeckość, za nieporadność. Mnóstwo ludzi go za to lubiło. Prawdziwi Polacy z małych miasteczek są monarchistami – on był ich małym królem Leszkiem, dobrym królem. Teraz będzie miał swoją królewską legendę – patriotyczną, niemal bohaterską. Może dla niego dobra jest taka śmierć?

Żona mnie pyta: „To pogrzeb będzie chyba na Wawelu?”. Ależ skąd, na pewno w Warszawie, odpowiadam. Dlaczego ona zwykle ma rację, choć nie ogląda dziennika? Janusz Kochanowski też? Znałem, doszło do nieprzyjemnej sceny, ale zawsze to przykre, jak umiera znajoma osoba. Te wszystkie nazwiska z PiS-u. Tak, o zmarłych źle się nie mówi – a więc zwyciężyli, rzutem na taśmę. Nie będę już na trasie z Krakowa do Warszawy przejeżdżał przez „Gosiewo”, a i wanna Wassermanna pójdzie na złom. I Kurtyka zapisze się w pamięci narodowej jako wielki jej strażnik. Każdemu

wedle jego potrzeb, jak w modlitwie Bułata Okudżawy „Dopóki Ziemia kręci się”. Kolejne informacje. Zła pogoda, miał lądować w Mińsku. Aha, myśleli, że Bóg ich strzeże, bo w słusznej, bo w świętej lecą sprawie. Ta buta – jakie to dziecinne... A może Kaczyński kazał lądować? A może piloci sami odgadli życzenie najważniejszego pasażera? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, ale to byłoby straszne, gdyby się jednak coś podobnego potwierdziło. Będzie tajemnica, będzie chora legenda. Ale i tak lepsze to niż legenda o spisku. Byle nie o spisku! Ale jak można latać ruskimi gratami na małe wojskowe lotniska?! Gdzie ja żyję? Czy ten rząd to jakaś piaskownica – czy nawet w bezpieczeństwie nie ma profesjonalizmu? Chodził kiedyś na moje seminarium z filozofii polityki w Pułtuskach szef czy wiceszef ochrony prezydenta – taki wesoły, miły, ale w sumie trochę dzieciuch. Kupował mi soczki i ciastka, miał dłonie karateki. Chciał zostać doktorem politologii – kazałem mu czytać „Przegląd Polityczny”, ale jakoś nie wierzę, by posłuchał. Ojej, a może i on zginął? Nie, nie rozpoznaję nazwiska.

Dzwonią z Trójki. Grobowy głos przeprasza i zaprasza na godzinne łącze, od dwunastej. Nie odmówię, choć nie mam siły. Mogę się wyłożyć, powiedzieć coś okropnego. Ale służba to służba. W końcu media to koledzy, współpracujemy. Zaraz drugi telefon – mam iść na siódmą do TOK FM. Dobrze – a więc dzień pamiętny, który wpisze się w biografię każdego Polaka, a dla wielu stanie się pierwszym ważnym dniem i polityczną inicjacją, ja spędzę sobie w radiu na tak zwanej autopromocji. Nie tak prędko! Tak naprawdę będę dziś z przykrością słuchał swojego brzydkiego głosu i nieskładnej dziś pewnie mowy. Będę się wstydził i dobrze mi tak. W końcu jestem złym chłopcem, bo czekam na wielką drakę. Zasługuję na karę.

Jadę do radia. Wcześniej zachodzę do hipermarketu – tłumy ludzi. Dotrze do nich, do nas, dopiero jutro. Dziś jak gdyby nigdy nic, choć może o odrobinę tu ciszej niż zwykle. Moje myśli coraz bardziej krążą wokół jednej postaci – Jarosława. To w jego rękach jest klucz. Mówię to już na antenie. Wyrażam nadzieję, że wszyscy będziemy teraz trochę bardziej szanować państwo, polityków i siebie nawzajem – a przynajmniej tak sobie przyobiecamy i będziemy się nawzajem w tym pilnować. Mówię o gniewie i wstydzie, o tym, że jak zły duch zawisa nad nami pytanie o winę. Kto jest winien? Może w jakiś sposób my wszyscy? Mówię o poczuciu krzywdy. Media to potem powtarzały: „My Polacy nie zasłużyliśmy sobie na ten cios”. Prof. Skarżyńska w studiu gani mnie za historyczne tony, sama jest prawie wyluzowana. Nie słucham. Mówię znów o wstydzie, że inni teraz będą się nad nami litować i szczerze nas żałować. Oby ta katastrofa podniosła nas moralnie choć odrobinę. Oby stała się cezurą w stosunkach polsko-rosyjskich. Zróbmy, co się da, w imię pamięci ofiar, by tej szansy nie zmarnować. Podobnie wieczorem w TOK FM. Ale tam jest ze mną prof. Janusz Czapinowski, twardy zawodnik. Powtarza, że za chwilę trauma się skończy i zacznie się awantura. Mówi mi, że jestem naiwny. Ale wspólnie narzekamy na polskie

dziadostwo – niechaj raz na zawsze przepadnie wraz z rozbitym samolotem. Upominam się o normalnych – ci, co nie pójdą palić świeczek, też mają swoją żalobę, tylko inną; nie wytykajmy się nawzajem palcami, nie oskarżajmy o brak patriotyzmu. Jest dość ostro, a nie powinno. Czapiński trochę się zapędził – stary lis dla równowagi proponował minutę ciszy na antenie. Redaktor Łasiczka to kupił – milczeliśmy okrągłą minutę. W radiu to niesamowite. Na antenie słychać było tylko nasze oddechy. Wyszliśmy obronną ręką z tej trudnej audycji – chyba nikt nie powie, że poszliśmy się lansować na katastrofie. Kary nie było.

Mijają ociężałe i podniosłe dni żałoby. Wróciła trumna z ciałem prezydenta, potem kolejne. Rzeka ludzi przepływa przez pałac na Krakowskim Przedmieściu. Zawsze tak samo – czy umiera ojciec narodu, czy podły dyktator. Zbiorowa egzaltacja nie czyni tu żadnej różnicy i jest w tym coś porażającego. Nabożny strach i uwielbienie dla władzy tyrana objawia się tak samo jak cześć dla męża stanu. Nie chciałbym znaleźć się na miejscu żadnego z nich. Jaka żałoba i jaki pogrzeb byłyby naprawę zaszczytne? W naszym kraju szczyt marzeń to dostać ten mały kawałek trawnika, przy bramie Powązek wojskowych, obok Kuronia, Geremka i Kołakowskiego. To tam jest miejsce chwały, ale naród nie może tego wiedzieć. Jakież to niedemokratyczne i niesprawiedliwe. Naród widzi wielkich tylko wtedy, gdy siedzą na koniu, a i wtedy nie bardzo potrafi ich odróżnić od innych, którym konia podstawiono. Lech Kaczyński nie był ani wielki, ani mały, ani przeciętny, ani nijaki, ani też jakiś. Zaiste, był to człowiek szczególny i dziwy. Historia go nie oceni. Nic się przecież ważnego przez te lata nie działo. To nie jego wina. Historia zapamięta, że kiedyś, gdy lotnictwo było jeszcze nie tak daleko, bo sto lat od swych początków, była taka katastrofa lotnicza – zginął w niej prezydent, który nazywał się Lech Kaczyński. W związku z tym na jego cześć w wielu miastach do dziś są ulice i place jego imienia. Tyle. Czy to mało? Nie, to dużo, nawet bardzo dużo. Taki, co chciał ukraść księżyc, wygrał wybory z takim, co miał dziadka w Wehrmachcie, historia prosta wygrała z historią złożoną. W dziejach Polski też tak pewnie będzie – proste zdanie o Lechu Kaczyńskim, tragicznie zmarłym bracie Jarosława, i skomplikowany akapit o Donaldzie Tusku, jedynym Donaldzie w historii tego kraju. Inny wszak jeszcze Lech będzie w tym rozdziale górował. Wiem dobrze, że powyżej pewnego wieku oni wszyscy walczą przede wszystkim o „miejsce w podręczniku historii”. To podnieca bardziej niż władza. Tak samo jest z filozofami – kilku z nich walczy o miejsce w monografii o historii filozofii polskiej. *Toutes proportions gardées*.

Więc boimy się – boimy się prawdziwych Polaków, boimy się Jarosława. Warszawa boi się Grójca. Media też się boją. Jak to jest, że media zawsze kulą się w bojażni przed prawdziwymi Polakami, których jest jedna trzecia, i ani myślą przypochlebiać się normalnym Polakom, których jest dwie trzecie? Cóż, prawdziwi są bardziej

teatralni, historyczni, patetyczni, a więc z natury bardziej medialni. A poza tym są ludem, więc są niebezpieczni, bo jakoś mistyczni, uświęceni, archaiczni. Boimy się ich, więc im schlebiamy. Czy teraz ośwładnie nami bez reszty strach przed Jarosławem? Czy przyjdzie jak ten mściciel i zbierze legiony pod sztandarem dwóch Katyniów, by pod jego przewodem raz na zawsze zwyciężyła Polska prawdziwych Polaków? Rozmawiamy, a do rozmów zakrada się lęk. Ale rozsądek mówi, że premia dla PiS-u tytułem zadośćuczynienia i wyrównania krzywd nie wyniesie więcej niż kilkanaście procent. To za mało, by wygrać. Dostanie w drugiej turze 40% i wszyscy będą szczęśliwi. Byle dotrzeć do wyborów. Ale czy Tusk ze strachu przed Kaczyńskim nie zamieni Komorowskiego? A może Buzek? Cóż – zadecydują pierwsze sondaże po katastrofie. Takie są rozmowy, takie spekulacje. Do tego coraz to nowe informacje, plotki, hipotezy. Kalejdoskop domysłów. Nie warto już tego pamiętać.

„Gazeta Wyborcza” zwróciła się do mnie z prośbą o wywiad. Mówię o sytuacji politycznej, o prawdziwych i normalnych Polakach, o Jarosławie Kaczyńskim i jego możliwej strategii, o lewicy itd. Nie puścili. Jestem pożądany i niecenzuralny? Czy teraz będę udzielał niepublikowanych wywiadów? TOK FM też należy do Agory, ale im jakoś nie pachnę skandalem w te dni. We wtorek dorwali mnie w autobusie i odpytywali „na żywca”, jednocześnie z Bratkowskim. Powiedzieli, że para prezydencka zostanie pochowana na Wawelu i co my na to? Gadam coś, że zwyciężył patos, że to dla gości zagranicznych, żeby pięknie wyglądało, że to krótkowzroczne, że dla córki niedogodne, na przykład na Wszystkich Świętych, że Kaczyński był z Warszawy i tam jest jego miejsce, że w ogóle się dziwię i nie popieram. Bratkowski mówi, że to polityczne itd. Nie wiem czemu, ale poszło to w mediach w Polsce i zagranicą. Dzwonią kolejni, więc mówię, że ten Wawel to chyba Jarosław wymyślił albo co najmniej zaakceptował, że niedobrze, bo świadomie podjęto kontrowersyjną decyzję, o której wiadomo było, że podzieli ludzi. I tak dalej. Prawdziwi Polacy nie dali długo na siebie czekać – maile, obelżywe teksty w necie. To ja jestem winien zakłócania świętej jedności narodu, to ja ośmielałem się lansować w mediach, żerując na narodowej tragedii, to mnie brakuje pokory, a w ogóle to nie po to nam udzielono gościny w tym kraju, żebyśmy teraz pluli na narodowe świętości. A więc jest napięcie, jest tam gdzieś, pod kobiercem ze zniczy, jakieś wrzenie. Czy się ujawni gwałtownie, czy samo ostygnie? Chyba jednak to drugie, bo Polacy są w sumie narodem spokojnym. Pożalić się, ponarzekać, a nawet pohistoryzować to tak, ale żeby jakieś tumulty i rewolucje? To nie w naszym stylu. Będzie dobrze. Gdy znowu dzwonią, mówię wszystkim: będzie dobrze, jesteśmy fajni. Bo oni się wszyscy tak boją tych zniczy, tych procesji, tych pień pochwalnych, patosu bez umiaru. Ależ tak ma być. Obrzędy żałobne, zwłaszcza propagowane przez telewizję, zawsze gromadzą tłumy, bo są wzruszające, wzniósłe, pozwalają ludziom poczuć się lepszymi. Rytuały medialne i ceremonie żałobne stają

się jednością, tworząc kurtynę obrazów, a za nią toczy się życie przygniatającej większości tych, których palenie zniczy i nawiedzanie trumien nie pociąga. I to życie toczy się normalnie, bez hysterii, bez egzaltacji, lamentacji i wołania o pomstę. Ale toczy się nieco ciszej, w cieniu smutku. Kocham Polskę w dni żałobne – za jej naturalność i naturalną ciszę, za to, że jest taka zupełnie inna niż w spektaklu mediów, oślepiających ze strachu przed wpadką lub oskarżeniem o niedostatek gorliwości. Boże, jak to dobrze, że ludzie są normalni! Ulica doskonale zna tę kategorię – filozofia polityki nie zdołała jej jeszcze przyswoić.

Sarkam na media, ale gdy dzwoni redaktor z Press prosić o wypowiedź na temat hysterii medialnej, mówię, że tak jak jest, być musi i żeby być dla mediów wyrozumiałym. To duży i ryzykowny biznes, więc oportunizm w czasie kryzysu jest racjonalną strategią. Dajmy im parę dni. Redaktor był rozczarowany, ale chyba miałem rację. Po tygodniu od katastrofy media odzyskały pion. Z wyjątkiem TVP, która stała się nachalnie ławo-patriotyczna, trzymając się z trudem na granicy kiczu i przekraczając granice infantylizmu. Tony męczeńsko-patriotyczne gładko przeszły w drętwą propagandę PiS-owską. Czkałka IV RP, a właściwie PRL-u. Małe przypomnienie dla normalnych Polaków, że jednak czwartego lipca, mimo wakacji, trzeba będzie wziąć zady w troki i powlec się głosować na Komorowskiego. Zresztą to miły pan – taki solidny, ziemiański. Trochę jowialny, zażywny, ale to dobrze. Katolik, pięcioro dzieci, mucha nie siada. Dziadka nie miał w Wehrmachcie, na liberała żadną miarą nie wygląda. Tusk wie, co robi. Tusku, obroń nas przed PiS-em raz jeszcze! Nie graj w piłkę, nie siedź na plaży, tylko myśl jak wyrolować Jarka i oszołomów! Jesteś leser, świszczypała, ale mamy tylko Ciebie! Jak nam to załatwisz, to porządzisz w nagrodę jeszcze nawet pięć lat. Umowa stoi?

Dwa dni awantury o Wawel. Dziwisz zarzeka się, że to rodzina prosiła, a PiS-owscy pretorianie przysięgają, że rodzina ani ani i w ogóle z trudem dała się namówić. Żenująca zabawa w przerzucanie gorącego kartofla. A może ukartowana dezinformacja? Tak czy inaczej wiadomo, że pomysł aferalny i nikt nie chce tego wziąć na siebie. Demonstracje w Krakowie przeciwko pochówkowi na Wawelu (pod „oknem papieskim”!), a z drugiej strony larum prawdziwych Polaków nad naruszoną jednością. W czas żałoby Polska ma być cała i jedna jak ta dziewica. Żadnych profanacji i niesubordynacji, żadnych sporów. „Pokory!” – woła Kowal. „Rozsądku!” – woła Wajda, autor nieoczekiwanego, zaskakującego rzesze patriotyczne listu protestu przeciwko pogrzebowi na Wawelu. Imperatyw jedności, jedności za cenę knebłowania ust groźnie przetacza się przez kraj. Prawa, prawa! Kto tam znowu lewą! Ale to nic, minie za chwilę. Kończymy utarczki, bo zbliża się pogrzeb. Wawel to Wawel – Piłsudski dostanie nieproszonego sublokatora w przedsionku. Może się polubią, ale na razie marszałek, jak go znamy, pewno ciska słowa nieparlamentarne.

Ale co to? Świat nie żyje już naszą tragedią, lecz patrzy w niebo, wypatrując niewidzialnej chmury wulkanicznego pyłu, na wiele dni uziemiającego samoloty, razem z milionami pasażerów. Dramat komunikacyjny i ekonomiczny, pierwszy taki w dziejach europejskiego lotnictwa. Znowu coś nadzwyczajnego i katastrofalnego, a w dodatku z lataniem związanego, wplata się w ciąg znaczących wypadków. Od nadmiaru tych znaczeń, od całej tej katyńsko-wulkanicznej metafizyki zaczyna nas boleć głowa. Życie jest czasem jak kiepska literatura. Ale może jeszcze wyjdzie nam ten wulkan na dobre. Bo czy dalibyśmy radę upilnować w Krakowie stu delegacji zagranicznych, z Obamą i Miedwiediewem? Tak czy inaczej, nikt nie zaprzeczy, że koniec świata już blisko. Bóg sypie nam popiół na głowy. Grafomani czują świeżą krew. Tymczasem czekamy na komunikaty o delegacjach odwołujących przyloty. Córka pyta, czy pójdziemy zobaczyć Obamę. Nagle się dziecko upolitycydziło. Nie, nie pójdziemy, bo będą setki tysięcy ludzi, a do Obamy daleko. Zresztą pewnie nie przyleci, bo ta chmura. No i nie przyleciał. Za to poleciał w interior, na partyjkę krykieta. Inni też odpadli. W dniu pogrzebu Marii i Lecha Kaczyńskich była przepiękna pogoda. Normalni siedzieli w domach lub wyjechali z miasta, bojąc się prawdziwych. W telewizji straszili, że będzie ich milion. Tak naprawdę na starówkę przyszło sto pięćdziesiąt tysięcy – prawdziwych i normalnych pospół. Miasto było tego dnia puste, całkiem przejezdne. Miałem komentować dla TVN-u. Nie wiedzieli, jak będzie, toteż przywieźli mnie nad Wisłę, do polowego studia, dwie godziny przed programem. Dziesiątki znudzonych ekip z całej Europy, cudzoziemscy komentatorzy polegający na trawnikach, wokół niedzielni rowerzyści. Na wprost nas Wawel i armaty czekające na oddanie salw. A my czekamy na wieści. Jakies samoloty jednak latają. Ten doleciał, ten znów nie. O, są Rosjanie. Podobno Miedwiediew jest z Tuskiem na Wawelu. Trzeba zrobić make up. Dziwnie się czuję, gdy pudruje mnie kobieta – jakaś aseksualna i przez to absurdałna perwersja. Podobno prezydentem będzie Buzek, chociaż rozwodnik. Agata będzie pierwszą damą? Dla mnie bomba. „Rewers” to świetny film. Podobno ten Gruzin doleciał do Rzymu i przedziera się na koniu. Gadu-gadu, jak to na pikniku. Lubię dziennikarzy i techników telewizyjnych, mimo że jakiś dziwny, nieokreślony konflikt klasowy podtruwa atmosferę każdego telewizyjnego studia. Nagranie o jakiejś metafizyce, jakiejś śmierci itp. Bitą godziną. Tere-fere, taki support do pogrzebu. Nic głupszego od mądrości. Był Grzegorz Miecugow i pewien dominikanin, dość miły. Pogadaliśmy, zawieźli do domu. Pogrzeb dopiero się zaczyna. Boże, jak pięknie śpiewają w tym kościele Mariackim! Jakież to piękny i uroczysty jest pogrzeb! Przemarsz konduktu ulicą Grodzką na Wawel – niezapomniany. Tylko żałobnicy jacyś tacy za bardzo żurnalowi, prawie jak z „Dynastii”. No ale taki pogrzeb?! Warto by umrzeć dla takiego pogrzebu. Gdzie ja będę leżał? Kiedy? Ilu ludzi przyjdzie na pogrzeb? E, wtedy już nie będzie pogrzebów.

*

Kilka dni później jadę samochodem na długiej trasie. Słucham Rydzyka. Polska jest w upadku. Naród ulega wynarodowieniu. Dyktatura liberalna tak to sobie obmyśliła, że będzie się krzewić aborcję, żeby było jak najmniej Polaków. A na starość nie będzie już komu szklanki wody podać. Bo kobiety nie rodzą, a na usługi nie ma co liczyć. Te firmy ubezpieczeniowe tak to sobie bowiem wykombinowały, żeby nie wypłacać tych świadczeń, że będą propagować eutanazję. A tymczasem najlepsze siły narodu, elity, giną. I śledztwo jest w rękach Rosjan. No i jak to jest, że to Rosjanie prowadzą to śledztwo, a nie nasi? Czy gdyby amerykański samolot się tam rozbił, to Amerykanie by pozwolili, żeby ktoś za nich prowadził śledztwo? Uwielbiam słuchać Rydzyka. Pospieszalski, jeden z bohaterów tych dni, mówi zaś, że uwielbia słuchać mnie. Wszyscy się uwielbiamy i jemy sobie z dzióbków, zanim włączą kamery oraz po programie. Jesteśmy ludźmi rozsądnymi i nie chcemy z nikim zadzierać. Nie wiadomo, co się jeszcze zdarzy. Przed oczami staje mi scena, gdy Lech Kaczyński poklepuje Donalda Tuska po plecach w Brukseli, w słynnym starciu o krzesło. To była cała Polska – od małości do umiaru. Tacy jesteśmy – nie zginiemy, bo ostatecznie wolimy poklepać się po plecach niż tłuc po mordach lub pojedynkować. Wszystko jest trochę na niby, wszystko minie. Będzie spoko. Spotkamy się na grillu. Wypijemy browca. Prawdziwi z normalnymi. Za zdrowie pań, za dusze poległych w Smoleńsku. Donek z Jarkiem też jeszcze kiedyś wypiją. Nie, nie lękamy się już.

Straszna ta katastrofa. I straszny ten tekst. Przepraszam was.

*

Ten tekst w zasadzie nie nadawał się do publikacji. Ma cechy arogancji i egzaltacji. Jeśli jednak zdecyduję się na druk, to dlatego, że jest autentycznym świadectwem moich odczuć, doświadczeń i obserwacji po katastrofie smoleńskiej, a tym samym ma pewną wartość dokumentalną dla tych, którzy będą go ewentualnie czytać w odleglejszej przyszłości, pragnąc dowiedzieć się, jaka panował w te dni atmosfera w kraju. Powiadam „autentycznym”, gdyż o szczerości trudno mówić, gdy człowiek właściwie sam nie wie, co ma sobie o tym wszystkim myśleć. Ponadto utwór ten wiele mówi o swoim autorze, a nie wykluczam, że ten i ów mógłby się jego osobą dziś czy jutro interesować. To też jest jakiś, choć może nie najszlachetniejszy, powód do publikacji. Jak wspomniano, kontrowersyjny ten tekst został napisany na prośbę red. Wojciecha Dudy, szefa „Przeglądu Politycznego”. Miał być osobistą, na gorąco spisaną impresją z pierwszych dni po katastrofie lotniczej 10 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku, w której zginął prezydent Polski Lech Kaczyński i 95 innych osób, w tym wielu ważnych

polityków oraz generałów. Pisząc, czułem już, że nie będzie to mogło pójść w całości i że nie będzie głównym materiałem na temat katastrofy w najbliższym numerze „PP”, tak jak planował to sobie z początku red. Duda. Ostatecznie w setnym numerze „Przeglądu”, w czerwcu 2010 roku, ukazało się kilka wypowiedzi na temat Smoleńska, a w tej liczbie okrojona do jednej trzeciej moja tyrada.

NIE MA ODWROTU OD USTROJU WOLNOŚCI

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „RZECZPOSPOLITEJ” Z 6 WRZEŚNIA 2010 R.

Spośród wielu pojęć opisujących przewagę nowoczesnego społeczeństwa nad społeczeństwem przednowoczesnym bądź „tradycyjnym” najstarsze jest pojęcie tolerancji. Już w okresie reformacji i wojen religijnych w Europie nadzieje na pokój wiązano z upowszechnieniem pewnego minimalistycznego ideału politycznego, który nazwano tolerancją. Ideał ten zawdzięczamy pisarzom politycznym – od Spinozy, poprzez Locke’a, po Woltera, jakkolwiek w praktyce tolerancja istniała okresowo tu i ówdzie od zawsze. Minimalizm świadomie formułowanej idei tolerancji polega na tym, że postulowana w nim postawa nie nakłada ani na książąt, ani na zwykłych ludzi żadnych nierealistycznych zobowiązań. W szczególności zgoda na tolerowanie innych wyznań – bo właśnie o religię pierwotnie tu chodziło – bynajmniej nie oznacza, że przestaje się uważać własne wyznanie za jedynie prawdziwe, a pozostałe za fałszywe. Nie oznacza nawet tego, że nie będzie się pogardzać fałszywą wiarą ani jej dyskryminować. Oznacza jedynie, że mniejszości – katolickiej czy protestanckiej albo żydowskiej lub muzułmańskiej – pozwoli się żyć spokojnie i praktykować swoją religię w kraju, którego religią państwową jest inne wyznanie. Tym samym polityczny koncept tolerancji zakłada tradycyjne, przedliberalne stosunki społeczne i ustrojowe, w których państwo uznaje jedno z wyznań za swoje, na różne sposoby wspierając je i faworyzując, a w przypadku, gdy było to wyznanie katolickie, uznaje też pewne ograniczenia własnej suwerenności na rzecz władzy papieskiej. Cała rzecz na tym tylko polega, żeby wyznanie panujące nie niszczyło innych wspólnot wyznaniowych. W czasach współczesnych, w odniesieniu do państw świeckich i demokratycznych, dbających o zachowanie równego dystansu do wszystkich wyznań, tolerancja jest więc ideą zupełnie anachroniczną i „nie na temat”. W swoim czasie odegrała jednakże ogromną, pozytywną rolę – a mogła odegrać jeszcze większą.

Niestety, idea tolerancji, mająca przede wszystkim podbudować pokój między protestantami i katolikami (razem z zasadą „czyja władza, tego religia”) przyjmowała się dość opornie, z uwagi na niejasną kwestię granic tolerancji. Jako że począwszy od XVI wieku zaczęły powstawać w Europie suwerenne państwa lokalne, z czasem coraz silniej określające swoją tożsamość w oparciu o czynniki religijne i etniczne, wielkiego znaczenia nabrała idea lojalności obywatelskiej wobec państwa. Dlatego naturalną rzeczą wydawało się wyznaczenie granicy tolerancji w tym samym miejscu,

w którym przebiegała granica lojalności i nielojalności. Katolików wszelako trudno było uznać za w pełni lojalnych wobec państw lokalnych, zwłaszcza protestanckich, skoro z natury rzeczy uważali się oni za posłusznych papiestwu. Ponekąd łatwiej było Anglikom czy Holendrom tolerować Żydów niż katolików. Jako projekt polityczny ideał tolerancji napotykał poważne przeszkody. Jeśli prześladowania i walki religijne w ciągu XVIII i XIX wieku stopniowo w Europie wygasły, to raczej z powodu ogólnego wzrostu ucywilizowania niż z racji jakiegś głębokiej internalizacji idei tolerancji przez społeczeństwa Zachodu. Również stopień, w jakim w tym czy innym kraju, w tej czy innej epoce dopuszczalna była pewna swoboda i różnorodność obyczajów, zależał nie od jakiegoś elitarnego projektu „liberalnego”, ale od zjawisk społecznych związanych z tworzeniem się nowych systemów władzy i dyscypliny społecznej. Analogicznie, zagęszczenie przemocy i dyskryminacji w życiu społeczeństw nowożytnych było funkcją sytuacji politycznej, ekonomicznej czy społecznej, dającej się opisywać w kategoriach nauki historii oraz teorii politycznej. Niemniej jednak, poczynając od XVIII wieku, zaczęła się w Europie rozwijać kultura liberalna, oparta na nowych ideałach politycznych i etycznych, stopniowo przyjmowanych przez całe grupy społeczne, państwa, a nawet całe społeczeństwa. Nie umiem powiedzieć, w jakiej mierze rozwój kultury liberalnej, kulminujący w naszych czasach, gdy cały świat albo praktykuje liberalną demokrację, albo przynajmniej udaje, że to czyni, był dziełem duchowym – następstwem upowszechnienia ideałów nowej, liberalnej moralności, a w jakiej mierze był procesem politycznym, dającym się wytłumaczyć interesami i czynnikami obiektywnymi. Być może rola pisarzy i myślicieli nie była aż tak wielka. Faktem jest jednak, że rewolucja się dokonała. W wyniku tej rewolucji straciły legitymację moralną oba modele polityczne, które znała chrześcijańska Europa: feudalny i wczesnonowożytny, oparty na zasadzie oświeconego paternalizmu, stanowiącego, że władza państwowa kieruje sprawami doczesnymi wszystkich stanów, a kościelna sprawuje pieczę nad moralnością publiczną i życiem duchowym.

Kultura liberalna nie ogranicza się zresztą do kontestacji władzy autorytarnej czy paternalistycznej jako niesprawiedliwej z racji swej arbitralności. Rewolucja moralna liberalizmu jest głębsza. Domaga się wprowadzenia rządów prawa i jest to jeden z powodów sprzeciwu wobec władzy paternalistycznej, przede wszystkim jednak domaga się poszanowania wolności indywidualnej oraz równości, bez względu na pochodzenie, wyznanie, rasę, płeć czy orientację seksualną. Dezyderat równości prowadzi zaś do żądań demokratycznych oraz sprzeciwu wobec wszelkiej dyskryminacji, a nawet do żądań idących w kierunku ograniczenia różnic społecznych i majątkowych.

Wartości kultury liberalnej są bardzo proste i można je ująć w formie postulatów adresowanych do rządów, czyli władzy państwowej, a zwłaszcza władzy prawodawczej. Najważniejszy postulat żąda, aby państwo stało na straży wolności kultywowania

przez obywateli – jednostki i grupy – takich form życia, jakie same dla siebie wybiorą, dokładając starań, by wprowadzając ład prawny i ład publiczny, ograniczały swobody obywateli w najmniejszym możliwie stopniu. Zwłaszcza zaś nie jest dopuszczalne, aby jakakolwiek władza, wykorzystując swój demokratyczny nawet mandat do rządzenia, wcielała w życie w postaci nakazów i zakazów takie formy zachowań, które za najlepsze uważa jakieś ugrupowanie polityczne, jakaś instytucja religijna lub po prostu większość obywateli. W społeczeństwie wolnym władza i prawo nie służą do sankcjonowania takich czy innych wyobrażeń o dobrym życiu, a dobra wola i silne przekonanie o moralnej słuszności pewnych zachowań nie są wystarczającą podstawą do narzucania ich społeczeństwu drogą nakazów i zakazów. Władza więc musi być – i to jest kolejny postulat – na ile się da bezstronna w sprawach, które ludzi dzielą i co do których nie ma szans na zgodę powszechną. Są to wszelkie sprawy związane z przekonaniami religijnymi, metafizycznymi, z obyczajami. Inaczej mówiąc, w państwie liberalnym trzeba mieć poważne powody, aby ludziom czegoś zakazać. Nie wystarczy do tego mandat demokratyczny (reprezentowanie woli większości), nie wystarczy dobra wola, a nawet racja moralna. Obywatele mają bowiem prawo sami siebie krzywdzić oraz dokonywać złych wyborów. Przymus i przemoc mogą wystąpić tam, gdzie panuje powszechna zgoda co do ich wartości (tak na przykład istnieje powszechna zgoda, że własność i integralność fizyczna powinna być chroniona przez władze policyjne i sądowe) oraz tam, gdzie są niezbędne dla utrzymania równej wolności, to znaczy tam, gdzie korzystanie ze swej wolności przez jednych odbywało się kosztem wolności innych.

W państwie liberalnym trudno się rządzi, gdyż niewiele wolno obywatelom nakazywać lub zakazywać. Namiętność do kierowania innymi, pouczenia ich, jak mają żyć, nie znajduje tu dla siebie wystarczającego pola. W państwie takim wszyscy cieszą się wolnością, a najbardziej związane ręce zdają się mieć rządzący. Obywatele mogą być fanatycznymi wyznawcami jakiejś religii czy ideologii, a rządzący muszą zachowywać powściągliwość w ujawnianiu swoich przekonań, nie mówiąc już o instytucjach, których zachowanie nie może wzbudzać obawy, że taki czy inny model życia, tradycja czy pogląd jest przez nie lepiej widziany niż inne. Koszt liberalnej demokracji jest dość wysoki – środowiska przyzwyczajone do dominowania, rozkazania, pouczenia muszą zadowolić się wywieraniem wpływu jedynie mocą własnej zdolności przekonywania, bez pomocy żadnych przywilejów.

Ochrona równej wolności przed władzą autorytarną, w tym autorytarnym rządem demokratycznym, to jednak nie wszystko. Dla kultury liberalnej naszych czasów charakterystyczne jest odrzucanie nienawiści, fanatyzmu, pogardy, które prowadzą do dyskryminacji, niesprawiedliwości, a nawet wojny. Wprawdzie osobom i grupom zamkniętym we własnym poczuciu wyższości i wgardzie dla wszystkiego, co inne,

zapewnione jest bezpieczeństwo i swoboda kultywowania własnych przekonań, niemniej jednak klimat społeczny państw i społeczeństw liberalnych jest tego rodzaju, iż wypowiedzi wyniosłe i pogardliwe, a nawet zaledwie protekcyjne uważane są za niestosowne w sferze publicznej. Wynika to z przyjęcia w kulturze liberalnej zasady moralnej, którą nazwać można zasadą poszanowania. Nie chodzi tu wcale o tolerancję ani nawet o szacunek dla godności ludzkiej. Chodzi o świadomość, że inni – niezależnie od tego, czy uważamy ich za lepszych, czy gorszych od nas samych, czy ich lubimy, czy nie – mają prawo być tu z nami, żyć bezpiecznie i korzystać z równych praw, bez poczucia, że są obcy, zaledwie tolerowani.

Zasada poszanowania umocowana jest nie w jakichś przekonaniach metafizycznych (na przykład takim, że każdy człowiek jest unikalną osobą stworzoną przez Boga na Jego obraz i podobieństwo i w tym wyraża się jego godność), lecz w cnocie skromności i powściągliwości. Bez tej cnoty trudno poskromić pragnienia dominowania nad innymi, narzucania im własnych przekonań, protekcyjizmu. Bez tej cnoty trudno praktykować równą wolność, a zwłaszcza wykonywać mandat władzy w sposób liberalny, a więc stale zapytując samego siebie, czy aby nie ulegam pokusie ograniczania wolności obywateli poza niezbędną potrzebę, wynikłą z konieczności zagwarantowania im równej wolności i bezpieczeństwa. Tolerowanie może być jeszcze wzgardliwe, może być protekcyjne – poszanowanie musi mieć za sobą jakąś dozę pokory. Kultura liberalna jest właśnie kulturą łagodności i pokory – dopuszcza przemoc jedynie wobec tych, którzy nie zadowolając się własną wolnością, chcieliby nastawiać na wolność i bezpieczeństwo innych. Państwo liberalne jest jakby odwrotnością państwa totalnego – to ostatnie kontroluje obywateli, poddając ich nieustannie czynnościom wychowawczym i dyscyplinującym, to pierwsze zaś nieustannie kontroluje i wychowuje samo siebie, aby w zarodku już zdusić wszelkie tendencje autorytarne, wszelką ochotę na meblowanie ludziom życia wedle własnych gustów i przekonań, jak żyć się godzi, co jest, a co nie jest obyczajne, jaką naturę ma człowiek i jaki jest sens jego życia.

Ustrój liberalnej demokracji różni się tym od ustrojów tradycyjnych, że nie opiera się na żadnym zespole przekonań dotyczących tego, jak powinno się żyć, lecz na ideałach politycznych szacunku dla równej wolności. Państwo takie nie ma więc żadnej własnej ideologii, a co najwyżej pewien jej negatywny i, by tak rzec, metaprzmiotowy odpowiednik w postaci zakazu angażowania się przez rząd po stronie jakiegokolwiek ideologii, religii czy metafizyki. Ten osobliwy ustrój ma to do siebie, że wszyscy żyjący w nim ludzie mogą bez przeszkód kultywować drogie im sposoby życia, a jedyne, czego im brak, a co bywa przywilejem większości w państwach autorytarnych, to możliwość zaprowadzania porządków publicznych, w których mniejszości muszą podporządkowywać się obyczajom większości i znosić ich

dominację. Doświadczenie wskazuje jednak, że społeczeństwa, które weszły na drogę liberalnej demokracji, nie chcą się jej wyzybywać dla folgowania namiętności dominowania nad mniejszościami. Co więcej, nawet konserwatywnie i tradycyjnie żyjący obywatele takich państw nie życzą sobie na ogół, aby ich poglądy były sankcjonowane przez porządek prawny. W USA katolicy nie chcieliby, aby w siedzibie Kongresu wisiał krzyż, a prezydent pokazywał się w otoczeniu katolickich biskupów. Wolność, której jedną z gwarancji jest neutralność wyznaniowa państwa, cenią sobie wszyscy. Dlatego można powiedzieć, że od ustroju wolności nie ma odwrotu – raz zdobyte swobody i gwarancje wolnościowe nie mogą już zostać społeczeństwu trwale odebrane. Skądinąd, liberalna demokracja nie zabezpiecza przed biurokracją ani mnożeniem się państwowych regulacji, czasami wręcz służącym zabezpieczeniu wolności obywateli, które w nadmiarze stają się uciążliwe niczym ograniczenia wolności. Bynajmniej nie znaczy to jednak, aby niezadowoleni z „liberalnej biurokracji” obywatele chcieli zamienić ją na jakikolwiek rząd autorytarny. Nikt, kto doświadczył życia w wolności, dobrowolnie się jej nie zrzeka, nie oddaje innym prawa dokonywania wyborów we własnych sprawach ani nie zgadza na oddanie komukolwiek arbitralnej władzy nad sobą.

Kościół chrześcijański, w tym Kościół katolicki, od jakiegoś czasu akceptują dokonaną już rewolucję liberalną. Trwało bardzo długo, zanim Kościół katolicki zaprzestał walki ze swobodami demokratycznymi, uznał podstawowe prawa liberalno-demokratyczne, takie jak: wolność słowa, wolność wyznania, równouprawnienie wyznań, rozdział Kościoła od państwa. Sto lat temu trudno było przypuszczać, że Kościół opowie się za demokracją, świeckością państwa, równouprawnieniem kobiet, a jednak zmienił zdanie i wszystkie te poglądy liberalne przyjął. Byłoby czymś nieracjonalnym spodziewać się, że nie uczyni tego w stosunku do spraw, wobec których dziś zajmuje stanowisko radykalne. Miałby Kościół w nieskończoność zwalczać antykoncepcję, skoro wierni i tak ją będą stosować? Byłoby to przecież dowodem na to, że Kościół nie ma autorytetu wśród własnych wyznawców. Głos Kościoła nie może trwale rozmijać się z przekonaniem i obyczajami wyznawców, wobec czego musi jakoś za nimi nadążyć. Im szybciej nadąży, tym lepiej dla jego popularności. Dlatego nie widzę powodu do niepokoju, gdy chodzi o upowszechnianie się wolności. Kościół katolicki nie może – a mam nadzieję, że w głębi duszy nie chce – być przeszkodą na drodze usuwania z życia społecznego przejawów dyskryminacji, nierówności i arbitralnego przymusu. Jednak Kościół katolicki nie jest monolitem – są w nim różne nurty i różne osobliwości lokalne. Jedną z nich jest Kościół w Polsce. Z całą pewnością nie jest on w awangardzie światowego katolicyzmu, a nawet więcej – w porównaniu z Kościołami katolickimi w innych krajach europejskich odznacza się zadziwiającym anachronizmem, który w znacznym stopniu utrudnia mu przystosowanie się do warunków

liberalnej demokracji. Innej wszelako możliwości niż przystosowanie Kościoła nie ma, gdyż wierni ani myślą poddawać się kierownictwu Kościoła w sprawach życiowych i nie uważają, aby wiara katolicka odbierała im prawo do odmiennego od doktryn katolickich zdania w różnych kwestiach. Tak na przykład wyobrażenie, iżby polscy katolicy mieli nie korzystać z antykoncepcji albo z metody *in vitro* tylko dlatego, że nie podoba się ona biskupom, jest całkowicie fantastyczne i dorównuje pod tym względem mrzonkom, jakoby Kościół mógł odwieść ludzi od przedmałżeńskiego seksu. Walka o takie sprawy jest z góry przegrana i może co najwyżej zniechęcić młodych ludzi do członkostwa (wszak całkowicie dziś dobrowolnego!) w Kościele katolickim i poszukania innego wyznania.

Różnica między Kościołem w Polsce a Kościołami w innych krajach Europy jest uderzająca. Tym, co najbardziej rzuca się w oczy katolikowi przyjeżdżającemu z zagranicy i poznającemu miejscowe życie katolickie, jest paternalistyczno-protekcjonalny sposób odnoszenia się księży i biskupów do swych wiernych, przypominający manieri dawnych stuleci. W Polsce księdza rozpoznać można od razu po osobliwej modulacji głosu, nadającej wypowiedzi ton protekcjonalny, nauczycielski, a będącej dla ucha człowieka przybywającego ze świata liberalnego nieznośnym manieryzmem. Dla katolików z Zachodu zadziwiające jest izolowanie się księży od wiernych, brak zwykłych koleżeńskich kontaktów osób duchownych z parafianami. Przed kościołami na Zachodzie widzimy, jak po mszy księża rozmawiają w zwykły, koleżeński sposób z wiernymi. Któryż wierny w Polsce uważa się za kolegę swego księdza? Największe zadziwienie budzi jednak sposób gromadzenia pieniędzy za pomocą zbiórki „na tacę”, po której nie następuje żadne rozliczenie, żadna informacja, ile pieniędzy zebrano i na jaki cel zostaną wydane. Dla zwykłego człowieka, a w tym dla zwykłego katolika mieszkającego w solidnie demokratycznym kraju, takie stosunki są nie do zaakceptowania.

Dziś nie czas mówić o tolerancji. Obowiązek tolerowania innych wyznań i innych niż nasze światopoglądów czy obyczajów jest oczywistością potwierdzoną przez konstytucje wszystkich cywilizowanych narodów. Nikt już nie robi łaski, że „toleruje”: innowierców, ateistów, homoseksualistów, Żydów czy Arabów. Sama myśl, iżby jakaś grupa społeczna czy środowisko miało być pozbawione praw analogicznych do tych, jakimi cieszą się inne grupy, zakrawa na dyskryminację, dla opinii publicznej krajów Zachodu stanowiąc skandal. Jeśli stawiamy pytanie o tolerowanie innych niż my sami, to co najwyżej w kontekście jakichś uciążliwości czy strat, jakie praktykowanie obcego nam stylu życia przez pewną grupę mogłoby przynieść innym grupom lub nawet samym przedstawicielom grupy inkryminowanej. Pokrewne są pytania o zasadność przywilejów, jakimi cieszą się niektóre grupy i środowiska. Życie społeczne wolnego kraju nie jest wolne od tego rodzaju kontrowersji i oczywiście do ich języka

należą słowa „tolerować” czy „tolerancja”, ale już nie w swoim właściwym znaczeniu politycznym. Możemy więc zadać retoryczne pytanie: „Jak długo jeszcze mamy *tolerować* dyskryminację prawną osób homoseksualnych?” albo: „Jak długo mamy jeszcze *tolerować* uprzywilejowanie związków wyznaniowych w sferze fiskalnej i reprivatyzacyjnej?”, nie zaś: „Czy powinniśmy tolerować homoseksualistów?” albo: „Czy powinniśmy tolerować uczenie dzieci o cudach?”. Tolerancja wszak jako taka jest dziś poza dyskusją – nie ma żadnej moralnej ani prawnej racji przemawiającej za ograniczaniem praw kogokolwiek, kto korzystając z tych praw, nie naruszałby bezpieczeństwa, wolności ani uprawnień innych osób. Czas za to na dyskusję o *poszanowaniu* jako o moralnym obowiązku. Czy jestem zobowiązany okazywać poszanowanie osobom żyjącym w związkach homoseksualnych albo w celibacie?

Odpowiedź na pytanie o moralny obowiązek poszanowania utrudnia pokrewieństwo poszanowania z dwiema bardziej wyrazistymi ideami. Z jednej strony jest to idea powściągliwości i związany z nią wymóg odnoszenia się z szacunkiem do partnera publicznej dyskusji. Tu nie ma zaś żadnych kontrowersji. Obowiązują nas wszystkich dobre obyczaje. Z drugiej strony mamy ideę szacunku – i tu wszelako sprawa jest jasna. Nikt nie ma obowiązku szanować kogokolwiek, a to dlatego, że ani siebie samego, ani innych nie można do żywienia uczucia szacunku przymusić. Poszanowanie to jednak coś trochę innego. Polega ono na uznaniu podmiotowości i autonomii nawet tych, których się nie szanuje. Takiej postawy można się nauczyć, ale czy mamy obowiązek ją przyjmować? Nie wiem, lecz na wszelki wypadek staram się to czynić. Poszanowanie nigdy przecież nie jest złe. Mam nadzieję, że kiedyś w Polsce ludzie będą okazywać sobie więcej owego niekoniecznie może obowiązkowego poszanowania, a miłość wolności i jasne poczucie wynikających z prawa do wolności uprawnień osobistych oraz cech ustroju państwa i praktyki politycznej staną się powszechne. Mam też nadzieję, że tym, czego nauczymy się nie tolerować w naszym życiu publicznym, będą nietolerancja i agresja, polityczny paternalizm i protekcjonalizm, ideologizacja władzy politycznej, a nade wszystko dyskryminacja.

*

Zawsze bardzo się cieszę, gdy media stwarzają mi sposobność do wyjaśniania, czym jest liberalizm. Nie ma chyba w języku politycznym pojęcia bardziej zakłamanego przez ignorantów, kłamców i hipokrytów niż właśnie liberalizm. Co gorsza, czasami nawet liberałowie posługują się nim w bardzo zawężonym znaczeniu. Kłopoty semantyczne wiążą się też z pojęciem tolerancji. W tym tekście miałem okazję zająć się jednym i drugim. Posłużyłem się świadomie tonem mentorskim. Liberalizm stwarza wyjątkową okazję do apodyktycznego, przypominającego język ideologii, sposobu

wypowiadania się bez najmniejszego ryzyka indoktrynacji. Wolno bowiem, a nawet trzeba przypominać ludziom, że są wolni i mają prawo żyć, jak chcą, a więc i wedle swoich rozmaitych „doktryn”. „Bądź wolny i szanuj wolność innych – niech żyją po swojemu” – czy tego hasła nie wolno wypowiadać tonem apodyktycznym? Jeśli ktoś sądzi inaczej, musi się gęsto tłumaczyć. Ciekawe, jak chciałby uzasadnić negację albo choćby osłabienie zawartego w przytoczonym hasle postulatu. Może miałoby być jakoś tak, że mamy być tylko trochę wolni albo tylko czasem? A może szanować wolność innych też należy jedynie trochę? Jak żyję, nie słyszałem żadnego argumentu przeciwko etycznym postulatom liberalizmu. Same kręactwa nie na temat. Liberalna publicystyka jest niezwykle komfortowa. Można wygłaszać tyrady bez obawy, że się kogoś zdominuje, zniewoli, odbierze mu wolność własnego osądu. To prawie jak z matematyką.

LESZEK MĄDRY

[LESZEK KOŁAKOWSKI, CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY I 27 INNYCH KAZAŃ,
KRAKÓW: ZNAK 2006.]

Recenzja została opublikowana w numerze 39 (2006) biuletynu informacyjnego „Principia – Ekspres Filozoficzny”, który przez piętnaście lat ukazywał się jako dodatek do redagowanego przeze mnie od 1989 roku do dziś czasopisma „Principia”. Później tekst przedrukowano w okolicznościowym wydawnictwie przygotowanym w imieniu miasta Radomia przez W. Chudobę na okoliczność urodzinowych odwiedzin swego rodzinnego miasta przez Leszka Kołakowskiego (*Bene Merenti Civitas Radomiensis. Leszkowi Kołakowskiemu w 80 rocznicę urodzin, Radom 2007*).

Nie ma racji autor, pisząc we wstępie o zbiorze swych drobniejszych prac filozoficznych, teologicznych i politycznych z lat 1967–1981, wydanym nareszcie w Polsce, jako o rzeczy raczej bagatelnej. Są tam, to prawda, pomieszczone również artykuły okazjonalne i popularne, ale nie brak tekstów wspaniałych i doniosłych. Wszyscy je znamy, ale powinniśmy przeczytać po raz wtóry. Tytułowy zaś esej, poświęcony naszej dwuznacznej wierze i niewierze w zło i nieprzewidywalne skutki grzechu pierwotnego, zawierający wstrząsającą litanie inicjowaną słowami: „Udajemy, że wiemy...”, przemawia do serc i umysłów jak dzwon o brzmieniu pewnym, lecz melancholijnym. To wielka moralistyka! Do najrozmaitszych tematów poruszonych w książce nie mogę się odnieść w tak krótkiej wypowiedzi. Chciałbym za to podjąć się rekonstrukcji ogólnej filozoficznej postawy i umysłowości tego autora, choć chciałoby się także wydobyć z jego tekstów kilka przekonań bardziej osobistych i bardziej kontrowersyjnych (jak na przykład teza, że tortury zawsze, a więc nawet gdy są stosowane do wymuszenia zeznań zapobiegających śmierci wielu osób, są godne potępienia), przekonań unoszonych z prądem enuncjacji jednoznacznie słusznych i nieodpartych, a przy tym tak pięknych i językowo doskonałych, że do dyskusji niezachęcających. Bo zaiste, siłą Leszka Kołakowskiego jest zdumiewająca erudycja i mistrzostwo słowa, zaprawione drobnymi manieryzmami podkreślającymi tylko charakter i niezależność tego myśliciela. To jednak dla filozofa również pułapka i źródło słabości. Zbyt jasne i sprawne wyrażanie rzeczy słusznych, zwłaszcza gdy więcej w tym rozeznaj niż ryzykownych sądów własnych, czyni utwory tyleż doskonałymi, co skończonymi: nic dodać, nic ująć, a więc poniekąd tak, jakby ich w ogóle nie było, a wszystko, co w nich zapisano, znane było każdemu i tak. Tym bardziej więc szacunek dla Kołakowskiego wymaga, by szukać u niego poglądów nieoczywistych,

jakichś idiosynkrazji, jakichś uskoków w tej koncyliacyjnej racjonalności, która godzi porządek serca i rozumu, pewność siebie inteligencji z odwagą i pokorą wobec dwuznaczności i tragizmu ludzkiej, najinteligentniejszej nawet, egzystencji. Muszę to jednak odłożyć na inną okazję.

Oto, jak mi się wydaje, jest pogląd Leszka Kołakowskiego na świat. Dobro i zło, rozum i nierozum są ze sobą zmieszane i zawsze tak będzie. Nie odbiera to jednak sensu *staraniom*, które oprzeć musimy na dobrej woli, krytycyzmie, wiedzy, a nade wszystko na wyrzeczeniu się w życiu nienawiści. Choć budulec naszych dzieł nigdy nie będzie jednoznacznie dobry, podobnie jak nasze intencje, warto i trzeba dokładać *starań*. Ułomne nasze dzieła, osobiste i cywilizacyjne, mogą bowiem uczynić świat miejscem nieco lepszym, znośniejszym niż dziś. Wielkie tradycje, w tym chrześcijaństwo i socjalizm, choć zawsze jednostronne i niekomponujące się w żadną wielką i harmonijną Prawdę, zawierają jednak części prawdy i moralnej słuszności, jakkolwiek nieustannie zagrożone spaczeniem wynikłym z tendencji fanatycznych, z pokusy, by traktować człowieka jak rzecz lub nawóz historii albo z infantylnemu wiary, że ostatecznie wszystko zmierza do zbawczego metafizycznego ładu. Autentyczne są bowiem zarówno wartości, jak i zło. Tragizm naszego bytu, nieuchronność zła (i czynienia zła, mimo najlepszych chęci), nieziszczalność naszych, niejasnych zresztą, aspiracji ostatecznych, niczego przy tym nie usprawiedliwia – ani nihilizmu, ani kwietyzmu, ani cynizmu, ani desperacji, ani rewolucji, ani infantylnych iluzji. Skłania za to do powagi i odpowiedzialności, choć jednocześnie także do pewnej ironii i autoironii, bez których popadamy w zarozumialstwo. Również sceptycyzm jest pożądany, ale tylko sceptycyzm konstruktywny i otwarty, broniący nas przed łatwym dogmatyzmem. Takie umiarkowanie przekonań i usposobienia jest zbawienną cnotą, lecz w sprawach życia i śmierci wymagana jest nieustępliwość.

Człowieczeństwo nie jest tylko abstrakcyjną ideą, ale nie jest też po prostu przypadkiem natury. Dlatego należy trzymać się Kantowskiej lekcji o „abstrakcyjnym indywiduum”, głoszącej godność i prawa *jednostki* jako *człowieka w ogóle*. Lekcję musimy też wziąć od chrześcijaństwa, które jest „seminarium ducha europejskiego”. Bez religijności w ogóle niepodobna wyobrazić sobie świata społecznego, którego warunkiem jest moralność. Ta zaś wyrasta ze zdolności do pocucia winy. Ono jest fundamentem naszego doświadczenia *sacrum*, a przeżywamy je, czy chcemy, czy nie, właśnie w kontekście biblijnym. Dlatego każdy z nas jest w jakimś stopniu chrześcijaninem i przyjmuje wewnętrznie judeochrześcijańskie przesłanie o wolności człowieka ku dobru i złu, o nadziei, miłości i grzechu. W chrześcijaństwie zakorzenione jest nawet antychrześcijańskie z pozoru oświecenie, nawet ateizujący liberalizm. Bo chrześcijaństwo jest w swej istocie humanizmem i humanizmem jest każda wielka tradycja myślowa naszej kultury. Jej szczególność, a nawet wyższość nad innymi,

polega na samokrytycyzmie i zdolności rozciągnięcia swych imponderabiliów na resztę ludzkości, a więc właśnie na humanizmie.

Epistemologia prowadząca do ostatecznych rozstrzygnięć wspiera tylko dogmatyzm i martwość umysłową. Sceptycyzm radykalny odbiera zaś sens wszelkim staraniom intelektualnym i moralnym. Podobnie też łatwy relatywizm i redukcjonizm oraz afektowane niby-teorie, których nijak nie można sprawdzić, ale potwierdza je wszystko. Triumf naturalizmu, psychologizmu, utylitaryzmu jest tylko pozorny. Musimy ośwoić się z tym, że życie duchowe, kultura i los człowieka nie poddają się opisaniu w jednej opowieści, że są w nich dzieła geniuszu, momenty nieciągłości, sytuacje otwarte i wieloznaczne, które nie pozwalają zredukować się do pozycji wydarzeń naturalnych, dających się wyjaśnić przez niezawodne prawa. I nie jest to wcale woda na młyn irracjonalizmu. Wręcz przeciwnie, irracjonalne jest marzycielstwo „filozofa jednej zasady”. Poważna umysłowość godzi się z perpetualnością i zawodnością swych wysiłków, z aporetycznością i zagadkowością świata.

Polityka nas zawodzi. Dyskursy demokratycznej biurokracji są płytkie i miałkie, podporządkowane łagodzeniu nierozwiązywalnego konfliktu między dążeniem do bezpieczeństwa (w znaczeniu wspólnotowego zakorzenienia i pewności materialnych podstaw bytu) a dążeniem do indywidualnej wolności. W dodatku wokół nas wciąż odradzają się upiory totalizmu, komunistycznego czy nacjonalistycznego, prowadzącego do zbrodni i niewolnictwa, w imię bezwzględnej pewności swych racji wodzów i ideologów głoszących braterstwo i zbawienie ludzkości. Uczciwość i odpowiedzialność w myśleniu i działaniu politycznym poznać można po tym, że zasada „cel uświęca środki” przechodzi w zasadę „środki uświęcają cel”, że toczy się pokojowy dialog, a jedno tylko zostaje wykluczone bezwzględnie: nienawiść, która pociąga za sobą zniszczenie i niewolnictwo. To ostatnie jest zresztą fundamentalną kategorią polityki. Wolność można różnie rozumieć, lecz czym jest niewolnictwo i że jest ono złem, to jawi się jasno. Dogmatyczne, monolinearne i apodyktyczne teorie, tak polityczne, jak moralne i metafizyczne, są same przez się niebezpieczne. Często są wyrazem frustracji i wyobcowania tworzących je intelektualistów. Tym większa jest powinność tych „wytwórców słowa”, by okiełznać ich moce.

Życie nie może obyć się bez wiary i bez wyższych wartości, choć nie mamy zdolności uchwycenia ich w sposób niezależny od naszego kulturowego doświadczenia i tradycji. Dlatego musimy być krytyczni, pokorni i otwarci na nowe doświadczenia. Na szczęście nie brak w dziejach wielkich i czystych wzorców, choć zapewne tylko bardzo nieliczni zdolni są, i to tylko częściowo, przewyżać ludzkie słabości. Nakazem roztropności jest brać pod uwagę to, że nie wie się wszystkiego i niepodobna wszystkiego zrozumieć, a to prowadzi do pewnego konserwatyzmu. Natomiast moralna odraza do wyniosłej moralistyki i patetycznych ideologii, wiodących ku

totalizmowi, skłania do poszukiwań minimalnych warunków przyzwoitości, a właściwie do moralnego przekonania, że powinny być one w wymiarze publicznym krzewione właśnie jako *minimalistyczne*, wolność szanujące. Wykaz tych reguł minimalnych znajdujemy w „Małej etyce” (s. 155), a pierwsza z nich głosi, że „żadna szczególna ideologia polityczna nie da się wydedukować z zasad moralnych”. Jest to deklaracja jawnie liberalna, jeśli za liberalizm uznamy sam ów etyczno-polityczny minimalizm.

Wiara (filozoficzna) bez konfesji (religijnej), moralność bez kodeksu, sceptycyzm bez wyrzekania się pewnych fundamentalnych przekonań, racjonalizm otwarty: krytyczny i samokrytyczny. Do tego szczypta mistycyzmu. Taka jest postawa Kołakowskiego, uwierzytelniona wieloletnim zaangażowaniem publicznym w obronie wolności i sprawiedliwości. Przy tym, choć od dziesięcioleci nie jest już Leszek Kołakowski dogmatycznym socjalistą, pobrzmiewają w jego wypowiedziach tendencje lewicowe. Choć również nigdy nie stał się Leszek Kołakowski wyznawcą chrześcijaństwa, to jako badacz myśli chrześcijańskiej do wielu jej motywów dał się przekonać. Ta dwoistość, pozorna zresztą, boć socjalizm sam ma chrześcijańskie źródła, czyni z Kołakowskiego modelowego myśliciela europejskiego, kogoś, kto lekkim piórem literata i erudyty przekazuje kulturalnej publiczności treści, które w wydaniu takiego na przykład Habermasa są o wiele trudniej dostępne. (Swoją drogą trzeba by kiedyś uważnie porównać obu tych myślicieli, zwłaszcza że Habermas coraz bardziej interesuje się religią).

A jednak, skoro Kołakowski tak nie lubi „niewywrotnych” teorii, jak freudyzm czy marksizm, to nie może nie zauważyć, że jego samego *humanistyczny racjonalizm sceptyczny* też jest taką niewywrotną teorią, a raczej taką niewywrotną postawą. Z pewnością Leszek Kołakowski to wie i, jak sędzę, uważa za swój kształt porażki. Filozof bowiem musi ponieść porażkę (a swoją drogą, ponosząc porażkę, odnosi tym samym pewien sukces, dopełniając naturalnego losu filozofa). Albo potyka się spektakularnie, przez swą jednostronność i zaangażowanie, albo chyłkiem i nijako – przez swą koncyliacyjność, roztropność i wielostronność. Nie wiem, co gorsze. Jakieś szaleństwo wydaje mi się wszelako w filozofii niezbędne.

Leszka Kołakowskiego szczerze podziwiam jako człowieka wzorcowo mądrego, ale przede wszystkim jako człowieka niebywale uczonego. Sędzę, że to drugie jest ważniejsze i bardziej jeszcze szacunku godne. Mądrość bowiem jest, by tak rzec, sama przez się pewnym „typem mądrości”, czyli pewnym stylem, który można w sobie wykształcić, i to szczerze, bez udawania, poświęcając na to mniej czasu i starań niż wymaga zdobycie głębokiej erudycji. Mędrzec to człowiek roztropny, rozważny, krytyczny, a jednocześnie doświadczony przez życie, życzliwy, inteligentny i kompetentny. Ale mędrzec jest również trochę powolny, trochę niezdecydowany, nie do końca „decyzyjny” i „konkluzywny”. A filozofowi tego trzeba. Nie chciałbym więc

być taki mądry jak Leszek Kołakowski, ale dałbym wiele za połowę choćby jego wiedzy i znajomości języków. Zresztą, nieważne. Ważne, że Leszek Kołakowski, filozof przegrany (więc spełniony) czy też mędrzec albo erudyta, Stańczyk czy król – bez względu na kształt swego osobistego losu jako intelektualisty jest dobrem naszej kultury narodowej, nauczycielem polskich elit i chlubą Polski zagranicą. Właśnie to jest ważne i tego nam trzeba.

*

Z tej krótkiej recenzji jestem dumny jak uczeń. Śpieszę się wytłumaczyć dlaczego, a jednocześnie pochwalić. Oto, co mi napisał w liście z 12 grudnia 2006 r. Leszek Kołakowski: „Szanowny i drogi kolego, przesłano mi niedawno numer „Principiów” z Pana recenzją. Byłem osłupiały. Rzecz napisana z taką wnikliwością, precyzją i w duchu tak przyjacielskim i życzliwym, że pewno jeszcze mi taka recenzja w życiu się nie zdarzyła. Bardzo, bardzo dziękuję!”. Prawda, że książkę przeczytałem wnikliwie i pisałem o niej w dobrej wierze – nieco krytycznie, lecz z należnym szacunkiem dla prof. Kołakowskiego. Nie jestem wszelako żadnym znawcą jego twórczości. Dlaczego tak błaha w końcu rzecz miałaby stać w rzędzie prac pisanych z dużo większym zapewne wysiłkiem przez bardziej kompetentne osoby? Czasem bodaj intuicja publicysty może wiele zdziałać i zaprowadzić go dalej, niż erudycja prowadzi znawcę przedmiotu. To jedna z tych jasnych stron doli człowieka (lekkiego) pióra.



**WSZYSTKO
JASNE: ŻYD!**

LIST DO MOICH PRZODKÓW

TEKST UKAZAŁ SIĘ W MIESIĘCZNIKU „MIDRASZ”, W NUMERZE 2 (82) 2004.

A więc, że jesteście Żydami, dla większości z Was miało być bez znaczenia. Jednakże od nieposłusznej reszty rodziny i od nieposłusznej Waszemu wcalenieżydostwu reszty świata całkiem odciąć się niepodobna. Tyle razy oto słyshałem od Was albo czytałem, że jesteście Żydami, co i że nie jesteście. Na wszelkie możliwe sposoby przedstawialiście tę rogatą część Waszej osobistej układanki kulturalnej, ale zawsze któreś z sześciu ramion wystawało zza krzyża albo kłuło orła w bok. Chodziliście do powstań, walczyliście o cywilizację polską i polską mowę, a ten i ów w dodatku o oświeconą religijność albo czystość żydowskiej niemczyzny, przeciw „żargonowi”. Ciężko się połąpać w gmatwaninie waszych idei i pomysłów na bycie Żydo-Polakiem, Nowym Żydem, Po Prostu Człowiekiem. Tak ciężko, jak ogarnąć Wasze drzewo genealogiczne, ostatnio tak uproszczone. Większość z Was, zwłaszcza już w XX wieku, to jednakowoż państwo Wcalenieżydzi. Ja też miałem nim zostać (i może zostałem?), więc do Was przede wszystkim się zwracam.

Otóż jeśli można jeszcze uciec czy zbagatelizować Żyda, to już wcale nie można uwolnić się od Wcalenieżyda. Aby zaś zostać Wcalenieżydem, zwykle trzeba choć raz w życiu powiedzieć: „*Ich bin kein Jude*”. Gdy bili tych spośród Was, którzy mogli się kamuflować, musieliście to mówić. I oczywiście dopiero to mogło uczynić z Was prawdziwych, świadomych Żydów, jakkolwiek to się nie stało (czego nikt nie żałuje); uczyniło wszelako nader nielicznych, którzy wojnę przeżyli, Wcalenieżydami. I oczywiście bez tego przeżyć by nie było można. Bez czyjegoś: „*Ich bin kein Jude*”, a nawet: „Nie jestem Żyd”, nie byłoby i mnie. Wiele więc zawdzięczam Wcalenieżydom, którzy przecież wcale się brzydko nie zaparli żydostwa, bo przecież naprawdę *wcale nie byli Żydami, tylko ludźmi*. Być może i ja więc powinienem, solidarnie, popęłnić ten bez-grzech wyboru Wcalenieżyda? Gdybyż to tylko był prawdziwy bez-grzech...

Przed niespełną sześciu laty przydarzyła mi się taka historia. Byłem w urzędzie stanu cywilnego, przy Lubelskiej, w Krakowie. Zgłaszałem urodzenie swojej córeczki Zosi. Podałem urzędnicze imiona, pierwsze: Zofia, drugie: Miriam. Urzędniczka patrzy na mnie i mówi surowo: „Nie może być Miriam, bo takiego imienia nie ma w spisie – to nie jest polskie imię”. Spodziewałem się tych kłopotów, więc byłem już i tak spięty. I wyrwało mi się: „Bo ja nie jestem Polakiem”. Nigdy nie powiedziałem niczego równie przerażającego i fałszywego; to jak powiedzieć żonie: „Nie kocham cię”. A to było po prostu tak, że samokontrolny refleks nie pozwolił mi wypowiedzieć przy ludziach zdania: „Jestem Żydem”. Zamiast tego, eufemistycznie powiedziało mi

się: „Nie jestem Polakiem”. „*Ich bin kein Pole*”. Ładny mi eufemizm! Napisało się podanie do kierowniczkę urzędu (że Matka Boska tak się nazywała) i dziś oficjalnie mamy Zofię Miriam. Ale jednak się zgrzeszyło. I chyba troszkę chociaż dziś rozumiem, jak to jest mówić: „*Ich bin kein Jude*”. Jak się zostaje Wcalenieżydem.

Sądzę, że nigdy tak naprawdę nie rozmawialiście między sobą o „kwestii żydowskiej” jako kwestii rodzinnej, swojej. Podobnie nigdy nie rozmawialiście w sposób poważny o kobietach, bo w waszych modernistycznych pokoleniach była jakaś hi, hi niedojrzałość (a wasze kobiety są z reguły od was mądrzejsze). „Niską, wąskoramenną, szerokobiodrą i krótkonogą płęć nazwać piękną mógł jedynie zamroczony popędem płciowym męski intelekt”. Ten jeden cytat z Schopenhauera (oczywiście w oryginale) służył mojemu ojcu za całe niemalże filozoficzne wykształcenie. Zostałem filozofem, ćwicząc się w rozpaczliwym tłumaczeniu mu bałamutności jego romantyczno-pozytywistycznych poglądów, w których było coś równie nierealnego, ucieczkowego i infantylnego, jak i w głupich „męsko-damskich” dykteryjkach. Wszystko to było takie łatwe i takie z epoki. Omdlewałem ze złości, słuchając o tym świecie składającym się z materii i poezji, atomów i słów.

W gruncie rzeczy nie jestem z Was dumny, choć tylu wśród Was profesorów i patriotów. Łączy mnie z Wami w zasadzie tylko pamięć o Zagładzie. Ale ma ona dla mnie twarz nie kogoś z rodziny, nie rodzonej babki, nie Romana Kramsztyka, który w getcie rysował, tylko Debory, wnuczki cadyka, dziewczyny ojca z czasów wojennych, która może i nawet wojnę przeżyła. Nic o niej nie wiem, ale jakoś moja wyobraźnia obrała sobie ją, bo „pochodziła z ghetta”, jak był uprzejmy napisać w swych wspomnieniach ojciec, mając na myśli bynajmniej nie getto hitlerowskie. „Egzotyki ghetta” posmakował, jak pisze, raz w życiu, gdy mu kuzyn Debory „niezręcznym ruchem podał dziwnie delikatną dłoń”. On nie miał najmniejszych szans. Debora, studentka medycyny, zadekowana na Białorusi, kto wie, może jakąś malutką. Dobrze, że wyjechała ze Lwowa”. Ojciec napisał też: „Gdyby tego nie zrobiła, mielibyśmy pewnie wspólne życie i rychłą wspólną śmierć”. Nie byłby Wcalenieżydem i ja bym nie istniał. Uff, jak dobrze, żeś sobie pojechała!

Luźne skojarzenie: jak byłem małym, mieliśmy swój „utwór kultowy”, jak to się teraz mówi. W Waszym pojęciu byłby to straszliwy kicz niezasługujący na miano poezji, broń Boże. Nazywał się „Autobiografia” (zespołu o tak zwanej wdzięcznej nazwie Perfect). To jest tekst, bardzo taki sobie, ale nie wszyscy są Leśmianami i Tuwimami, żeby nie powiedzieć Heinemi, tekst o życiu z poczuciem winy. „Powiedziała mi, że kłopoty mogą być, ja jej, że egzamin mam. Odkręciła gaz, nie zapukał nikt na czas...”, a na końcu: „Zamykam drzwi i nie mówię już nic. Do czterech ścian”. Tylko że myśmy byli wtedy za głupi, żeby wiedzieć, o czym była ta piosenka. Znaczy się, co autor chciał przez to powiedzieć. Dziś już akurat wiem, chociaż nic mnie to nie

obchodzi. Na zawsze już jednak pozostanę za głupi, żeby zrozumieć, co kryło się za wspomnieniami ojca, chociaż bardzo mnie to obchodzi.

W życiu w pokoju jest jakaś niesprawiedliwość (znów bluźnię). Nie da się go przeżyć całkiem na poważnie. Wy zawsze będziecie lepsi, prawdziwsi (no, chyba że wojna będzie, czego zresztą się obawiam). Ale też i gorsi, bo nie da się przeżyć wojny bez winy (i to jest w niej może najstraszniejsze, nie licząc latających w powietrzach strzępów ciał). Kiedyś oprowadzałem po Auschwitz Richarda Rorty'ego, amerykańskiego filozofa o komunistycznych sympatiach. Mówił z goryczą, że jest już właściwie starym człowiekiem, lecz w odróżnieniu od innych starych ludzi tego świata nigdy nie widział wojny i jest mu z tym jakoś łys.

Wiem, że jestem bezczelny. Ciągłe jakieś nieestosowne porównania i pouczenia. Ale bezczelność jest tylko formą hysterii, sprowadza się do pewnej formy reaktywnego bluźnierstwa. A ono jest jakoś w Was i ja się od Was go nauczyłem. I ono nas jakoś łączy. To przez Was, przez pamięć o Was, jestem *organicznie niezdolny* do religii. Robiliście z nią najróżniejsze rzeczy i choć protoplasta rodu Izaak Kramsztyk był kaznodzieją, to chyba większość z Was w końcu stała się ateistami. Swoją drogą, ciekawe, czy do tego Waszego Nie-Boga, którego nie ma (bo kto by go stworzył?), Wcalenieboga, w ogóle Wy ateści-Wcalenieżydzi jakoś się modlicie? I czy bez pomocy rabina zrozumieliście, co się właściwie działo przed wojną i podczas niej (choć mówią, że się tego w ogóle nie da zrozumieć)? Czy może przed grozą chroniła Was oswojona przypadłość – choroba niedomyślna, której groteskowym przykładem jest Wasz wspomniany argument na nieistnienie Boga? Nie wiem. Ale ja nie mogę się Was wyprzeć, takich jakimi jesteście, i iść za Was odmawiać kadysz. Przecież sam pamiętam, jak w kościele w Rabce, gdy byłem małym chłopczykiem, ksiądz, przedsoborowy zwyczajem, kazał modlić się o nawrócenie Żydów (jakim cudem ja to zapamiętałem?!).

Miałem złe stopnie z matematyki, więc ojciec sugerował mi w poważnej rozmowie, żebym poszedł do szkoły ciastkarskiej. Mówił, że lepiej mieć czwórki w szkole cukierniczej, niż oscylować między dwójką a trójką w liceum. Może miał rację. Czy chciał mnie przed czymś ukryć? Albo nawrócić na jedno ze swych własnych szaleństw? Bo robotnicy są w naszym świecie bezpieczni. Są też poniekąd internacjonalni. Darzył ich jakimś entuzjastycznym kultem, odwrotnie proporcjonalnym do swoich umiejętności manualnych.

Oczywiście, nie mam Wam tego wszystkiego za złe, choć zalegamie mi w wyobraźni i w podświadomości bez zaproszenia – jak okruchy własnego dzieciństwa. Nigdy niczego nie miałem Wam za złe. Moje pytania nie są oskarżycielskie. Są tylko terapeutyczne. Jeśli siedzicie za złotym stołem i studiujecie, tedy znacie już odpowiedzi, ale i tak mi ich nie ześlecie. Jeśli nie, to pytania idą w pustkę kosmosu.

Terapia przeto dotyczy mnie samego, a pytania zadaję sobie. Szkoda, że tylu zadawało je już przede mną. Przez to jestem tylko podróbką. Całe życie jestem podróbką i atrapą: wybitnego filozofa, dobrego eseisty, Żyda i czego tam jeszcze. *Ersatzmann*.

Przez pokolenia większość z Was ćwiczyła się więc w sztuce najnaturalniejszego w świecie nie-bycia-Żydem. Żydzi byli „oni”, religijni, egzotyczni. Nasza zaś rodzina od dawna zasymilowana, polska, powstańcza, postępową (a nawet protestancką) etc. Tylko czemu wszyscy jakoś żenili się z Żydówkami (też takimi, co złego to nie ja, ot przypadkiem)? Głupi to jakiś traf? Cóż, to pewnie taka dobra sprawa na kiepskie żarty. Bo nie żeby się wcale nie mówiło, że coś tu trefnie. *En passant* i owszem (względem tego, co i owszem, rzecz jasna). Infantyizm judeo-erotyczny, wyparcie i przeniesienie (Freuda się lubiło, tylko nie czytało). Najważniejsze, żeby szybko przejść do konkluzji: nie ma w ogóle żadnego problemu. Albo: to w ogóle nie ma żadnego znaczenia, kto jest kim. Inaczej mówiąc, niech się tam antysemitom tym podniecają, kto Żyd, kto nie, my się do tego zniżać nie będziemy i sami na siebie w ten sposób, ich oczami, patrzeć. Filozofia zgodna z tą starą przypowieścią o muzyku rosyjskim i angielskim: rosyjski mówi, że w Rosji nie ma antysemityzmu, bo w jego orkiestrze i ten jest Żyd, i tamten. A jak w Waszej orkiestrze, towarzyszu Angliczanin? Aaa, nie wiem. Jaki byłby cudowny ten świat, gdyby nikt nie wiedział... Antysemityzm idący w zapomnienie, Żyd niewidek; każdy wie, kto Anglik, kto Polak, ale – o, cudzie! – nie wie, kto Żyd! Psy gestapowców kręcą się w kółko i piszczą, że tu jest *Judenfrei*. Gdybyż więc nikt nie wiedział... Ale wie. I Wy wiecie, że wie, i zawsze będzie wiedział. Przecież na śmierć wydawali Was sąsiedzi. Z dobrych aryjskich dzielnic Warszawy, z Milanówka eksmitowali na Pawią. Mój ojciec siedział tam w żydowskiej celi śmierci nr 257 i nie wierzył, że wyjdzie. Co dzień jednak powtarzał: „*Ich bin kein Jude – ich bin ein Pole*” i jakoś mu uwierzyli. Pobili, stłukli okulary, morzyli głodem, ale w końcu puścili; dali nawet na to bumagę, a raczej szajn. Może dlatego puścili, że po niemiecku mówił jak polski Niemiec, myśleli, że to uparty *Volksdeutsch*. Ale nie podpisał podtykanej pod nos folkslisty, po której mógł się spodziewać ratunku (ja tam bym pewnie podpisał). Chyba był jedynym Wcalenieżydem, który opuścił celę śmierci. I wyszedł z tego piekła zahartowany ostatecznie na najprawdziwszego Polaka...

Powiem Wam, jak ja się dowiedziałem, że jestem Żydem. A raczej: że jestem Wcalenieżydem, Wcalenieżydemtylkonormalnym polakiem. To było na katechezie, rok 1974. Zapytałem, dlaczego, skoro jest tak, jak mówi pani katechetka, to w szkole tego nie uczą. Pani katechetka spojrzała na mnie spode łba i rzekła: „Ej, Jasiu, ty to chyba Żydek jesteś”. Przyszedłem do domu i opowiedziałem, co się zdarzyło. Ojciec powiedział, że pani się nie pomyliła, ale ja już na katechezę nie pójdę. Nie pamiętam dokładnie, ale na pewno musiałem się wtedy dowiedzieć, że wprawdzie niby

jestem jakoś tym Żydkiem, to jednak jestem najnormalniejszym w świecie Polakiem. Dlaczego tak dokładnie, ze szczegółami, pamiętam tamto wydarzenie w salce katechetycznej w kościele przy Spółdzielczej we Wrocławiu? Skąd wiedziałem, że to jest ważne wydarzenie? Nie mam pojęcia. Wiem, że nie czułem się poniżony. Nie, raczej podekscytowany. A zresztą, to wszystko nieistotne – dorośli strasznie fałszują wspomnienia z dzieciństwa i zasłaniają się nimi przed pamięcią tego, co naprawdę ważyło na ich egzystencji.

Ale z Wami musiało to być inaczej. Po pierwszej wojnie (nie tylko po drugiej) to nie były żarty. Mówiło się dzieciom w zasymilowanych rodzinach: nie poruszaj tego tematu, z nikim o tym nie rozmawiaj. Nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy. A dziś pouczane wtedy dzieci mówią niekiedy swoim dzieciom: „Ten wszechobecny filosemityzm, to epatowanie żydostwem jest w złym guście”. Albo: „Ciszej nad tą trumną; co wy tam, wiecie; trzeba z tym wreszcie skończyć, z tym rozpamiętywaniem i gadulstwem”. A czasem ktoś przypomni mimochodem, *horribile dictu*, dla lepszego efektu, że dziadek Wacek był Polak i katolik (więc nie myśl, żeś taki swojak u tych Żydów). Niby dobrze. Ale czy konsultowaliście to stanowisko z Waszymi siostrami i braćmi, którzy do nieba poszli przez komin? Ale jest i druga strategia – nie mówić nic. Co najwyżej w trybie historycznego referatu. Albo w żartach. Też jakoś nie do końca przekonuje.

Niby ja chciałbym być inny (tylko jaki?). Ale w końcu niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nic mądrego nie wymyślę i pozostaje mi iść Waszą drogą. Nie będę przechodził na judaizm ani nic z tych rzeczy. Czasem sobie coś poczytam, pójdę na żydowską imprezę, z dzieckiem świeczki chanukowe zapalę. Starczy. Jak odezwie się koło mnie żydożerca, zareaguję. Tak jak Wy. Tak po prostu, z przyzwoitości. Wcale nie jako Żyd. Normalnie, jako Wcalenieżyd.

À propos, zważcie taką anegdotkę, dość mało śmieszną, za to prawdziwą. Gdzieś przed rokiem, w sklepie spożywczym na końcu Grodzkiej, pod samym Wawelem, stałem sobie w małym ogonku. Nagle w drzwiach staje wielki gruby Arab z wściekłą gębą. Wyciąga ku mnie palec i wrzeszczy: „Are you Jewish?! Are you Jewish?!”. Pierwszy raz w życiu szczeka mi opadła – serio, jakbym na chwilę zapomniał jej trzymać, jak należy. Moja mina musiała bratu memu Semicie wystarczyć, bo się natychmiast ulotnił. Ziemia jest okrągła i można uciekać po niej tylko w kółko. A w dodatku gęba ucieka razem z nami.

OK więc. Dam Wam spokój. W sumie nie mam nic mądrego do powiedzenia. Tak tylko chciałem się do Was odezwać. Może czytacie tam „Midrasz”. Cokolwiek tam jest, na tamtym świecie, życzę wam wszystkiego najlepszego.

Jaś

*

Ten bardzo osobisty tekst powstał w poczuciu, że nareszcie szczerze i z głębi duszy wystawiam coś, o czym długo myślałem i co męczyło mnie od lat. Sądziłem, że jest autentyczny i wolny od pretensjonalności. Uważałem, że piszę o rzeczach ważnych, że mam prawo spierać się z przodkami, a nawet mieć do nich żal. Co więcej, uważałem, że jestem od nich mądrzejszy, przynajmniej w tej mierze, iż zdołałem jasno wyśłowić to, od czego oni uciekali, jak gdyby brakło im sił moralnych, by uczciwie się z sobą rozmówić. Dziś, ledwie po siedmiu latach od napisania tego, bez wątpienia dobrego – w kategoriach literackich – tekstu, myślę sobie o tym wszystkim inaczej. Moja skłonność do obwiniania bądź pouczania przodków, w tym ojca, bardzo zmalała, a w to miejsce pojawiła się granicząca z brakiem zainteresowania świadomość niewiedzy. Po prostu nie wierzę, że da się wejść w skórę naszych ojców i dziadów, by zrozumieć, co czuli i jak myśleli. Stałem się sceptykiem. I pewnie z tego powodu nie napiszę już wielu niezłych tekstów, które mogłyby powstać, gdybym nadal odczuwał entuzjazm.

ZAGŁADA TO TEŻ POLSKA TRAGEDIA

TEKST UKAZAŁ SIĘ W „GAZECIE WYBORCZEJ” Z 5 MAJA 2005 R.

Znów ruszył Marsz Żywych i znów patrzyli na siebie nieufnie, a może tylko z pozoru nieufnie, ci idący i ci stojący na chodnikach. Niejeden polski Żyd zastanawia się każdego roku: iść czy nie iść? Czy ci z Izraela aby nie mają czegoś do nas Polaków? Czy ten marsz nie ma jakiegoś drugiego dna? Myślę, że nie, ale obawa i nieufność polskiego Żyda nie jest mi obca.

Polskość naszych Żydów nie doczekała się dostatecznego poszanowania i uznania – ani wśród Polaków, ani wśród Żydów. Z tego powodu także nasi przodkowie pomordowani w obozach zostali przez pamięć i przez dyskurs publiczny „źle zakwalifikowani”. Są pamiętani wyłącznie *jako Żydzi*, podczas gdy w wielu wypadkach byli *w takim samym stopniu Polakami*. Jako polski Żyd domagam się pamięci o tym, że Zagłada Żydów była także tragedią polską, bo setki tysięcy spośród jej ofiar czuło się i było Polakami, tak samo jak ja i moi zgładzeni przodkowie. Ignorowanie tej prawdy idzie w parze ze złą opinią wielu Żydów o Polsce i Polakach. Odczuwam żal do swoich ziomków Żydów za to, że tak łatwo uwierzyli, iż Polska jest szczególnie antysemitycznym krajem, i że tak wielu z nich głosi niesprawiedliwe opinie o Polakach. Mam nadzieję, że to się z czasem zmieni. Może już się zmienia?

Kim jesteśmy

Żydzi mają szczególne powody, by piętnować ksenofobię i uprzedzenia, także pośród swoich. Dlatego sądzę, że niezbędna jest dyskusja na temat stosunku współczesnych Żydów do Polaków, podobna do trwającej od lat w Polsce debaty o polskim antysemityzmie. Odkłamania wymaga zwłaszcza stereotyp Polaka jako „zwykłego człowieka”, czyli obojętnego świadka Zagłady, a w istocie współwinnego jej przez tę swoją przyzwalającą obojętność.

W Polsce, podobnie jak w wielu krajach Zachodu, począwszy od XVIII wieku istniała warstwa mniej czy bardziej zasymilowanych Żydów, będących patriotami krajów, w których żyli, ale zachowujących poczucie przynależności do narodu żydowskiego. Również dziś żyją na całym świecie miliony takich dwunarodowych Żydów. W przypadku, dajmy na to, USA jest to dla wszystkich naturalne. Nie jest już jednak takie naturalne w odniesieniu do Polski. Decyduje o tym uprzedzenie, z którym

zbyt często się stykamy. Każdego polskiego Żyda wielokrotnie pytano: „Co ty jeszcze robisz w tym kraju?!”, „Jak możesz żyć w cieniu pieców Auschwitz?!”. Te pytania sugerują, że Polska i polskie społeczeństwo to środowisko społeczne nieprzyjazne Żydowi. Że to jest dla Żyda złe miejsce. To nieprawda, a ja, będąc w stu procentach Polakiem i w stu procentach Żydem, nie chcę żyć nigdzie indziej i boli mnie nieufność a tym bardziej jawna niechęć wielu moich ziomków Żydów do mojego narodu – Polaków. Boli jednak i to, że wielu Żydów, wiedząc że jestem Polakiem, odmawia mi pełnej żydowskiej tożsamości, tak jakbym był jakąś niezdrową hybrydą. Dlaczego, pytam, można być Żydem i Francuzem, Żydem i Amerykaninem, a nie można niby być Żydem i Polakiem, „Żydo-Polakiem”? Można. Jestem na to żywym dowodem, podobnie jak dziesiątki moich przodków, o których wiem, że myśleli i czuli tak samo jak ja.

Wojna

Odmowa zrozumienia, że polscy Żydzi są i byli Polakami powoduje wypaczenie obrazu wojny na terenie Polski. Żydzi patrzą na tę wojnę przez pryzmat Zagłady i odmienności sytuacji Polaków i Żydów w obliczu agresji niemieckiej. Niemcy zamknęli Żydów w murach gett i od tego czasu również w wyobraźni Żydów ze świata polscy Żydzi zaczęli przedstawiać się jako całkowicie odrębna społeczność, społeczność nie-Polaków na terenie Polski. Jest to jednak sposób myślenia narzucony zachowaniem Niemców. Nie poddawajmy mu się. Prawda jest zupełnie inna. Liczni Żydzi polscy byli w podobnym sensie Polakami jak zasymilowani Żydzi francuscy Francuzami, a nawet niemieccy – Niemcami. Ci ostatni być może przestali być Niemcami, gdy państwo niemieckie się ich wyrzekło, ale na pewno nie można tego powiedzieć o Żydach polskich. W Polsce dochodziło przed wojną do wielu antysemickich ekscesów i przejawów urzędowej dyskryminacji – więcej niż w niektórych innych krajach europejskich, choć mniej niż w wielu innych. Byłoby jednak zupełnym absurdem przypuszczać, że te ekscesy wyłączyły 3,5 mln Żydów ze społeczeństwa i zamknęły ich w getcie, że ta wielka społeczność żydowska przestała być częścią społeczeństwa polskiego, żyjącą w jednej politycznej całości z etnicznymi Polakami i innymi grupami. Polska była na tyle normalnym, przyzwoitym krajem, że zamieszkujące tu mniejszości narodowe były po prostu fragmentem społecznej i politycznej całości tego wielokulturowego państwa, tak jak to jest dzisiaj w większości krajów, gdzie Żydzi mieszkają. Upamiętnienie sobie tego pomaga zrozumieć coś, co do wielu wciąż nie dociera: Zagłada jest niewymowną tragedią Żydów, ale jest również tragedią Polaków.

Zagłada pochłonięła trzy miliony polskich Żydów. Większość z tych ludzi uważała się za pełnoprawnych członków polskiego społeczeństwa, mówiła dobrze po polsku

(wielu nawet wyłącznie po polsku) i kochała Polskę. Znaczna część z tych ludzi była, tak jak ja, Żydami i Polakami. Dlatego ich śmierć to także *tragedia polska*.

Te miliony Żydów to nie wszyscy nasi ludzie, których straciliśmy w czasie wojny. Z rąk wroga zginęło jeszcze kolejne 3,5 mln, i nie będę rozwodzić się nad tym, ilu wśród nich było etnicznych Polaków, a ilu przedstawicieli różnych mniejszości. Pamiętajmy, że mimo całej odmienności losu etnicznego Polaka i polskiego Żyda w czasie wojny (w końcu ten pierwszy miał 90% szans przeżycia, a ten drugi 10%), los „aryjczyków” również był straszny. Pamiętajmy o żołnierzach i partyzantach, a także o setkach tysięcy cywilów zamęczonych w obozach czy zabitych w czasie powstania warszawskiego.

Jeśli trudno niektórym pogodzić się z możliwością spojrzenia na Zagładę w taki sposób, niechaj zechcą pomyśleć o 11 września. Pod gruzami WTC zginęło wielu Żydów. Czy oddzielamy ich od amerykańskich ofiar tej tragedii? Oczywiście nie, bo jest dla nas jasne, że ci Żydzi byli jednocześnie Amerykanami. Dlaczego więc ktoś może wzdrygać się na myśl, że w Zagładzie zginęły setki tysięcy Żydów-Polaków, wobec czego tragedia ta jest także tragedią Polaków? Chyba tylko dlatego, że jest przekonany, iż Polacy byli wrogami Żydów, a Żydzi nie byli w Polsce u siebie. Otóż Polacy w zdecydowanej większości nie byli wrogami Żydów, a Żydzi w zdecydowanej większości czuli się w Polsce u siebie. To jest taki sam fakt społeczny jak to, że przed wojną istniał w Polsce i innych krajach Zachodu silny antysemityzm.

Gdy Marsz Żywych idzie co roku przez miasto Oświęcim do obozu Auschwitz, na chodnikach stoją ludzie i patrzą. Stojący na chodnikach i patrzący ludzie wyglądają trochę obco i nieprzyjemnie. Ale też właściwie co mają robić? Muszą czekać, aż my przejdziemy, aby samemu przejść przez ulicę albo po prostu oglądają niecodzienną scenę uliczną. Trzeba trochę wyobraźni, aby zrozumieć, że tak stojąc i patrząc, nie popełniają żadnego występku, a jedynie z perspektywy idących jawią się tak obco i chłodno. Czynienie ludziom zarzutu z tego, że żyli, gdzie żyli, żyli, jak się dało, choć obok Niemcy mordowali Żydów, jest absurdalne i dowodzi całkowitego braku wyobraźni. Żydzi też starali się żyć do ostatniego dnia możliwie najnormalniej, nawet wtedy, gdy już likwidowano getta. Jakże miałyby być inaczej?

Wielu etnicznych Polaków podczas wojny kolaborowało z Niemcami, wydając im Żydów. Było też wiele pogromów. Trzeba o tym pamiętać i my Polacy powinniśmy o tym pamiętać dla siebie samych. Ludzie wykształceni mają zresztą tę świadomość. Pragniemy jednak, aby i to nam pamiętano, że to w tej samej Polsce Żydzi spotkali się z bohaterską pomocą na największą w Europie skalę. Symbolizuje ją 6,5 tys. polskich drzewek w Yad Vashem. Mimo że tych polskich drzewek jest tam najwięcej, zbyt mało Żydów kojarzy naród Polski z aktami bohaterskiej solidarności, a za to bardzo wielu z wrogością i kolaboracją z Niemcami. To niesprawiedliwe i stronne. Boli

to, że bohaterowie ratujący Żydów, niebędący Polakami, znani są nieporównanie szerzej niż bohaterowie narodowości polskiej. Każdy zna, i powinien znać, nazwisko Wallenberg czy Schindler, mało kto zaś zna nazwiska Sławik i Sendler – ludzie, którzy uratowali od śmierci tysiące Żydów i zasługują na tę samą publiczną pamięć. Gdy jednak trzeba przypomnieć dzieło zbrodniarzy (a trzeba), polską narodowość niektórych spośród tych ludzi zaznacza się skwapliwie. Nawet Niemców nazywa się w wielu publikacjach „nazistami” albo „hitlerowcami”, by zaznaczyć, że nie wszyscy Niemcy byli zbrodniarzami, gdy jednak mówi się o szmalcownikach lub „zwykłych ludziach” – obojętnych świadkach Zagłady, wtedy często bez wahania używana jest nazwa „Polacy”. Mówmy na Niemców – Niemcy, a na Polaków – Polacy, lecz jeśli już unikamy tych określeń, to unikajmy ich konsekwentnie i sprawiedliwie.

Antysemityzm dziś

Szeroki zakres antyżydowskich aktów ze strony etnicznie polskich współobywateli ma tę samą przyczynę co wielka liczba aktów bohaterskich. Po prostu u nas Żydów było najwięcej i to nasz kraj Niemcy uczynili sceną Zagłady. W ogólności, wszystkie zjawiska związane z „kwestią żydowską” w Polsce przejawiały się silniej niż w wielu innych krajach, z tego właśnie ilościowego powodu. Reminiscencje tej rzeczywistości widoczne są do dziś, na przykład w postaci pozostałości mitologii żydowskiego zagrożenia i demonizowania Żydów. Paradoksalnie, temu gatunkowi antysemityzmu sprzyja prawie całkowity brak Żydów w naszym kraju (jest nas może kilkanaście tysięcy) – łatwiej przecież demonizować abstrakt niż żywych ludzi.

Polski antysemityzm jest strachem i zawiścią podszyty, krzewiąc się wśród ludzi, którzy wszędzie wokół siebie widzą winnych swojej biedy. Ci sami ludzie, którzy mówią, że władza to sami złodzieje, zwykle mówią też, że wszystkiemu winni są Żydzi. Branie ludzi prymitywnych za wzorzec społeczeństwa polskiego jest jednak nonsensem. Powiedzenie na takiej podstawie, że Polacy są na ogół antysemitami, ma w sobie tyle samo prawdy co powiedzenie, że na ogół nienawidzą swojego państwa i lżą jego władze.

Nie bagatelizuję bynajmniej faktu, że w naszym kraju mury wysmarowane są napisami „Żydzi do gazu!” i swastykami, a w wielu kioskach z prasą można kupić nienawistne pisemka antyżydowskie. Mało kto odważy się przejść w kipie na głowie przez osiedle w polskim mieście. Z kolei publicznie wypowiedziane „Jestem Żydem” odbierane bywa jako coś na kształt prowokacji lub pretensjonalnej ostentacji. Tak, Polska jest dotknięta antysemityzmem – na ogół prostackim, czasami bardziej wysubtelnionym. To prawda. Ale nie ma żadnych podstaw, by przypuszczać, że w ogólności antysemityzm jest tu większy niż gdzie indziej w Europie. Wyraża się natomiast

zazwyczaj tak prymitywnie, bo cechuje prymitywnych ludzi. Jeden głupiec może zrobić sto napisów, które trwają na murze przez lata, a ci, co powinni je zamalować, nie robią tego, bo sądzą, że to i tak nic nie da. Ilu jest takich głupców? Sądząc z mikroskopijnej sprzedaży wspomnianych pisemek, pewnie niewielu. A jednak większość z nas, Żydów z Polski, nie doznała w wolnej Polsce istotnych przykrości z racji swej przynależności narodowej. To też o czymś świadczy. Podobnie jak to, że Polska wolna jest od masowej antyizraelskiej hysterii, która dotyka wiele społeczeństw zachodnich.

Przeciętny Polak jest chyba obojętny wobec Żydów, jakkolwiek gotów jest przypuszczać, że Żydzi nie cierpią Polaków, uważając ich za antysemitów. I wtedy zaczyna faktycznie Żydów nie lubić. Mamy więc tzw. sprzężenie zwrotne: Żydzi często nie lubią Polaków, bo uważają ich za antysemitów, Polacy zaś nie lubią Żydów, bo uważają, że Żydzi widzą w nich antysemitów lub „obojętnych świadków Zagłady”. To paranoja. Przerwijmy ją!

*

To jeden z ważniejszych moich artykułów, napisany pod wrażeniem udziału w Marszu Żywych w Auschwitz w 2005 roku. Jest prosty w formie, napisany od serca, ale niczym szczególnym od strony warsztatowej się nie wyróżnia. Ot, mówi, co mówi. Wywołał rozmaite reakcje, czasami zaskakujące. O dziwo, spodobał się antysemitom. Niektórzy z nich uznali mnie za kogoś w rodzaju „naszego dobrego, lojalnego Żyda”. Cóż, nie było mi z taką łatką do twarzy, ale na szczęście szybko się jej pozbyłem. W środowiskach żydowskich tekst nie wzbudził entuzjazmu – trochę jakby za mało anty-antysemitowski. Poza tym temat antypolonizmu wśród Żydów był (i chyba wciąż jest) raczej niepopularny. Bywając w Izraelu, staram się go poruszać i z pewnością życia mi to nie ułatwia. Potrzeba czasu, aby Żydzi z Izraela czy Ameryki poważnie przemyśleli swój stosunek do Polski. A jeśli nie przemyślą, to czas i zmiana pokoleń zrobi swoje.

CHCIAŁBYM BYĆ SOBA

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ DWUKROTNI W „TYGODNIKU POWSZECHNYM”, NAJPIERW W WYDANIU Z 31 LIPCA 2009 R., A NASTĘPNIE W WYDANIU SPECJALNYM „ŻYDOWNIK POWSZECHNY” Z 13 MARCA 2010 R. ZOSTAŁ TEŻ ZAMIESZCZONY PRZEZ ADAMA MICHNIKA W JEGO ANTOLOGII „PRZECIW ANTYSEMITYZMOWI 1936–2009”.

W jednym z przejść podziemnych w Krakowie widnieje napis: „Precz z żydowskim antypolonizmem!”. Zawsze, gdy tamtędy przechodzę, myślę sobie: pewnie, że tak, ale gdyby tak jeszcze dopisać: „...i z polskim antysemityzmem”. Lecz antysemityzm stał się już dawno tematem uczciwej debaty publicznej w naszym kraju. Antypolonizm tymczasem nie doczekał się jeszcze takiego potraktowania – ani w Polsce, ani w Izraelu, ani w USA. Na razie mówią o nim tylko antysemita. Chwała im za to. Żywię sąd niepopularny. Jestem mianowicie przekonany, że poprawa relacji między Polakami i Żydami w dużym stopniu zależy od tego, w jakiej mierze damy głos w sferze publicznej antysemityzmowi i antypolonizmowi. Spychanie ich do rynsztoka sprawia, że całkiem w nim gniją i dziczeją, wydzielając jady zatruwające całe społeczeństwa. Być może nie zmienimy przekonań tych ludzi, ale podejmując otwarcie drażliwe tematy i dając upust także negatywnym uczuciom, ułatwimy sobie uzdrowienie stosunków między oboma naszymi narodami.

Żydzi i antysemita żyć bez siebie nie mogą. Bez antysemitów Żydzi byliby zwyczajnym narodem, którym inni mało się interesują. Bez antysemitów nie byłoby Holokaustu, a bez Holokaustu nie byłoby Izraela. Gdyby zaś nie było Żydów na świecie, antysemita musieliby stworzyć sobie inną legendę o światowym spisku mocy Zła albo wyzywać swą wojowniczość w sportach walki. Nie byliby jednak tym, czym najbardziej lubią być – tępiciełami Żyda.

Przed wojną sojusz semicko-antysemita był poniekąd honorowy. Antysemita zwali się antysemitami i nigdy się nie obrażali, gdy ktoś nazywał ich w ten sposób. Dla antysemita słowo „antysemita” bynajmniej nie było obelgą. Zwalczali Żydów otwarcie – na ulicy, w gazetach, w parlamencie. Organizowali demonstracje, bojkoty sklepów żydowskich, segregację rasową na uniwersytetach. Wszystko było jasne. Dziś jednak nie wypada być przeciwko jakiemuś narodowi jako takiemu, przez co tożsamość antysemita uległa zaburzeniu. Musi przekonywać siebie i innych, że żadnym antysemitą nie jest, a to niełatwe zadanie. Nie jestem antysemitą, ale... dlaczego Żydzi to, a dlaczego Izrael tamto... To zapewne wina Żydów, że nawet nie wolno się mienić antysemitą – po prostu kolejny wynalazek „żydowskiego liberalizmu”, za którego pomocą Żydzi próbują zapanować nad światem.

Dzisiaj zwykle traktuje się antysemityzm jako przesąd i niegodziwość. Nikt kulturalny nie chce antysemitę słuchać, nikt nie traktuje poważnie tego, co mówi. Ja zaś twierdzę, że antysemitów trzeba słuchać, starannie wyluskując ziarna prawdy zanurzone w miększu obsesji, mitów i kłamstw. Prawdziwi antysemita naprawdę interesują się nami i wiele o nas Żydach wiedzą. Jesteśmy dla nich ważni, a to jest pewna wartość. Dlatego zasługują na to, by z nimi rozmawiać. I chociaż prawdą jest, że antysemityzm przerodził się w XX wieku w zbrodnię Holocaustu, to przecież owo powinowactwo z nazistami, które plami honor współczesnego antysemita, budzi nie tylko gniew, lecz także współczucie. Przecież (na ogół) nie chcą mieć nic wspólnego z Hitlerem, ale siłą rzeczy mają.

Prawdę mówiąc, wolę zdrowego polskiego antysemitę niż żydowskiego, no, jakbyśmy go nazwali – „antylechitę”. Chociaż antypolonizm jest pośród Żydów w Izraelu czy w USA równie częsty (na oko przynajmniej, bo nikt tego nie zbadał), jak i antysemityzm w Polsce, to nie jest zjawiskiem symetrycznym. W pewnym sensie antypolonizm jest gorszy. Nie opiera się bowiem na niezdrowej fascynacji, kompleksach i chorej wyobraźni, lecz na czymś obezwładniającym, poniekąd nieludzkim – na czarnej obojętności. Gdzieś w najstarszym pokoleniu polskich Żydów, którzy przeżyli wojnę, a potem wyjechali do Izraela lub gdzie indziej, bije źródło strasznych wspomnień, w których Polak odgrywa nierzadko rolę wręcz ohydny – szantażuje, obrzuca wyzwiskami, ograbia. Zatrute, choć nieskłamane wspomnienia przekazywane są dzieciom i wnukom, którzy wiedzą, że są subiektywne i jednostronne, ale mimo wszystko nie pozwalają im myśleć o Polsce przyjaźnie. Nie chcą też myśleć nieprzyjaźnie, tym bardziej że w słowach dziadków słyszą nierzadko tony sentymentalne, gdy ci mówią o Polsce. W rezultacie – nie myślą wcale. Tym bardziej nie myślą ci, którzy żadnych polskich korzeni nie mają. Zapanowała więc pod tym względem wśród Żydów zgoda niemal powszechna – Polska to kraj, który z jakichś powodów został przez Niemców wybrany do wymordowania Żydów i w którym antysemityzm prawdopodobnie był i nadal jest większym problemem niż gdzie indziej. To miejsce spalonej ziemi, czarna dziura, gdzie Żyd przyjeżdża tylko po to, by pokłonić się ofiarom Zagłady. Bo któż by w takie miejsce jechał na wakacje? Któżby przyjaźnił się z ludźmi zamieszkującymi kraj zasnuty dymami krematoriów? Obojętność zdaje się wyborem najuczciwszym. Gdy spełniając swój naturalny obowiązek, polscy Żydzi próbują tę obojętność przełamać, spotykają się z uprzejmymi pozorami zainteresowania swoich izraelskich lub amerykańskich ziomeków. Gdy rozpaczeni wyciągają ze swego arsenału broń najcięższą – Żegotę, Irenę Sendlerową, Henryka Sławika i 6,5 tys. drzewek w Yad Vashem, mogą słyszeć: „O, naprawdę, nie wiedziałem o tym. Napijesz się jeszcze kawy?”. Ręce opadają – z garstką starych antylechitów można przynajmniej rozmawiać, choć nie można ich zmienić. Ale ich dzieci i wnuki po prostu nie są zainteresowane. Na zarzut rozkrzewionego wśród Żydów antypolonizmu

Żydzi reagują zdziwieniem lub zniecierpliwieniem: niczego takiego nie ma, pamięć dawnych krzywd nie odnosi się przecież do współczesnych Polaków. Negowanie, a może nawet nieświadomość istnienia antypolonizmu, jest w świecie żydowskim silniejsza niż negowanie istnienia antysemityzmu przez Polaków.

Antylechityzm w Izraelu jest milczący. Na murach nie uświadczysz napisów „Polacy do gazu!”, nikt nie prowadzi wykazów Izraelczyków mających domieszkę polskiej krwi i spiskujących przeciwko izraelskiej ojczyźnie, a izraelskie fora internetowe nie kipią od antypolskich wypowiedzi. Ludzie ciemni, których nigdzie nie brak, nie opowiadają sobie, że katolicy porywają żydowskie dzieci i utaczają z nich krew na hostię. Nikomu też nie przychodzi do głowy modlić się za nawrócenie kogoś na judaizm. Gdyby zaś kto powiedział o Menachemie Beginie, że tak naprawdę nazywał się Biegun i był Polakiem, wobec czego nie wolno mu ufać, to nawet najstarsi rabini nie pojęliby, co ma piernik do wiatraka.

Oczywiście, milczący antysemityzm jest i w Polsce. Wielu ludzi nie mówi nic, lecz po prostu odczuwa, mniej lub bardziej wstydliwą niechęć do Żydów. Jest też wielu Polaków, którym Żydzi są najzupełniej obojętni, co zresztą jest właśnie tym, czego oczekiwaliśmy większość Żydów. Mamy jednak wciąż ów „zdrowy korzeń” autentycznego, niekłamane antysemityzmu, takiego bazgrzącego po murach i grzebiącego w archiwach w poszukiwaniu „prawdziwych nazwisk” wrogów Narodu.

Nasi antysemita są groźni. Z ich powodu polski Żyd nie śmie iść ulicą w jarmułce ani wywiesić izraelskiej flagi w dniu izraelskiego Dnia Niepodległości. Nierzadko boi się nawet mówić o swym żydostwie, aby nie narazić się na zarzut „epatowania” czy „prowokowania”. Jako że jednak nie brakuje antysemita rekonwalescentów, których czyjeś żydowskie pochodzenie wciąż ekscytuje, pragnących udowodnić sobie, że całkiem już wyzwolili się z antysemityzmu, polski Żyd musi się liczyć tu i ówdzie nawet z pewnym niezasłużonym wzięciem. Dlatego nie można w Polsce być Żydem ot tak, po prostu, jak w Anglii czy w USA. Jest to zawsze jakieś ryzyko i jakaś sensacja. Niektórym Żydom to się nawet podoba, ale wielu innym nie. Kto zaś głosi, że jest i Żydem, i Polakiem, sprawia wrażenie, jakby chciał dla siebie za dużo, jakby chciał zjeść ciastko i mieć ciastko. Są przeto również tacy, którzy całkowicie przemilczają temat swoich żydowskich korzeni właśnie dlatego, żeby nie wchodzić w kontredans tych wszystkich dwuznaczności. Naturalność i zwyczajność tego, że jest się Żydem, jest w naszym kraju wartością niemal nieosiągalną, tym bardziej że kto bardzo się stara być naturalny, temu wychodzi na opak. Zresztą my Żydzi trochę boimy się naszych antysemitów, a niepokój nie sprzyja naturalnemu sposobowi bycia. Ale i Żydów ludzie się trochę boją. Oprócz zawodowych żydożerców nikt nie chce jawnie Żyda krytykować ani mu szkodzić, żeby przypadkiem nie wyjść na antysemitę. Zresztą, kto wie, może Żydzi naprawdę są mocni i mogą się zemścić?

Nie jest dobrze. Jest jednak znacznie lepiej niż dawniej i nadal idzie ku lepszemu. Uważam, że w relacjach Żydów z antysemitami są dwa czynniki, które dają nadzieję na normalizację ogólnych stosunków polsko-żydowskich. Jeden element to owe ziarna prawdy, o których wspomniałem. Godzi się, aby każdy naród rozpamiętywał ciemne karty swej historii. Trzeba być wdzięcznym ludziom, którzy w tym dopomagają. Jest pewną zasługą antysemitów to, że Żydzi zaczęli otwarcie mówić o tym, co w dziejach relacji polsko-żydowskich jest dla nich krępujące i wstydlive, na przykład o przyjaznym stosunku wielu Żydów do sowieckich okupantów albo udziale Żydów w partyzantce sowieckiej pod koniec wojny. Z wolna dochodzi do wypracowania wspólnego, umiarkowanego i sprawiedliwego sposobu mówienia o relacjach polsko-żydowskich w przeszłości. Nastąpił tu znaczny postęp i zbliżenie. Krytyka książek Grossa nie uchodzi automatycznie za antysemityzm, a ich obrona nie musi uchodzić za antypolonizm. To, co mówią historycy o sprawach polsko-żydowskich, przestaje już zależeć od tego, czy mają oni żydowską tożsamość, czy też nie. Jesteśmy naprawdę na dobrej drodze. Czas upływa, emocje stygną, a zwycięża ton umiarkowania i rzeczowa kompetencja. A więc róbcie tak dalej, drodzy antysemita: wynajdujcie najciemniejsze sprawy Żydów, abyśmy mogli dowiedzieć się o sobie jak najwięcej. Są bowiem uczeni, którzy opowiedzą nam o nich w sposób wiarygodny, bez wybielania i zaczerniania. Chcemy tego słuchać.

Drugi czynnik w konflikcie antysemitów z Żydami, również jak sądzę obiecujący, to ów miąższ przesądu i kłamstwa otaczający antysemita ziarna prawdy. Jest on miękki i gnijący, sprawiając, że w ogólności antysemityzm staje się intelektualnie słaby i nieatrakcyjny nawet dla samych antysemitów. Na szczęście dla Żydów i polsko-żydowskich relacji antysemityzm opiera się na całkowicie fałszywych przesłankach. W dłuższej perspektywie zawsze bowiem zwycięża prawda i dobra wola. Jakie są te fałszywe przesłanki? Najważniejsza głosi, że Żydzi, bez względu na różnice, jakie ich dzielą, stanowią światową wspólnotę interesów i współdziałają z sobą dla realizacji tych interesów, ze szkodą dla innych narodów. Otóż jeśli o Polakach można powiedzieć, że mało trzymają z sobą na emigracji, to o Żydach można to powiedzieć o wiele bardziej stanowczo. Na wieść, że Żydzi spiskują i próbują wsadzić, gdzie tylko można, „swoich ludzi” i że działają przeciwko narodowi polskiemu w imię swoich własnych celów, z żądz władzy i bogactwa, Żydów ogarnia pusty śmiech. Nawet trudno się gniewać – tak absurdalna jest ta teza. Byłoby nawet miło, gdyby Żydzi w Polsce byli w stanie uczynić coś jako grupa, ale jak na razie żadnego chwalebego ani niechwalebego lobbingu jak na lekarstwo. Teza spiskowa, choć całkowicie fałszywa, w pewnym sensie nam schlebia, gdyż świadczy o tym, że uważa się nas za silnych i niebezpiecznych. To nieprawda. Ani silni,

ani niebezpieczni. Nawet Izrael, uzbrojony po zęby i nieustraszony, jest tylko małym krajem zdanym na Amerykę chroniącą jego istnienie w morzu nienawiści.

Tak, te słowa kieruję nie tylko do typowych czytelników „Tygodnika Powszechnego”, którzy są wierzącymi katolikami, całkowicie wolnymi od antysemityzmu. Zaczne to pismo czytają wszelako również niewierzący, a także właśnie antysemita szukający tu pobudek dla swego gniewu. Nie ukrywam, że zależy mi na tym, aby to oni w szczególności przeczytali artykuł, który po części traktuje o nich i w którym Polak-Żyd wyciąga do nich rękę. Polak-Żyd? Nasi antysemita uważają za oczywiste i zrozumiałe samo przez się, że nie można być dobrym Polakiem, jednocześnie będąc Żydem i do tego jeszcze wspierającym Izrael. Nonsens. Polacy w USA często są wzorowymi polskimi i amerykańskimi patriotami jednocześnie, bo też nie ma żadnej sprzeczności między polskim i amerykańskim interesem narodowym. Nie inaczej jest z Polską i Izraelem. Poza częściowo wspólnym dziedzictwem kulturowym i częściowo wspólną historią Polaków i Żydów obu krajów tych nie łączą żadne istotne interesy ani nie dzielą żadne istotne spory. Podwójny, polsko-izraelski, patriotyzm jak najbardziej jest więc możliwy, z pożytkiem dla wzajemnych stosunków obu krajów i nacji.

Przywiązanie Żydów, w tym również polskich, do Izraela nie oznacza koniecznie poparcia takich czy innych działań rządu w Jerozolimie. Zarówno Żydzi w Izraelu, jak i ci rozproszeni po świecie mają najróżniejsze poglądy polityczne i bardzo różne oceny polityki Izraela oraz konfliktów na Bliskim Wschodzie. O żadnej jednolitości mowy nie ma. Podobnie też w sprawach światopoglądowych. Antysemita uważają, że „Żyd jest zawsze Żydem”, co oznacza, że bez względu na swe deklarowane poglądy, będzie zawsze antypolski i antykatolicki. Co więcej, uważają, że komunizm i ateizm wraz z ich mutacją – liberalizmem – to wynalazki żydowskie mające osłabić narody chrześcijańskie i umocnić panowanie Żydów na świecie. Nic z tych rzeczy. Jak już bowiem Żyd jest takim liberałem albo i gorzej – ateistą i komunistą – to wrogiem mu będzie każdy nacjonalista i tradycjonalista, bez względu na to, czy będzie to rabin, czy ksiądz, Żyd czy Polak. Trzeba się więc na coś w tym antysemityzmie zdecydować – albo (razem z wieloma Żydami) nie lubimy judaizmu, albo (wraz z wieloma Żydami) nie lubimy syjonizmu, albo komunizmu lub czegoś jeszcze. Za każdym razem biedny antysemita będzie miał po swojej stronie niechcianych sprzymierzeńców w postaci niemałego odsetka Żydów. Ci bowiem podzieleni są ideowo i światopoglądowo nie mniej niż inne nacje wolnego świata.

To wszystko jest tak oczywiste, że aż głupio o tym przypominać. W głębi duszy, jak sądzę, nawet antysemita wie, że Żydzi są bardzo różni. Tak naprawdę jednak nie chodzi mu o żaden liberalizm Żydów ani o żydowski spisek polityczny, w który szczerze wierzą tylko najbardziej fanatyczni, tzw. zoologiczni antysemita. Tym, co rzeczywiście boli antysemitę, jest prawda, a nie jego własne niemądre wymysły. Bo

tylko prawda może rzeczywiście boleć. Tą prawdą jest złożona i wciąż spowita zasłoną tabu zależność łącząca religię chrześcijańską z religią żydowską. Chronologiczne starszeństwo judaizmu, wspólna z Żydami święta księga, to, że cała historia ewangeliczna dokonuje się wśród ludzi obrzezanych, chodzących do żydowskiej świątyni i przestrzegających żydowskich rytuałów, że przez kilka pierwszych stuleci to głównie Żydzi byli chrześcijanami – wszystko to jest dla antysemitów najgłębiej poniżające. W obliczu twierdzenia, że Matka Boska i Jezus byli Żydami, staje oniemiały ze zgrozy i pomieszania. Żydami? Nigdy! Może Palestyńczykami, Izraelitami, byłymi Żydami, ale Żydami? Przenigdy! Skąd właściwie bierze się to poczucie krzywdy i upokorzenia na myśl, że wiara chrześcijańska powstała w świecie żydowskim? Zapewne wiąże się ono z tym, że trzeba by uznać Żydów za „starszych braci” i oddać należny im z tego tytułu szacunek. Z dwójga złego lepiej już więc uchwycić się myśli, że naród wybrany zawiódł Boga i utracił swoje przywileje, okazując się niezdolnym do rozpoznania prawdziwego Mesjasza. Że prerogatywę narodu wybranego przejęli na siebie chrześcijanie będący nowym Izraelem. Po stronie wierzących Żydów rzecz przedstawia się równie pesymistycznie. Dla większości z nich chrześcijaństwo to jedna z wielu sekt, które poszły za fałszywymi mesjaszami, a w dodatku łamiąca przykazanie czci Boga jedyne, gdyż oddająca Mu cześć w trzech osobach, w tym zaś – w osobie człowieka, co Żydom wydaje się szczególnym bluźnierstwem. A Polska? A Polska to taki kraj, który Bóg wybrał dla Żydów, aby przez jakiś czas mogli spokojnie czekać na Mesjasza, a który wszelako stał się w XVII wieku równie nieznośny i nieprzyjazny dla Żydów, jak i inne kraje. Jego sprawy były i pozostają dla wierzącego Żyda całkiem obojętne. Są wszelako również inni chrześcijanie i inni Żydzi. Jeżdżąc po Izraelu, spotkamy wiele grup chrześcijańskich modlących się w miejscach „starotestamentowych” obok Żydów, a w jerozolimskim Grobie w Ogrodzie nietrudno zobaczyć Żyda modlącego się w miejscu domniemanego pochówku rabiego Joszui. I w przeszłości różnie to bywało. Nie brakowało wśród wierzących Żydów wielkich polskich patriotów ani wśród polskich katolików przyjaciół i obrońców Żydów. Nic tu nie jest proste.

Nie jestem oryginalny, twierdząc, że najgłębsze podstawy antysemityzmu są natury religijnej, że antyjudaizm poprzedza antysemityzm. Być może jednak nie jest całkiem banalny pogląd, który pragnę tu wyrazić, iż antysemita mają prawo do swojej postawy religijnej. Jeśli częścią czyjejś religijności jest potępienie tych, którzy się na tę religię nie nawrócili, pomimo że byli do tego powołani, to trudno. Cudze przekonania religijne mogą nam nie odpowiadać, ale powinniśmy je tolerować. Dlatego słusznie moim zdaniem postąpił papież, zezwalając na modlitwę o nawrócenie Żydów. Pozwólmy wszystkim wiernym być sobą. Niechaj chrześcijanie uważają Jezusa za prawdziwego Mesjasza, a Żydzi niechaj uważają go za Mesjasza fałszywego. Niechaj chrześcijanie uważają judaizm za uparty anachronizm, a Żydów za zdrajców

Jezusa, wyznawcy judaizmu zaś niechaj sobie uważają chrześcijaństwo za porzucenie prawdziwej wiary, idolatrię i politeizm. Jeśli będziemy zmuszać chrześcijan i Żydów do przywdziewania owczych skór i prawienia sobie wzajemnych komplementów, to zawsze znajdą się tacy, którzy zbuntują się przeciwko temu jako zdradzie i hipokryzji, stając się, odpowiednio, aktywnymi antysemitami bądź wrogami chrześcijaństwa. Jeśli zaś zdobędziemy się na uszanowanie prawa każdego człowieka do tego, by nie lubił Żydów i judaizmu, bądź też nie lubił Polaków i katolicyzmu, znajdziemy się na ścieżce, która wyprowadzi nas z labiryntu powikłanych i wciąż niedobrych stosunków między obiema nacjami. Najważniejsze wszakże, aby mówić – bez skrupowania – co komu w duszy gra. Obojętność do spółki z obłudą, ignorancja do spółki z oportuniźmem to największe zagrożenia dla polsko-żydowskich stosunków.

*

To z pewnością najbardziej znany mój tekst publicystyczny – potrójnie wyróżniony. Najpierw uzyskał nagrodę Grand Press za najlepszy tekst publicystyczny 2009 roku, potem został zamieszczony w specjalnej antologii artykułów z „Tygodnika Powszechnego” poświęconych tematyce stosunków polsko-żydowskich, czyli w słynnym „Żydowniku Powszechnym”, by wreszcie trafić do monumentalnej, trzutomowej antologii tekstów o antysemityzmie, wydanej przez Michnika. Napisałem go podczas dłuższego pobytu w Izraelu wiosną 2009 r. pod wpływem nieprzyjemnych rozmów z Izraelczykami na tematy polsko-żydowskie. Musiałem jakoś odreagować te swoje boje „o honor Polski i Polaków”. Artykuł zatytułowałem „Zrozumieć antysemityzm”, ale redakcja wybrała zamiast tego nieco oklepaną, ale za to może chwytliwą formułkę „Chciałbym być sobą”. Tekst wzbudził żywe reakcje. Posypały się polemiki, pochwały i przygany. Przez antysemitów, jego głównych adresatów, został odebrany z załopotaniem i stłumioną złością. Zaiste, bierze ich pod włos. Polscy Żydzi raczej nie byli zachwyceni. Polemikę napisał między innymi prof. Stanisław Krajewski. Do Izraelczyków zaś tekst nie dotarł wcale. Posłałem jego angielską wersję kolejno do trzech gazet izraelskich, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. To chyba symptomatyczne. Wierzę wszak, że przyjdzie czas, kiedy podobny tekst będzie się mógł ukazać w którymś z izraelskich dzienników. Najbardziej spodobał się mój artykuł Polakom nie-Żydom, gdyż poruszył drażliwy i wstydlivy temat antypolonizmu. Zaszczytną nagrodę Grand Press otrzymałem więc pewnie z tego powodu, niemniej jednak schlebiam sobie, że jest to artykuł pod względem warsztatowym bardzo poprawny, autor zaś wyjątkowo tym razem wie, o czym pisze.

NIECH ŻYDZI ZAWŁADNĄ KOŚCIOŁEM!

ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ W „RZECZPOSPOLITEJ” Z 30 WRZEŚNIA 2009 R.

Niedawno w jednym z telewizyjnych programów publicystycznych powiedziałem, że zwrot „cywilizacja śmierci” jest chamski. Moja wypowiedź wywołała liczne reakcje, gdyż osobą, która pierwsza posłużyła się tym terminem, był Jan Paweł II. Wprawdzie nie myślałem akurat o papieżu, lecz o księżach, którzy nagminnie posługują się wyrażeniem „cywilizacja śmierci” w celu przyrównania (jeśli nie zrównania) osób domagających się liberalizacji prawa aborcyjnego albo liberalnej ustawy o in vitro z nazistami (co chamstwem jest niezaprzeczalnie), samo skojarzenie z osobą papieża sprawiło, że moja wypowiedź stała się przedmiotem komentarzy. Oprócz tych medialnych miałem też sporo odzewów prywatnych – od gratulacji do potępień. Ledwie włączyłem telefon po nagraniu, a już zadzwonił znajomy ksiądz, aby mi... podziękować.

No właśnie, polski Kościół ma wiele twarzy, a pomimo oficjalnej jednomysłowości księży mewają poglądy bardzo różne. Wiem to od czasu studiów na KUL-u, a dorosłe życie dostarcza mi wciąż nowych na to dowodów. W prywatnych rozmowach niejeden ksiądz jest tolerancyjny i liberalny, otwarty na świat, a często też krytyczny wobec swego Kościoła, Watykanu i papieży nie wyłączając. Z publicznymi wypowiedziami jest już gorzej. Wszak księży obowiązuje posłuszeństwo biskupom i doktrynie. Ta ostatnia zaś powstaje w Watykanie. Stanowi to o specyfice religii katolickiej: jest ona zinstytucjonalizowana nie tylko jako Kościół, lecz także jako państwo, a państwo to ma swoją doktrynę prawno-religijną, której posłusznymi orędownikami muszą być duchowni katolicy na całym świecie. Doktryna dotyczy, oprócz spraw religijnych, życia rodzinnego i seksualnego, którego akurat księża nie prowadzą, demokracji, której nie praktykują, a nawet gospodarki i to nie tylko gospodarowania dziesięciną. Co więcej, wolą Kościoła (i Watykanu) jest wywierane wpływu na prawodawstwo krajów, w których katolicy są większością, tak aby było ono w największym możliwym stopniu zgodne z doktryną kościelną, także w dziedzinach mających z kultem mało wspólnego. Wprawdzie Kościół ma swoje prawodawstwo (prawo kanoniczne), a także autorytet wśród wiernych, lecz najwyraźniej jakoś to nie wystarcza – swoje przekonania metafizyczne i religijne Kościoły w biedniejszych krajach katolickich starają się narzucić wierzącym i niewierzącym środkami prawa. Ciekawe, że jakoś rząd polski, reprezentujący

w końcu społeczeństwo katolickie, nie ubiega się o żadne zapisy w prawie kanonicznym. A może powinien?

Wśród owych przekonań, którymi stara się nas zaciekawić Kościół, są twierdzenia, że człowiek jest osobą (przy szczególnym sposobie rozumienia tego słowa), że posiada godność (znów w szczególny sposób rozumianą), że istnieje jakieś „prawo naturalne” (które to właśnie Kościół umie odczytywać, bo raczej T. Hobbes chyba nie) i parę innych, znanych ze scholastyki bądź wymyślonych niedawno. Jest rzeczą ciekawą, że wśród filozofów, etyków i teologów te akurat poglądy spotyka się wprawdzie często, ale praktycznie wyłącznie okryte sutanną lub umocnione inną zależnością osobistą ich głosiciela od instytucji Kościoła katolickiego.

W niektórych państwach, w tym w Polsce, daje się prawodawczym żądaniom Kościoła posłuch nieporównanie większy niż jakiejkolwiek innej sile społecznej, która głosi, iż wie, co jest dobre, i że należy proponowane przez nią oczywiste i absolutne prawdy czym prędzej wcielać w życie. Dzieje się tak na pewno nie dlatego, że większość Polaków tak właśnie sobie życzy, bo jest katolikami. Gdyby bycie katolikiem oznaczało, że zna się i uznaje katolickie doktryny i że daje się Kościołowi prawo do przemawiania we własnym imieniu, to Kościół nie musiałby się kłopotać o przepisy polskiego prawa medycznego i innego. Ludzie słuchaliby i bez tego. Rzecz właśnie w tym, że nie słuchają. Ci zaś, którzy katolikami nie są, dodają jeszcze od siebie: „Dlaczego Kościół katolicki chce nam dyktować, jakie mamy prowadzić życie i w jakie dni mamy chodzić do sklepu? Przecież prawa szanujące wolność jednostki i pozostawiające indywidualnym wyborom kwestie sumienia, w których zgody powszechnej nie ma, nie przeszkadzają katolikom żyć po katolicku! Niechaj więc żyją i dają żyć innym!”.

Wszystko to prawda, ale życiem publicznym rządzą zasady polityki, a nie imperatyw wolności ani świadomość, że budujemy wolny kraj, w którym rząd do minimum stara się ograniczyć ingerencje w wybory obywateli. Do zasad tych należy zaś strach. Politycy i media boją się, że ograniczając wpływy i przywileje Kościoła, a także oddając mu proporcjonalne miejsce w debatach publicznych, ściągną na siebie jeśli nie gniew Boży, to przynajmniej gniew biskupi lub prałacki. To zaś mogłoby się źle skończyć. Właśnie dlatego w wielu kwestiach debaty publiczne, a nawet procesy legislacyjne toczą się nie w trybie dyskusji społecznej, w której jest wiele stanowisk, a w tym stanowisko katolickie, lecz w trybie negocjacji dwustronnych: Kościół i reszta świata. W konfrontacji tej Kościół ma zawsze co najmniej połowę czasu i miejsca, a w dodatku darzony jest szczególną rewerencją. Sam swoje poglądy nazywa skromnie „Nauczaniem”, a inni płochliwie temu przytakują. Wypowiada się zazwyczaj głosem powolnym, z lekka modulowanym, tonem pełnym troski i ojcowskiej przygany. Powiada, kto jest „cywilizacją śmierci” (feministki walczące o prawo do aborcji,

liberałowie i inni), a kto „cywilizacją miłości” (katolicy), kto żyje „w prawdzie” (heteroseksualiści i osoby powstrzymujące się od seksu), a kto w nieładzie (geje i lesbijki). Wysuwa żądania, ale nie dopuszcza żadnych kompromisów, wszelką zaś krytykę lub opór nazywa „zamachem na wolność religijną” lub „walczącym ateizmem”. Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że taki ton i taki kształt obecności Kościoła w życiu publicznym może przynieść doraźne zwycięstwa legislacyjne, lecz w dłuższej perspektywie zniechęca społeczeństwo do Kościoła i sprowadza na niego klęskę.

Mimo że taki właśnie obraz Kościoła najbardziej rzuca się w oczy, polski Kościół, jako się rzekło, ma więcej twarzy. To oblicze, na którym maluje się smutek, duma, wzgarda dla obcych i niezachwiane poczucie wyższości, to nie cała prawda o Kościele w Polsce. Gdyby Kościół był taki i tylko taki, skazany byłby na wymarcie. Jego społeczne poparcie wygasłoby wraz z wysychaniem jezior biedy i zacofania w naszym kraju. Ludzie choćby trochę wykształceni i choćby trochę znający świat reagują przecież złością lub śmiechem na teatralne pretensje i przebrania, pyszałkowaty ton, a zwłaszcza nieustanne pouczanie ich w sprawach, na których pouczający znają się jak najmniej.

Na szczęście jest też Kościół inny, umięający odnaleźć się w nowoczesnym i wolnym świecie, wolny od pychy, od uprzedzeń w stosunku do genetyki, demokracji, innowierców czy homoseksualistów, od języka pomówień i prymitywnej, pełnej jadu i obłudnej retoryki. Kościół śp. ks. Józefa Tischnera, ks. Adama Bonieckiego i ks. Andrzeja Bronka, ale także biskupów, takich jak abp Tadeusz Gocłowski, abp Henryk Muszyński, a zwłaszcza kard. Henryk Gulbinowicz, który wyciągnął kiedyś mojego ojca z „internatu”. Dla wrogów Kościoła i katolicyzmu to oni są najgroźniejsi, bo to oni zapewnią Kościołowi przyszłość w nowoczesnej Polsce, gdzie pretensje do stanowienia prawa pod dyktando wyznania będzie tak samo śmieszne jak fantazja, iżby w szkole państwowej ktoś miał uczyć dzieci, że homoseksualizm jest nie w porządku. Taka Polska, normalna, podobna do Niemiec czy Anglii, czeka nas za kilkanaście lat. Jeśli w tej nowej Polsce Kościół będzie silny i szanowany, to właśnie dzięki tym światłym i odważnym księżom, którzy pomimo ciasnego gorsetu doktryny i rzymskich instrukcji, jakoś obsesyjnie krążących wokół seksu, mają odwagę i umieją rozmawiać życzliwie i mądrze, bez wywyższania się i z szacunkiem dla niekatolickiego rozmówcy, a za to z jakąś dozą krytycyzmu w stosunku do Kościoła polskiego oraz do samego Watykanu. Znajdziecie nazwiska tych księży napiętnowane w podziemnych pisemkach i na stronach internetowych integrystów i fanatyków. Znajdziecie ich jako Żydów bądź takich, co się Żydom sprzedali. Tu i ówdzie zauważycie wśród nich nazwisko Karola Wojtyły. Czytam czasem te rzeczy, aby uleczyć się z antyislamskich uprzedzeń (wszak nasi fundamentaliści wcale nie są lepsi!), a przede wszystkim, aby dowiedzieć się, kto jest w Kościele mądry i godny szacunku. Kościół „Żydów”

zwycięży – wierzę w to głęboko. Nie tylko u nas, lecz także wszędzie na świecie, nawet w samym Watykanie. Bo tak to już jest, że ludzie mądrzy, wykształceni i odważni, choć jest ich może niezbyt wielu, to zawsze prędzej czy później wygrywają z prostakami, nienawistnikami i tchórzami. Z mądrym, skromnym i życzliwym światu Kościołem będzie każdemu po drodze. Nawet takiemu zatwardzialemu agnostykowi i liberałowi jak ja. Księżom (tym, co wiedzą), kłaniam się pięknie.

*

Niezwykłe jest to, że prawicowa gazeta tekst ten u mnie zamówiła, a następnie opublikowała bez żadnych zmian, zachowując w dodatku nadany przeze mnie, brzmiący prowokacyjnie tytuł (zaznaczając wszakże, iż pochodzi on od autora). „Rzeczpospolita” to gazeta o szczególnie złożonej historii. Zawsze jednak stać ją było na pewien pluralizm i trzeba to docenić. Jak łatwo się domyślić, tekst mój wywołał wściekłość w pewnych kręgach, niemniej jednak została ona skanalizowana w stronę zupełnie marginalną, a mianowicie wyrażała się w szyderstwach z powodu uśmiercenia przeze mnie kard. Gulbinowicza. Nie wiedzieć czemu napisałem o nim „św. pamięci”. Coś mi się pomyliło, a redakcja też nie zauważyła. Znając kardynała, mniemam, że się nie obraził, niemniej jednak korzystam z okazji, aby prosić o wybaczenie tej pomyłki. Młodym ludziom wydaje się czasami, że jak ktoś, kogo znali przed laty, już wtedy był w starszym wieku, to teraz niechybnie już nie żyje.

